
30 DNI
K.C. HIDDENSTORM

Od krawędzi niewyraźnego świtu

Oddycham mętnym aromatem samotności.

Tańczę w pokruszonych ciszą słowach,

Skazana za miłość zbyt nieśmiertelną.

Dławi mnie pustka wyryta wspomnieniami,

I to czekanie, niemal wieczne.

I.M. Darkss „Niekompletna”

Spis treści

Prolog
Część pierwsza 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 15. 16.
Część druga 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 15. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 22. 23. 24. 25.
Część trzecia 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 15. 16. 17. 18. 19.
Epilog

Prolog

Czas sprzed czasu

Dziewczyna powiodła zamglonym spojrzeniem po pokoju i ponownie opuściła je na linę znajdującą się na kolanach. Nie płakała, już nie. Była spokojna, naprawdę spokojna. Po raz pierwszy od wielu, zdających się ciągnąć latami, dni i nieprzespanych nocy. Ludzie zazwyczaj uspokajają się w tym ostatnim momencie, zrozumiała. Kiedy wreszcie się zdecydujesz, czujesz tylko spokój. Jest twoją nagrodą.

Opuszkami palców zaczęła gładzić ukręconą na końcu liny pętlę. Dotyk sztywnych włókien był kojący, prawie jak pocałunek. Kątem oka zerknęła na stojący na komodzie zegar. Wskazywał kwadrans po trzeciej. Już czas.

Wstała niespiesznie, jakby chciała delektować się każdą sekundą swojej ostatniej godziny, i przeszła przez pokój. Jej bose stopy cicho plaskały przy każdym kroku. Zatrzymała się przed zatopionymi w ścianie drzwiami. Weszła na ustawiony naprzeciw nich kuchenny taboret, przerzuciła linę przez biegnącą nad futryną rurę od centralnego ogrzewania, i umocowała. Nie była przesadnie gruba, ale jej wagę powinna wytrzymać bez trudu. Podobnie sznur. Dziewczyna ostatni raz sprawdziła pętlę, zarzuciła ją sobie na szyję i lekko zacisnęła.

Spojrzała przez okno, by sprawdzić, czy śnieg wciąż pada. Padał – nawet mocniej niż wcześniej. Wszystko w zasięgu jej wzroku pokryte było białym puchem. Luty jest takim smutnym miesiącem, pomyślała. Miesiącem śmierci. Na jej usta wypłynął gorzki uśmiech.

Przymknąwszy powieki, wzięła ostatni, głęboki wdech.

I skoczyła.

Usłyszała stukot upadającego taboretu, a jej stopy zaczęły wierzgać kilkanaście centymetrów nad podłogą, nie znajdując oparcia. Równocześnie poczuła silny ucisk, pętla wrzynała jej się w szyję, miażdżąc krtań. Nie mogła zaczerpnąć tchu, zamiast tego w gardle zapłonął ogień, oczy zaczęły wychodzić z orbit…

I zaraz wszystko zniknęło.

Zanurzyła się w ciepłym białym świetle, które pieściło ją, zmazywało ból, wykpiwało cierpienie. To było najznamienitsze, najdoskonalsze uczucie, jakiego kiedykolwiek zaznała. Każda jej cząstka, każdy atom skąpane były w najwyższym, bezbrzeżnym uniesieniu. Czuła ekstazę, dotyk samego Boga. Wszystko zdawało się doskonałe, wszystko było skończonym dobrem. Światło, to światło…

I raptem coś ją z niego wypchnęło.

Dziewczyna zbudziła się na podłodze własnego pokoju, spazmatycznie wciągając powietrze. Panele, na których leżała, były zimne i twarde. Poobijała się solidnie przy upadku. Jednak najgorsze było gardło, które paliło przy każdym oddechu.

Podniosła się na drżących rękach, w zamroczeniu potrząsając głową. Pasma ciemnych włosów przylgnęły jej do policzków, przywodząc na myśl skrzydła kruka. Rzęziła i charczała, z zaciekłą determinacją zmuszając się do zrobienia kolejnego wdechu. Miała przy tym wrażenie, że powietrze zmieniło się w płonącą benzynę.

Obmacała się nerwowo, wyczuwając pod palcami kawałek liny, i zaraz zrozumiała, co się stało. Sznur pękł, jednak nie wytrzymał jej ciężaru. Niewiarygodne, ale żyła. Jakimś cudem nie

skręciła sobie karku, skacząc z taboretu. Możliwe, iż lina była po prostu za krótka i zabrakło wystarczającego impetu, siła bezwładności nie zadziałała, toteż skończyło się tylko na utracie przytomności. Jednak gdyby nie pękła, zginęłaby na skutek odcięcia dopływu natlenionej krwi z płuc do mózgu.

Czując w równym stopniu rozczarowanie co tęsknotę za ciepłym światłem, dźwignęła się na nogi, niepewna, czy zdołają ją utrzymać. Miała wrażenie, że zmieniły się w watę, praktycznie ich nie czuła, jednak nie upadła. Zrobiła jeden chwiejny krok, potem kolejny, odwróciła się… i zamarła.

W następnej chwili zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć.

Patrzyła na wiszącą pod sufitem ciemnowłosą dziewczynę w białej sukience z naddartym rękawem, na jej wybałuszone oczy, wywalony język, nieczystości pod nią, krzycząc coraz głośniej i orając sobie policzki paznokciami. Z przerażającą klarownością rejestrowała też pozostałe szczegóły: przewrócony taboret, nieruchomy śnieg za oknem oraz zegar, który zatrzymał się, wskazując trzecią szesnaście; białe wskazówki stanęły tak jak jej serce i miały już nigdy nie ruszyć. Jej żołądek wykonał karkołomne salto i podjechał w okolice przełyku. Poczuła krew spływającą po twarzy, skóra pękała pod naporem paznokci, a ona nie przestawała drapać, tak jak nie przestawała wrzeszczeć:

– To niemożliwe, przecież ja żyję! Ja żyję! ŻYJĘ!

– Nie wydaje mi się, kochanie. – Usłyszała gdzieś z lewej.

Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła mężczyznę w eleganckim czarnym garniturze. Stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, nonszalancko opierając się o ścianę. Był przystojny w jakiś złowrogi, surowy sposób. Miał ciemne, zaczesane do tyłu włosy, twarz bladą, gładko ogoloną i raczej młodą, a jednocześnie dziwnie pozbawioną wieku. No i oczy. Czarne i błyszczące. Takie oczy nie mogły należeć do człowieka. Było w nich coś takiego…

– Kim jesteś? – spytała swoim nowym, skrzypliwym głosem wisielca.

Mężczyzna się zaśmiał. Zabrzmiało to tak, jak gdyby ktoś deptał tłuczone szkło.

– Właściwe pytanie brzmi: kim ty jesteś? – odparł, materializując się tuż obok jej ramienia. – A raczej… kim możesz się stać?

– Martwa. Jestem… martwa. – Dziewczyna prześlizgnęła się spojrzeniem po wiszącej w rogu postaci i pośpiesznie je cofnęła.

Boże, znajdą ją taką – z siniejącą twarzą i napuchniętym językiem, obsraną, odartą z resztek godności. Matka ją taką znajdzie. Jej biedna matka. Mogła wybrać tabletki albo podciąć sobie żyły. Dlaczego, do kurwy nędzy, postanowiła się akurat powiesić?! Przecież to tak parszywie wygląda.

– Wyborny zapach, cudowny – powiedział mężczyzna, ujmując kosmyk jej włosów i przysuwając go sobie do nosa. Następnie nachylił się, by powąchać jej ramię, sunąc nosem ku zagłębieniu szyi. – Zaiste, wyborny – powtórzył i zaczął ją całować. Czuła jego język pieszczący skórę, schodzący coraz niżej, kreślący wymyślne wzory. Dotarł do piersi i zaczął ją lizać, drugą zajęła się jego dłoń.

– Cc-co? – Tylko tyle zdołała wybąkać. Dotyk mężczyzny, co zaskakujące, okazał się przyjemny, a nawet więcej, pożądany. Złapała się na tym, iż chce, by trwał w nieskończoność, chce być przez niego dotykana, całowana, lizana i zerżnięta. Jego dotyk był lepszy niż światło.

Zgoda, to nie były normalne myśli i pragnienia, na pewno nie w takich okolicznościach. Tylko czy miała jakieś porównanie? Czy kiedykolwiek wcześniej była w „takich okolicznościach”? Oczywiście, że nie. Właśnie się, o dobry Jezu, zabiła. Nic tu już nie było normalne. Ani ten mroczny facet, ani ona – nic, zupełnie nic. Logika wisiała na sznurze razem z jej sztywniejącym ciałem.

– Nienawiść, to ona tak pachnie – wyjaśnił mężczyzna, wwiercając w nią te nieludzkie oczy. – Cała nią przesiąkłaś.

– Ja…

– Zabiłaś się, kochanie. Dla takich jak ty przewidziana jest wycieczka do jednego miejsca. Bardzo gorącego miejsca. – Mężczyzna uśmiechnął się wymownie i wskazał palcem podłogę. – Jednak ja mam dla ciebie lepszą ofertę. Można powiedzieć, że chcę ci zaproponować pracę.

Brwi dziewczyny uniosły się wysoko.

– Pracę?

– Powinnaś czuć się wyróżniona, nie proponuję takich rzeczy byle komu. – Mężczyzna ponownie się nachylił, wciągając w nozdrza jej zapach. – Twoja nienawiść… jest piękna. Zupełnie tak jak ty.

– Co właściwie miałabym robić? – zainteresowała się dziewczyna. Była jak w lekkim transie, to on tak na nią działał, ten mężczyzna. I jego dotyk.

– To, na co przyjdzie ci ochota. Bardzo sobie cenię kreatywność u moich pracowników, a ty wyglądasz na szalenie kreatywną osobę. – Smukłe palce mężczyzny pogładziły ją po policzku. – Nie będziesz żałować. Ci, którzy dla mnie pracują, wiodą życie, o jakim marzą.

– Czyli mam rozumieć, że ja… Będę żywa?

Mężczyzna odchylił głowę i znów zaśmiał się tym upiornym śmiechem.

– Niezupełnie.

Wtem na wysokości drzwi pojawiła się kula białego światła, która zaczęła puchnąć, rozrastając się niczym małe słońce, porażając swą jasnością. Na ten widok nieznajomy zmarszczył brwi. Przez jego pociągłą twarz przemknął wściekły grymas.

– Czas – rzucił ostro. – Jeżeli przyjmujesz moją propozycję, zrób to teraz.

Dziewczyna przez chwilę wpatrywała się w jego obsydianowe oczy, dokonując błyskawicznej kalkulacji. Następnie ujęła go za rękę, na jej wargi wypłynął lekki uśmiech.

– Przyjmuję – powiedziała.

– Mądra dziewczynka. – Mężczyzna pokiwał z uznaniem głową i objął ją ramieniem.

W następnej sekundzie pochłonęła ich ciemność.

Część pierwsza

Kontrakt

Pan unosi brew,

Pan apetyt ma na krew,

Bardzo proszę – podpis mój.

Jasna rzecz, gra jest o skórę,

Nie o strój.

No, jak tak, to tak.

Jest pergamin, sznur i hak,

Popatrz, diable, prosto w twarz,

Graj va banque.

Agnieszka Osiecka „Czarne Perfumy”

1.

– Jak to… rak? – zapytała głucho Linda.

Spoglądała na lekarza wielkimi, pustymi oczami, patrząc przez niego, nad niego, wokół niego.

Już sama wizyta u onkologa wydała jej się nieporozumieniem, a teraz jeszcze to. Boże drogi, miała po prostu powikłania po grypie, kaszel, który utrzymywał się zdecydowanie za długo. To na pewno nic, jakiś drobiazg spowodowany tym, że leki osłabiły jej układ odpornościowy, może reakcja alergiczna, więc dlaczego gość wyjeżdża z czymś takim? To się nie trzymało kupy.

– Nie możemy już nic zrobić. – Doktor Powell odłożył płytę z wynikami rezonansu magnetycznego płuc Lindy na pękaty plik jej innych dokumentów i splótł dłonie. – Bardzo mi przykro, pani Hill.

Linda poczuła, że jej złudzenia ulatują, obnażając okrutną prawdę. Przez sposób, w jaki Powell mówił oraz to, jak na nią patrzył.

– Ale przecież… – Jej ręka uniosła się i opadła. – Chemioterapia… Nie możecie po prostu tego ze mnie wyciąć?

– Guz jest nieoperacyjny, pani Hill. Cokolwiek zrobimy, będzie jedynie doraźnym środkiem, który pozwoli zredukować ból. Tylko tyle możemy. Gdyby przyszła pani wcześniej…

Słoneczny gabinet nagle stał się zbyt jasny. Ukośne promienie słońca odbijające się od oprawionych w szkło dyplomów, które zajmowały całą wschodnią ścianę, raziły oczy, kolory były nieznośnie jaskrawe, jakby przepalone. Świat błysnął ostrą mozaiką szczegółów. Linda z porażającą klarownością widziała maleńką plamę po sosie musztardowym na kitlu doktora Powella, dwa czarne włoski wystające z jego lewego nozdrza, wygiętą zszywkę leżącą pod oknem, gruboziarnisty druk na teczce z aktami, drobną skazę na przekręconym w bok rodzinnym zdjęciu.

– Ile? – wychrypiała. – Ile mam czasu?

Brandon Powell przyjrzał się jej z uwagą. Jego piwne oczy pozostawały poważne.

– Trudno powiedzieć z całą pewnością. Przy tego rodzaju złośliwym nowotworze, który w dodatku zaczął już dawać przerzuty… Półtora miesiąca, może dwa.

Linda wbiła w niego ciężkie spojrzenie. Chciała wrzeszczeć, rzucić się na lekarza, pobić go, zdemolować gabinet, zemścić się za to, że właśnie zniszczył jej życie, rozbił je, jak gdyby było kawałkiem taniej glazury… Zamiast tego po prostu siedziała, owinięta grubym płaszczem wywołanego przez szok spokoju. W następnej chwili ów płaszcz zsunął się z jej ramion i wpadła w histerię.

– To żart, prawda? – spytała, chichocząc w bardzo niepokojący sposób. – Taki cholernie zabawny żart, który później opowiadacie sobie na lekarskim cocktail party i sprawdzacie, czyj pacjent wpadł w większy popłoch. Do diabła z etyką, liczy się dobra zabawa! Tak to idzie, prawda? „Powiedziałem tej głupiej cipie, że umrze na zabawnego raka płuc, to dopiero był numer! Tak się wystraszyła, że prawie wyskoczyła z gaci! Żałujcie, chłopaki, żeście nie widzieli, jaką miała minę!” – Przy ostatnich słowach jej głos przeszedł w piskliwy, zmieszany z chichotem krzyk, i załamał się dramatycznie.

Powell popatrzył na Lindę tak, jakby dopiero teraz naprawdę zdał sobie sprawę z jej obecności, jakby zobaczył w niej żywą osobę posiadającą swoją historię, swoje marzenia, pragnienia, bagaż doświadczeń, a nie tylko kolejnego wypranego z tożsamości pacjenta.

– Pani Hill, tak bardzo mi przykro. – Tylko tyle był w stanie jej powiedzieć, pieprzony sukinsyn. Ale, oczywiście, to nie on umierał na raka, nie jego popchnięto nad grób w absurdalnym wieku trzydziestu lat.

– Takiego wała! – Linda dźwignęła się z krzesła, wciąż chichocząc w ten zdradzający zaburzenia psychiczne sposób. – Mam gdzieś twoją diagnozę, słyszysz?! Mam ją gdzieś!

Powell poderwał się na równe nogi, ale zaraz zastygł w bezruchu, widząc nieprzejednaną, naznaczoną szaleństwem twarz kobiety. Pobladł nieznacznie, jak gdyby obawiał się, że pacjentka dobędzie broni i odstrzeli go za tę potworną diagnozę, może podejrzewając – w swych chorych rojeniach, rzecz jasna – iż celowo kazał ją zarazić rakiem podczas pobierania krwi.

– Pani Hill, proszę się nie denerwować – wydukał nieporadnie, wykonując jakiś bliżej nieokreślony gest ręką. Zrobił krok w jej stronę, jednak przemyślał to i się zatrzymał. Pewnie mógłby cytować z pamięci *Rozmowy o śmierci i umieraniu*, ale teraz jakoś nie bardzo wiedział, jak przełożyć tę wiedzę na praktykę. – Niech pani usiądzie. Poproszę pielęgniarkę, żeby dała pani…

– Coś na uspokojenie? – prychnęła zadziornie Linda. Chichot jeszcze wstrząsał jej klatką piersiową, ale już coraz słabiej. – Jestem spokojna, nie widać? W życiu nie czułam się równie spokojna. Po prostu nie mam zamiaru dłużej słuchać tych bredni! Wychodzę! Znajdę innego, bardziej kompetentnego lekarza i poproszę o drugą diagnozę.

Doktor Powell ruszył za nią, ale Linda zatrzasnęła mu drzwi przed samiuśką twarzą. Miała cichą nadzieję, że znajdował się na tyle blisko, by uderzyły go w nos, może nawet mu go złamała, jednak nie ośmieliła się wrócić do gabinetu, aby to sprawdzić.

Idąc z opuszczoną głową, jak winowajca bądź poszukiwany przez policję zbieg, przecięła korytarz, wyszła tylnym wyjściem i pomknęła na parking. Usta miała wykrzywione jak do krzyku, jednak nie krzyczała.

Przynajmniej nie na głos.

2.

Obute w trampki stopy Nayhiji1 wystukiwały równomierny rytm na spękanym asfalcie. Wąska ścieżka, którą szła, prowadziła przez las bardzo podobny do tego, jaki znała z innego miejsca i czasu. Tyle że tamten był większy, bardziej dziki, miał słodszy zapach. Tu, zaraz obok, była ruchliwa i głośna droga wcinająca się w gęstwinę wijąca się przez niego niczym czarny wąż. Drzewa ciągnęły się długim szpalerem po obu jej stronach, pochylając się, jakby zasmucone niegodziwością, jaką im wyrządzono.

Spaliny przebijały się przez żywiczny zapach, warkot samochodów nakładał się na ptasie trele i je zagłuszał. To wszystko było jak gwałt, gwałt zadany Matce Naturze. Niedługo ludzie wytną ostatnie drzewa, zaleją betonem pozostałe spłachetki zieleni i zwyczajnie zdechną, poduszą się. Dopiero wtedy zrozumieją, że to własna chciwość ich zabiła. Chciwość i bezmyślność. Ale wtedy będzie już za późno.

Nayhija uśmiechnęła się na tę myśl.

To był bardzo nieprzyjemny uśmiech.

Promienie słońca przeszyły gęste korony drzew, oświetlając ją jak aktorkę na pustej scenie. Dopiero w ich blasku dało się zauważyć, że ciemne włosy Nayhiji żarzą się ognistym blaskiem. Zupełnie jakby płonęły.

W następnej chwili usłyszała narastający szum, który przerodził się w wizg gonionego między szprychami powietrza, i zapłonęły również jej oczy. Nie odwróciła się, nie musiała. Niemal od niechcenia uskoczyła w bok, a wyciągnięta ręka rowerzysty zamiast klepnąć ją w pośladek, zaledwie go musnęła.

Nieznajomy przejechał jeszcze kawałek, zezując na nią, i zaraz przednie koło roweru zahaczyło o kamień… którego sekundę wcześniej tam nie było. Mężczyznę wyrzuciło z siodełka, przeleciał przez kierownicę i wpadł w pobliskie krzaki. Źle zapięty kask zleciał mu z głowy i zawisł na wygiętej gałęzi niczym wielkanocne jajko. Wiśniowy lakier, którym był pociągnięty, odcinał się ostro na tle wszechobecnej zieleni. Rower upadł w poprzek drogi z chrzęstem ramy szorującej o asfalt. Koła kręciły się leniwie z sennym *szuuu*, *szuuu*, *szuuu*.

Nayhija wyminęła rower, przeszła obok miejsca, z którego gramolił się jego właściciel, nie zaszczycając go spojrzeniem. Minęła go tak, jak mija się przejechane truchło.

– Hej! – zawołał za nią mężczyzna. – Hej, przepraszam!

Nayhija przeszła jeszcze parę kroków, zastanawiając się, czy zawoła ją po raz kolejny. Zawołał.

– Słucham? – Okręciła się na pięcie, stając z nim twarzą w twarz.

Widziała, jak pożera ją oczami, jak prześlizguje się wzrokiem po jej długich, opiętych dżinsami nogach, łakomie zerka na krągłość bioder i piersi, podziwia urodę, zastanawia się, czy w dotyku jej włosy są tak jedwabiste, jak na to wyglądają. Miał to wypisane na twarzy, każdą najgłębiej skrywaną żądzę. Zaś sama twarz, choć niebrzydka, była przebiegła. Nie spodobała się jej. Zresztą te rozbiegane oczy pod strzechą jasnych włosów też nie.

– Chyba Bóg mnie pokarał – stwierdził, uśmiechając się przepraszająco.

Na te słowa Nayhija wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Jeśli tak właśnie uważasz – powiedziała. Zabrzmiało to dziwnie złowrogo, niemal jak groźba, a już na pewno jak obelga.

Mężczyzna posłał jej spłoszone spojrzenie, odchrząknął i podjął na nowo:

– Przepraszam, chciałem cię klepnąć w tyłek, zresztą chyba sama wiesz. – Nie wyglądał

jak ktoś, komu jest przykro z tego powodu, mimo iż bardzo się starał. – No i wywaliłem się. To na pewno kara za to, co chciałem zrobić.

Nayhija zdmuchnęła z czoła pasmo włosów. Nie odzywała się, rozumiejąc, że jej milczenie wprawia rowerzystę w coraz większą konsternację. W gruncie rzeczy to było całkiem zabawne. Patrzyła, jak walczy sam ze sobą, próbuje odepchnąć to jedno najsilniejsze pragnienie, na które i tak był skazany, którego był niewolnikiem.

– Nazywam się Rick. – Mężczyzna wyciągnął dłoń i czym prędzej ją opuścił, widząc zdegustowany wzrok Nayhiji. – Pomyślałem, że moglibyśmy… no wiesz…

– Pójść na kawę? Do łóżka? – Kąciki ust Nayhiji uniosły się w złośliwym uśmiechu.

Rick oblał się pąsem.

– Kawa by wystarczyła – bąknął.

Spomiędzy rozchylonych warg Nayhiji dobył się cichy jęk, taki, jaki rozrywkowy Rick spodziewał się usłyszeć, gdyby jednak dane mu było ją pieprzyć. W jego wyobraźni tak właśnie brzmiał – to również miał wypisane na twarzy.

– Obawiam się, że twoja narzeczona nie podeszłaby entuzjastycznie do tego pomysłu.

Rick nie był już zarumieniony. Teraz był blady jak prześcieradło.

– Skąd… skąd wiesz, że…

– Wiem różne rzeczy. – W oczach Nayhiji pojawił się drapieżny błysk.

– Katy jest w porządku, na pewno by zrozumiała. Wyjście z kimś na kawę to nie zbrodnia. – Rick brzmiał tak, jakby bardziej chciał przekonać siebie niż Nayhiję.

– A wiesz, co nią jest? – spytała Nayhija, robiąc krok w jego kierunku.

– Pomyślałem, że moglibyśmy wymienić się numerami. – Rick pozostawał niezrażony, z rozkoszą brnął coraz głębiej. – Chciałbym się jakoś zrehabilitować za ten wygłup, nie myśl sobie, że jestem jakimś zboczeńcem.

– Och, oczywiście, że nie.

– To jak? Dasz mi swój numer?

Nayhija wolno pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się, przystojniaku.

Rick spochmurniał. Popatrzył na Nayhiję jak na główną wygraną, która przeszła mu koło nosa, po czym ruszył po swój kask. Zdjął go z gałęzi, obrzucił krytycznym spojrzeniem i założył na głowę.

– Przepraszam, naprawdę nie chciałem cię urazić – rzekł. – Źle to wszystko wyszło.

Nayhija nie odpowiedziała. Ruszyła w swoją stronę, nie oglądając się. Czuła na sobie spojrzenie Ricka, niemal słyszała jego myśli. Grzeszne. Lepkie. Niespokojne.

Wsiadł na rower i przez chwilę jechał za nią. Właśnie wtedy był o krok od zrobienia czegoś potwornego, jednak nie zdecydował się na to. Ostatkiem sił zdołał okiełznać szalejącą w nim bestię. Wyminął Nayhiję tuż przed tym, nim ścieżka zmieniła się w szerszą drogę, przyspieszył i zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, jakieś dwadzieścia metrów dalej. Poczekał na zmianę koloru świateł i już miał odjechać, gdy…

– Hej, przystojniaku – szepnęła Nayhija, a on odwrócił się, zupełnie jakby ten szept rozbrzmiał w epicentrum jego mózgu.

Wpatrzony w Nayhiję mężczyzna nie zauważył ani tego, że jego rower wytacza się wprost na ulicę, ani tego, że zielone światło dla przejścia, przez które przejeżdżał, zmieniło się, a z naprzeciwka pędzi ogniście czerwone maserati.

– Uważaj – dodała wciąż tym samym pieszczotliwym szeptem Nayhija.

Wszystko trwało ułamki sekund, choć dla niej wyglądało niczym poklatkowy film. Katastrofa nastąpiła kadr po kadrze, niespiesznie, majestatycznie. Nayhija widziała, jak

samochód uderza w Ricka z impetem tak wielkim, że rower zgiął się niczym harmonijka i zniknął pod kołami, a mężczyzna wyleciał w powietrze, by zaraz spaść na asfalt dobrych siedem metrów dalej. Ktoś krzyknął: „O Jezu!”, ktoś inny zahamował z piskiem opon.

Nayhija zrobiła krok w tył, kryjąc się w cieniu drzew. Patrzyła na rozlewającą się kałużę krwi z krzywym uśmieszkiem. Rick leżał na jezdni nieruchomo, z szeroko otwartymi oczyma i wykrzywioną przerażeniem twarzą. Jego nienaturalnie wykręcone ręce i nogi wyglądały jakoś tak groteskowo. Głowę miał wygiętą pod upiornym kątem w taki sposób, że brodą dotykał pleców. Tym razem nie spadł mu kask, ale nie miało to większego znaczenia. Nic nie mogło ochronić Ricka przed zderzeniem z niemal dwoma tonami stali. Udał się do parku sztywnych, zanim zdążył się w czymkolwiek połapać.

Nayhija odbiła w bok, przemknęła między krzakami dzikiej róży i wyszła na skraj lasu. Zapatrzyła się na oddalony o parę kilometrów budynek szpitala i przyległą do niego przychodnię. Normalnie z tej odległości niewiele można było zobaczyć, jednakże ona dostrzegała każdy najdrobniejszy szczegół. Na przykład blondynkę wybiegającą na tylny parking, wskakującą do chevroleta i odjeżdżającą z piskiem opon.

– Zawsze, kiedy mnie potrzebujecie – mruknęła Nayhija. Na jej twarz ponownie wypłynął krzywy uśmieszek.

1 Wymowa dla imienia Nayhija: Najhija.

3.

Linda omal nie zderzyła się czołowo ze srebrnym kombi, gnając swoim chevroletem praktycznie na oślep. Przez łzy cisnące się do oczu obraz najpierw się jej dwoił, następnie troił. Nie powstrzymało jej to jednak od dociskania pedału gazu, aż odnajdywała nim wyłożoną wykładziną podłogę; przelatywała przez kolejne skrzyżowania bez zawracania sobie głowy takimi drobiazgami jak kolor świateł.

I tak była już martwa, więc jaką to, kurwa, robiło różnicę, czy zginie w wypadku, czy wyrzygując własne wnętrzności, wijąc się z bólu, nawet mimo przyjęcia obscenicznie wielkich dawek morfiny. Fakt, że powodując wypadek, zabiłaby nie tylko siebie, ale i niewinne osoby, gówno ją obchodził. Jak dla niej mogli zginąć wszyscy, cały świat. Cały ten cholerny, parszywy świat razem ze swoim Bogiem, który zsyła na ludzi raka.

– Bóg jest sadystycznym świrem – poinformowała deskę rozdzielczą. – O ile w ogóle istnieje.

Była wściekła, rozżalona, przerażona i zdruzgotana jednocześnie. Policzki jej płonęły i pulsowały do rytmu dudniącej w skroniach krwi, a zaciśnięte na kierownicy ręce miała trupio zimne. Jeżeli etap zaprzeczenia zaczął się u niej w gabinecie doktora Powella, to wyglądało na to, że właśnie się zakończył. Linda miotała się między gniewem, negocjacją a depresją, tworząc z nich osobliwą mieszankę, a tym samym udowadniając Elisabeth Kübler-Ross2, że można przeżywać je wszystkie naraz, zapętlając przy tym jak ulubioną piosenkę w odtwarzaczu.

Wtem gniew wysforował się naprzód i na Lindę opadła czerwona kurtyna. Dlaczego ona?! Jezu Chryste, dlaczego właśnie ona?! Co takiego zrobiła, komu się naraziła, że postanowiono ją tak dotkliwie ukarać? To było niesprawiedliwe, potwornie niesprawiedliwe! Była jeszcze młoda, za młoda! Dwa miesiące temu świętowała trzydzieste urodziny, mąż zabrał ją wtedy na kolację, po której…

To musiała być jakaś pomyłka! Tak, na pewno. Przecież jej dziadek dociągnął do bajecznego wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat, kopcąc jak komin. A ona co? Nigdy nie wypaliła nawet jednego papierosa i nagle zostaje znokautowana rakiem płuc. To absurd. Czysty absurd. Takie rzeczy się nie dzieją, nie mają prawa się dziać. W normalnym świecie to palacze odwalają kitę, a nie ktoś taki jak ona. Nie mogła mieć raka, po prostu nie mogła, nie ona! To koszmar, nic więcej. Koszmarny sen, z którego nie dała rady się obudzić.

Ale to nie był sen.

To była jej nowa rzeczywistość.

– Kurwa mać! – wrzasnęła, niedbale ocierając mokre od łez policzki.

Co powinna teraz zrobić, jak się zachować? Nie wiedziała. W głowie miała nagłą pustkę, cała była, jak to mawiają jej uczniowie, rozmontowana. Dobry Boże, jak w takim stanie miałaby prowadzić letnie kursy? Zrezygnuje z nich! Pewnie że tak. Świat się nie zawali, jeżeli w te wakacje kto inny poprowadzi zajęcia z literatury i podstaw gramatyki. Litości, dzieciaki i tak chodziły tam jak za karę. Jeżeli to rzeczywiście miało być jej ostatnie lato, wolała je spędzić inaczej. Kto przy zdrowych zmysłach miałby ochotę użerać się z licealistami, jeżeli właśnie oznajmiono mu, że wykorkuje na długo przed sylwestrem?

Praca, praca, praca. A Adam?

Linda skwaśniała na myśl o mężu. Zdecydowała, że nic mu nie powie. W każdym razie dopóki nie usłyszy, co na temat jej domniemanego raka ma do powiedzenia inny lekarz. Albo dwóch. Ewentualnie piętnastu. Oczywiście, ta racjonalnie rozumująca część jej *Ja* zdawała sobie

sprawę, że Brandon Powell się nie pomylił, że jego diagnoza była boleśnie trafna, nieodwołalna, ostateczna. Jednak Linda z chwalebną zawziętością tłumiła ten nikły głos rozsądku i dzielnie odpychała od siebie prawdę.

– Nie mam raka, skurwiel się pomylił – rzekła z mocą, biorąc ostry zakręt. Leżącą na fotelu pasażera torebką rzuciło o drzwi, następnie spadła na podłogę. Coś w środku cicho zagrzechotało, kojarząc się z rytmem wygrywanym kośćmi.

Schwyciła się kurczowo myśli o błędnej diagnozie i to przyniosło jej chwilową ulgę. To była ostatnia belka, która chroniła strop przed zawaleniem, nie pozwalając runąć Lindzie na głowę. Gdyby nie to, chybaby zjechała na przeciwległy pas lub może uderzyła z pełną prędkością w jeden z filarów mijanego właśnie mostu. Ot tak, po prostu. Obyłoby się bez rzygania, bólu, agonii.

Zrobiła tylko jeden przystanek, przed sklepem spożywczym położonym dwie przecznice od domu. Potrzebowała czegoś na uspokojenie, czegoś, co stłumi jej nerwy, pozwoli zapanować nad emocjami i wejść w rolę Lindy, Która Nie Ma Raka.

2 Amerykańska lekarka szwajcarskiego pochodzenia, autorka książki „Rozmowy o śmierci i umieraniu”. Według jej teorii pacjent na wieść o nieuleczalnej chorobie i bliskiej perspektywie śmierci przechodzi pięć etapów psychologicznych. Są to: zaprzeczenie, gniew, negocjacja (targowanie się), depresja, akceptacja.

4.

Przez spóźnienie pacjenta z osiemnastej trzydzieści resztę grafiku szlag trafił, w konsekwencji czego Adam Hill wracał do domu o wiele później niż zazwyczaj. Mimo tego nie był zły, może tylko trochę znużony. Nie sposób było się złościć o to, że raz na jakiś czas któryś pacjent się spóźni – choć ten akurat robił to dość często. Poza tym Collins zadzwonił i uprzedził, jak zawsze. Więc w porządku, nic się nie stało.

Niestety, nie można było powiedzieć tego samego o Collinsie. Przychodził do Adama już od ponad roku i nie wyglądało na to, by jego terapia mogła się zakończyć w najbliższej przyszłości. Właściwie to nie byli nawet na półmetku. Ernest Collins z regularnością metronomu odkrywał przed Adamem coraz to nowsze traumy, z których – niewiarygodne – zdawał się być zbudowany. Porastały go, tak jak pleśń porasta trupa – po usunięciu jednej warstwy, ukazywała się następna, jeszcze paskudniejsza.

Adam doszedł do przekonania, że prędzej kupi sobie jacht i odrzutowiec za pieniądze z tej długoterminowej terapii, niż zdoła wyprostować Collinsa. A mimo to się nie poddawał. Nie chodziło o względy finansowe, w każdym razie nie tylko. Hill naprawdę chciał pomóc. Uważał się za dobrego terapeutę, takiego z prawdziwego zdarzenia – był dyplomowanym psychologiem i psychoterapeutą, jak rany, a nie byle baranem, który zdobył papier w jakiejś szemranej szkółce. Czuł do tej pracy autentyczne powołanie, a nie tylko nęcący zapach dolarów. Nie chciał pewnego dnia przeczytać w gazecie, że Collins powiesił się na prześcieradle bądź podciął sobie żyły, biorąc wieczorną kąpiel. Boże, nie. Facet miał ledwie czterdzieści jeden lat i kawał życia przed sobą. A z pomocą Adama to życie mogło się okazać naprawdę klawe. Oby Collins pojął to w odpowiednim momencie.

Adam zostawił auto na podjeździe i wszedł przez drzwi garażowe. W kuchni panował lekki bałagan, co było do Lindy raczej niepodobne. Obrzucił przelotnym spojrzeniem piętrzące się w zlewie kubki, przeciął hol i wszedł do salonu, w którym znalazł żonę. Siedziała w swoim ulubionym fotelu z podkurczonymi nogami, muzyka huczała z głośników, a ona popijała czerwone wino. Którąś z kolei lampkę, sądząc po tym, jak błyszczały jej oczy. Adam opuścił wzrok i zerknął na stojącą na ziemi butelkę. Aha, wytrąbiła już trzy czwarte zawartości.

– Cześć, kochanie – powiedziała jego żona, uśmiechając się figlarnie. Znał ten uśmiech bardzo dobrze, kochał go.

– Coś świętujemy? – Wskazał brodą butelkę.

Linda odstawiła wino na szafkę i podeszła do Adama zmysłowym, kocim krokiem. Usta miała lekko rozchylone, oczy skrzące. Rozczochrane jasne włosy okalały jej głowę niczym aureola, delikatnymi falami spływając za obojczyki. Za duży sweter kusząco zsunął się z ramienia. Poza nim nie miała na sobie niczego. Mężczyzna poczuł przyjemne łaskotanie w podbrzuszu i fale ciepła poniżej. Od ich ślubu minęły już ponad cztery lata, spotykali się od ośmiu, a Linda nadal kręciła go tak, jakby dopiero byli w fazie randkowania. Boże, ależ go kręciła!

– Naszą miłość – powiedziała, zarzucając ręce na szyję Adama. Następnie zamknęła mu usta pocałunkiem.

Mężczyzna oddał go z ochotą i lekkim zaskoczeniem. Pocałunek był mocny, obłędny, taki jaki składamy na wargach ukochanej osoby na moment przed końcem świata. Linda smakowała winem i pachniała brzoskwiniami, była jego niekończącym się latem, jego upojeniem. Adam poczuł, jak jej biodra wysuwają się naprzód, dotykając jego bioder – jak ocierają się o nie,

sygnalizując, na co ich właścicielka ma ochotę.

Adam również ją miał. Ogromną.

Nawet jeśli jakaś mała cząstka jego *Ja* alarmowała, że coś jest nie tak, że jego żona nie zwykła kupować butelki wina bez wyraźnego powodu, że normalnie nie siadywała w salonie z ryczącą na cały regulator muzyką, Adam postanowił jej nie słuchać. Był zbyt podniecony, zbyt głodny rozpalonego ciała Lindy.

Głośna piosenka dobiegła końca i zaczęła się następna. Dało się słyszeć charakterystyczny bit i niedługo potem Trent Reznor oznajmił: *Chcę cię pieprzyć jak zwierzę, chcę poczuć cię od środka. Przybliżasz mnie do Boga3*.

Adam mocniej pociągnął Lindę za sweter, zdzierając go z niej, po czym ujął jej nagie piersi w dłonie. Zaczął je pieścić, na przemian liżąc, gryząc i skubiąc palcami. Wsłuchiwał się w jęki żony, wdychał jej woń. Przesuwał dłońmi po gładkim ciele, w górę i w dół, w dół i w górę, chłonąc gładkość ciepłej skóry, chłonąc jej bliskość.

Linda wydała z siebie przeciągły pomruk. Przejechała językiem po górnej wardze i spojrzała na męża porozumiewawczo. Jej biodra otarły się o jego nabrzmiałą męskość i zaraz poczuł na niej dłoń żony. Podrażniła go chwilę, następnie schwyciła Adama za nadgarstek i pociągnęła w stronę kanapy. Po drodze zaczęła rozpinać mu koszulę, drugą ręką manipulując przy sprzączce paska.

Adam pozwolił się rozebrać, czując muśnięcia jej miękkich ust. Kiedy został w samych bokserkach, Linda opadła na kanapę. Przejechała stopą po jego nagim torsie i zjechała niżej, zatrzymując się na kroczu. Przez chwilę masowała je okrężnymi ruchami, wprawiając męża w coraz większe podniecenie. Gdy ujął jej nogę, chcąc odsunąć ją na bok, zatrzymała go stanowczym ruchem.

– Najpierw językiem – mruknęła.

Adam gorliwie spełnił jej prośbę.

Piję miód wewnątrz twojego ula,

Jesteś powodem, dla którego wciąż żyję.

Uklęknął, delikatnie rozchylił jej uda i wsunął między nie twarz. Dmuchnął i przejechał językiem po najwrażliwszym miejscu. Znał ciało Lindy, wiedział, na jakich punktach powinien się skupić, by dać żonie jak największą przyjemność. Kiedy drgnęła w spazmie spełnienia, uniósł głowę. Odnalazł wzrokiem jej oczy, uśmiechnął się i wpełzł na nią, a następnie znalazł się w niej.

Kochali się dziko, namiętnie, niecierpliwie. Chłonął ją całą, sycił się nią, jego podniecenie rosło w miarę jak widział rozkosz wykrzywiającą twarz żony. Linda jęczała coraz głośniej, rytmicznie rzucając biodrami. Z każdą chwilą Adam zatracał się bardziej i bardziej, jego ruchy stawały się szybsze, głębsze, a jęki Lindy poczęły przechodzić w krzyk uniesienia.

Krzyczał razem z nią, gdy dochodził. Pociągnął ją za włosy, odchylając głowę do tyłu. Oddech Lindy stał się płytki, przyspieszył, jej palce błądziły po karku męża, który leżał na niej dłuższą chwilę, nie wychodząc, a tylko wpatrując się w jej roziskrzone niebieskie oczy.

– Kocham cię – powiedziała.

Adam pocałował ją w czoło.

– Wiem, skarbie, ja ciebie też.

Może faktycznie nie było żadnego niepokojącego powodu tej nagłej namiętności, tego picia, może starał się doszukiwać problemów na siłę? Właściwie mogło tak być. Praca w końcu zaczęła rzucać mu się na mózg i ani się obejrzy, a zacznie diagnozować własną żonę, jakby była drugim Collinsem.

Później, gdy leżeli już w łóżku, Linda zaniosła się paskudnym kaszlem. Brzmiało to tak, jakby lada chwila miała wypluć na pościel własne płuca.

– Byłaś u lekarza? – zainteresował się Adam.

Odwróciła głowę w jego stronę, szybko jak mały drapieżnik. Jej oczy zalśniły w półmroku.

– Tak, dziś po południu. – Kaszlnięcie, tym razem łagodniejsze. – Już wszystko w porządku. Lekarz powiedział, że kaszel niedługo minie.

Mimo tego zapewnienia z czoła Adama nie znikała pionowa zmarszczka.

– Na pewno? Wiesz, z grypą nie ma żartów, a ty miałaś dość paskudną. – Na samo wspomnienie wyglądającej jak rozpalone polano żony coś w nim ścisnęło się dotkliwie. Opiekował się nią wtedy, niemal odchodził od zmysłów, widząc, jak majaczy w gorączce, która uparcie nie mijała. Jakimś skrawkiem siebie bał się, że nie minie już nigdy, że Linda nie wyzdrowieje.

Dwa lata wcześniej jego żona musiała się czuć bardzo podobnie, żywić te same obawy, ponieważ Adam postanowił zatruć się krewetkami i zamiast na imprezie sylwestrowej wylądowali na ostrym dyżurze. Wyglądało to strasznie, a przy tym nierozgarnięty stażysta nagadał wtedy Lindzie jakichś bredni, czym dodatkowo ją wystraszył. Ale ona nie dała po sobie nic poznać, nie wtedy. Była troskliwa i jednocześnie nieugięta, gotowa wyciągnąć go z uścisku samego diabła.

W zdrowiu i w chorobie – to właśnie sobie przysięgali. Dobrze, że tego zdrowia mieli jednak więcej.

– Miałam. Czas przeszły, drogi Watsonie. – Linda błysnęła uśmiechem. – Może zamiast gadać o nieistniejącej grypie, porozmawiamy językiem Freuda. – Jej dłoń wsunęła się pod kołdrę i ujęła jego penisa. – Co ty na to?

Adam był jak najbardziej na tak.

Tej nocy zasypiał u jej boku z myślą, że wszystko jest w porządku, a on ma wielkie szczęście.

Jednak gdy te incydenty z winem przestały być wyłącznie incydentami, zaczął wyzbywać się takiego myślenia.

3 Wszystkie cytaty zostały przełożone na język polski przez autorkę. Lista utworów użytych w tekście znajduje się na końcu książki.

5.

Linda zbudziła się mniej więcej kwadrans po siódmej. Nim otworzyła oczy, przejechała dłonią po drugiej połowie łóżka, przekonując się, że jest pusta, lecz wciąż ciepła – Adam wstał zaledwie przed chwilą.

Przekręciła się na plecy i wyjrzała przez okno. Słońce złociło korony drzew, po lazurowym niebie z rzadka przepływał pierzasty obłok. Miałam okropny sen, pomyślała. I zaraz uświadomiła sobie, że to wcale nie był sen.

Naprawdę była chora. Naprawdę miała raka.

Do jej nosa dotarł delikatny aromat kawy, z dołu dało się słyszeć krzątaninę. To wszystko było jednak dziwnie odległe, pochodziło ze świata ludzi bez nowotworów, świata, z którego została wykluczona.

Och, pieprzenie!

Nie powinna tak myśleć, donikąd jej to nie zaprowadzi. Musi wziąć się w garść, musi być silna. Nie wolno jej tak po prostu się poddać, przecież miała po co i dla kogo żyć. Na pewno istnieje jakiś sposób, żeby ją wyleczyć – zakładając, że Powell w ogóle postawił dobrą diagnozę. Linda zastanowi się nad domniemanym rakiem, kiedy usłyszy, co na temat jej stanu zdrowia mają do powiedzenia inni specjaliści.

Na razie powinna

(czerpać garściami z ostatnich chwil z mężem)

zachowywać się normalnie.

Zsunęła nogi z łóżka i dotknęła stopami podłogi. Posiedziała tak chwilę, z rękoma zwieszonymi między kolanami, po czym wstała i poszła do znajdującej się przy sypialni łazienki. Przepłucze buzię, rozbudzi się do końca i zejdzie do Adama. Z tą myślą chwyciła kurek od kranu, ale ten ani drgnął. Linda zmarszczyła brwi, przekonana, iż jej mąż jak zwykle się zapomniał i zbyt mocno go dokręcił. Czasem mu się to zdarzało, mimo że nieraz go upominała.

Linda mocniej zacisnęła palce. Przez chwilę nic się nie działo, jednak zaraz blokada puściła. Woda wytrysnęła mocnym strumieniem… A ona została z pokrętłem dłoni.

– Ojapierdolę – powiedziała dokładnie tak, jak gdyby to było jedno słowo.

Z popłochem patrzyła to na lejącą się wodę, to na amputowany kurek. Spróbowała włożyć go z powrotem na miejsce, ale ten zmyślny plan nie wypalił. Winą za to Linda obdarzyła tajemniczą srebrną śrubkę toczącą się po krawędzi zlewu. Ta przeturlała się jeszcze kawałek, po czym spadła. Linda wymamrotała kolejne przekleństwo, podeszła do drzwi i zawołała:

– Adam! Możesz tu przyjść?!

– Chwileczkę, skarbie! – Usłyszała w odpowiedzi.

Zerknęła przez ramię. Woda grzmiała jak wodospad, chlapiąc wszędzie dookoła. Nie wyglądało to dobrze.

– Teraz! – odkrzyknęła.

Usłyszała tupot stóp i zaraz w progu pojawił się mąż. Miał na sobie jedynie krótkie spodenki, a ciemne włosy pozostawały w nieładzie, zsuwając się na czoło potarganą grzywą.

– Co tu się…? – zaczął.

Linda wyciągnęła przed siebie dłoń, na której spoczywał kurek.

– Oderwał się – obwieściła.

Kąciki ust Adama drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu.

– Sam się oderwał?

– Bo go tak dokręciłeś! – fuknęła, ciskając nim obok nóg męża. – Cholera, Adam, mówiłam ci, żebyś tak nie robił! Szarpnęłam go, żeby w ogóle drgnął, no i… pękł.

Adam schylił się, podniósł kurek i przyjrzał mu się badawczo. Następnie podszedł do żony i cmoknął ją w policzek.

– Spokojnie, zaraz się tym zajmę – zapewnił.

Linda patrzyła, jak próbuje wetknąć pokrętło na miejsce, tak jak przed chwilą ona sama. Czy jemu się faktycznie wydawało, że nie wpadła na taką oczywistość? Och, proszę.

Gdy Adam spróbował ponownie z tym samym rezultatem, na jej wargi wypłynął złośliwy uśmieszek. Mruknął coś, co zabrzmiało jak „złom" czy może „chrom", po czym bezradnie pokręcił głową. Podniósł kurek do twarzy, zlustrował go z każdej strony, tak samo postąpił z kikutem po nim, i kolejny raz postarał się go umocować. Nie wskórał tym wiele, jedynie strumień wody zmienił się z potężnego w umiarkowany.

– Tam coś spadło. – Linda wskazała palcem przestrzeń między umywalką a wanną. – Jakaś śrubka.

Adam kucnął i przejechał w tamtym miejscu dłonią, niczego nie znajdując, więc śrubka musiała wlecieć w jakąś szczelinę. Podniósł się, spoglądając na wyrosłą za nim Lindę z uwagą. Jego czoło przecięły dwie pionowe zmarszczki.

– Wyglądasz na zdenerwowaną – stwierdził. Zastanowił się chwilę i dodał: – Ale nie sądzę, że to przez kran.

Linda poczuła nagłe uderzenie gorąca. Domyślił się wszystkiego? Tak szybko? A może dzwonił do Powella? Nie, nie i jeszcze raz nie. Po pierwsze, nawet nie wiedział, że u niego była. Po drugie, wetknęła epikryzę do komody, do której jej mąż nigdy nie zagląda, i przysypała stertą papierów. Po trzecie, nie ma szans, żadnych domysłów, sama dopiero oswajała się z tą potworną

(prawdą)

hipotezą, a Adam nie był wróżbitą ani jasnowidzem.

– Wydaje ci się – odparła niedbale.

Pokręcił głową.

– Nie. Czuję, że coś…

Linda odwróciła się, nabrała wody w dłonie i chlusnęła nią w Adama, celując mniej więcej w głowę.

– Co ty robisz? – spytał, przecierając twarz ręką. W jego głosie pobrzmiewało zaskoczenie oraz rodzący się śmiech.

Kobieta nabrała kolejną garść wody z nieprzerwanego strumienia i ponownie chlusnęła w męża. Tym razem się uchylił, ale nadal niewystarczająco szybko.

– Myślisz, że to takie zabawne? – Doskoczył do niej, zanurzył dłonie w strumieniu i zaczął opryskiwać Lindę. – No to masz!

Zachichotała. Chciała się odsunąć, ale wtedy złapał ją w pasie i przyciągnął ku sobie. Linda uniosła wzrok, ich twarze znajdowały się tak blisko, że widziała każdą najdrobniejszą plamkę w jego błękitnych tęczówkach.

– Chcesz się jeszcze pobawić? – Adam popatrzył na nią w ten szczególny sposób, przez który poczuła przyjemne mrowienie w okolicach podbrzusza.

Zamiast cokolwiek mówić, przywarła wargami do jego ust. To był długi i namiętny pocałunek, któremu akompaniował szum wody. Miłość zawiera się w jego spojrzeniu, a szczęście to smak jego ust, pomyślała. Pytanie tylko, ile jeszcze tego szczęścia jej zostało?

– Mówiłam ci już, że dobrze całujesz? – mruknęła Linda, wplatając Adamowi palce we włosy.

Udał zastanowienie.

– No nie wiem. Chyba nie.

Wsunęła dłoń pod kran i chlusnęła mu wodą na brzuch.

– Dzięki, teraz już cały jestem mokry.

Linda poruszyła brwiami w górę i w dół, wprawnie parodiując gest jednej z kreskówkowych postaci.

– Ja też – odparła.

Adam pojął bez trudu. Podniósł zaskoczoną żonę, wziął ją na ręce i wstawił do wanny. Następnie również do niej wszedł. Linda, patrząc, jak uruchamia zamontowany na ścianie prysznic, spytała:

– Mało ci wody?

Wyszczerzył się jak małolat.

– Mało mi ciebie – odparł i skierował na nią strumień.

Zmoczona koszulka Lindy w jednej chwili stała się przezroczysta, ukazując sterczące sutki. Adam uśmiechnął się na ten widok. Wystawił dłoń, a kiedy Linda ją ujęła, wciągnął ją pod lejącą się z góry wodę. Całował jej twarz i szyję, zjeżdżając niżej, podczas gdy ona wsunęła mu rękę w spodenki, odnajdując nabrzmiałą męskość.

Kiedy zaczął ssać jej prawą pierś przez cienki materiał koszulki, Linda mruknęła. Doznanie było intensywniejsze, niż mogła przypuszczać. Przymykając powieki, oparła się o ścianę, nie przestając pieścić penisa Adama. Poczuła, jak dłoń męża odchyla jej majtki, jak jego palce się w nią wsuwają. Woda spadała na nich oboje, szumiała też w kranie nad umywalką. Wraz z nią spływały troski, pozostawiając czyste, pierwotne instynkty. Linda wypychała i cofała biodra, zalewana coraz większą rozkoszą.

Jęknęła, kiedy dotknął ją tam, gdzie pragnęła najbardziej. I gdy już myślała, że Adam zaraz w nią wejdzie, on zrobił coś innego. Pociągnął ją za włosy, zmuszając, by uklękła.

Teraz to ona pojęła bez trudu.

Zacisnęła dłoń na penisie i wzięła go głęboko w usta, zapewne zaskakując tym męża. Spomiędzy jego zębów dobył się przeciągły syk – oznaka aprobaty i podniecenia. Linda ssała go rytmicznie, pomagając sobie dłonią i stopniowo zwiększając tempo. Adam gładził jej włosy, spoglądając na nią spod półprzymkniętych powiek. W łazience zrobiło się wilgotno, w powietrzu unosił się subtelny aromat olejków do kąpieli, co kreowało iluzję, że są w jakimś egzotycznym miejscu – tylko ona i on, jedyni ludzie na Ziemi.

Linda wyczuła, że Adam zaraz dojdzie, a on niemal równocześnie delikatnie odciągnął jej głowę w tył.

– Chodź tu do mnie – powiedział.

Oczy mu błyszczały, mokre włosy oblepiały czoło i policzki.

Linda podniosła się z klęczek. Prześlizgnęła po Adamie głodnym spojrzeniem i oparła o ścianę, wypinając ku niemu pupę. Wtedy rozsunął jej nogi, po czym na nią opadł. Następnie poczuła go w sobie. Poruszał się szybko, zdecydowanie, jego usta błądziły po jej karku. Znów pojawił się ten pęd ku spełnieniu, przesłaniający wszystko inne. Było dobrze, było tak dobrze.

Odchyliła głowę, dając się ponieść przyjemności. Adam dyszał jej w ucho, pytał, czy tak jej się podoba, na co odpowiadała pomrukami. A potem zalała ją fala rozkoszy, białe światło zacierające kontury świata.

Kiedy wyszli z łazienki, Linda spojrzała na zegarek i ze zdumieniem odkryła, że jest później, niż przypuszczała.

– Nie idziesz dziś do pracy? – zagadnęła męża.

Ten posłał jej przelotny uśmiech.

– Idę. – Rzut oka na zegarek. – Powinienem wychodzić za jakieś dwadzieścia minut.

– Zdążysz?

– Tak. Muszę tylko się ubrać i zakręcić ten cholerny zawór.

– Dobrze. To ja potem zadzwonię do hydra… – Lindą wstrząsnął atak kaszlu. Przesłoniła usta ręką, następnie postukała się w klatkę piersiową, jak gdyby to faktycznie mogło jej pomóc. – Do hydraulika – zakończyła, jakby w jej wypowiedzi nie zaszła żadna przerwa. Oczy miała załzawione, w środku coś się jej rwało. W każdym razie takie to było uczucie.

– Nie podoba mi się ten kaszel – stwierdził Adam. – Jeżeli nie minie w ciągu tygodnia, powinnaś znów wybrać się do lekarza.

– Minie. – Głos Lindy był cichy, zamyślony. – Na pewno minie.

Adam jeszcze chwilę mierzył ją spojrzeniem, jednak ta nowatorska metoda diagnostyczna niewiele przyniosła. Naciągnął spodnie, zbiegł do piwnicy i zakręcił zawór. Monotonny szum wody ucichł w jednej chwili. Niedługo później Adam ponownie znalazł się w sypialni.

Linda podciągnęła ręcznik, którym była owinięta, i obserwowała, jak mąż kończy się ubierać. Uderzyła ją jego niewymuszona elegancja. Zabawne, który to już raz? Przyglądanie się, jak Adam wykonuje nawet tak prozaiczne czynności, sprawiało jej ogromną przyjemność. Czy inni ludzie również to dostrzegali? A może trzeba było mieć na nosie takie specjalne okulary?

Adam przeczesał włosy palcami i obrócił głowę, posyłając łazience krytyczne spojrzenie. Wyglądała jak miejsce, w którym zaczął się potop. Na podłodze, w jednej z kałuż, leżała przemoczona koszulka Lindy, przez krawędź wanny przewieszone były jej majtki.

– I kto to teraz posprząta?

– Ja – westchnęła Linda. – Przecież i tak mam wolne.

– A właśnie. – Adam zmrużył oczy, przerywając zapinanie koszuli. – Dlaczego nie wzięłaś letnich kursów? Problemy w pracy? Z uczniami?

Linda nie odpowiedziała od razu. Od tego chyba zaczyna się katastrofa między dwojgiem ludzi, pomyślała. Od tego, że jedno zaczyna uważać na to, co mówi. Swoboda ustępuje miejsca ostrożności. Ostrożność przeradza się w nieufność. Nieufność zaś finalnie zmienia się w obcość.

– Nie, nic z tych rzeczy. Chcę po prostu

(się pożegnać)

odpocząć.

Adam przetrawił jej słowa, po czym pokiwał głową ze zrozumieniem.

– W takim razie odpoczywaj. – Schylił się i pocałował ją w czoło. – Będę dziś trochę później. W porządku?

– W porządku – przytaknęła.

Jednak nic nie było w porządku.

6.

Kilka kolejnych dni Linda spędziła w swoistym otępieniu kontrapunktowanym wybuchami dzikiej namiętności. Jednak to cholerne otępienie dominowało. Szczęśliwie dla niej, Adamowi wpadło kilku nadprogramowych pacjentów, wskutek czego późno wracał do domu. Inaczej zapewne by coś zauważył.

Na przykład to, że lubiła się uraczyć lampką wina na długo przed lunchem.

Domniemany rak stał się rakiem faktycznym. I bynajmniej nie był zabawny. Mimo to Linda nadal nie powiedziała mężowi, że prawdopodobnie nie dożyje końca lata. Nie mogła się zmusić do tej rozmowy. „Mam raka" – te słowa nie przeszłyby jej przez gardło. Miała wrażenie, iż w chwili, w której wypowie je na głos, staną się ostateczną, nieodwołalną prawdą. Jednak dopóki tego nie zrobiła, dopóty mogła się łudzić. Łudzić tym ostatnim maleńkim okruchem odpychającego logikę i zdrowy rozsądek *Ja*, które wierzyło, że istnieje sposób, że gdzieś tam kryje się lek, jakaś terapia. Wystarczy tylko, że Linda wykaże się odpowiednią determinacją i poszuka dostatecznie daleko.

Mniej więcej z takimi myślami zasiadła przed komputerem, zasypując Google niekończącymi się zapytaniami o alternatywne metody leczenia „nieoperacyjnego raka", „terminalnego stadium raka", „zwykłego raka" oraz „zabawnego raka". Bez względu na wpisywaną frazę, wynik był tylko jeden. Śmierć. To właśnie ją czekało. Internet był co do tego jednomyślny.

I właśnie wtedy natrafiła na intrygujący link.

Google zaznaczył go na fioletowo, tak jak to się dzieje w przypadku witryn wcześniej odwiedzonych, jednak Linda nie przypominała sobie, by kiedykolwiek przedtem była na stronie Fundacji Ostatniej Szansy. Po krótkim wahaniu kliknęła w odnośnik i została przekierowana na portal.

Gdy witryna się załadowała, ekran błysnął czarnym tłem, pośrodku którego obracało się czerwone logo. Chyba trójząb. A może to były widły? Po chwili pojawiło się pytanie:

„POTRZEBUJESZ NASZEJ POMOCY?"

I pod spodem:

„TAK/NIE".

Linda bez namysłu najechała kursorem na „TAK", po czym kliknęła. Ekran ponownie błysnął czernią i zaraz zaczął zapełniać się tekstem. Mrużąc oczy, Linda zaczęła czytać:

Jeżeli tu trafiłeś, to znaczy, że naprawdę potrzebujesz pomocy. I nie może ci jej udzielić nikt oprócz nas. Fundacja Ostatniej Szansy specjalizuje się w różnorakich formach alternatywnych terapii, nie pobiera opłat, zawiera z klientami umowy barterowe i utrzymuje się z datków. Datki, co warto podkreślić, płacą tylko ci klienci, którzy są zadowoleni z rezultatów. Szczególnie dobre wyniki osiągamy w leczeniu nowotworów, osiemdziesiąt siedem procent naszych klientów wraca do zdrowia zaledwie miesiąc po rozpoczęciu terapii. Mamy filie w ponad dwustu pięćdziesięciu miastach w Stanach Zjednoczonych oraz w Europie. Gwarantujemy pełną anonimowość. Wypełnij formularz zgłoszeniowy dostępny na stronie w zakładce „Kontakt" i poczekaj na maila zwrotnego. Obiecujemy, że zajmie nam to tylko kwadrans!

Linda przebiegła wzrokiem cały tekst po raz drugi. Wszystko to wydało się jej jakieś takie… dziwne. Wyleczą ją w miesiąc? I nie chcą za to pieniędzy? To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. A zarazem rozpaliło w jej sercu nadzieję. Czy nie czegoś takiego właśnie szukała? No… może nie do końca, bo Fundacja Ostatniej Szansy jawiła się trochę jak coś z pogranicza

literatury grozy i dziecięcej bajki, ale w gruncie rzeczy chyba jednak tak. To był jej bilet do zdrowia, jej kupon na życie. Nie miała nic więcej.

Tylko dlaczego nigdy wcześniej o nich nie słyszała? Skoro mieli aż tyle filii, powinna była natknąć się gdzieś choćby na jakąś wzmiankę. A może nie? Jezu, przecież jeszcze niedawno była zupełnie zdrowa, nie wertowała internetu w poszukiwaniu cudu.

A teraz tylko on mógł jej pomóc.

Cóż, może to nie żaden cud, nie dosłowny. Może teorie spiskowe wcale nie były teoriami i rzeczywiście istniał lek na raka. W fazie eksperymentalnej, powiedzmy, i jakiś postrzelony miliarder-filantrop stara się za sprawą Fundacji Ostatniej Szansy pomóc ludziom, bo dochrapał się fortuny na sprzedawaniu broni terrorystom i ruszyło go sumienie. Albo – to też możliwe – fundacja to tylko przykrywka jakiejś firmy farmaceutycznej, która testuje nowy lek, a taki kamuflaż pozwoli jej uniknąć skandalu w razie gdyby coś poszło nie tak. A w przypadku tych eksperymentalnych prawie zawsze coś idzie nie tak. Te trzynaście procent niewyleczonych klientów pewnie się przekręciło wskutek cudownej terapii – rach-ciach, sztywne trupy. No, ale jeśli wierzyć ich zapewnieniom, znaczna większość jednak przeżyła.

Jeśli wierzyć komuś, kto ma w logo widły.

– Zawierają z klientami umowy barterowe – mruknęła Linda i zaraz zaniosła się paskudnym kaszlem. Zgięła się wpół, niemal wyrzygując płuca, i z przestrachem spostrzegła krople krwi na podłodze.

Czyli było gorzej, niż jej się wydawało.

Czyli miała mniej czasu, niż jej się wydawało.

Krzywiąc się na ból w klatce piersiowej, wstała, poszła do kuchni po papierowy ręcznik, starła krew z podłogi i zaczęła wypełniać formularz zgłoszeniowy. Po piętnastu minutach – zgodnie z obietnicą – dostała maila zwrotnego. Zawierał tylko adres, nic więcej. Linda zmarszczyła brwi, wpatrując się w niego z nadmierną uwagą, jakby był napisany w jakimś nieznanym języku. Poczuła, że po kręgosłupie przebiegają jej dreszcze.

Harrison Street, wiedziała, gdzie to jest. Zachodni kraniec miasta, tam, gdzie mieściły się głównie fabryki i magazyny. Nie bardzo kojarzyła, czy znajduje się tam jakaś fundacja. Tyle że, bądźmy szczerzy, Linda nie jeździła na Harrison Street przesadnie często. Właściwie nigdy.

Przewertowała wszystkie zakładki na stronie, nie znajdując innego adresu. Miała tylko ten napisany w mailu. Telefonu też nigdzie nie podano. To już nie było dziwne, a wręcz podejrzane. Chciała machnąć ręką i zapomnieć o całej sprawie… ale dostrzegła maleńką kropelkę krwi, którą przeoczyła przy ścieraniu.

Coś w niej szarpnęło się gwałtownie, przez twarz przebiegł skurcz grozy. Ta kropla krwi przeważyła. Linda musiała tam pojechać. Po prostu musiała. To była jej ostatnia szansa.

7.

Czterdzieści minut później znalazła się pod wskazanym adresem. Z początku myślała, że tylko jej się przywidziało, ale nie. Dom naprawdę tu był. Stał ukryty między dwoma długimi magazynami, opuszczonymi, wnioskując po ich posępnym wyglądzie. Dwupiętrowy, biały, z drewnianymi okiennicami i takimi samymi drzwiami. Zdawał się tak bardzo nie na miejscu, że Linda kompletnie wbrew sobie pomyślała o chacie Baby Jagi. To wrażenie jeszcze się wzmogło, gdy dostrzegła, że ogród – a przynajmniej to, co za niego uchodziło – wychodzi na las po przeciwnej stronie drogi. Czy wcześniej stał tu jakiś budynek? Wydawało jej się, że nie, ale nie miała pewności.

Zaparkowała auto za jednym z magazynów, wysiadła i, czując, że serce ma w gardle, przemknęła przez żwirową alejkę. Stanęła przed ciemnobrązowymi drzwiami, popatrując na nie podejrzliwie, jednak nie było w nich niczego dziwnego – zwykłe drzwi zwykłego domu, którego raczej nie powinno tu być. Czym tu się przejmować?

Wszystkim.

Uniosła drżącą rękę i nacisnęła dzwonek. W następnej chwili usłyszała stłumiony odgłos kroków. Otworzyła jej młoda, bardzo ładna brunetka. Miała wściekle zielone kocie oczy i jasną karnację. Przez szparę w drzwiach Linda nie dostrzegła niczego więcej.

– Zapraszam – powiedziała kobieta, otwierając drzwi na całą szerokość, po czym gestem pokazała, by Linda weszła do środka.

Brunetka miała owalną twarz o regularnych, niemal dostojnych rysach, głos przyjemny, niski, zmysłowy w sposób, jaki zapewne kręcił facetów. Linda z ledwie zauważalnym ociąganiem weszła, wzdrygnęła się lekko na dźwięk zamykanych drzwi, i podążyła za nią przez długi hol. Kobieta szła boso, nosiła tylko przykrótkie, sprane dżinsy, które podkreślały długie nogi, oraz szarą koszulkę z wytartym logo fundacji. Nawet w tak niedbałym stroju robiła wrażenie. Piorunujące. Była bardzo zgrabna, Linda odnotowała to z mieszaniną zazdrości i podziwu, mimo że jej figurze w zasadzie niczego nie brakowało. Chyba odezwała się kobieca zazdrość.

Brunetka zaprowadziła Lindę do salonu i wskazała krzesło. Okrążyła biurko, po czym usiadła w wyglądającym na antyk fotelu o skórzanym obiciu i drewnianej ramie. Jeśli nie był podróbką, musiał cholernie dużo kosztować. Kobieta popatrywała na Lindę z przyjaznym zaciekawieniem, splatając dłonie na mahoniowym blacie. Miała długie, smukłe palce. Palce pianistki, jak zwykła mówić matka Lindy.

– Nazywam się… – zaczęła Linda, ale brunetka przerwała jej niecierpliwym gestem.

– Linda Hill – dokończyła za nią. – Wiem, wszystko było w formularzu zgłoszeniowym.

– No tak. Racja.

– Denerwujesz się. – To nie było pytanie, kobieta stwierdzała fakt, zmrużonymi oczami przyglądając się Lindzie. – Niepotrzebnie, nie ma się czego bać.

Czy naprawdę?

– Nazywam się Nayhija. – Brunetka wyciągnęła dłoń nad biurkiem. – Nayhija Mara. To ja będę zajmować się twoim przypadkiem.

– Bardzo ładne imię. Oryginalne. – Linda wychyliła się, uścisnęła jej rękę i ostatkiem sił powstrzymała się przed krzykiem. Dłoń tamtej była bardzo zimna, a zarazem… Linda odniosła wrażenie, jakby ją parzyła.

– Zimne ręce, co? – Nayhija uśmiechnęła się, jakby doskonale wiedziała, co właśnie

przebiegło jej przez głowę. Na pewno to tylko zbieg okoliczności, paranoidalne wrażenie podenerwowanej osoby, ale i tak było upiorne.

Linda poczuła pełzające po kręgosłupie ciarki.

– Mieszka tu pa… mieszkasz tu? – zapytała, rozglądając się po salonie.

Na ścianach wisiały obrazy Füssliego, parę grafik, ale żadnych zdjęć. Meble były ciężkie, masywne, podobnie jak fotel wyglądały na antyki bądź na niezwykle udane podróbki, natomiast podłogę pokrywał puszysty kremowy dywan.

Nayhija uśmiechnęła się lekko.

– Teraz tak.

– Trochę dziwne miejsce na dom – zauważyła Linda.

– Tanie działki. – Machnęła ręką.

– Nie wiedziałam, że w takim miejscu w ogóle można…

– My wszystko możemy. – Wargi Nayhiji rozchyliły się w uśmiechu, który ukazał zbyt wiele zębów.

– Wasza fundacja… – Linda z trudem przełknęła ślinę. A raczej próbowała przełknąć. Z nerwów gardło wyschło jej na wiór. – Czy naprawdę… czy wy…?

– Czy pomagamy ludziom? – dokończyła Nayhija i zaniosła się śmiechem. – Ależ tak. A teraz pomożemy tobie.

Zabrzmiało to trochę złowróżbnie, prawie jak groźba.

– Wyleczycie mnie? – Głos Lindy ociekał nadzieją, jak pączek lukrem. – Wyleczycie mnie z raka?

– Tak. – Nayhija spojrzała na nią przeciągle. – O ile dopełnione zostaną warunki kontraktu.

– Ach, tak. – Jej entuzjazm przygasł. Zaraz pewnie okaże się, że chcą, by przepisała na nich nieruchomości, akcje albo od razu cały majątek, wliczając w to męża. To było nierealne, od początku śmierdziało podpuchą. Że też naprawdę uwierzyła w te pierdoły, które przeczytała na ich stronie. Pożałowania godna naiwność umierającej osoby.

Nayhija zdmuchnęła spadające jej na prawe oko pasmo włosów i obdarzyła Lindę uśmiechem.

– Widzę, że jesteś bardzo sceptyczna. To zupełnie zrozumiałe. Jest wielu oszustów, którzy żerują na ludzkim nieszczęściu. My tacy nie jesteśmy. My chcemy pomagać.

Akurat, pomyślała Linda. Przez chwilę wpatrywała się w swoje złożone na podołku dłonie, wreszcie zapytała:

– Do kogo właściwie należy Fundacja Ostatniej Szansy?

Nayhija pokręciła głową.

– Przykro mi – rzekła. – To poufne informacje. Założyciel bardzo ceni sobie prywatność. Niewykluczone jednak, że go poznasz, kiedy będzie już… po wszystkim.

Linda niespokojnie poruszyła się na krześle. Było wygodne, nawet bardzo, tylko że teraz miała wrażenie, jakby ktoś nabił jego siedzenie gwoździami i podpalił.

– Czyli co, zaraz przyjdzie ktoś, żeby, no nie wiem, zbadać mnie albo coś takiego? – Obejrzała się przez ramię, jakby sprawdzając, czy rzeczywiście do salonu nie wchodzi żaden lekarz.

Nayhija ponownie pokręciła głową.

– Mamy twoją historię choroby tutaj. – Poklepała dłonią leżący na biurku srebrny laptop. – Mamy tu wszystkie informacje na twój temat, Lindo.

Kolejne złowróżbne stwierdzenie.

Linda otworzyła usta, chcąc spytać o coś jeszcze, ale zaraz się rozmyśliła i je zamknęła.

Siedziała, spoglądając na Nayhiję nieruchomym wzrokiem.

Cisza panująca wokół była przytłaczająca, ciężka, niemal namacalna. Z holu dolatywało tykanie zegara, brzmiało jak dźwięk ze snu i pozostawiało jakiś dziwaczny bezgłos. Okna wychodziły na las. Wysokie drzewa starały się dosięgnąć nieba, kołysały gałęziami w takt, jaki wyznaczały podmuchy wiatru. Promienie słońca kładły się na podłodze, ale niemrawo, jak gdyby nie mogły przebić się przez szyby, jak gdyby coś ich tu nie wpuszczało.

– Ufasz swojemu mężowi? – odezwała się nagle Nayhija, a Linda aż podskoczyła. – Ufasz mu bezgranicznie?

– Tt-tak – odparła Linda, ledwie wytrzymując przeszywające spojrzenie tamtej. – Tak, oczywiście. – Na dnie jej oczu coś spłoszyło się i uciekło.

Nayhija skinęła głową i przywołała na twarz uśmiech. Nie ten, co poprzednio. Teraz jej uśmiech był… złośliwy.

– W takim razie możemy podpisać kontrakt. – Schyliła się i wyciągnęła z bocznej szafki zapinaną na gumkę czarną teczkę. Była pękata, jakby skrywała w sobie maszynopis powieści.

Linda patrzyła, jak Nayhija ją otwiera i wyjmuje zszyty plik kartek. Był tak gruby, jakby to rzeczywiście była powieść. Ale tak nie było. Patrzyła na kontrakt. Po wnikliwszym przyjrzeniu, Linda zrozumiała, że objętość wynika z faktury kartek, nie rzeczywistej ilości stron, choć tych, oczywiście, było niemało.

– Proszę, zapoznaj się z tym. – Smukłe palce przesunęły kontrakt po blacie, podtykając go Lindzie pod nos.

Przez chwilę, przez jedną króciuteńką chwilę Linda spostrzegła, że palce Nayhiji czernieją do wysokości drugiego stawu, jak gdyby pokryte były sadzą. Jak czerwony lakier na paznokciach zmienia się w smoliście czarny, a same paznokcie się wydłużają. W następnej sekundzie to wrażenie zniknęło.

Zaczęła przerzucać kolejne kartki kontraktu drżącą dłonią. Czcionka była tak mała, że gdy dotarła do ósmej strony, rozbolała ją głowa, a oczy zaczęły piec. Mimo to przeczytała jeszcze kilka stron.

Większość kontraktu pozostawała zwykłym, prawniczym bełkotem, którego Linda nie rozumiała tak dobrze, jak by sobie życzyła. Jednak główne założenia pojęła bez trudu. Wyleczą ją, jeśli jej mąż nie dopuści się zdrady w ciągu trzydziestu dni. Niebywałe, ale o to im chodziło. Linda miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale nie wyglądało to na żart. Fundacja brała to na poważnie. To była ich umowa barterowa. Wierność Adama za jej ozdrowienie.

Serio. Dokumentnie, całkowicie i niezaprzeczalnie na serio.

W Lindzie rozgorzała niezachwiana pewność, że tak właśnie jest. Przez to, co zobaczyła za przenikliwym, nie do końca ludzkim spojrzeniem Nayhiji Mary, przez to, co wyczuła w domu, którego w ogóle nie powinno tu być, przez te palce, ten zapach… Każdym skrawkiem siebie rozumiała, że kontrakt jest śmiertelnie poważny. Nic w nim nie było zabawne. Przerażające zaś… wszystko.

Widząc, na jakim miejscu w tekście zatrzymała się Linda, Nayhija puściła oko i powiedziała:

– Jezus musiał wytrzymać czterdzieści dni na pustyni i nie dać się zwieść na pokuszenie, my jesteśmy bardziej wyrozumiali.

– Rzeczywiście, trzydzieści to dobra liczba – palnęła Linda, śmiejąc się nerwowo.

Nayhija pochyliła się nad biurkiem.

– Pamiętna – szepnęła.

W jej oczach zatańczyło coś… Tak, to chyba był gniew.

Przewracając kolejne strony, Linda bezwiednie zaczęła przygryzać paznokieć kciuka.

Przewertowała kontrakt mniej więcej do połowy, aż w końcu poległa. Nie była w stanie dalej czytać tych maciupcich literek, chyba że chciała, by oczy jej wypłynęły.

Zaczęła odsuwać od siebie papiery, ale Nayhija ją powstrzymała.

– Radzę przeczytać do końca – powiedziała. – Nigdzie nam się nie śpieszy. Można pokusić się o stwierdzenie, że mamy całą wieczność – dodała i zaniosła się śmiechem. Ten śmiech był, a zarazem nie był przyjemny. Brzmiał z pozoru normalnie, lecz krył się pod nim inny dźwięk, coś jak brzdęk tłuczonego szkła, jak odgłos wybijanych przeciągiem szyb w nawiedzonym domu.

– Dlaczego akurat wierność? – spytała Linda, piorunując ją wzrokiem. – O co w tym, do diabła, chodzi?

Nayhija splotła palce i oparła na nich brodę. I znów – zaledwie na ułamek sekundy – wydawało się, że ich końce są smoliście czarne, a paznokcie za długie.

– Psychologia – rzekła z namysłem. – Powiedzmy, że ja… że Fundacja… zajmujemy się badaniem ludzkiej psychiki, badaniem duszy. – Przy ostatnim słowie oczy Nayhiji błysnęły, jakby coś rozpaliło je od wewnątrz.

Linda pokiwała głową, udając, że coś z tego rozumie, i zajęła się przedzieraniem przez resztę kontraktu.

W którymś momencie Nayhija przyniosła jej szklankę wody. Linda wypiła ją duszkiem, nieuważnie odstawiła na blat i wróciła do czytania. Pod koniec była już dokumentnie przekonana, że dobór czcionki był rozmyślny, a odpowiedzialna za niego osoba to sadysta, który czerpał rozkosz z torturowania jej oczu.

– Czyli jeżeli mój mąż nie puści się w ciągu miesiąca, to będę zdrowa? A jeśli, dajmy na to, pomyśli o numerku z jakąś gorącą laską? Co wtedy?

– „Myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem” – wyrecytowała Nayhija i ponownie zaniosła się nieprzyjemnym śmiechem. – Nam chodzi tylko o uczynek.

– I… to wszystko? Naprawdę? Tylko o to chodzi? – Oczy Lindy były okrągłe jak monety.

– Aż o to – poprawiła Nayhija. Nagle w jej ręce pojawił się elegancki długopis. Położyła go na otwartym kontrakcie, jak gdyby mówiąc: Teraz wszystko zależy od ciebie, złotko. Twój ruch.

Linda podniosła go i przez chwilę obracała w palcach. To był masywny, solidny długopis. Czarny, z nadrukowanym logo fundacji. Dobrze leżał w dłoni.

Ujęła go pewniej, przystawiła do dołu ostatniej strony, tam, gdzie było miejsce na podpis, i zaraz cofnęła, jakby przerażona własną śmiałością. Przyłożyła ponownie… i znów zrezygnowała. Dumała tak chwilę, marszcząc brwi, przygryzając wargę, czując na sobie ciężkie spojrzenie Nayhiji.

Pomyślała o krwi na podłodze, o nasilającym się bólu w klatce piersiowej, o kaszlu. I ani się obejrzała, a jej prawa ręka złożyła zamaszysty podpis.

Nakreśliwszy ostatnie „L”, poderwała długopis, a wtedy on prześlizgnął się jej między palcami. Złapała go niezdarnie, tak że ostrą końcówką klipsa zadarła sobie paznokieć. Na miejsce, w którym się podpisała, spłynęła szkarłatna kropla krwi.

Linda syknęła i wsadziła opuszkę do ust. Strasznie ją zapiekł.

– Ojej – powiedziała Nayhija. – Skaleczyłaś się, Lindo.

– To nic. Drobiazg. – Chciała zetrzeć krew z kartki, ale Nayhija szybkim ruchem pociągnęła ją w swoją stronę, więc ręka Lindy opadła na pusty blat.

– Formalności zostały dopełnione – rzekła Nayhija, zapinając teczkę, do której uprzednio schowała kontrakt. Na jej ustach gościł jakiś taki krokodyli uśmiech, a w głowie Lindy jak werbel z piekła tłukło się: Cyrograf. Cyrograf. CYROGRAF. – Jeśli zadziała efekt

psychologiczny, a na pewno zadziała, już dziś wieczorem powinnaś poczuć się lepiej. Zrobiłaś pierwszy i najważniejszy krok, by odzyskać zdrowie. Zawalczyłaś o siebie. Jak się z tym czujesz?

– Szczerze mówiąc… Nie wiem. – Linda zaczęła się podnosić, ale Nayhija ją powstrzymała.

– Zanim wyjdziesz. – Postawiła na stole małe, kwadratowe pudełko przewiązane aksamitną czarną tasiemką. – Chcę ci coś dać.

– Co to jest? – Zmarszczyła brwi.

– *Sign-ahr*, marokańskie zioła. Pomogą na kaszel, zredukują ból. – Uśmiech Nayhiji błysnął ze zdwojoną siłą. – O ile w ogóle będziesz jakiś odczuwać.

Linda sięgnęła po pudełko, ale raczej bez przekonania. Ujęła je w dłoń, gotowa odrzucić w najdalszy kąt pokoju, gdyby okazało się, że ożyło i zaczęło kąsać, ale nic takiego się nie stało. To tylko jej wyobraźnia. I napięte do granic możliwości nerwy. Podniosła prezent, przyłożyła do ucha i potrząsnęła. Coś wewnątrz zagrzechotało cicho. Zioła. Suszone zioła.

– Dzięki – bąknęła, chowając pudełko do torebki.

– Wiem, że wszystko to może ci się wydawać nieco szalone. Kontrakt i cała reszta. – Nayhija uniosła rękę i zatoczyła nią koło w powietrzu. – Ale magia istnieje. Musisz tylko w nią uwierzyć – dodała, puszczając oko.

– To nie zawsze takie proste. – Linda wykrzesała z siebie nikły uśmiech. Zdała sobie sprawę, że miętosi w palcach rąbek sukienki, więc zmusiła się, by przestać.

Odpowiedzią Nayhiji było poważne spojrzenie. Wydawało się, że zaraz doda coś jeszcze, jednak tego nie zrobiła. Zamiast tego wstała z fotela i odprowadziła gościa do wyjścia.

– Do zobaczenia niedługo, Lindo – pożegnała się, zamykając za nią drzwi.

8.

Nayhija stała nieruchomo z ręką wspartą o futrynę. Na jej ustach błąkał się krzywy uśmieszek. Obserwowała, jak chevrolet Lindy wyjeżdża spomiędzy magazynów i chowa się za rogiem. Chwilę później pojawił się za niewielkim wzniesieniem, by zaraz zniknąć na stałe, pochłonięty przez drogę prowadzącą do centrum.

Jeszcze kilka sekund spoglądała przez okno, wreszcie odwróciła się, przeszła przez hol i wróciła do salonu. Nie wyglądał tak samo jak wtedy, gdy była w nim Linda. Nie dokładnie. Wymalowane na obrazach postaci poruszały się, prowadziły ze sobą ożywione rozmowy bądź oddawały się lubieżnym przyjemnościom. W ruchu pozostawały również geometryczne wzory na grafikach, które wyginały się w niemożliwy sposób, tworząc nienazwane figury.

Nayhija usiadła w fotelu, otworzyła laptopa i włączyła go. Pulpit rozbłysnął tapetą z logo Fundacji Ostatniej Szansy, następnie upstrzył się ikonkami. Wybrała folder „BIEŻĄCY KLIENCI", odszukała plik „HILL" i otworzyła. Przebiegła wzrokiem parę linijek tekstu, zjechała w dół i kiedy załadowało się zdjęcie męża Lindy, zamarła. Wybałuszyła oczy ze zdumienia i…

Zaczęła wrzeszczeć.

Nieludzko. Przeraźliwie.

Poderwała ręce do twarzy, zakrzywiając palce jak szpony. Z ich koniuszków strzeliły płomienie, a same palce poczerniały. Ogień posmakował policzków, sięgnął włosów… lecz nie wyrządzał żadnej szkody, nie palił. Z jej szeroko otwartych ust dobywały się kłęby sinoniebieskiego dymu; miał ostry zapach przywodzący na myśl siarkę.

Nayhija darła się nieprzerwanie, wymachując rękoma. Od tego krzyku antyramy grafik zaczęły pękać i rzygać szkłem, a postacie na obrazach uciekły spłoszone w ich głąb. Ciężkie zasłony uniosły się, poderwane przeciągiem, który pojawił się zupełnie znikąd w zamkniętym pomieszczeniu, szyby w oknach drżały. Chwilę później dywan stanął w ogniu.

Nayhija poczuła, że z jej oczu płyną łzy.

Krwawe łzy.

Obraz jej się rozmazał, następnie zniknął, ustępując innemu.

Zobaczyła oślepiającą jasność, która zmieniła się w słoneczny, parny dzień. Lazurowego nieba nie zdobiła ani jedna chmura, gdzieś w górze przeleciał samolot. Pochylone drzewa dawały cień, hojnie ofiarując schronienie pod swymi koronami. Ciemnowłosa dziewczyna kroczyła wydeptaną ścieżką, nieopodal której znajdował się las. Odchyliwszy gałąź, przeszła przez tory i zaczęła schodzić w dół nasypu.

– Nie idź tam – szepnęła Nayhija schrypniętym od krzyku głosem.

Ale ona nie mogła jej usłyszeć.

9.

Ciemnowłosa dziewczyna odchyla gałąź, przechodzi przez tory i zaczyna schodzić w dół nasypu. Kamyki chrzęszczą pod podeszwami jej tenisówek, osuwając się maleńką lawiną. Ten dźwięk jest w jakiś sposób podobny do klekotu kości. Ostatni krok zmienia w wyskok, ląduje na lekko ugiętych nogach i rusza przed siebie, odbijając nieco w bok.

Po lewej ma niekończący się las, po prawej ciągnące się kilometrami pola. Ubrana jest w zwiewną kwiecistą sukienkę, a mimo to pot coraz obficiej zrasza jej czoło. Gorąco. Jest jej gorąco.

Nagle do uszu dziewczyny dolatują jakieś głosy. Rozgląda się i widzi trzech chłopaków wychodzących spomiędzy drzew. Jednego z nich, najwyższego o włosach koloru siana, mgliście kojarzy, pozostałych nigdy przedtem nie widziała. Ruszają w jej stronę z identycznymi, martwymi uśmiechami doklejonymi do twarzy, a w niej coś zaczyna wyć na alarm.

Chce puścić się pędem przed siebie, ale przez jedną koszmarną chwilę nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Są jak odlane z ołowiu i nie zamierzają nawet drgnąć. Krzyk więźnie w gardle dziewczyny, serce zaczyna wybijać obłędny rytm. Jeśli się stąd nie ruszy, stanie się coś potwornego, wie o tym. Wreszcie paraliż ustępuje, więc zaczyna biec.

Ale oni są szybsi.

Czuje, jak na jej ramię opada ciężka dłoń, jak palce wpijają się w jej ciało. Coś podcina jej nogi i pada na ziemię, boleśnie tłukąc sobie kolana.

– Dokąd tak się śpieszysz? – pyta jeden z chłopaków.

Ma szeroką, niesympatyczną twarz upstrzoną piegami i jasnobrązową koszulkę poplamioną tłuszczem. Czuć od niego alkohol. Od nich wszystkich go czuć.

– Przecież cię nie zjemy – mówi drugi i zaczyna rechotać.

Ma plaster na nosie, nieudolnie skrywający brzydkie skaleczenie. Mięsiste wargi i szeroko rozstawione oczy trochę upodabniają go do żaby.

– Chłopaki, trochę kultury – poucza ich kolega. Jasnowłosy, ten, którego dziewczyna kojarzy. Ma zimne szaroniebieskie oczy i wydatny podbródek, pośrodku którego widnieje blizna w kształcie półksiężyca. – Wystraszyliście ją.

Dziewczyna patrzy na niego rozszerzonymi paniką oczyma, a kiedy ten wyciąga rękę, chcąc pomóc jej wstać, nie wie, czy powinna ją chwycić, czy odepchnąć. Wreszcie decyduje się na to pierwsze ze strachu, że inna reakcja go rozsierdzi.

– Masz papierosy? – pyta Piegowaty.

– Nie… Nie palę – odpowiada zgodnie z prawdą.

Odwraca się, zamierzając odejść, ale wtedy ciężka dłoń ponownie opada na jej ramię.

– Nigdzie nie pójdziesz – mówi Ten z Plastrem. – Nie tak od razu.

– Czego ode mnie chcecie? – Dziewczyna dyskretnie zerka na boki, ale nie dostrzega nikogo. Jest tu sama z nimi trzema, a od najbliższego domu dzieli ją dobrych parę kilometrów.

– Trochę się z tobą zabawić – odzywa się Piegowaty, dotykając jej policzka i odgarniając z niego pasmo lepkich od potu włosów.

– Wal się! – Dziewczyna odsuwa się gwałtownie, uderza go w rękę i równocześnie opada na nią cios. Zgina się, a powietrze ulatuje jej z płuc ze stłumionym *uughh*.

– Grzeczniej, suko – warczy Piegowaty, wykręcając jej nadgarstek.

– Straszny z ciebie troglodyta. – Jasnowłosy odpycha kumpla i obejmuje dziewczynę w talii. – Z kobietami trzeba grzeczniej. Prawda, słoneczko? – pyta obrzydliwie słodkim głosem i

kompletnie wbrew własnym słowom łapie ją za pierś, dotkliwie szczypiąc sutek.

– To boli! – skarży się dziewczyna. W jej wnętrzu panika walczy ze skrajnym przerażeniem. – Zostaw mnie! Wszyscy mnie zostawcie!

Jasnowłosy śmieje się i popycha ją do tyłu. Następnie wskazuje brodą w kierunku drzew, dając znak kumplom. Dziewczyna chce rzucić się do ucieczki, ale kiedy skacze do przodu, nadziewa się na kolano Piegowatego. Ten szczerzy się i chwyta ją za ręce, po czym ciągnie w wybrane przez kolegę miejsce. Po chwili dołącza do niego Ten z Plastrem, i gdy dziewczyna kopie go w kostkę, on uderza ją w twarz, rozcinając dolną wargę.

Dziewczyna rozumie, co się zaraz stanie. Jej żołądek zaciska się w bolesny supeł i podjeżdża do gardła, tak że jest o krok od wyrzygania go. Mimo przerażenia nie rezygnuje jednak z walki. Wierzga, próbuje stawiać opór, ale efekt tego jest żaden. Szoruje tenisówkami po ziemi, żłobiąc w niej koleiny, miota głową z lewa na prawo, krzycząc najgłośniej, jak tylko jest w stanie, ale oni pozostają niewzruszeni. A pomoc nie nadchodzi. Nie ma skąd nadejść. Nikt jej tu nie słyszy.

Wciągają ją głębiej w las i rzucają na ziemię niczym worek śmieci. Dziewczyna w ostatniej chwili wyciąga przed siebie ręce, co nieco tłumi impet upadku. Kaleczy dłonie o kawałki szkła z pobitych butelek, gałązki smagają jej policzki, zostawiając na nich czerwone zadrapania. Próbuje się odwrócić, ale wtedy chłopak z plastrem na nosie przydeptuje jej plecy, przygważdżając do ziemi. Następnie pochyla się i szarpie ją za włosy, odchylając głowę. Jej kark protestuje na ten brutalny ruch.

– Pieprzyło cię kiedyś trzech naraz? – pyta.

– Proszę… – błaga dziewczyna, przełykając słone łzy.

Jego odpowiedzią jest szyderczy śmiech.

W następnej chwili Jasnowłosy kuca przed nią, gładzi jej włosy niedorzecznie czułym gestem, który zdaje się świętokradztwem, i mówi:

– Spodoba ci się. To będzie jak rodeo.

Dziewczyna na niego pluje. Jasnowłosy ściera ślinę z policzka, podnosi się z kucek… i kopie ją w twarz. Świeża krew bucha z rozciętej wargi, spływając na brodę.

– Przewróćcie ją na plecy – instruuje Jasnowłosy. – Pokażemy jej, jak to robią kowboje.

Dziewczyna zaczyna przeraźliwie wrzeszczeć. Wije się, młócąc rękoma na oślep i wyczuwa pod palcami metal. To stare tory, ich marna pozostałość. Kurczowo zaciska palce na szynie, używając jej jako punktu zaczepienia. Widząc to, Piegowaty uśmiecha się obrzydliwie i przydeptuje jej rękę ciężkim buciorem. Ból miażdżonych palców jest potworny, wrzaski dziewczyny przechodzą w upiorny skowyt. Kontury świata się rozmazują, przesłania je biel porażonych nerwów. Przez zamroczenie rozwiera chwyt i tylko niejasno czuje, że przekręcają ją na plecy.

Ręce Piegowatego łapią jej nadgarstki i unoszą wysoko nad głowę. Nogi unieruchamia Ten z Plastrem.

– A może niech mi possie, jak będziesz ją obracał? – sugeruje Piegowaty, zwracając się do Jasnowłosego.

Ten odrzuca głowę i śmieje się, autentycznie rozbawiony.

– Chcesz, żeby ci odgryzła fiuta, idioto?

Piegowaty rozważa to w milczeniu.

– To może walnąć ją kamieniem w łeb? – wtrąca Ten z Plastrem. – Nieprzytomna nikogo nie pogryzie.

Jasnowłosy posyła mu pełne dezaprobaty, karcące spojrzenie.

– Jeśli uderzysz za mocno, to ją zabijesz. A nekrofilia mnie nie kręci – mówi i zaraz

kieruje wzrok na dziewczynę. – Słoneczko ma być przytomne. Chcę słyszeć jej jęki.

– Proszę… – powtarza dziewczyna. Łzy płyną jej po policzkach, mieszając się z krwią. Twarz ma opuchniętą tak od płaczu, jak od uderzeń. – Proszę…

Jasnowłosy udaje, że tego nie słyszy. Opada na nią, zadziera sukienkę i zaczyna rozpinać rozporek. Dziewczyna próbuje go z siebie zrzucić, wyrwać się z chwytu tamtych, ale jej się nie udaje. Płacze i błaga, dławi się łzami, gdy Jasnowłosy rozdziera jej majtki. Próbuje złączyć nogi, ale nie daje rady.

Jasnowłosy wchodzi w nią brutalnie, dysząc jej w ucho, a ona krzyczy głosem oszalałego zwierzęcia. Czuje, jakby była rozrywana od wewnątrz, jej krzyk łamie się i zaczyna przechodzić w kwik, oczy wychodzą z orbit, dziko wywracając się w oczodołach. Szarpie się, ale to tylko pogarsza sprawę, prowokuje większy ból, więc w końcu nieruchomieje. Obojętnieje. Popada w otępienie. Chowa się głęboko w sobie, tworzy w umyśle pokój, do którego ucieka przed cierpieniem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała. Rygluje drzwi, lecz to nie pomaga. Przez szczelinę pod nimi wlewa się cały brud tego, co z nią robią.

Gdy Jasnowłosy z niej spełza, jego miejsce zajmuje ten z plastrem na nosie i cały koszmar zaczyna się od początku. Z tym że jest jeszcze gorzej. A Piegowaty znajduje wreszcie sposób na to, by go nie pogryzła.

Dziewczyna krztusi się, charczy, czuje, jak drżą jej nogi, jak coś lepkiego rozlewa się tam w dole. Słyszy śmiech oraz jęki i posapywania tego, który akurat na niej jest. Zaciska powieki i szuka czegoś, by zatkać szparę pod drzwiami pokoju, w którym się chowa. Niczego takiego nie znajduje.

Któryś z nich szarpie ją za ramię i okręca, zmuszając, by przewróciła się na brzuch; jest ich lalką, zabawką, kawałkiem mięsa. Dziewczyna opiera się i kolejny raz zostaje uderzona w twarz. Wreszcie przewraca się, uderza brodą o kamień. W następnej chwili czuje potworne pieczenie, później rozdzierający ból, a Jasnowłosy mówi:

– Pozwoliła wam się, kurwa, któraś wydymać w dupę?

Nie wie, ile czasu mija, gdy wreszcie dają jej spokój.

Leży z przyciśniętym do ziemi policzkiem jeszcze długo po tym, gdy jej gwałciciele odchodzą. Nie ma siły wstać, nie ma siły choćby unieść głowy. Wszystko w niej wyje z bólu, od którego gorsze jest tylko uczucie upokorzenia, odarcia z godności. Nigdy nie będzie już bezpieczna ani beztroska. Zabrali jej to. Wszystko jej zabrali.

Chce płakać, ale nawet na to nie ma już sił.

A może po prostu zabrakło jej łez?

Pragnie umrzeć, jednak nie umiera. Nie może, nie jest w stanie. A równocześnie jest martwa. Ponieważ esencja jej istnienia – jego najgłębsza istota – została uśmiercona, a ona jest tylko pustą, oddychającą śmiercią skorupą. Taka pozostanie już na wieczność. To właśnie jest najstraszniejsze.

Kiedy wreszcie udaje jej się wstać, słońce chyli się ku upadkowi. Niebo przybiera barwę ognia. Idzie przed siebie niezbornym krokiem, co chwilę się potykając. Kręci jej się w głowie, nie wie tylko, czy z wyczerpania, czy dlatego, że jest w szoku. Najpewniej z obu tych powodów. Ma na sobie resztki podartej sukienki i zaschniętą krew po wewnętrznej stronie ud. Ta krew ma zapach życia, które jej odebrali. Jej utraconego szczęścia.

Dochodzi do domu, pod koniec właściwie pełznąc, i…

10.

Nayhija poczuła dłoń na ramieniu i omal nie wrzasnęła. Obraz przed jej oczyma rozwiał się jak rozgarnięty ręką dym. Znów była tu i teraz. Dywan wciąż płonął, ogień zaczął wspinać się również na ściany, liżąc je łapczywie. Coraz mocniej czuć było spaleniznę oraz inny, subtelniejszy zapach kryjący się pod spodem – zioła i coś niby mroźny wiatr.

– Problemy w pracy? – spytał mężczyzna w czerni. Głos miał rozbawiony w nieprzyjemny sposób.

Mimo że wiedziała, jak ma na imię, jednak zawsze, przez cały ten nieskończony czas, myślała o nim właśnie tak: mężczyzna w czerni. Właściwie nie lubiła wypowiadać jego imienia, zupełnie jakby mogło mu to przydać mocy, uczynić jeszcze potężniejszym.

– Wszystko pod kontrolą – odparła, zdmuchując ogień z koniuszków palców.

– Tak, kochanie, właśnie widzę – zakpił.

Nayhija spojrzała na niego z ukosa, następnie machnęła ręką w powietrzu i płomienie zniknęły. Salon znów wyglądał tak jak wtedy, gdy była w nim Linda Hill. Może z wyjątkiem wciąż pustych obrazów.

– Nie masz na co patrzeć – warknęła.

Mężczyzna w czerni nachylił się, kładąc brodę w zagłębieniu jej szyi. Powąchał jej włosy, musnął wargami płatek ucha i przywarł policzkiem do jej policzka. Drgnął nieznacznie i ciaśniej objął Nayhiję ramieniem. W tym geście kryła się jakaś szczątkowa troska.

– Och, już rozumiem – powiedział z namysłem, wpatrując się w widniejące na ekranie laptopa zdjęcie Adama Hilla. – Niebywałe.

– Robota góry? – Nayhija patrzyła wszędzie, tylko nie na fotografię. – A może twoja?

Mężczyzna w czerni pokręcił głową. Wciąż przytulał się do twarzy Nayhiji i pod wpływem tego ruchu poczuła lekkie łaskotanie. Bardzo przyjemne.

– Czysty zbieg okoliczności. – Wyprostował się i położył dłonie na jej ramionach. Stał za nią jak kiepska parodia anioła stróża. – Jeśli chcesz, możesz zrezygnować z tego klienta. W takich okolicznościach to zrozumiałe.

– Poradzę sobie – zapewniła.

– Sugerowałbym jednak…

Nayhija uderzyła pięścią w blat.

– Powiedziałam, że sobie poradzę!

Mężczyzna zaśmiał się, obszedł biurko i usiadł naprzeciw niej. Idealnie skrojony czarny garnitur przydawał mu złowieszczej drapieżności. Przez chwilę trwał tak, milczący, zadumany. Wreszcie wychylił się do przodu, spojrzał jej głęboko w oczy i spytał zniżonym do szeptu głosem:

– Jesteś tego pewna?

– Całkowicie.

– Tym razem może nie pójść tak gładko. – Nakrył dłonią jej dłoń. – A wiem, jak nie lubisz przegrywać.

– Właśnie dlatego. – Oczy Nayhiji zapłonęły, zmieniając się w malachitowe jeziora płomieni. – Bo nie lubię przegrywać. I nie przegrywam. Nigdy.

Mężczyzna lekko skinął głową.

– Zawsze mi się to w tobie podobało. Ambicja. Zuchwałość. Niezłomność. – Wstał i przejechał palcami po blacie, zostawiając na nim ciemne smugi. – Gdybyś jednak zmieniła

zdanie… będę w pobliżu.

– Zawsze jesteś.

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Mam swoje powody.

Nayhija nie odpowiedziała. Obserwowała, jak mężczyzna rusza przez środek salonu zamaszystym krokiem, jakby zamierzał czołowo zderzyć się ze ścianą. Gdy był nie dalej niż półtora metra od niej, jego sylwetka zbladła, zaczęła robić się przezroczysta, aż wreszcie znikła, pozostawiając po sobie zarys postaci i smugi czarnego, smolistego dymu.

Jeszcze chwilę patrzyła w tamto miejsce, po czym również wstała. Zatrzasnęła laptopa, zlustrowała salon, jakby w poszukiwaniu nieprzyjaznych cieni, i wyszła. W połowie holu jej postać rozmyła się i przepadła bez śladu.

Pozostał tylko dym.

11.

Adam rozmasował czoło i zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia po południu. Najwyższa pora zrobić sobie przerwę i wreszcie coś zjeść. I kawę. Dużo kawy. Inaczej nie dotrwa do końca dnia.

Narzucił marynarkę, po czym wyszedł z gabinetu. Omiótł puste biurko Giny przelotnym spojrzeniem i pomyślał, że wybrała doprawdy fatalny moment, aby dostać alergii na nowe soczewki i nie pojawić się w pracy. Odkąd Altreed wcisnął mu paru swoich pacjentów na czas urlopu i tak miał urwanie głowy, a teraz doszedł jeszcze brak sekretarki. Chyba aż do tej pory nie orientował się w pełni, w jak wielu rzeczach go wyręczała. Może warto zastanowić się nad jakąś podwyżką dla niej? Tak, to bardzo dobry pomysł.

Dwadzieścia minut później z kubkiem kawy w jednej ręce i papierową torbą z kanapką z indykiem i frytkami w drugiej wracał do gabinetu. Myślami był przy pani Curtis, swojej kolejnej pacjentce, i jej amatofobii, gdy usłyszał za plecami melodyjne:

– Proszę pana!

Adam obrócił się i stanął twarzą w twarz ze śliczną brunetką. Co tam śliczną – piękną! Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat i tak olśniewający rodzaj urody, że zdawała się wręcz nierzeczywista, jak nimfa lub postać ze snu. I jeszcze coś, co Adam nazywał w myślach „wrodzoną zmysłowością". Ona wręcz nią emanowała. Proste, lśniące włosy spływały jej na piersi, ich krótsze pasmo zadziornie przesłaniało oko. Twarz miała owalną, nos zgrabny, a oczy intensywnie zielone jak u kota. Jej pełne usta rozchylały się w lekkim uśmiechu, ukazując równe białe zęby. Nogi sięgały nieba, kształtne i smukłe, tak jak i reszta ciała. Miała na sobie rozkloszowaną czarną sukienkę bez rękawów i trampki. Diabeł tkwi w prostocie, pomyślał Adam trochę bez związku.

– Tak? – spytał.

– Zgubił pan coś. – Dziewczyna wyciągnęła przed siebie rękę, w której trzymała portfel Adama. – Proszę.

Przełożywszy kubek z kawą do drugiej ręki, Adam wziął od niej portfel, zastanawiając się, jak to się stało, że nawet nie zauważył ani nie poczuł, gdy mu wypadł. Musiał mu się wysunąć z kieszeni spodni, zaraz gdy wychodził z knajpy, a może nawet w samej knajpie, czyli przecznicę stąd. Miło ze strony dziewczyny, że pofatygowała się, by mu go zwrócić.

– Dziękuję. Naprawdę. – Otworzył go, chcąc dać jej parę dolców za fatygę, ale ona stanowczo pokręciła głową.

– Nie zrobiłam tego, żeby mi pan płacił. – Brodą wskazała trzymany przez niego portfel, a on poczuł się, jakby ją obraził.

– Więc jaki był twój powód? – Adam zamknął portfel i schował do bocznej kieszeni. Głęboko. Tak, by nie wysunął się po raz kolejny.

– Chciałam pana poznać. – Uśmiech dziewczyny się poszerzył. Cała jej twarz od niego pojaśniała, a on złapał się na tym, że również się uśmiecha. – Po prostu.

– Ja… och, no cóż…

– Czasem widuję pana z okna. Pracuję niedaleko, o tam. – Ręką wskazała długi, czteropiętrowy budynek za plecami. Mieściły się w nim głównie kancelarie adwokackie.

– Doprawy? Niesamowity zbieg okoliczności.

Minęła ich hałaśliwa grupka małolatów. Twarze mieli usiane trądzikiem, dość ryzykowne fryzury i ubrania utrzymane w stylistyce lansowanej w wideoklipach puszczanych na MTV. Nie

żeby Adam był stary, miał raptem trzydzieści cztery lata, ale patrząc na nich, poczuł się jak ktoś, kto pamięta życie sprzed wynalezienia elektryczności. Koszmarne doznanie.

Jeden z chłopaków odwrócił się, otaksował dziewczynę spojrzeniem i zagwizdał z uznaniem. Ta nawet na niego nie spojrzała. Jednak przez jej twarz przetoczyło się coś… niepokojącego.

Adam zerknął na zegarek. Zostało mu trochę więcej niż kwadrans do spotkania z panią Curtis.

– Śpieszy się pan. – W oczach dziewczyny odmalował się zawód i coś jakby cień smutku. – Rozumiem.

– Niestety, tak. – To jej smutne spojrzenie wprawiło go w zakłopotanie. – Zaraz mam kolejną pacjentkę. Jestem…

– Psychoterapeutą – dokończyła za niego. – Wiem. Mówiłam, że widuję pana z okna.

– A ja nie wiem nawet jak masz na imię – palnął.

– Nayhija. – Dziewczyna podała mu rękę.

Adam uścisnął ją, mówiąc:

– Piękne imię. Ja jestem Adam, ale to pewnie też już wiesz.

Nayhija skinęła głową.

– Trochę rozglądałam się za terapeutą. – Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec. – Pan jest jednym z najlepszych.

– Adam – poprawił. Przez głowę przebiegła mu myśl, że cała ta sprawa z portfelem była ukartowana, że wcale go nie zgubił, a dziewczyna zwyczajnie go ukradła, żeby mieć pretekst do rozmowy, ale odpędził ją od siebie. Chryste, naprawdę zarażał się paranoją od swoich pacjentów. Może czas wziąć przykład z Altreeda i również wybrać się na długi urlop?

– Adam – zgodziła się. Uśmiech powrócił na jej twarz, wydobywając z niej całe piękno.

– Mogę spytać jakiej natury jest twój problem? Może mógłbym…

– Nie, nie trzeba. To było dawno temu. – Nayhija musnęła palcami klapę jego marynarki. – Idź już, śpieszysz się do pacjentki. Ja również muszę wracać do pracy.

– Jeszcze raz dziękuję za zwrócenie zguby. – Poklepał kieszeń. – Do zobaczenia.

– Możesz być tego pewny.

Adam jeszcze chwilę nie ruszał się z miejsca, odprowadzając ją wzrokiem. Nayhija przeszła przez ulicę, kołysząc biodrami. Gdy była już na chodniku po drugiej stronie, zerknęła przez ramię, posyłając mu ostatnie spojrzenie, po czym skręciła za róg i zniknęła mu z oczu.

12.

Skręciwszy za róg, Nayhija przyspieszyła kroku. Krew w skroniach dudniła jej coraz głośniej, zmieniając się w jednostajny pulsujący szum. Taki podobny. Niemal identyczny. Niewiarygodne.

To był on.

A jednak był to ktoś zupełnie inny.

Te same błękitne oczy, teraz okolone siateczką drobnych zmarszczek, ta sama pociągła twarz. Włosy nie czarne, a ciemnobrązowe, inny akcent, ale nie głos. Ten sam uśmiech, te same gesty. I zapach. I aura. A dusza?

Coraz bardziej pogrążając się w myślach, Nayhija otarła kącik oka, wpatrzona gdzieś w otchłań. Idący z naprzeciwka mężczyzna trącił ją barkiem i burknął coś, co zabrzmiało jak: „Patrz, kurwa, jak leziesz". Jej oczy błysnęły wściekłością i zwęziły się w szparki.

– Dupek – szepnęła.

W tym samym momencie mężczyzna potknął się i upadł. Dało się słyszeć zduszone *ooough*, gdy przeszorował twarzą po bruku.

W chwili, gdy się podnosił, spadł na niego kawałek kruszejącego gzymsu. Zaraz po nim kolejny. Tym razem mężczyzna nie zdążył nawet stęknąć. Podnieść się również nie był w stanie. Mógł tylko leżeć w kałuży krwi rozlewającej się dookoła jego wgniecionej czaszki, niewidzącymi oczyma wpatrując się w ziemię.

Nayhija zerknęła na niego przez ramię, nie zwalniając kroku.

Jej wargi rozciągnął krzywy uśmieszek.

Przeszła jeszcze dwie przecznice, minęła pordzewiałą, otwartą bramę i weszła na niestrzeżony parking. Zatrzymała się, krzyżując ręce na piersiach, i rozejrzała. Jej wzrok padł na białego forda mustanga z 1969 roku. Samochód stał sprytnie ukryty za furgonetką, której nalepka na zderzaku informowała, że kierowcy pomaga prowadzić Jezus.

Nayhija podeszła do niego wolnym krokiem, tak jak podchodzi się do wyczekiwanego kochanka. Przejechała dłonią nad klamką, otworzyła drzwi i wskoczyła na fotel kierowcy. W stacyjce nie było kluczyka, ale auto odpaliło i bez niego. Wystarczyło, że wsadziła do niej paznokieć i przekręciła.

Wycofała i wyjechała z parkingu. Po kilkunastu minutach pruła już autostradą. Donikąd. Bez celu. Jechała dla samej przyjemności jazdy. Jechała, by uciec od własnych myśli, które uparcie powracały do dnia, gdy…

13.

Ciemnowłosa dziewczyna leży zwinięta w kłębek na łóżku. Mimo upału ma na sobie długie workowate spodnie i za dużą powyciąganą koszulkę, zupełnie jakby chciała ukryć się w tym ubraniu, rozpłynąć się w nim. Twarz chowa w dłoniach, pochlipując cicho. Rozcięta dolna warga prawie już się zagoiła, sińce zbladły, są ledwie widoczne. Ciało ma zadziwiające zdolności regeneracji. Niestety, tego samego nie można powiedzieć o duszy.

Obok, na skraju łóżka, znajduje się chłopak, na oko parę lat od niej starszy. Jest szczupły i wysoki, co widać nawet, gdy siedzi. Ma kruczoczarne włosy, błękitne oczy i bladą pociągłą twarz, na której maluje się troska. Gładzi dziewczynę po ramieniu, ostrożnie, jak gdyby mogła rozsypać się pod tym dotykiem. Jego czoło przecinają dwie pionowe zmarszczki.

– Już w porządku. Już wszystko w porządku – przemawia uspokajająco jak lekarz. Głos ma niski, przyjemny.

– Nigdy nie będzie w porządku! – Słowa dziewczyny są stłumione, pobrzmiewa w nich szloch.

– Skarbie… – Chłopak milknie na moment, tocząc ze sobą wewnętrzną batalię. Zmarszczki na jego czole się pogłębiają. Wreszcie decyduje się i mówi: – Powinniśmy pójść na policję. Ty powinnaś.

Dziewczyna zrzuca jego rękę i prostuje się gwałtownie.

– Żadnej policji! – Jej oczy rozszerza strach, w głosie dźwięczy ponura stanowczość. – Nie chcę żadnej policji! Już ci mówiłam!

Chłopak wzdycha i unosi ręce. To nie pierwsza taka rozmowa, ale każda kolejna wygląda identycznie. Tylko szaleniec spodziewa się odmiennego rezultatu, robiąc wciąż to samo. A żadne z nich nie jest szalone. W każdym razie jeszcze nie.

– W porządku, jak sobie życzysz. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie…

– Znam twoje zdanie bardzo dobrze! – Dziewczyna przerywa mu z nagłą pasją. Głos ma podniesiony, oscylujący na granicy krzyku. – Ale tu chodzi o mnie! O mnie, rozumiesz?!

– Po prostu chcę ci pomóc – odpowiada, patrząc na nią z udręką. Wyciąga dłoń, ale dziewczyna się odsuwa, plecami uderzając o ścianę, więc jego ręka opada bezwładnie na szarobiały pluszowy koc, którym zaścielone jest łóżko.

– Wiem. – Brunetka opuszcza głowę, włosy osuwają się jej na twarz jak czarna kotara. – Ale policja to żadna pomoc. Nie cofną czasu. Niczego nie zrobią.

– Mogliby złapać tych skurwieli, którzy…

– Nie złapaliby i ty dobrze o tym wiesz. A nawet jeśli, zaraz wyszliby za kaucją, a ja musiałabym przeżywać cały ten koszmar raz za razem, opowiadając wszystko od początku kolejnym policjantom. Potem na sali sądowej. Z najdrobniejszymi szczegółami. I co by się okazało? Że to moja wina, że ich sprowokowałam. Bo byłam wyzywająco ubrana, bo dawałam im sekretne sygnały, bo odebrali mój lubieżny przekaz myślowy…

– Nikt nie uważa, że to twoja wina, skarbie. – Chłopak wygląda na zszokowanego, jakby samo rozważanie, że ktoś mógłby ją winić, przyprawiało go o mdłości. Tyle że w głębi siebie wie, że tak właśnie by było, to również po nim widać. Bo ona jest młoda i piękna, a „chłopcy to tylko chłopcy”. Takie chore zasady pielęgnuje to chore społeczeństwo, w którym żyją. I jak długo to się nie zmieni, tak długo będą kolejne ofiary zamknięte w ciszy wstydu, wyjące niemym krzykiem, którego nikt nigdy nie usłyszy. – Gdybyś tylko podała mi więcej szczegółów, ja sam mógłbym…

Dziewczyna potrząsa głową.

– Nic byś nie mógł. Nikt już nie może. To… takie coś… zawsze kończy się w ten sam sposób. Byłabym tylko jeszcze bardziej upokorzona, napiętnowana, odtrącona. Tyle bym zyskała, to by mi dało roztrząsanie tej sytuacji zamiast wyrzucenie jej z pamięci. Jeżeli ktoś się dowie… już zawsze będę tą, którą wytyka się palcami, tą, o której szepcze się po kątach. Nie zniosłabym tego! Już wolałabym się zabić!

– Nie mów tak! – Ignorując opór, chłopak chwyta jej ramię i potrząsa, zmuszając, by na niego spojrzała. – Nawet tak nie myśl! Nigdy!

Dziewczyna śmieje się krótko, ostro. To upiorny dźwięk, brzmi jak krakanie obłąkanej wrony.

– A co ty teraz sobie o mnie myślisz? – Kąciki jej ust opadają ku dołowi, broda zaczyna drżeć. – O dziewczynie, która nie pozwala się nawet dotknąć? Złamanej, zbrukanej, zniszczonej?

Patrzy na nią, jakby go spoliczkowała.

– Myślisz, że tylko o to mi chodzi? Nie obrażaj ani mnie, ani tego, co jest między nami. Nie wątp w to. Nie wątp w nas.

Przez jej twarz przemyka jakiś cień, ale oczy są poważne, nieruchome.

– Po prostu zdaję sobie sprawę, że…

– Kocham cię. – Teraz to on jej przerywa. – I wszystko rozumiem. – Mocniej ściska jej rękę. – Słyszysz?

Ale czy naprawdę? Czy naprawdę jest w stanie zrozumieć ogrom jej koszmaru? Choćby zbliżyć się do wyobrażenia sobie głębi tej potworności? Nie. Nie pojmie tego. To nie on leżał wtedy na tej polanie, to nie jemu zrobili

(nie wymawiaj tego na głos!)

to wszystko.

Dziewczyna patrzy na niego w milczeniu. Ma wrażenie, iż narasta ono wokół niej, zagęszcza powietrze, skrywa ją w półcieniu. Chce je przełamać. I nie potrafi.

– Najważniejsze, żebyś doszła do siebie – kontynuuje chłopak. – Poczekam, ile będzie trzeba. Nie musisz się martwić. Nie musisz się o nic martwić.

Ale ma tej obietnicy nie dotrzymać.

Jej jedyna i prawdziwa miłość. Mężczyzna, który złamie jej serce.

Jasper.

14.

– Jasper – szepnęła Nayhija. Spojrzenie miała zamglone, odległe.

Nasilający się, zgrzytliwy dźwięk przywołał ją do rzeczywistości. Zerknęła w prawo i przekonała się, że jedzie tak blisko barierek, aż zaczęła ocierać o nie bokiem samochodu.

Odbiła kierownicą w lewo, dodała gazu, wyprzedzając kremowego chryslera i pomknęła przed siebie. Widząc ryzykowne manewry motocyklisty z wyhaftowanymi na kurtce skrzydłami anioła, miała wielką ochotę dopomóc nieszczęściu i sprowokować wypadek, ale udało jej się poskromić to pragnienie. Ledwo, ledwo.

Niebo przybrało barwę miedzi, powoli przechodząc w szkarłat, w miarę jak słońce zaczęło chować się za linią horyzontu. To był piękny widok, zupełnie jakby płonął cały świat. Chyba właśnie dlatego tak lubię zachody słońca, pomyślała Nayhija, dodając gazu.

Droga, która zdawała się nie mieć końca, znikała pod kołami mustanga w coraz szybszym tempie. Znaki informowały o kolejnych miastach i miasteczkach, wszystkich tak samo anonimowych, zamieszkanych przez zwierzęta, które miały się za lepsze od innych, bo nazywały siebie ludźmi.

Nie namyślając się, skręciła w pierwszy zjazd. Po przejechaniu kilkuset metrów, mustangiem zarzuciło. Za chwilę znowu, tym razem mocniej. Nayhija zdjęła nogę z gazu, rozumiejąc, co jest tego przyczyną. W asfalcie ziały potężne dziury.

Szosa była koszmarna, wydawało się, że wiedzie donikąd, ale ostatecznie zaprowadziła ją na parking dawno nieczynnej stacji benzynowej. Nayhija zaparkowała obok dystrybutorów, z których od dobrej dekady nie można było zatankować paliwa, i zgasiła silnik. Zerknęła na tylne siedzenie, zgarnęła leżącą tam butelkę whisky i wysiadła.

Oparła się o maskę, odkręciła zakrętkę i pociągnęła hojny łyk. Nie żeby mogła się upić, ale smak przecież czuła. I ciepło. Przyjemne ciepło alkoholu, który mógł rozgrzać jej martwe wnętrze przynajmniej na krótka chwilę. Jednak nie niwelował chłodu do końca. Nic nie było w stanie tego zrobić.

Pociągnęła jeszcze jeden łyk, odstawiła butelkę na ziemię i zaczęła obchodzić mustanga. Rozglądała się po okolicy z zainteresowaniem zbłąkanego turysty, wodząc spojrzeniem po kruszejącym tynku na froncie stacji, po ciągnących się kilometrami polach za budynkiem. I po lesie. Był jeszcze las. Drzewa wyglądały niczym stojący na baczność żołnierze, nie wiadomo tylko, czy czekający na sygnał do ataku, czy może strzegący czegoś skrytego za ich plecami. To niemal kompletna głusza, skonstatowała Nayhija, podobna do tej, w której…

– Niezła bryka, księżniczko. – Usłyszała gdzieś z lewej.

Odwróciła głowę w tamtą stronę. Zobaczyła czterech chłopaków, chudych i wysokich. Każdy miał długie przetłuszczone włosy i to samo rozbiegane, nerwowe spojrzenie. Ćpuny. Opuszczona stacja benzynowa była pewnie ich tymczasowym domem bądź miejscem na balangi. A może jednym i drugim.

– Wracajcie do swojej nory, zanim ktoś przetrąci wam łapy – powiedziała nonszalancko Nayhija.

Ich odpowiedzią był śmiech. Jeden uniósł ręce i zamachał nimi w parodii strachu, dodatkowo mamrocząc „uuu”.

Krzywy uśmieszek rozciągnął wargi Nayhiji i równocześnie kątem oka zobaczyła, jak zza budynku wyłania się dwóch następnych chłopaków. Ci wyglądali na nieco starszych, właściwie byli już mężczyznami, ale prezentowali ten sam styl bezdomnego narkomana. Skórzane kurtki

zwisały im z patykowatych ramion, przykrótkie spodnie odsłaniały kostki.

– Wyskakuj z forsy, koleżanko. Samochód też jest nasz. Wrócisz spacerkiem do domu – powiedział jeden z nich. Miał czerwoną bandanę na nadgarstku i bliznę na szczeciniastym policzku. Była szpetna, poskręcana, ciągnęła się aż do szczęki.

– A jak będziesz robić problemy, potniemy ci tę śliczną buźkę – uzupełnił drugi i zamachał ręką, w której pojawił się nóż. Ostrze błysnęło w świetle zachodzącego słońca.

Nayhija odrzuciła głowę i zaczęła się śmiać.

– Wy tak na serio? – spytała.

– Słyszałaś, wyskakuj z forsy! – powtórzył ten z blizną i zbliżył się do Nayhiji. Pozostali poszli w jego ślady, okrążając ją ciasnym pierścieniem.

Uśmiech nie schodził z twarzy Nayhiji. W jej oczach migotało rozbawienie, pod którym jednak kryła się nienawiść. Oni wszyscy, cała szóstka… Słyszała ich myśli, ich pragnienia. Ludzie? To nawet nie były zwierzęta. Zwierzęta nie są zdolne do tak bezmyślnego okrucieństwa, do sadyzmu. To były bestie, których miejsce jest w piekle. A ona chętnie ich tam zaprowadzi.

– Bo co? Zabijecie mnie?

– Jak będzie trzeba, to, kurwa, owszem – odparował ten z nożem.

Nayhija westchnęła z politowaniem.

– Czyny, nie słowa – rzekła i kopnęła w goleń chłopaka stojącego najbliżej.

Ten krzyknął i się zachwiał. Nie upadł, choć gołym okiem było widać, że złamała mu nogę. Tyle że chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Morfina, heroina albo kodeina, tym był naszprycowany. Redukowały ból, przynajmniej w tej chwili. Jutro nie będzie w stanie chodzić. Zakładając, że jest dla niego jakieś jutro.

– Ty dziwko! – warknął ten z nożem i rzucił się na Nayhiję, która nie wykonała żadnego ruchu, zupełnie jakby na to czekała.

Złapał ją za bark, przyciągnął i wbił ostrze w brzuch, idealnie wybierając miejsce. Takie rany były zazwyczaj śmiertelne. A na wypadek, gdyby ta się taką nie okazała, docisnął nóż i przekręcił, poszerzając ją, zmieniając w otwór, przez który krew zaczęła wypływać szerokim strumieniem. Skapywała po jego dłoni i jej nodze, ciepła, lepka.

Nayhija spojrzała w dół. Na jej twarzy odmalowało się udawane zaskoczenie i coś jakby satysfakcja.

– Auu – powiedziała teatralnym głosem. Chwyciła rękę z nożem, wyszarpując go z brzucha i brutalnie wykręciła chłopakowi nadgarstek. Łamane kości chrupnęły z trzaskiem, a on zawył.

Jasnowłosy ćpun o twarzy przypominającej mysi pyszczek obserwował rozszerzonymi strachem oczami, jak rana w boku Nayhiji zasklepia się i znika bez najmniejszego śladu. Podobnie sukienka – materiał w jednej chwili stał się na powrót nieuszkodzony, a plama krwi po prostu wyparowała. Z jego piersi dobyło się zduszone:

– O ja cię pierdolę!

Nayhija zdmuchnęła spadające na oko pasmo włosów. Jej uśmiech błysnął ze zdwojoną siłą, ukazując szereg równych zębów. Trochę zbyt ostrych.

– No to teraz możemy się zabawić – powiedziała i wyskoczywszy w powietrze, kopnięciem złamała kark chłopakowi z blizną na policzku. Ten ruch był błyskawiczny, wręcz nadnaturalny. Żaden człowiek nie był zdolny do rozwinięcia takiej prędkości.

Widząc to, dwóch chłopaków zrezygnowało z walki i rzuciło się do ucieczki. Jednym z nich był ten ze zmiażdżonym nadgarstkiem. Pozostali rzucili się na Nayhiję. Ćpun ze złamaną nogą też próbował, ale kończyna nie wytrzymała jego ciężaru i padł na twarz. Nayhija wbiła mu nóż w kręgosłup, przebiegła po jego plecach, skoczyła na chłopaka z tatuażem na szyi i powaliła

go na ziemię.

– Jakieś ostatnie słowo? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła kciukami jego gałki oczne, wpychając je do wewnątrz.

Chłopak zaczął wrzeszczeć, ale zaraz umilkł. Nayhija odjęła ręce od jego twarzy, rozglądając się za kolejną ofiarą, przez co głowa napastnika przechyliła się na ramię. Czarne oczodoły zdawały się spoglądać na białego forda mustanga z pośmiertną zgrozą.

Chłopak w spodniach w kratę rzucił w Nayhiję kamieniem, spudłował, rzucił jeszcze raz z tym samym rezultatem i puścił się pędem za uciekającymi kumplami.

Cała trójka rozbiegła się w przeciwnych kierunkach. Nayhija podniosła się z ziemi i obserwowała ich z wystudiowaną zadumą na twarzy, jakby zastanawiając się, za którym pobiec. Jednak zamiast ruszyć z miejsca, szepnęła:

– Stójcie.

Cała trójka upadła jednocześnie niczym kręgle zbite kulą, i zaryła twarzami w ziemię; wiatr przyniósł do uszu Nayhiji parę przekleństw, które dobyły się spomiędzy ich dzwoniących zębów. Rozejrzeli się z oszołomieniem i zaczęli podnosić, chcąc wznowić ucieczkę.

Jednak nie było im to dane.

Na chłopaka noszącego spodnie w kratę spadła gałąź, która rozpruła mu brzuch. Jego kumpel, który uciekał w stronę autostrady, najpierw sam się spoliczkował, następnie jego prawa ręka zacisnęła się na szyi, miażdżąc krtań; było widać, że jego twarz sinieje, a oczy wychodzą mu z orbit. Ostatni natomiast skończył w charakterze kolacji potężnego basiora, który wybiegł spomiędzy drzew. Warcząc, rzucił się chłopakowi do gardła i je rozszarpał. Jego bulgoczące krzyki przez chwilę przecinały zastałą ciszę, wreszcie urwały się i dało się słyszeć tylko mlaskanie i żucie.

Nayhija z zadowoleniem patrzyła, jak wilk się pożywia, następnie przeniosła wzrok na chłopaka, któremu wbiła nóż w kręgosłup. Jego nogi podrygiwały konwulsyjnie, palce trzepotały w drgawkach. Cmokając z niesmakiem, podeszła do niego, wyrwała nóż i wbiła go ponownie, tym razem precyzyjniej wymierzając w cel. Drgawki ustały, trzepotanie również. Szósty i ostatni do parku sztywnych, pa, pa.

Otrzepała ręce i zlustrowała okolicę. O jeden z podniszczonych dystrybutorów, ten stojący nieco na uboczu, opierał się mężczyzna w garniturze. Mężczyzna w czerni. Widząc, że go dostrzegła, powoli zaklaskał w dłonie. Następnie rzekł:

– Właśnie dlatego zawsze jestem w pobliżu, kochanie.

Nayhija parsknęła.

– Kręci cię podglądanie?

– Raczej rozrywki, jakie zajmują cię w wolnym czasie – sprostował. Włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął z niej srebrną papierośnicę. Otworzył ją, wydobył jednego papierosa – dłuższego niż normalne, w kolorze jego garnituru – i odpalił, przytykając doń czubek palca, który buchnął płomieniem. – Fenomenalnie sobie dobierasz towarzystwo do zabawy – dodał przez kłęby sinoniebieskiego dymu.

Nayhija rzuciła mu obojętne spojrzenie i podeszła do mustanga. Podniosła otwartą butelkę whisky, wzięła łyk i wyciągnęła ją w stronę mężczyzny.

Ten pokręcił głową.

– Napiję się z tobą, gdy zamkniesz sprawę obecnego klienta. – Zamilkł na chwilę, uważnie lustrując jej twarz w poszukiwaniu oznak zwątpienia, najmniejszego grymasu czy choćby mrugnięcia powiek. – Chyba że jednak zmieniłaś zdanie?

Nayhija odrzuciła butelkę, uniosła brodę i spojrzała na niego wyniośle.

– Ja nie zmieniam zdania – powiedziała. Z jej palca spłynęła iskra, zapalając rozlewającą

się po betonie whisky.

– No tak, konsekwentna w swym dziele zniszczenia. – Mężczyzna w czerni strzelił ledwie nadpalonym papierosem, wzrokiem śledząc jego lot. Jarzący się koniec wyglądał jak świetlik na tle przechodzącego w głęboki granat nieba. – Zabiorę się z tobą, jeżeli nie masz nic przeciwko – powiedział, podchodząc do Nayhiji.

– Nie jadę do firmy – odparła.

Patrzyła na niego z nieprzeniknioną miną, opierając się o otwarte drzwi samochodu. Ogień za jej plecami tańczył jeszcze chwilę, wreszcie zgasł.

– Ja też nie. Mam sprawę do załatwienia w centrum. – Mężczyzna w czerni rozsiadł się w fotelu pasażera i przejechał dłonią po desce rozdzielczej. – Nie dziwię się, że chcieli ci go zabrać. Masz dobry gust, to piękna maszyna.

Nayhija skinęła głową w bezgłośnej odpowiedzi: „Tak, wiem", i również wsiadła do auta. Odpaliła je tak jak za pierwszym razem, wkładając paznokieć do stacyjki, i ruszyła z piskiem opon.

Okolica znów opustoszała. Wilk zniknął, pozostały tylko ciała martwych chłopaków. Zapach mroźnego wiatru. I ciężka woń siarki.

Księżyc wychynął zza chmur i zawisnął na wieczornym niebie niczym srebrna czaszka. Oświetlał trupy widmowym blaskiem, malował niespokojnym światłem karoserię znikającego w oddali mustanga.

15.

Czekając, aż mąż wróci z pracy, Linda postanowiła przetestować działanie ofiarowanych przez tę ekscentryczną kobietę ziół. Z początku się wahała, lecz ciekawość zwyciężyła. Poza tym, czy mógł ją zabić kubek cholernej herbaty? No tak, w zasadzie mógł, tyle że ona i tak umierała. Choć jeśli wierzyć temu, co wyczytała w kontrakcie, jej umieranie było chwilowo zawieszone. Nie znaczyło to bynajmniej, że była zdrowa. Nie, nie. Jeżeli Fundacja Ostatniej Szansy jednak postanowi wyleczyć ją z raka, stanie się to dopiero za trzydzieści dni. Na razie musiała po prostu… przetrwać.

Zioła okazały się niezwykle aromatyczne i bardzo smaczne. Może to tylko efekt psychologiczny – właściwie na pewno tak było – ale po wypiciu pierwszego kubka poczuła się znacznie lepiej. Nie żeby do tej pory rak dawał się jej mocno we znaki, nie licząc tego paskudnego kaszlu, ale to było tak, jakby w żołądku rozlało się jej ciepło, z którego organizm czerpał siłę. Bardzo przyjemne doznanie.

Linda wstawiła zapiekankę do piekarnika, tryskając szemranym optymizmem, i zerknęła na zegarek. Do powrotu Adama została mniej więcej godzina, czyli mogła się polenić. Kolację miała z głowy, a z racji wakacji – tutaj ponownie pochwaliła się za rezygnację z letnich kursów – cieszyła się przerwą w pracy, więc nic nie stało temu na przeszkodzie. Wakacje, ach, wakacje. To jeden z niewątpliwych plusów bycia nauczycielem, pomyślała, wychodząc z kuchni.

Planowała poczytać książkę i zaczęła wchodzić na piętro, by zabrać ją z sypialni, ale po chwili się rozmyśliła. Przygryzła dolną wargę, przystanęła na schodku, tknięta bliżej nieokreślonym impulsem i zawróciła. Poszła do gabinetu Adama, przycupnęła na skraju fotela i włączyła komputer. Wpisała w Google „Fundacja Ostatniej Szansy” i kliknęła w pierwszy link. Tak jak poprzednim razem ekran błysnął czarnym tłem, na który wpłynęło obracające się czerwone logo. Linda była coraz bardziej przekonana, że widać w nim widły. Jednak zamiast znajomego pytania – „POTRZEBUJESZ NASZEJ POMOCY?” – pokazało się inne, a ona poczuła, że coś w niej zaczyna krzyczeć.

„CZY UFASZ SWOJEMU MĘŻOWI?”

Przełknęła ślinę, odświeżyła stronę, wmawiając sobie, że to po prostu jakiś błąd, żart hakera. Ale to nie było nic z tych rzeczy. Z ekranu w dalszym ciągu łypały na nią te same cztery słowa.

– Czy ufasz swojemu mężowi? – powtórzyła Linda chrypliwym szeptem, czując, że gardło wyschło jej tak jak podczas spotkania z Nayhiją Marą. Zakładając, że kobieta podała jej prawdziwe dane.

Nie widząc żadnego linku, w który mogłaby kliknąć, wcisnęła „Enter” i została przekierowana do menu. Zakładka „O nas” była pusta. Wszystkie inne również. Zewsząd zionęło tylko to jedno jedyne pytanie.

Linda zamknęła oczy, przejechała rękoma po twarzy i spojrzała ponownie na ekran. Jakoś tak wbrew podpowiedziom zdrowego rozsądku liczyła, że wszechobecne pytania znikną i powróci normalna wersja strony. Ale tak się nie działo.

A ona nagle uwierzyła. We wszystko. W fundację, ich niekonwencjonalne metody „pomocy”. W to, że ją wyleczą… jeżeli tylko jej mąż dochowa wierności. Wiedziała, po prostu wiedziała, że to prawda.

I zaczęła się bać.

Nie ich. Jego. To Adam był niewiadomą. Od niego zależało jej zdrowie, jej życie. Złożyła

je na szali, bezgranicznie zawierzając drugiemu człowiekowi, podczas gdy tak naprawę nawet siebie nie można było być do końca pewnym. Początkowo wydawało się to niegroźnym, całkiem niezłym pomysłem, jednak im dłużej myślała…

Nigdy wcześniej nie kwestionowała wierności Adama, brała ją za pewnik. Ufała mu. Jednak czy słusznie? Czy przedłużające się godziny pracy były przeznaczone tylko dla kolejnych pacjentów? A może miał kogoś, może ukrywał romans już od wielu miesięcy? Z jakąś szczególnie fascynującą pacjentką, z intrygującą kobietą poznaną przypadkiem na ulicy? Niby nic na to nie wskazywało, ale przecież takie rzeczy zawsze wychodzą na jaw, gdy jest już za późno.

Czy ufasz swojemu mężowi?

Bojąc się, że zaraz zacznie naprawdę krzyczeć, wyłączyła komputer i ostrożnym krokiem osoby nękanej przez duchy poszła do kuchni. Wino. Wino było tym, czego w tej chwili potrzebowała.

Z kieliszkiem w ręce rozsiadła się w fotelu, nerwowo spoglądając na zegarek i odliczając minuty pozostałe do powrotu męża. A te zdawały się ciągnąć jak guma. Czas jest plastycznym tworem, pomyślała i zachichotała.

Początkowy plan zakładał wypicie dwóch, góra trzech lampek. Jednak plan nie wypalił i Linda wypiła całe wino. Jakaś obumierająca w zastraszającym tempie, trzeźwo rozumująca część jej *Ja* zwróciła uwagę, iż nie jest to pierwszy raz, gdy wypija do dna butelkę, którą otworzy, że po prostu nie potrafi już przestać, dopóki alkohol się nie skończy. Mówiła jeszcze, że niedługo nawet to jej nie powstrzyma, że Linda zacznie wychodzić z domu choćby i w środku nocy, że może nawet zacznie jeździć po pijaku, bo alkohol będzie się kończył za szybko. Ale ona udawała, że nie słyszy. Przecież miała prawo się napić, cholera! Była w Bardzo Ciężkiej Sytuacji, umierała za życia i tylko od jej męża zależało, czy przestanie.

A jej mąż się spóźniał.

Mogła zadzwonić i spytać, co go zatrzymało, jednak nie miała śmiałości. Nie potrafiła, za bardzo się bała. Nagle nabrała pewności, że tym telefonem w jakiś sposób przeistoczy swoje paranoidalne podejrzenia w rzeczywistość, że nada im realny wymiar. Siedziała więc, martwym wzrokiem wpatrując się w wyłączony telewizor, i obracała w głowie coraz to straszniejsze scenariusze.

Kiedy zamek w drzwiach wreszcie zgrzytnął, Linda była już nieźle wstawiona. Zapiekanka stygła na stole w kuchni, muzyka grała, a gdzieś w powietrzu unosił się delikatny zapach ziół i czegoś, jakby mroźnego wiatru.

16.

W drodze do domu Adam przywołał w pamięci spotkanie z Nayhiją. Z jakichś względów go zaintrygowała. Nie na tle seksualnym – w każdym razie nie świadomie – choć oczywiście była bardzo ładna, ale… Po prostu go zaintrygowała. Było w niej coś takiego, trudno sprecyzować, co dokładnie. Adam nigdy wcześniej nie spotkał się z podobnym rodzajem, hm… wibracji. I jeszcze ta wzmianka o tym, że szukała psychoterapeuty. Ciekawe z czym się borykała. Trauma? Uzależnienie? Nie miał pojęcia. Wyglądała na taką sympatyczną dziewczynę, szkoda, żeby sama męczyła się z tym, co ją gryzło. Jeśli wciąż gryzło.

Zaparkował na podjeździe, wysiadł i pomyślał, że jeśli Linda znów sobie golnęła, będzie musiał z nią porozmawiać. Zamiłowanie do wina to jedno, ale ostatnimi czasy jego żona zbliżała się powoli do zatarcia tej subtelnej granicy między degustacją a pijaństwem. A on zaczynał się martwić. I wiedział, że picie nigdy nie bierze się znikąd. To nie problem sam w sobie, tylko sposób na maskowanie kłopotów. Jeden z najgorszych.

– Kochanie? – zawołał od progu.

Do jego nozdrzy doleciał zapach przypalonej potrawy, chyba zapiekanki. Ale było też coś jeszcze, coś, czego nie potrafił zidentyfikować.

– No wreszcie. – Linda wyjrzała z salonu, zalotnie opierając się o futrynę. Włosy miała upięte, co eksponowało jej smukłą szyję i ramiona. Dżinsowe szorty były bardzo krótkie, kuszące. Opalone nogi wyglądały w nich niesamowicie ponętnie, lakier na paznokciach bosych stóp miał krwistoczerwoną barwę. – Gdzie byłeś tak długo? – Słowo „byłeś” zabrzmiało jak „bhyłeśś”. Piła.

– Drobne przesunięcie w grafiku. I korki – wyjaśnił, poluźniając krawat. – Ale widzę, że wiedziałaś, jak umilić sobie oczekiwanie.

Linda spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma i zaraz zarumieniła się po koniuszki włosów.

– Że co, że wypiłam wino? – zaperzyła się, krzyżując ręce na piersi. Aha, zamknięta postawa. Pięknie, coraz lepiej.

– Któryś wieczór z rzędu – powiedział ostrożnie. – Myślę, że…

– Gówno myślisz! – warknęła, robiąc krok w jego kierunku. – Coraz później wracasz, tłumaczysz się pracą, ale w gruncie rzeczy nic mi nie mówisz. Wiesz, jak ja się czuję? Pomyślałeś o tym? Siedzę tu sama, podczas gdy zostało mi tak mało… – Urwała i zacisnęła usta, aż zmieniły się w bladą kreskę.

– Tak mało czego, Lindo? – zainteresował się Adam. Patrzył na nią spod zmarszczonych brwi, nagle zapominając, że był głody i zmęczony. Tu się coś działo, coś niedobrego.

– Czasu! – zawołała Linda. – Cholernego czasu do końca wakacji!

Adam spojrzał na nią nieco ogłupiały.

– Skarbie, wakacje dopiero się zaczęły.

– Ale ty nawet nie zauważysz, jak się skończą! – Podeszła do niego, wykonała ruch, jakby chciała złapać go za klapy marynarki i potrząsnąć, ale rozmyśliła się i tylko stała, wbijając w niego płonące spojrzenie.

Adam rozważał jej słowa w milczeniu. Faktycznie, ostatnimi czasy w domu bywał ledwo gościem. Obłożył się pracą, spychając życie osobiste na boczny tor i, jak widać, to było kiepskie posunięcie. Ranił Lindę, to przez niego otwierała następną butelkę wina. Bo czuła się samotna, odtrącona.

Czy mógł ją za to winić? Nonsens. Czy powinien zasugerować jej jakieś hobby, coś, co zajmie czas, którego z nią nie dzielił? Jeszcze gorzej. Linda miała zainteresowania, miała też swoje intymne życie pełne marzeń i ambicji. Jednak była domatorką, posiadała niewielu przyjaciół, ostrożnie ich dobierała, bo liczyła się dla niej jakość, nie ilość. Ceniła sobie spokój, ciszę będącą odskocznią od zgiełku szkoły, w której pracowała. Gdy zamykała za sobą drzwi, potrzebowała nie tylko wytchnienia, ale i towarzystwa osoby, którą kochała. Jego towarzystwa. A on jej tego odmawiał. Pomagał wszystkim wokół, zapominając, że w pierwszej kolejności powinien troszczyć się o własną żonę.

– Jeżeli chcesz, możemy wyjechać i trochę odetchnąć. Choćby i zaraz – zaproponował. – Gdzie tylko sobie zażyczysz, stać nas. Wybierz miejsce, ja zarezerwuję bilety, wszystkim się zajmę.

Linda patrzyła podejrzliwie, lustrując jego twarz, doszukując się oznak kłamstwa czy Bóg wie czego jeszcze. Wreszcie rozpogodziła się, gniewnie wydęte wargi zastąpił uśmiech.

– Potem ustalimy szczegóły, na razie powinieneś coś zjeść. – Odwróciła się i majestatycznie ruszyła w głąb holu.

Widząc, jak mija kuchnię i idzie dalej, mógł niemal odczytać jej myśli: Sam sobie nałóż, podgrzej i pozmywaj. Ja nadal jestem na ciebie zła. Adam zaśmiał się, kręcąc głową i myśląc, że te pozorowane dąsy małej dziewczynki są dla niej takie typowe. Zdjął marynarkę, po niej krawat, a później poszedł na mocno spóźnioną kolację.

Mimo że przypalona, zapiekanka była naprawdę dobra, w końcu jego żona potrafiła gotować. Adam zjadł podwójną porcję, którą popił wymyślną herbatą znalezioną w szafce. Jak widać to nowe odkrycie Lindy. Smak miała przyjemny, była orzeźwiająca, rozgrzewała.

Wstawiwszy naczynia do zmywarki, poszedł do gabinetu. Wiedział, że Linda jest w środku. Słyszał ją. Zdaje się, że oglądała coś na YouTubie.

Gdy wszedł, Linda odwróciła się i posłała mu ten swój uśmiech, który tak kochał. Następnie wstała, wyjęła z włosów spinkę, potrząsnęła głową, żeby się rozsypały i niemal tanecznym krokiem ruszyła w jego kierunku. Tak chodzą striptizerki, uzmysłowił sobie Adam. I nagle poczuł się podniecony jak chyba nigdy w życiu.

– Przepraszam, że tak się uniosłam – wymruczała Linda, rozpinając mu koszulę. – Po prostu… Tak bardzo… Za tobą tęsknię.

Adam stęknął, gdy przesunęła mu dłonią po kroczu, i wpił się ustami w jej usta. Jedną ręką chwycił ją za włosy, drugą objął w talii, przyciągając ku sobie. Jej palce nieprzerwanie manipulowały przy rozporku, gdy Adam pociągnął ją w stronę długiego biurka, na którym piętrzyła się sterta papierów. Rzucił na nie Lindę, a kartki posypały się na podłogę, zepchnięte jej pośladkami.

Całował ją, wodził językiem po jej rozpalonym ciele, jednocześnie zdejmując z niej ubranie. Właściwie to je zdzierał. Szwy szortów zatrzeszczały, gdy w pośpiechu zsuwał je z nóg żony. Zadarł koszulkę i zamiast ją ściągnąć, schwycił i rozerwał. Materiał poddał się z łatwością, ukazując nagie piersi ze sterczącymi sutkami. Adam zaczął ssać jedną, drugą skubiąc palcami. Linda zamruczała, włożyła mu dłoń w bokserki i chwyciła penisa. Parę razy przesunęła ręką w górę i w dół, a kiedy Adam silniej naparł na nią z wiadomym zamiarem, odsunęła go, spełzła z biurka i uklękła.

Polizała żołądź, następnie wzięła go całego w usta i zaczęła rytmicznie poruszać głową. Pomagała sobie jedną ręką, drugą pieściła jądra. Adam przymknął powieki i poddał się zalewającej go fali przyjemności. Czuł jej wargi, to, jak ciasno go obejmują, ich ciepło i wilgoć. Jęknął, gdy dłoń Lindy zacisnęła się mocniej, a później wplótł palce w jej włosy.

Doznania były coraz intensywniejsze, zaczynało mu się od nich kręcić w głowie. Linda

przyspieszyła w odpowiedzi na jego jęki i sapanie. Adam spojrzał w dół… i osłupiał. To nie była Linda. Klęczącą przed nim kobietą była Nayhija.

– O Boże – stęknął, spoglądając w jej zielone oczy.

I zaraz stracił kontrolę.

Nad wszystkim.

Pociągnął ją za włosy, odsuwając na odległość ramienia, na co ona odpowiedziała lubieżnym uśmiechem. Przez chwilę tylko patrzyła, oblizując usta, a Adam poczuł, że wychodzi z ciała i staje się kimś innym. Samym instynktem. Pragnieniem tak wielkim, że nie sposób z nim walczyć.

Schwycił Nayhiję za ramiona, podniósł z ziemi i przywarł do niej ustami. Całował jej twarz, szyję, piersi. Robił to agresywnie, z pasją, jakiej wcześniej nie znał. Nayhija wiła się pod jego dotykiem, mrucząc jak kotka. Jej palce wędrowały po ciele Adama, czuł szorujące po skórze paznokcie i muskające go zęby.

– Chcę, żebyś mnie pieprzył – szepnęła, gryząc go w ucho. – Bardzo, bardzo ostro.

Adam rozsunął jej nogi i wsunął w nią dwa palce. Pieścił chwilę, rozkoszując się jej pojękiwaniami. Nayhija zaczęła poruszać biodrami, potęgując swoje doznania. Bladoniebieskie światło monitora kładło się na jej ciele, zalewało je widmowym blaskiem. Przez cały czas patrzyła mu w oczy, bezczelnie, hardo, wyniośle. Było w tym coś szalenie podniecającego. Widział, jak przy każdym ruchu kołyszą się jej piersi, i to kręciło go jeszcze bardziej.

Podrażnił ją jeszcze chwilę, cofnął rękę, a potem okręcił Nayhiję, obracając ją do siebie tyłem. Klepnął jej pośladek i przycisnął dziewczynę do biurka. Wszedł w nią mocno i zaczął pieprzyć dokładnie tak, jak sobie tego życzyła. Poruszał się, pchając szybko, głęboko, drugą ręką stymulując łechtaczkę.

Zatracał się w tym, odpływał. To nie był seks, to było coś… jakiś pradawny, zakazany rytuał, za który idzie się prosto do piekła. Ale jakie to miało znaczenie, skoro było mu tak dobrze? W niej. Z nią.

Naparł mocniej, zatapiając palce w tych długich ciemnych włosach. Uderzał biodrami o jej pośladki z coraz większą zapalczywością, czując, jak pot wstępuje mu na czoło. Nayhija oparła dłonie o ścianę, dysząc, a po chwili to dyszenie zmieniło się w krzyk. W następnej sekundzie on również krzyczał. Pchnął jeszcze raz i znieruchomiał.

Nie chciał z niej wychodzić, było mu tak dobrze. Ten orgazm to była najwyższa ekstaza, ledwie mógł ustać na nogach.

– To było… wow – powiedziała Nayhija głosem Lindy.

Adam zamrugał i spojrzał na kobietę, którą miał pod sobą.

Linda. To była Linda. Przez cały ten czas.

Jezu, co było w tej herbacie?, zastanowił się, czując jakieś nieuzasadnione poczucie winy. No dobrze, może jednak nie aż tak nieuzasadnione, ale…

– Wszystko w porządku? – spytała żona, kładąc mu rękę na ramieniu.

Policzki miała zarumienione, oczy jej iskrzyły. Lubił to, jak wyglądała po seksie. Tyle że teraz… och, niech to szlag.

– W najlepszym – skłamał, całując ją w czoło. – Co powiesz na wspólny prysznic?

– Jestem za.

Gdy wychodzili z gabinetu, wzrok Adama prześlizgnął się po oknie. Na parapecie na zewnątrz siedział czarny kot. Patrzył na nich. Obserwował. Jego zielone ślepia błysnęły w mroku.

Ich kolor coś mu przypominał.

Część druga

Kuszenie Adama

A wąż był bardziej przebiegły niż wszystkie zwierzęta lądowe, które Pan Bóg stworzył. On to rzekł do niewiasty: „Czy rzeczywiście Bóg powiedział: Nie jedzcie owoców ze wszystkich drzew tego ogrodu?”

Biblia Tysiąclecia

1.

Gdy Linda się zbudziła, druga połowa łóżka była pusta. Aż tak długo spała? Przeciągnęła się, przekręciła głowę, spoglądając na budzik i przekonała się, że jest grubo po jedenastej. Nieźle. Adam od mniej więcej godziny był w pracy, a ona odgrywała śpiącą królewnę. W sumie to mogła, wręcz jej się to należało. Odsypiała stres, tak, dokładnie. To było to.

Poleżała jeszcze chwilę i wygrzebała się z pościeli. Narzuciła szlafrok i poszła pod prysznic, zastanawiając się nad wydarzeniami wczorajszego wieczoru. Rzeczywiście głupio naskoczyła na męża. Była gotowa ukręcić mu łeb, bo

(powiedział jej, że za dużo pije)

spóźnił się na kolację, którą i tak przypaliła. Zachowała się jak egoistka i paranoiczka. Ale były i dobre strony. Seks. Obłędny. Niezapomniany. Gdyby nie to, mógłby nie być taki dziki, pełen tej szczególnej pasji. Nie żeby mieli jakieś problemy w łóżku, jednak tym razem… To było coś innego.

A może ta pasja wynikała z faktu, że myślał o innej kobiecie?

– Och, na litość boską! – Linda złapała ręcznik i rzuciła nim przez całą długość łazienki.

Takie chore myślenie donikąd jej nie zaprowadzi. Chyba że na fotel Adama w charakterze pacjentki. Wiedziała to, oczywiście, że wiedziała. Ale i tak nie mogła od takiego myślenia uciec.

Czy ufasz swojemu mężowi?

Przygotowując śniadanie, zauważyła, że Magiczne Zioła, jak zaczęła o nich myśleć, są przestawione w inne miejsce. Ach, więc jej mąż też się nimi poczęstował. Pewnie stąd ten wybuch namiętności u nas obojga, uznała, muszą w nich być substancje stymulujące lub coś takiego. Tyle że Adam nie miał raka i nie musiał ich pić. Jeszcze by się mu coś od tego stało. Linda stwierdziła, że bezpieczniej będzie schować je w jakieś mało widoczne miejsce. Należały do niej. Tylko do niej.

Zjadła jajecznicę, zaparzyła wspomniane zioła i zaczęła przeglądać oferty biur podróży. Hawaje, najchętniej wybrałaby się właśnie tam. Albo na Karaiby. Ale chyba jednak Hawaje.

Już wybierała hotel, gdy jej iPhone zasygnalizował nadejście maila. Linda odczytała tylko nadawcę – Fundacja Ostatniej Szansy – i w jej sercu rozlał się chłód. Zamknęła przeglądarkę, nagle tracąc zainteresowanie wyjazdem, i odczytała wiadomość:

Szanowna Klientko!

Przypominamy, że zgodnie z postanowieniami podpisanego przez ciebie kontraktu jesteś zobowiązana do pozostania w mieście na czas jego trwania (paragraf 9, ustęp 4). Niewywiązanie się z warunków kontraktu równoznaczne będzie z jego zerwaniem. W takim wypadku obowiązują kary umowne (paragraf 12, ustęp 2).

Pozdrawiamy i życzymy miłego dnia

Fundacja Ostatniej Szansy

– Kurwa – stęknęła Linda, odkładając komórkę na stół.

Siedziała tak chwilę, zdębiała, porażona. I wreszcie zrozumiała.

Hackerstwo, oczywiście. Handel danymi. Inwigilacja. Pewnie podpięli jej telefon pod te swoje śmierdzące programy, zainfekowali go wirusem śledzącym w chwili, gdy przysłali jej pierwszego maila lub coś w tym stylu. I teraz mieli wgląd do wszystkiego, co przeglądała. To samo zrobili z komputerem i telefonem Adama, była o tym przekonana. Świństwo, ale w dzisiejszych czasach robi tak większość firm.

Zwłaszcza tych, które mają w logo widły, prawda?

Chłód Lindy sięgnął głębiej. Co mogła zrobić? Pozwać ich? Śmiechu warte. Ze wszystkiego by się wyłgali. Ich prawnicy pewnie łykali takie pozwy na śniadanie. Zresztą, Chryste, to mógł być zwykły zbieg okoliczności. Mało prawdopodobne, ale jednak mógł. Takie mailowe przypomnienie, które wysyłali klientom, na wypadek gdyby zapomnieli, co podpisali w przeczytanym wcześniej kontrakcie grubości cholernej książki telefonicznej.

Linda ponownie sięgnęła po telefon, chcąc odpisać Fundacji pełne zjadliwości „Dziękuję za przypomnienie", ale nie mogła. Mail nie zawierał adresu nadawcy. Nie było go. Po prostu go nie było. Niemożliwe. A jednak.

Dziwne, nie sądzisz? Przyznaj, coś tu śmierdzi. Może i faktycznie cię wyleczą, ale za jaką cenę? Pomyślałaś o tym?

Linda poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. W apteczce powinna mieć aspirynę, o ile nie zapomniała jej kupić.

Nie, nie zapomniała.

Łyknęła dwie i wróciła do kuchni. Krzątała się po niej, niby to bez celu, jednak w rzeczywistości walczyła ze sobą, z rodzącym się w niej pragnieniem. Wino. W szafce obok zlewu miała wino. Pyszne, kuszące. Czekało na nią. Wołało ją.

Linda podniosła iPhone'a i sprawdziła godzinę. Wpół do pierwszej. Kupa czasu. Adam zapewne znów pojawi się późnym popołudniem lub wieczorem. Nie pamiętała dokładnie, ilu pacjentów miał dzisiaj, ale wątpiła, że wróci na lunch, prawie nigdy tego nie robił. Mogłaby więc wypić dwie, góra trzy lampki. Potem wyszoruje zęby, przepłucze gardło Listerinem, zje coś, przejdzie się i już, po krzyku. Jej mąż niczego nie zauważy.

Dwie lampki, góra trzy, powtórzyła w myślach, to przecież nie zbrodnia.

Z takim postanowieniem otworzyła wino.

I wypiła całą butelkę.

2.

Linda naprawdę zachowuje się dziwnie, skonstatował Adam, zerkając na nią z ukosa. Najpierw robiła mu wyrzuty, że przez pracę zapomniał o wakacjach, a kiedy zaproponował, żeby wyjechali choćby i zaraz, ona wpierw zachwyciła się tym pomysłem, by równie szybko zmienić zdanie i oznajmić mu, że „na razie nie ma ochoty się nigdzie ruszać". Jezu, o co chodziło? Po co to wszystko?

Z dwojga złego przynajmniej dała się namówić na wyjście do klubu. I nie rozmyśliła się, nawet gdy powiedział, że będzie tam jego przyjaciel, Mike Hamilton. A to już było coś.

– To tutaj? – spytała, trącając go w ramię.

Adam zwolnił, przekręcił głowę i spojrzał na lazurowy neon migający na froncie ceglanego budynku. Ciekły Błękit, odczytał. Przed wejściem stało dwóch barczystych ochroniarzy w ciemnych garniturach. Jeden tłumaczył coś mulatce w obcisłym białym kombinezonie, drugi leniwie przepuszczał ludzi z kolejki. Mike miał gust co do lokali, trzeba mu to przyznać. W środku wszystko pewnie będzie wyglądać jak przeniesione z gali rozdania nagród muzycznych lub czegoś podobnego. Wnioskując po strojach stojących w kolejce gości, właściwie na pewno tak będzie.

– Tak, to tu – potwierdził, rozglądając się za miejscem parkingowym.

Znalazł je dopiero pół przecznicy dalej.

– Pięknie wyglądasz – ocenił, patrząc, jak Linda wysiada z auta i zaczyna obciągać sukienkę. Krótką. Połyskliwą. Seksowną. Szpilki i mocniejszy niż zwykle makijaż dopełniały dzieła. – Moja randko.

Linda uśmiechnęła się i cmoknęła go w kącik ust.

– Tylko nie zostawiaj mnie samej z Mikiem – zastrzegła.

Adam parsknął i objął żonę w pasie, prowadząc w stronę Ciekłego Błękitu.

– Boisz się, że cię aresztuje? – szepnął jej do ucha.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Po prostu za nim nie przepadam, okay? Jest twoim przyjacielem, w porządku. Moim być nie musi.

Uczciwie postawiona sprawa. Adam nie miał nic do dodania.

Weszli do środka po odstaniu kilku minut. Ciekły Błękit wyglądał mniej więcej tak, jak Adam się spodziewał. Krzykliwa elegancja rodem z imprezy gwiazd muzyki. Czarne połyskliwe ściany z kolorowymi świetlówkami, błyszczący parkiet, minimalistyczne instalacje z chromowanych rur, loże ze skórzanymi kanapami, szklane stoliki. Pachniało tu drogimi perfumami, jeszcze droższym alkoholem, blichtrem i hedonizmem. Wydajmy wszystko, co mamy, nie liczmy się z konsekwencjami. Istnieje tylko ta jedna noc, nic więcej.

Muzyka huczała, od basów drżały nawet kości, tak przynajmniej czuł Adam. Zerknął na Lindę i, widząc jej zachwycone spojrzenie, zrozumiał, że lokal jej się spodobał. To dobrze, nie będzie chciała zbyt szybko wychodzić. Przyda jej się trochę rozrywki, orzekł w duchu, właściwie to jest potrzebna nam obojgu.

Mike'a znaleźli przy barze na dolnym poziomie. Stał samotnie, rozglądając się wokół znad szklanki whisky. Koszulę miał niedbale rozpiętą pod szyją, włosy krótko przystrzyżone. Jego twarz z nieodzownym, dwudniowym zarostem kryła się w półcieniu, przez co brązowa skóra wyglądała na czarną niczym heban. Tylko oczy się świeciły – czujne, bystre, przenikliwe. Choć nie było tego widać, Adam był przekonany, że Mike ma przy sobie broń. I odznakę.

Zawsze je nosił, zawsze był w pracy, nawet gdy miał wolne. To dlatego żona się z nim rozwiodła.

Mike uśmiechnął się, gdy ich dostrzegł, i zawołał:

– Witam piękną parę!

Linda wymamrotała coś, co zabrzmiało jak: „Pewnie jest tu na jakiejś akcji" i zaraz odwzajemniła uśmiech, machając do Mike'a. Moja czarująca żona, Linda Dwie Twarze Hill, mruknął Adam w duchu.

– Sam? – powiedział na głos, podchodząc i klepiąc przyjaciela na powitanie. – Myślałem, że się z kimś umówiłeś.

Mike wzruszył ramionami.

– Zachorowała – odparł, trzepocząc w powietrzu palcami obu rąk, złożonymi na podobieństwo króliczych uszu.

– Jej strata. – Adam zatoczył łagodny łuk ręką, wskazując parkiet za plecami. – Rozejrzyj się, tu jest mnóstwo kobiet. Idź, oczaruj którąś.

– Czekam na tę wyjątkową. – Mike puścił oko i wypił swoją whisky do dna, pokazując barmanowi, że życzy sobie następną.

Adam zamówił piwo i chciał zapytać, czego napiłaby się Linda, ale zobaczył, że jej dłoń już otuliła długą szklankę z bladoróżową zawartością. Pewnie wóda z jakimś sokiem. Przez chwilę miał przemożną ochotę sprzedać jej jakąś umoralniającą gadkę o piciu, ale sobie darował. Na pewno by się przez to pokłócili i imprezę diabli by wzięli, a przecież nie o to tu chodziło. Poza tym po tamtym wieczorze, gdy

(kochał się z Nayhiją)

kochali się w jego gabinecie, Linda nie tankowała już wina. Chyba nie.

Adam upił łyk i się skrzywił. Piwo było dobre, jego myśli już nie. Cały czas powracały do Nayhiji. To zaczynało przypominać obsesję. Wspomnienie tamtej nocy było tak żywe, zupełnie jakby nie była to halucynacja, lecz coś, co zdarzyło się naprawdę. A on czuł się tak, jak gdyby faktycznie zdradził Lindę i poniekąd to zrobił. W swojej wyobraźni. Kurwa.

Pewnie dlatego wydawało mu się, że widział Nayhiję raz czy dwa, idąc do i z pracy. Poczucie winy i podświadome pragnienie. Potworna mieszanka. Mogła nieźle namącić w głowie. Ale chodziło też o coś jeszcze. Chciał ją zobaczyć. Chciał zobaczyć Nayhiję. A zarazem się tego bał.

– …na przykład na wyścigi? – usłyszał.

– Proszę? – spytał, zwracając twarz ku Mike'owi.

– Może byśmy poszli na jakieś wyścigi? – cierpliwie powtórzył przyjaciel. – Samochodów, motocykli, co ty na to?

Wyrwany z kosmosu własnych rozmyślań Adam z trudem zdobył się na jakąś sensowną odpowiedź. Wyścigi były dla niego w tym momencie piramidalną abstrakcją. Wszystko nią było.

– Cóż, możemy – rzekł ostrożnie. – Tylko muszę sprawdzić grafik.

Mike przewrócił oczami.

– Nie możesz psychoanalizować całego świata, stary. Musisz czasem pomyśleć o sobie.

– Też mu to powtarzam – wtrąciła Linda. Adam zerknął na jej szklankę i dostrzegł, że uporała się już z pierwszym drinkiem. Szybko. Za szybko.

Mike odchylił się i uśmiechnął przyjaźnie do Lindy.

– Jak ty wytrzymujesz jego pracoholizm?

Linda wzruszyła ramionami i zamówiła następnego drinka.

– Kocham go – powiedziała, tuląc się do Adama.

– Szkoda, że Sarze jakoś tej miłości nie starczyło – wymamrotał Mike i wbił spojrzenie

gdzieś w głąb górnego parkietu.

Gapił się tak dłuższą chwilę, aż Adam, zaintrygowany tym, na co patrzy jego przyjaciel, powiódł wzrokiem w tym samym kierunku. I zaraz zrozumiał, o co chodziło. Szczęka opadła mu jak kurtyna i mało brakowało, a wylałby na siebie piwo.

– Chryste – szepnął.

I gapił się razem z Mikiem jak urzeczony.

Bezimienny elektroniczny kawałek się skończył, a jego miejsce zajął nowy, coś z rapu z mocnym basem, który skojarzył się Adamowi z syreną alarmową. Oświetlenie komponowało się z muzyką, miejsce kolorowych rozbłysków zajęły obracające się długie białe snopy przypominające reflektory.

Tańcząca na piętrze brunetka podeszła do poręczy, przeskoczyła przez nią i zjechała po chromowanej rurze jednej z instalacji. Jej bluzka podjechała do góry i przez chwilę widać było fikuśny czarny stanik. Zeskoczyła na ziemię lekko i zwinnie; wylądowała na ugiętych nogach, a patrzący na to ludzie zaczęli gwizdać i bić brawo. Mike również klaskał, jednak Adam stał wrośnięty w parkiet, czując, że zmienił się w głaz.

To była ona.

Nayhija.

Przeszła kawałek, kołysząc i wywijając biodrami do rytmu walącej zewsząd muzyki. Zatrzymała się mniej więcej pośrodku parkietu, przetaczając głową z lewego ramienia na prawe. Snop światła położył się na niej, tworząc wokół włosów aureolę, nadając ciemnemu ubraniu niebieskiego poblasku. W tej chwili wyglądała po prostu idealnie. Przejechała rękami po ciele, ponownie zadzierając bluzkę, kusicielsko ukazując brzuch, i spojrzała przed siebie, wprost na Adama. Jej zielone oczy zapłonęły, usta wygiął lekki uśmiech.

Tańczyła, spajając się w jedność z muzyką. Każdy jej ruch był przemyślany, doskonały, a zarazem swobodny, niemal niedbały. Smukłe ciało wiło się i prężyło, oczy jaśniały nieprzerwanie tym magnetycznym blaskiem pod grzywą ciemnych włosów. Zdawało się, że jest tu tylko ona jedna, że wszystko dookoła zamarło.

– Na taką kobietę czekałem całe życie – wydusił Mike z zachwytem.

Adam zerknął na niego i z lekkim przestrachem odnotował, jak błyszczą mu oczy. Podejrzewał, że jego własne wyglądają identycznie.

Niski mężczyzna z cienkim wąsikiem i krzykliwym złotym zegarkiem wysforował się przed gapiów i zbliżył do Nayhiji. Było widać, że jest nieźle wstawiony, jego rozbujany krok i przekrwione spojrzenie mówiły same za siebie. Próbował wetknąć jej za pasek spodni parę dwudziestek, biorąc ją za striptizerkę i – wnioskując po gestach – namówić na prywatny pokaz. Brodaty facet obok nagrywał wszystko komórką, najpewniej przeświadczony, że na jego oczach rozgrywa się scena z jakiegoś filmu czy może wideoklipu. Właściwie trochę tak to wyglądało, w dużej mierze za sprawą tego rapowego kawałka.

Podpisałam kilka kontraktów, mogę was złamać – płynęło z głośników. – *Wcale się nie godzimy, nie potrzebuję mediatora*.

Nayhija złapała mężczyznę za nadgarstek, przyciągnęła i szepnęła mu coś do ucha. Jednocześnie wyrwała banknoty z jego ręki, które po sekundzie stanęły w płomieniach. Musiała mieć w dłoni zapalniczkę, tak, na pewno. Rzuciła facetowi na głowę płonące dolary i pchnęła go w pierś. Ten, zaskoczony, poleciał na stojących za nim ludzi i odbił się od nich jak kauczukowa piłka. Nayhija spojrzała na niego wyniośle, okręciła się na pięcie i odeszła, podczas gdy mężczyzna bełkotał coś, starając się zdusić kilka skupisk ognia wykwitłych na jego bordowej koszuli i włosach. Stojący pod ścianą ochroniarz niespokojnie obserwował całą scenę, mamrocząc coś do rękawa, ale nie miał odwagi podejść i zainterweniować w sensowny sposób.

Adam wcale mu się nie dziwił.

Mam kilka nawilżanych chusteczek, w razie gdyby przybłęda chciał mnie dotknąć. Fuj!

Jestem terminatorem, suko. Mów krótko, muszę ją wykończyć – wyrzucała z siebie wokalistka.

Nayhija powróciła do swych hipnotycznych ruchów; praktycznie wszyscy obecni w lokalu patrzyli na nią z niemym podziwem, jednak nikt nie śmiał podejść zbyt blisko, już nie. Wyglądało to jak połączenie tańca brzucha i czegoś etnicznego, jakby z karnawału w Rio lub jakiegoś plemiennego rytuału. I było obłędne. Nieziemskie. Ekstatyczne. Adam nigdy przedtem nie widział czegoś takiego – ba! – nie przypuszczał, że ktoś w ogóle może poruszać ciałem w taki sposób.

Orientując się, że stoi jak kołek od dłuższej chwili, odwrócił lekko głowę, chcąc zagadnąć Lindę, ale nigdzie jej nie było. Pewnie jest w łazience, skonstatował, i – niczym przyciągany niewidzialną siłą – ponownie przeniósł spojrzenie na Nayhiję. Niemal krzyknął, gdy zdał sobie sprawę, że stoi tuż przed nim.

– Cześć, Adam – powiedziała, uśmiechając się promiennie. Oczy jej iskrzyły, włosy miała lekko potargane, zupełnie jak wtedy, gdy…

– Hej – bąknął, czując żar docierający do policzków. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że o niej fantazjował. Jednak coś w sposobie, w jaki na niego patrzyła… Wyglądała, jakby była tego świadoma, jakby potrafiła zajrzeć w głąb jego duszy i odczytać te wszystkie zwierzęce pragnienia, z których nawet on nie do końca zdawał sobie sprawę.

– Ty ją znasz?! – zawołał Mike. Jego mina wyrażała głęboki szok.

Adam pokiwał ręką na boki.

– Tak jakby. Nayhija znalazła mój portfel.

– Portfel. – Mike szturchnął go łokciem w żebra. Na jego usta wypłynął cwany uśmieszek. – Chwytam, bracie.

– Zatańczymy? – Nayhija zapraszająco wyciągnęła rękę w stronę Adama.

– Ja chętnie z tobą zatańczę – wtrącił Mike, jednak dziewczyna go zignorowała. Wpatrywała się wyczekująco w Adama swoimi przeszywającymi zielonymi oczyma, nie sposób było nie ugiąć się pod siłą jej spojrzenia, nie ulec mu.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – powiedział Adam… i równocześnie zdał sobie sprawę, że ujmuje jej dłoń i daje się prowadzić w głąb parkietu.

Nayhija zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła tańczyć, szorując biodrami o przód jego spodni. Przywierała do niego coraz ciaśniej, po chwili się odsuwała… tylko po to, by zaraz znów się zbliżyć. To było podniecające, zmysłowe. Adam chłonął jej zapach, czuł ciepło jej ciała, łaskoczący go w szyję oddech.

– Miałam przeczucie, że cię tu spotkam – szepnęła mu do ucha.

– Przyszedłem tu z żoną – rzekł Adam i zaraz się skrzywił. Zabrzmiało to jakoś tak żałośnie, słowom zabrakło mocy, przekonania.

– Z Lindą – uściśliła Nayhija, a on rozdziawił usta.

– Wy się znacie? Skąd? – spytał, nie zauważając, że coraz mocniej obejmuje ją w pasie, że jego ręka zaczyna zjeżdżać niżej, wodząc po pośladkach Nayhiji w stanowczo zbyt poufały sposób.

– Niech sama ci powie. – Nayhija uśmiechnęła się tajemniczo i otarła się wargami o jego policzek.

Adam poczuł przyjemny dreszcz i rozpaczliwym wysiłkiem woli zdołał odsunąć od siebie Nayhiję. Miał wrażenie, że jeśli pozostanie zbyt blisko dziewczyny, jeśli będzie dotykał tego rozpalonego ciała choćby chwilę dłużej, przemieni swoje występne fantazje w rzeczywistość i

zacznie całować ją na środku parkietu, nie bacząc na to, że Linda może to widzieć i…

Jezu, Linda!

Adam rozejrzał się gorączkowo i kiedy zobaczył żonę, poczuł się, jakby dostał pięścią w brzuch. Stała przy barze, nieopodal Mike'a, i mordowała go wzrokiem. W jej zwężonych w szparki oczach płonęła najczystsza nienawiść i coś jeszcze, chyba… Tak, to był strach. Mike z kolei ledwie zauważalnie kręcił głową i wyglądał, jak gdyby próbował przekazać mu telepatyczne komunikaty ostrzegawcze.

– Muszę już… – zaczął, ale Nayhija uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

– Jesteś wolny, niczego nie musisz – powiedziała, gładząc go po twarzy, drugą ręką wodząc po torsie. – Chcesz tańczyć ze mną do rana, dotykać mnie, całować. Co cię powstrzymuje?

Chciał tego. Pragnął tego. Pragnął jej. Płonął z pożądania o natężeniu tak wielkim, że mogło odebrać zmysły. Tyle że coś się nie zgadzało. To było takie dziwne uczucie, zupełnie jakby coś wszczepiało w niego te pragnienia, każąc uznać za własne.

To nie było normalne.

Odkąd poznał Nayhiję, wszystko przestało być normalne.

– Muszę iść – powtórzył stanowczo i odepchnął ją od siebie. – Miłej zabawy.

Nie obejrzał się.

Dla własnego bezpieczeństwa.

3.

Ciekły Błękit był lokalem tak obszernym, że wracając z toalety, Linda omal nie zabłądziła. Skręciła nie w tę odnogę korytarzyka i zamiast na dolną salę, doszła do tylnego wejścia. Zaklęła pod nosem, zrozumiała, gdzie popełniła błąd, i wróciła na parkiet w samą porę, by zobaczyć, jak jej mąż obściskuje się z tą ekscentryczną kobietą z Fundacji Ostatniej Szansy.

Tak jak wtedy, gdy widziała ją pierwszy raz, tak i teraz Nayhija wyglądała piorunująco. W zwykłych czarnych dżinsach, koszulce z wydekoltowanymi plecami i trampkach robiła większe wrażenie niż wszystkie te wystrojone kobiety. Niebywałe. Kurwa, niewiarygodne.

W swojej drogiej, trzymanej tylko na Wielkie Wyjścia sukience Linda poczuła się nagle nijaka, nic nie warta. Staranny makijaż, misterna fryzura, wystrzałowe paznokcie i modne buty – to również nic nie znaczyło, nie przyćmiewało wrodzonego blasku tamtej. A wnioskując po maślanych oczach, jakie robił do niej Adam, ten blask był ogromny.

Czy ufasz swojemu mężowi?, pojawiło się w głowie Lindy, a ona struchlała.

Nie, nie ufała. Już nie.

Pokładać ślepą, bezgraniczną wiarę w drugim człowieku, to jak wbić sobie nóż w serce i go przekręcić. Czy naprawdę o tym nie wiedziała? Czy była aż tak naiwna?

Raźnym krokiem podeszła do baru, zaczekała, aż barman ją dostrzeże, zamówiła drinka i wypiła go dwoma potężnymi haustami. Czknęła, poprosiła o następnego, powtórzyła całą operację i odwróciła się twarzą do parkietu. Stojący obok Mike coś do niej mówił, ale zignorowała jego głupią gadkę. Nieruchome spojrzenie wbite miała w męża, zastanawiając się, czy jeszcze pamięta, że tu z nią przyszedł, czy w ogóle pamięta, że ma cholerną żonę.

Alkohol szumiał jej w głowie, ale nie koił myśli. Przeciwnie, zaostrzał złość, wynosił paranoję na wyższy poziom i zmieniał podejrzenia w pewność. Adam ją zdradzał, a jeśli nawet nie, to wkrótce zacznie. Obściskiwanie się z Nayhiją było jednoznaczne, krzyczało głośniej niż wymalowany krwią gigantyczny transparent. Nie minął nawet tydzień od podpisania tego przeklętego kontraktu, a dla niej już było po zawodach. Za dzień, dwa, trzy mąż wetknie fiuta w tę fundacyjną prostytutkę i jej świat zawali się na nowo. Witaj, raku. Żegnaj, życie.

Och, po co ma czekać? Pewnie zaraz zerżnie ją na parkiecie, nie dbając o tańczących wokoło ludzi, pomyślała Linda zjadliwie i właśnie wtedy Adam odwrócił się, posyłając jej z lekka spłoszone spojrzenie. Wyglądał jak winowajca, dzieciak przyłapany na kradzieży batonika w sklepie. Poczucie winy? Patrzcie państwo.

Linda z wystudiowaną obojętnością obserwowała, jak jej mąż w dość kategoryczny sposób kończy taniec, odsuwa od siebie Nayhiję i rusza w jej stronę. Mogła uznać, że w porę się opamiętał. Mogła też uznać, że była to tylko zmyślnie odegrana scenka. I ten drugi wariant bardziej do niej przemawiał.

Kiedy podszedł, Linda odwracała się, by zamówić kolejnego drinka, ale Adam złapał ją za przegub, mówiąc:

– Może już ci wystarczy?

Popatrzyła na niego z wściekłością i wyrwała dłoń.

– Nie, dlaczego? – Skinęła na barmana, zamawiając drinka i zaraz znów odwróciła się do męża. – Co cię obchodzi, ile piję? Idź, wracaj do niej, potańczcie sobie. Widziałam, jak dobrze się bawiłeś.

– Kochanie…

– To moja znajoma, równa dziewczyna – włączył się Mike, przywołując na twarz szeroki

uśmiech. Trochę zbyt sztuczny, jak na jej gust. – O nią jesteś zazdrosna? No, daj spokój.

– Skoro to twoja znajoma, to dlaczego ty z nią nie tańczyłeś? – wysyczała Linda jadowicie i dźgnęła go w pierś. – Pieprz się, Mike. Pieprzcie się obaj – dodała i nie czekając na swojego drinka, ruszyła w stronę wyjścia.

Adam bąknął coś do Mike'a i podążył za nią. Zrównał się z Lindą po kilku krokach, ujmując jej rękę tuż powyżej łokcia, ale go odtrąciła. Nie chciała, by jej dotykał. Nie teraz, nie w tej chwili.

Wyszli z Ciekłego Błękitu w milczeniu. Dopiero w samochodzie zaczęli rozmawiać. No, tak jakby.

– Tamta kobieta… – zaczął Adam. – Nayhija… Mówiła, że się znacie.

– Kłamała – odparła Linda, nie odrywając wzroku od przedniej szyby. – Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

– Czyżby? Po co miałaby kłamać? I dlaczego nagle tak się spięłaś? Czym się denerwujesz, kochanie? Czy to ma jakiś związek z Nayhiją?

Linda uderzyła pięścią w swoje siedzenie.

– Wsadź sobie tę nadętą psychologiczną gadkę, Adam! Nie wiem, kim ona jest, w porządku? Nie znam jej. – Czuła, że płoną jej policzki. To był żar złości i wstydu. – Ale ty tak. Jak widać całkiem dobrze. I wcale nie dlatego, że jest koleżanką Mike'a.

– Nie – powiedział. – Ja również jej nie znam.

Ona okłamywała męża, a on ewidentnie okłamywał ją. Okłamywali się oboje. Czy tak wygląda początek końca każdego związku? Czy to są symptomy poprzedzające upadek?

Cóż, nie zostało mi aż tyle czasu, żeby się o tym przekonać, pomyślała Linda.

Przez resztę drogi nie odezwała się już słowem.

4.

Nayhija patrzyła, jak Adam i Linda przebijają się przez tłum, idąc ku wyjściu. Byli wzburzeni, niemal skłóceni, rozdzieleni mnożącymi się niedopowiedzeniami. Kosmyk włosów przesłonił jej oko, usta rozciągał nieprzyjemny uśmiech. Wykona zadanie, wygra. Właściwie już wygrała. Jak zawsze.

Byli tacy sami. Oni wszyscy. Jak Jasper.

Wzdrygnęła się, strząsając z siebie niepożądane myśli. Czuła na sobie spojrzenia, wiele spojrzeń. Lepkich, brudnych, zachłannych. Nie cierpiała takich miejsc, najchętniej spaliłaby całą tę budę, spaliła ze wszystkimi tymi ludźmi w środku. A zarazem coś ją tu urzekało, fascynowało. Całe to plugastwo, obmierzłe, niespokojne żądze… były wyborne, smakowały zemstą.

No i lubiła tańczyć.

Bardzo.

Przyjaciel Adama, ten gliniarz, kręcił się w pobliżu, rzucając jej od czasu do czasu tęskne spojrzenie. W którymś momencie wdał się w pogawędkę z krągłą blondynką, co Nayhija przyjęła z zadowoleniem. Wyglądało na to, że ma go z głowy. Reprezentował prawo i sam również był prawy, nie interesował jej. Choć w pewnym sensie grali w tej samej drużynie. Tyle że ona była niespętana, miała wolną rękę i nieprzebrane pokłady nienawiści na podorędziu. Nikt nie mógł się z nią równać.

Nayhija odrzuciła głowę i zaczęła kołysać się w rytm muzyki. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała unoszący się pod sufit dym, który wielobarwne światła malowały kolorami. Atmosfera była gęsta, duszna, wszystko wibrowało, układało się w niespokojny rytm serca pracującego tak szybko, jakby za moment miało eksplodować. To była ta szczególna elektryczność. Moc.

Niebo było zrobione z ametystu, wszystkie gwiazdy były jak małe ryby – śpiewała Courtney Love

Nayhija zamarła, napinając mięśnie. Przekręciła głowę po zwierzęcemu, nasłuchując przez chwilę. Nagle jej oczy rozszerzyły się i zalśniły w mroku niczym dwa szmaragdy, nieprzyjemny uśmiech błysnął z nową mocą.

Powinieneś nauczyć się, kiedy odejść.

Powinieneś nauczyć się, kiedy mówić „nie”.

Odepchnęła tańczącego obok czarnoskórego mężczyznę z kozią bródką, nawet na niego nie patrząc, i ruszyła przez parkiet w kierunku tylnego wyjścia.

W pobliżu baru tłum nieco zgęstniał, toteż zaczęła torować sobie drogę łokciami. Parę osób rzuciło pełne zjadliwości komentarze, ale ona właściwie ich nie słyszała. Minęła kelnera, wybijając mu z rąk tacę, przeszła niewielkim korytarzykiem prowadzącym do toalet, odbiła w prawo i dopadła do tylnych drzwi. Naparła na nie… i przekonała się, że są zamknięte. Nie, poprawiła się w myślach, zastawione. Zastawione od zewnątrz. Ktoś zrobił to celowo.

Odsunęła się, warcząc z wściekłości, po czym wyważyła je kopnięciem. Dało się słyszeć tępy, piskliwy zgrzyt i zaraz blokada puściła, a ona wybiegła na wąski, tonący w półmroku zaułek. Oświetlały go jedynie dwie migające latarnie i nikły poblask odległych gwiazd. Obejrzała się i dostrzegła, że drzwi blokował łom. Pod wpływem siły uderzenia pękł i teraz leżał na ziemi w dwóch kawałkach. Ktoś wetknął go pod klamkę, tak by nie można było otworzyć od środka. Sukinsyn nie chciał świadków, pomyślała Nayhija, przykładając dłoń do zamka, który rozjarzył się czerwoną poświatą. Ona również ich nie potrzebowała.

Może trwać dzień, tak.

Mój jest wieczny.

Stłumiona muzyka nakładała się na zduszony kobiecy szloch i pełen żałości urywany krzyk. Rozległo się głuche łupnięcie, i wrzask ustał. Pozostał jedynie szloch. Nayhija pobiegła za tym dźwiękiem. Wskoczyła na pierwszy z długiego rzędu kontener ze śmieciami, przebiegła po nich wszystkich i zeskoczyła kilka metrów dalej, lądując przed niedbale zaparkowaną furgonetką. Podeszła parę kroków wzdłuż jej boku, wychyliła się i zobaczyła ich. Jego. Potwora.

Jasnowłosy mężczyzna przygważdżał dziewczynę do ziemi, unieruchamiając ją własnym ciężarem, kolanami ściskając jak imadłem. Był rosły, silny, a ona krucha i drobna. Trzęsła się i łkała, przełykając łzy oraz spływającą z rozciętej wargi krew, podczas gdy on zdzierał z niej ubranie, dotkliwie miętosząc prawą pierś.

Nayhija widziała każdy najdrobniejszy szczegół z obłędną klarownością. Puchnącą od uderzenia lewą stronę twarzy dziewczyny, ślady palców na jej szyi, wilgotne pasmo włosów lepiące się do policzka koloru kawy z mlekiem. Krople potu na karku mężczyzny, nabrzmiałe żyły na jego ramionach, tatuaż na przedramieniu. Niedopałki i zużyte prezerwatywy walające się na ziemi, ostre jak kły kawałki potłuczonego szkła w kępie trawy.

Kiedy dostaną, czego chcą, już nigdy więcej tego nie chcą.

No dalej, bierz wszystko. Bierz wszystko, chcę, żebyś to zrobił.

Przejście między dwoma garażami, w które mężczyzna wcisnął dziewczynę, było zadaszone, kończyło się ślepo – ścianą z kruszejących cegieł. Śmierdziało moczem i brudem. Potworne miejsce w sam raz na tak potworną okoliczność.

Dziewczyna dostrzegła ją pierwsza, ale była tak zszokowana, że nie zdołała nawet krzyknąć. Jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Nayhiji. W rozszerzonych strachem oczach młodej kobiety malowało się nieme błaganie i jakaś pełna żałości udręczona nadzieja. Nayhija czym prędzej odwróciła wzrok. Ten widok coś jej przypominał.

Mężczyzna brutalnie szarpnął swoją ofiarę za nogę i zaczął rozpinać rozporek. Nayhija zacmokała z niesmakiem i rzekła:

– Proszę, proszę, proszę… Taki duży i silny chłopiec. Nauczył się brać przemocą to, czego chce, i myśli, że ma do tego święte prawo. Że wszystko mu się należy.

Mężczyzna obrócił się przez ramię, rzucając jej wściekłe spojrzenie.

– Spierdalaj stąd. – Jego wargi rozciągnęły się w marnej parodii uśmiechu. – Chyba że chcesz być następna.

Nayhija zaśmiała się, krzyżując ręce na piersiach.

– Ty mi grozisz? – W jej głosie dźwięczało autentyczne rozbawienie.

– Wypierdalaj, szmato – powtórzył.

Nayhija dostrzegła, że zaciska mocniej palce na ramieniu szamoczącej się pod nim dziewczyny. Wąż wytatuowany na jego przedramieniu drgnął przy tym ruchu, a na jej zakrwawionej twarzy odmalował się ból.

– Pierwszy błąd. – Nayhija znalazła się przy gwałcicielu błyskawicznie. Chwyciła go za włosy, odchylając głowę w tył i z impetem uderzyła pięścią. Rozległ się mdły chrupot łamiącego się nosa i zaraz mężczyzna zalał się krwią.

– Suko pierdolona, zajebię cię! – Spływająca do gardła krew zmieniła jego słowa w mało efektowny gulgot.

– Drugi błąd. – Nayhija szarpnęła go za kołnierz i odciągnęła dalej od dziewczyny. Zaszła go od przodu i parę razy przejechała mu butem po twarzy, do reszty masakrując nos.

Po ostatnim kopnięciu mężczyzna osunął się bezwładnie na ziemię. Żył, nawet nie był nieprzytomny, tylko mocno zamroczony. Bełkotał coś, wijąc się, przyciskając ręce do policzków.

Dziewczyna patrzyła na to wodnistymi oczyma, w których odbijał się głęboki wstrząs. Przeniosła spojrzenie na Nayhiję i jej nieco bezrozumna mina zmieniła się w grymas wdzięczności.

– Dzie… dziękuję – wydukała, nieudolnie podnosząc się na rozchwiane nogi.

Nayhija wybuchnęła śmiechem przypominającym skrobanie paznokciami o tablicę.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie – powiedziała. – Nie jestem twoim aniołem stróżem. Mogłabyś umrzeć choćby i zaraz, a nic by mnie to nie obeszło. Robię to, co robię, aby ukarać jego, a nie po to, żeby cię chronić. – Oczy Nayhiji zapłonęły furią, najczystszym gniewem. – A teraz odejdź, zanim zobaczysz zbyt wiele.

Dziewczyna odsunęła się odruchowo, uderzając plecami w ścianę garażu. Z jej piersi wyrwał się urywany skrzek – nadal była śmiertelnie przerażona. Schyliła się i trzęsącą się ręką podniosła torebkę, która miała rozprute dno, toteż wszystko, co w niej było, wyleciało. Kobieta padła na kolana, zaczęła zbierać rzeczy i zaraz wybuchnęła płaczem. Zakryła oczy przedramieniem, wymamrotała coś niezrozumiałego i uderzyła się w policzek.

Nayhija w milczeniu patrzyła, jak policzkuje się po raz drugi. Następnie wspierając się o ścianę, wstała i rozejrzała dokoła oszołomionym wzrokiem. To było spojrzenie złapanej w sidła zwierzyny. Dziewczyna wytarła twarz i obmacała się, szczelnie otulając rozdartą bluzką, na której widniały ślady krwi. Chciała zapiąć spodnie, jednak dotarło do niej, że guziki są oderwane. Jej broda zadrżała i wyglądało na to, że lada chwila znów zacznie płakać. Jednak nie.

Zasłaniając się pustą torebką jak tarczą, zaczęła wycofywać się z przejścia, chyba nie do końca wiedząc, dokąd iść. Była młoda, miała nie więcej niż dwadzieścia dwa lata. W jej rozbieganym spojrzeniu, spłoszonych gestach… W tym było coś takiego…

– Hej, poczekaj – zatrzymała ją Nayhija. – Masz. – Wcisnęła jej w dłoń zwitek banknotów wyjęty z tylnej kieszeni dżinsów. – Weź taksówkę i wracaj do domu. Wiesz, gdzie jest postój? – Dziewczyna przytaknęła. – Dobrze, jedna będzie tam na ciebie czekać. Czarny mercedes. Zapamiętasz?

Młoda skinęła głową, zacisnęła palce na ofiarowanych pieniądzach, po czym odwróciła się i puściła niezbornym truchtem przed siebie. Nayhija odprowadziła ją spojrzeniem, a gdy dziewczyna zniknęła w głębi zaułka, przeniosła wzrok na wstającego z ziemi mężczyznę.

– Gwałt to taka cholernie przyjemna rzecz. Zwłaszcza jeśli to ty jesteś tą gwałconą osobą – powiedziała, pochylając się nad nim i opierając dłonie nad kolanami. – Zaraz sam się przekonasz.

Mężczyzna posłał jej pełne nienawiści spojrzenie i błyskawicznie poderwał się na nogi. Doszedł do siebie nawet szybciej, niż myślała. Nayhija dostrzegła kastet, to, jak zalśnił w świetle latarni, i zaraz jego pięść wystrzeliła do przodu.

– Spudłowałeś!

Mężczyzna rozejrzał się zdezorientowany i prawie krzyknął, gdy zdał sobie sprawę, że Nayhija stoi tuż za nim… mimo że ułamek sekundy wcześniej była w zupełnie innym miejscu.

– Suka! – warknął i rzucił się na nią.

Nayhija go minęła, wybiła się do skoku, przebiegła po ścianie garażu i runęła mu na plecy, powalając na ziemię. Usiadła na nim okrakiem, wplotła mu palce we włosy, pociągnęła za nie i uderzyła jego głową o krawężnik. I jeszcze raz. I następny. Widząc, że przestał się szarpać, nachyliła się, szepcząc mu do ucha:

– Nigdzie się nie ruszaj, zaraz wracam.

Niebo było całe fioletowe – informowała Courtney. – *Chcę tego znów, ale gwałtowniej, silniej. Tak, jestem tą bez duszy*.

Nayhija wstała, podeszła do furgonetki i kucnęła. Jedną rękę oparła o zderzak, drugą

złapała za rurę wydechową i szarpnęła. Rozległ się zgrzyt, po którym cały układ spadł na ziemię. Nayhija go podniosła, czemu towarzyszyło piskliwe tarcie metalu o asfalt, i przez chwilę przyglądała się z głębokim namysłem. Odłamała kawałek, po czym schwyciła za końcowy odcinek. Zajrzała do środka, przykładając ją do jednego oka, a mrużąc drugie. Następnie wstała z kucek i zaczęła rytmicznie uderzać oderwanym fragmentem o ziemię. Metal drżał jej w dłoni jak kamerton, wydobywając z siebie bardzo podobny dźwięk. Przy każdym kolejnym zetknięciu z betonem zgięcia się prostowały, a tłumik zaczął się zwężać i po chwili całość zmieniła się w prosty kawał rury, długości mniej więcej półtora metra.

Metal zaczął się nagrzewać i zaraz rozjarzył się do czerwoności; Nayhija nie czuła bólu, przeciwnie – to ona była źródłem ciepła, to ona go rozgrzewała, ona i jej wściekłość. Mężczyzna obserwował to w bezmyślnym przerażeniu, jakimś głęboko zakorzenionym okruchem intuicji rozumiejąc, co się zaraz stanie. Ta wiedza odbijała się na jego twarzy, szpecąc ją strachem. Spróbował wstać, ale nie był w stanie. Kolana ugięły się pod nim i upadł na zmasakrowany nos.

Nayhija podeszła do niego wolnym krokiem, ciągnąc za sobą rurę; jaśniała w półmroku, szorowała o ziemię z upiornym dźwiękiem, który w jej uszach był piękny, był symfonią zniszczenia. Silnym szarpnięciem dźwignęła mężczyznę do góry, ustawiając na czworakach jak psa. Przejechała mu rozgrzaną rurą przed twarzą, a on zakwilił, tuląc policzek do ramienia.

Od żaru buchającego z metalu zapaliła się kępka włosów nad jego uchem. W powietrzu rozszedł się ostry zapach przypiekanej szczeciny, a jęk gwałciciela zmienił się w skowyt. Zamachał głową i próbował unieść ręce, by zdusić płomyk, ale nie dał rady oderwać ich od ziemi. Jego palce podrygiwały w nieudolnej próbie wyswobodzenia się, zamknięty na nich kastet podzwaniał o bruk. Były jak przyklejone, kolana zresztą też. On cały zdawał się przytwierdzony do betonu. Nie mógł się ruszyć, mimo że bardzo chciał.

Nayhija schyliła się i dmuchnęła mu we włosy.

– Teraz dopiero zrobi się gorąco – powiedziała, zachodząc go od tyłu.

Szarpnęła za spodnie, zrywając mu je razem z bokserkami, obnażając pośladki. Strzępy dżinsów opadły wokół kolan i zaraz zaczęły ciemnieć – mężczyzna zmoczył się ze strachu.

– Czego ode mnie chcesz?! – zawył. Trząsł się coraz bardziej. Łzy skapywały mu z nosa i policzków, spadały na krawężnik; pozostawiały na nim maleńkie, okrągłe plamki. – Czego ty, kurwa, chcesz?!

– Żebyś posmakował tego, co sam robisz – odparła Nayhija i wepchnęła mu w odbyt rozżarzoną rurę.

Mężczyzna odrzucił głowę i zaczął przeraźliwie wrzeszczeć; w oddali wrona spłoszona tym dźwiękiem zakrakała i wzbiła się do lotu. Jego plecy wygięły się nienaturalnie, a on zaczął drżeć w konwulsjach, podczas gdy Nayhija wsuwała rurę coraz głębiej. Metal zatapiał się w jego ciele centymetr po centymetrze, rozrywając ograny wewnętrzne, paląc je. Nayhija słyszała cichy syk dolatujący z wnętrza mężczyzny, nawet mimo jego wrzasków.

Wciąż wył, gdy z jego ust buchnęła krew. Leciała mu również z uszu, a nabiegłe nią oczy wychodziły z orbit. Nagle prawa gałka oczna chrupnęła i wyskoczyła z oczodołu, zawisając na policzku, zsuwając się z niego leniwie. Z nozdrzy unosiły się smużki dymu. W następnej chwili koniec rury wyszedł mężczyźnie ustami i jego jedyne ocalałe oko znieruchomiało. Zmętniałe patrzyło na przejście między garażami, w którym próbował zgwałcić dziewczynę, ale niczego już nie widziało. Dla niego istniała tylko ciemność.

Jednak Nayhiji to nie wystarczyło.

Ujęła w palce wystający z ust mężczyzny koniec rury, wyciągnęła ją i odrzuciła za siebie. Równocześnie jego ciało upadło w bok w groteskowej pozycji. Nayhija spojrzała w jego martwe oko, jego zastygłą, wykrzywioną cierpieniem twarz… i zaczęła wrzeszczeć.

Krzyczała nadal, gdy wybijała się i skakała mu na głowę. Deptała ją, kopała i znów skakała, nie czując, że po jej policzkach płyną gorące łzy. Te łzy miały kolor czerwieni. Była w transie, w ślepym amoku, który mącił czas, zakrzywiał go, zmieniając przeszłość w teraźniejszość. Trwało to chwilę. Trwało tysiące lat.

Skoczyła na niego ostatni raz i odsunęła się o krok, dysząc ciężko. Policzki miała zarumienione od gniewu i wysiłku, oczy iskrzące gorączką. Patrzyła na poturbowane ciało z mieszaniną pogardy, wstrętu i nienawiści. Głowa mężczyzny właściwie nie przypominała już głowy – wyglądała jak rozgnieciony arbuz. Z rozbitej czaszki wyciekał mózg, jego kawałki leżały na asfalcie niczym pecyny poszarzałego budyniu, w niektórych pobłyskiwały fragmenty kości. Dookoła rozlewały się kałuże krwi i gdy księżyc wyszedł zza chmury, w jego blasku ta krew przybrała czarną barwę.

Nayhija zadarła głowę, spoglądając w niebo. Gdzieś z tyłu coś cicho zaszeleściło i po jej twarzy przetoczył się niespokojny cień.

– Spłoń – powiedziała, przenosząc wzrok na martwego mężczyznę.

Naraz jego ciało otoczyły płomienie niby wytyczony kredą obrys. Polizały go chciwie, wpełzły na ubranie, włosy, zakrwawioną skórę i zaczęły konsumować, trzaskając coraz głośniej.

Nayhija patrzyła na to nieporuszona. Blask ognia oblewał jej twarz, odbijał się w oczach, malował na policzkach ruchome wzory. Odwróciła się i odeszła dopiero wtedy, gdy mężczyzna zmienił się w zwęglony szkielet.

Powiedziałam ci na początku, jak to się skończy.

Kiedy dostanę to, czego chcę, nigdy już tego nie chcę.

5.

Nayhija szarpnięciem otworzyła drzwi mustanga, opadła na fotel kierowcy, i zamknęła je z trzaskiem, jak gdyby tylko w ten sposób mogła się odgrodzić od świata, jak gdyby hałas mógł zamknąć ją w ciszy.

Jednak nie mógł.

Radio włączyło się nagle i Elvis zaśpiewał: *Kochaj mnie czule, kochaj mnie słodko, nigdy nie daj mi odejść. Sprawiłaś, że moje życie stało się kompletne. Bardzo cię kocham i zawsze będę.*

Oczy Nayhiji zapłonęły w mroku jak ślepia kota, twarz wykrzywił zbolały grymas. Wychyliła się, zgasiła radio, uderzając w nie, i z powrotem osunęła się na fotel.

– Miłość jest kłamstwem – szepnęła.

Siedziała z rękoma na kierownicy i wzrokiem utkwionym w odległym, nieistniejącym punkcie, zawieszona w czasie, zaklęta we własnym koszmarze. Dolatywały ją odległe dźwięki muzyki z Ciekłego Błękitu, płaskie, bez znaczenia. Parę rzędów dalej, w wiśniowej toyocie para małolatów uprawiała seks, poza tym miała parking tylko dla siebie.

Nayhija westchnęła i przymknęła powieki. Wszystkie drogi prowadziły w jedno miejsce, każdy drogowskaz wskazywał jeden kierunek. Jasper. Jasper powstał z martwych i teraz nosił imię Adam. A może to obcy mężczyzna o imieniu Adam nosił twarz Jaspera. Sama już nie wiedziała. To zaczęło się robić takie… mętne. Ich bliźniacze podobieństwo jej ciążyło, uwierało ją, przygniatało. Nie powinno tak być, ta sytuacja w ogóle nie powinna mieć miejsca.

To twoja ścieżka do zatracenia. Pokuta bez szansy na zbawienie.

Nagle poczuła się tak potwornie zmęczona, odarta z sił. Nigdy wcześniej się jej to nie zdarzało, przez tyle długich lat. Wykona zadanie, oczywiście. Nie wiedziała tylko, że będzie ją to kosztować tyle…

– Pieniądze, taksówka… Miękniesz, kochanie – doleciało ją z fotela pasażera. – I zaczynasz tracić kontrolę.

Nayhija nawet nie drgnęła. Tylko jej poczerniałe do drugiego stawu palce mocniej zacisnęły się na kierownicy.

– Odejdź – powiedziała. – Chcę być sama.

Mężczyzna w czerni ujął ją za brodę i obrócił głowę ku sobie, tak by móc spojrzeć jej w twarz.

– Po co? – spytał. Minę miał surową, czarne oczy błyszczące, przenikliwe. – Żeby błądzić w labiryncie przeszłości?

– Żeby… – zaczęła i równocześnie ktoś zastukał w szybę od strony kierowcy.

Mężczyzna w czerni zniknął, zmieniony w obłok dymu. Nayhija, odwróciwszy głowę, napotkała poważną twarz Mike'a Hamiltona. Opierał się o samochód, na migi pokazując, by uchyliła szybę, w którą właśnie zapukał.

Zrobiła to z ociąganiem.

– Tak? – spytała.

– Długo tak siedzisz? – odpowiedział pytaniem, odchylając marynarkę tak, żeby Nayhija mogła dojrzeć jego odznakę. Niepotrzebnie, bo i bez tego wiedziała, że ją ma.

– Nie mam w zwyczaju mierzyć czasu – powiedziała chłodno.

Mike przyglądał się jej dłuższą chwilę z posępną fascynacją. Widać było, że kalkuluje, waży słowa, które zamierza wypowiedzieć.

– Słyszałaś coś dziwnego? – zapytał, dyskretnie zaglądając do wnętrza mustanga.

– Na przykład?

– Cokolwiek. Hałas, krzyk, rumor.

Nayhija pokręciła głową.

– Nie, nic. Nic nie słyszałam.

– A może widziałaś kogoś, hm? Kogoś zdenerwowanego, kogoś, kto uciekał?

Nayhija ponownie pokręciła głową.

– Nie, nikogo.

Mike w dalszym ciągu patrzył na nią z dziwaczną mieszanką admiracji i podejrzliwości. W którymś momencie natura policjanta wzięła górę i podziw pękł pod naporem podejrzliwości.

– No cóż, w takim razie… dziękuję – powiedział wreszcie. – Dobrej nocy. I… uważaj na siebie.

Kąciki ust Nayhiji uniosły się w nikłym uśmiechu.

– Dzięki.

W tym momencie radio włączyło się ponownie. Tak jak za pierwszym razem lecącym z niego kawałkiem był *Love Me Tender*. Odwracający się Mike drgnął i na powrót wbił spojrzenie w Nayhiję.

– Elvis? – zdziwił się.

– Muzyka młodości – wyjaśniła Nayhija. Jej oczy znów płonęły.

Mike uniósł brwi.

– Chyba nie twojej?

Nayhija niedbale machnęła ręką, mówiąc:

– Czyjejś na pewno.

– Cholera, jakim cudem… – Mike pobladł, co widać było nawet w mdłym świetle latarni – …licznik i obrotomierz upierają się, że ten samochód… jedzie?

Nayhija spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

– Dobranoc – powiedziała, zamykając szybę.

Skonsternowany Mike jeszcze chwilę stał, mamrocząc: „Christine”. Nayhija słyszała to bardzo wyraźnie. Wreszcie – po stoczeniu mało zaciętej wewnętrznej walki – zaczął się wycofywać. Rozejrzał się po parkingu i odszedł w stronę podrygującej rytmicznie toyoty. Naprawdę sądził, że pieprząca się para mogła coś widzieć? A może po prostu chciał im przerwać zabawę. Ot, tak sobie, bo mógł, bo miał prawo.

Nayhija uśmiechnęła się do tej myśli. To był nieprzyjemny uśmiech, ukazywał zbyt wiele zębów.

6.

Adam obudził się z ciężkiego, męczącego snu, właściwie z koszmaru. Usiadł na łóżku i powiódł wzrokiem po tonącej w mroku sypialni. Lindy nigdzie nie było, jednak gdy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności, dostrzegł jakiś ruch i momentalnie się spiął.

– Nie bój się, to tylko ja – usłyszał.

Adam przełknął ślinę. Nayhija. To była Nayhija. W jego sypialni. W środku nocy.

– Co ty tu robisz?! – spytał ostro. Wstał z łóżka, rozglądając się, jakby spodziewał się, że jego zaginiona żona zmaterializuje się zaraz w jednej z utkanych z cienia, ruchomych plam. – Gdzie jest Linda?!

Nayhija podeszła do szafki po stronie łóżka jego żony i zapaliła stojącą na niej lampkę. Mlecznobiałe światło przełamało czerń, rozpraszając nieprzyjazne cienie, wpędzając je na powrót w zakamarki sypialni. Z piersi Adama wyrwał się zduszony świst, gdy zobaczył, że Nayhija ubrana jest tylko w czarną koronkową bieliznę. Ale nie taką zwykłą. Ta była wymyślna, przypominała jakiś szczególny rodzaj stroju z innego, odległego świata.

– Gdzie jest Linda?! – powtórzył, podnosząc głos.

Nayhija posłała mu zagadkowy uśmieszek i uklękła na łóżku. Adam spostrzegł, że przed nią, mniej więcej na środku materaca, leży długi pas czarnego jedwabiu. Jakby sznur.

– Zwiąż mnie – powiedziała.

– Linda… – bąknął Adam, czując, jak coś w nim pęka.

Nayhija zaśmiała się, jednak jej oczy były zimne, migotał w nich groźny błysk.

– Lindy nie ma. Nigdy jej nie było. Istniejemy tylko my. Tylko my dwoje. – Wychyliła się i pociągnęła go za przód bokserek. – Tylko ty i twoje pragnienie.

Adam poczuł, że jej ręka wsuwa mu się w bokserki, ujmuje penisa i zaczyna poruszać nim rytmicznie. Najpierw powoli, potem szybciej. Powinien kazać jej przestać, ale nie mógł, nie potrafił. Bo wcale tego nie chciał. Bo jej pragnął. Bo Lindy nie ma i nigdy nie było. Tak, teraz to rozumiał. Byli tylko oni, tylko oni dwoje.

– Zwiąż mnie – szepnęła Nayhija i opadła na pościel, opierając się o wezgłowie łóżka, unosząc ręce za głowę.

Adam podniósł pas jedwabiu i usiadł na Nayhiji okrakiem. Oplótł jej nadgarstki materiałem, czując jej język na swojej piersi, i zaczął przywiązywać ją do poprzecznego metalowego pręta zagłówka. Zdawało się, że to łóżko jest przeznaczone właśnie do tego celu, że wybrał je specjalnie, kierowany podświadomym impulsem, wiedząc, że pewnego dnia przywiąże do niego tę kobietę.

Nayhija szarpnęła nadgarstkami na próbę, sprawdzając więzy. Zadowolona z efektu, skinęła z aprobatą głową i powiedziała:

– A teraz zrób ze mną… wszystko.

Adam popatrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, mając wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu nagle wzrasta. Jednak temperatura się nie zmieniła. To on był rozpalony, to jego żar. Nayhija miała więzy na nadgarstkach, lecz tak naprawdę to on został zakuty w kajdany. Kajdany pożądania. Ślepego, atawistycznego pragnienia. Dzikiej żądzy.

Nie było niczego więcej.

Nie było nikogo więcej. Nigdy.

Zaczął wodzić palcami po jej gładkim ciele, jakby chciał się go nauczyć – każdego zakamarka, każdego zaokrąglenia czy załamania – by potem móc odtwarzać je z pamięci, by

stworzyć je, tak jak Pigmalion stworzył Galateę. Wsunął jej ręce pod plecy, lecz zaraz zobaczył, że zapięcie stanika jest z przodu. Maleńki zatrzask sprytnie ukryty między fałdami materiału. Rozpiął go więc i rozsunął, uwalniając piersi – jędrne, z efektownie sterczącymi sutkami. Następnie zsunął jej majtki i odrzucił je na skraj łóżka.

Zbliżył się do twarzy Nayhiji, pogładził policzek i wsunął wskazujący palec w jej rozchylone usta. Przejechała po nim językiem i zaczęła lekko ssać, a on poczuł, jak wzbiera w nim wysoka fala. Cofnął rękę i złapał Nayhiję za piersi, pieszcząc je przez chwilę. Polizał jedną, przygryzł sutek i odchylił się, tak by patrzeć jej w oczy. Podobało mu się to, co w nich ujrzał. Zjechał dłonią po brzuchu i niżej, między jej rozchylone uda.

Kontrolował sytuację, był jej panem. Mógł zrobić wszystko, ona mu na to pozwoliła, chciała tego. Ta świadomość była nieprawdopodobnie podniecająca.

Włożył w nią najpierw dwa, potem trzy palce. Była rozkosznie wilgotna, gorąca i gotowa. Pomału nimi poruszył, wysuwając i wsuwając, patrząc, jak Nayhija przygryza dolną wargę.

– Wszystko? – upewnił się Adam, na co ona odpowiedziała pomrukiem.

Ułożył dłoń tak, by jej nasada ocierała się o najwrażliwsze miejsce, a później przyspieszył. Nayhija przymknęła powieki i lekko odchyliła głowę. Wiła się i jęczała, rzucając biodrami. Przy gwałtowniejszych ruchach materiał, który krępował jej ręce, naprężał się, tak jak i mięśnie jej brzucha. Adam widział, jak jest jej dobrze. Zaczynała odpływać, traciła kontrolę.

Kiedy doprowadził ją do orgazmu, nie cofnął ręki. Wiedział, że teraz jest niesamowicie wrażliwa, że to, co było przyjemnością, staje się niemal bólem, ale rozmyślnie nie zwalniał. Nayhija rzuciła mu lekko zdziwione spojrzenie i zrozumiała, o co chodzi. Spróbowała się cofnąć, ale Adam pokręcił głową i ją przytrzymał. Jego palce poruszały się w niej coraz szybciej, coraz mocniej, a ona krzyczała. Jej twarz wykrzywił grymas bólu, który płynnie przeszedł w uniesienie.

– Lubisz, kiedy tak cię pieprzę, mała suko? – spytał Adam. Jakąś jego część – tę, która potrafiła jeszcze w miarę racjonalnie myśleć – zaskoczyły te słowa, ich uliczne wyuzdanie rodem z filmu pornograficznego, ale druga część upierała się, że są naturalne, że to właśnie prawdziwy on. – Lubisz?

– Taaaak! – wychrypiała Nayhija.

Rzucała się pod nim coraz mocniej, a niedługo później Adam odkrył, że szczytuje po raz drugi. Kiedy cofnął rękę, Nayhija osunęła się na tyle, na ile pozwalały więzy i spojrzała na niego zamglonymi oczami. Wyglądała na zmęczoną i lekko oszołomioną tym, co właśnie przeżyła.

Ale Adam nie zamierzał dać jej odpocząć.

Wpełzł na nią, zachłannie wpił się w jej usta i wszedł w nią mocnym pchnięciem. Spięte ciało Nayhiji dopiero po chwili poddało mu się i podążyło za wyznaczanym przez niego rytmem. Adam zacisnął palce na jej ramionach, napierając coraz mocniej, drugą ręką ciągnąc kobietę za włosy.

Czując, że dochodzi, zamknął oczy, a gdy znów je otworzył, przekonał się, że teraz to on jest przywiązany do łóżka. Nayhija siedziała na nim, kochając się z nim w pozycji „na jeźdźca”, wbijając w niego płonące zielone oczy. Oczy kota.

– Było łatwiej, niż przypuszczałam – powiedziała.

Uśmiechnęła się złośliwie i równocześnie Adam zobaczył, jak w ciemności za jej plecami otwiera się…

7.

Adam zbudził się i gwałtownie wyprostował na łóżku. Dyszał, całe ciało zlane miał potem. Serce łomotało mu w piersi, krew pulsowała w skroniach. Ten sen… końcówka tego snu… O Boże.

Rozejrzał się i kiedy spostrzegł, że Linda nie leży obok, krzyk podszedł mu do gardła.

– Kochanie? – zawołał.

Nie było odpowiedzi.

Zerwał się z łóżka, czując, że jego niepokój jest na najlepszej drodze do przeistoczenia się w lęk. Wypadł z sypialni i nieco mu ulżyło, gdy zobaczył światło w głębi holu. Kuchnia. Linda była w kuchni.

Mimo że racjonalnie rozumująca cześć jego *Ja* mówiła, że nie ma powodu się bać, że to był przecież tylko sen i wszystko jest w porządku, Adam zbiegł po schodach. Przeciął hol i wszedł do kuchni, odpychając od siebie koszmarne krwawe wizje, niestrudzenie podsuwane przez wyobraźnię.

Linda siedziała przy stole, zwrócona do niego plecami. Spoglądała w okno, a przynajmniej tak to wyglądało. Adam nie mógł tego zweryfikować, nie widząc jej twarzy.

A może ona już nie ma twarzy? Może coś jej ją odgryzło?

– Kochanie? – powtórzył.

Kilka kropel zimnego potu spłynęło mu wzdłuż kręgosłupa.

Zero reakcji. Linda zdawała się przebywać w swoim własnym świecie lub może straciła słuch na skutek eksplozji, którą przeoczył, gdyż śnił o pieprzeniu z właściwie nieznaną mu kobietą.

– Kochanie? – Tym razem głośniej. – Wszystko w porządku?

Linda odwróciła się powoli. Oczy miała zaczerwienione i szkliste, nie tylko od płaczu. Ręka, w której trzymała szklankę, opierała się o kolano. Adam wolałby myśleć, że w tej szklance jest herbata, jednak znał prawdę. A gdyby nawet próbował się łudzić, ignorując fakty, węch mu na to nie pozwalał.

– Po co tu przyszedłeś? – wybełkotała. Słowo „przyszedłeś” było niemal niezrozumiałe, zabrzmiało w jej ustach jak syk grzechotnika.

Adam kątem oka zobaczył butelkę burbona wciśniętą między ekspres do kawy a chlebak, do połowy przesłoniętą reklamówką z logo całodobowego sklepu. Znajdował się ile, trzy, cztery przecznice stąd? A więc spał aż tak mocno, aż tak długo? Tak, ponieważ nie usłyszał, jak jego wcięta żona wychodzi w środku nocy, by kupić gorzałę i zalać się na całego. Miał tylko nadzieję, że poszła tam pieszo, nie pojechała. Właśnie wtedy zobaczył kluczyki od auta – leżały zaplątane w tę cholerną reklamówkę – i jego nadzieja skurczyła się jak zwiędły kwiat i umarła.

– Jesteś pijana! – zawołał, nagle zalany wściekłością, która brała swoje źródło ze strachu o Lindę, o to, jak wyglądałoby jego życie, gdyby jej w nim zabrakło. Samo rozważanie takiej tragedii wywoływało w nim mdlące dreszcze.

Linda wzruszyła ramionami, kilkoma długimi łykami opróżniła szklankę i z trzaskiem odstawiła ją na stół. Na jej usta wypłynął lunatyczny uśmiech, który wcale się Adamowi nie spodobał. Jeszcze gorsze było to jej puste spojrzenie jeńca.

– No i co z tego? – spytała zadziornie.

Adam doskoczył do niej, złapał za ramiona i potrząsnął. Chciał, żeby przestała się uśmiechać w ten upiorny sposób, żeby ta pustka zniknęła z jej oczu.

– Jezu Chryste, jeździłaś tak, Linda! Jeździłaś po pijaku! Dociera do ciebie, co mogło się stać?! Mogłaś spowodować wypadek, mogłaś kogoś zabić lub sama zginąć! Czy ty w ogóle o tym pomyślałaś?!

Linda odepchnęła jego ręce, wstała, zachwiała się, złapała krawędź stołu i odzyskawszy równowagę, podeszła do blatu szafki, zgarniając butelkę. Adam – zastygły w dziwacznym stuporze – obserwował, jak odkręca ją z wyraźnym trudem, po czym pociąga dwa długie łyki. Chciał podbiec i wyrwać jej alkohol z rąk, ale nie był w stanie się ruszyć. Jak zahipnotyzowany patrzył na jasnobrązowy płyn połyskujący w świetle świetlówek, na czerwone policzki Lindy, jej potargane włosy, rozmazany makijaż i wymięte ubranie. Przez moment widział, jak będzie wyglądać, jeżeli nie skończy z piciem – zamiast żony stała przed nim przedwcześnie postarzała kobieta, z zapuchniętą twarzą i ziemistą cerą, wyniszczona, przegrana – i miał ochotę zacząć wrzeszczeć.

– A o czym ty myślałeś, gdy byłeś z Nayhiją? – Linda czknęła, zaryzykowała jeszcze jeden łyczek i uzupełniła: – No, dalej, Adam, powiedz, o czym myślałeś, kiedy rżnąłeś tę dziwkę!

Adam zrobił wielkie oczy i otworzył usta.

– Co ty bredzisz? Przecież wiesz, że ja nigdy…

Linda zamachnęła się i rzuciła w niego butelką. Adam uchylił się w ostatniej chwili, więc burbon przeleciał ponad jego ramieniem, ochlapując go. W następnej sekundzie roztrzaskał się o ścianę z łoskotem, pryskając dookoła szkłem.

– Kurwa, Linda!

Linda podeszła do niego, wojowniczo wysuwając podbródek. Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem i nagle w jej oczach zatańczyły krańcowa nienawiść oraz ślepy żal. Patrzenie na to bolało, ale Adam zwalczył w sobie pragnienie, by spuścić wzrok. W pewnym sensie zasłużył, żeby patrzyła na niego w ten sposób. Takie myślenie było z jednej strony niedorzeczne, lecz z drugiej jednak… uzasadnione.

– Wołałeś ją przez sen, ty pieprzony kłamco! – krzyknęła mu w twarz. – Wołałeś jej imię!

Adam zbladł. Miał wrażenie, że jego żołądek zmienił się w głaz. Nogi zdawały się być zrobione z waty. Stał z rękoma zwieszonymi wzdłuż ciała. Nie mógłby ich unieść, nawet gdyby chciał, bo były nieprawdopodobnie ciężkie, każda zdawała się ważyć tonę.

– Linda, ja… To tylko sen, który… – Sen, który co? Zaczynał wymykać się spod kontroli? Sen, który jakaś mroczna część jego *Ja* pragnęła przemienić w rzeczywistość? – Och, bądźmy poważni, na litość boską!

– Zabiłeś mnie, nie rozumiesz?! – wrzasnęła Linda, rzucając się na niego z pięściami. – Zabiłeś! Zabiłeś!

Adam nie bronił się przed jej ciosami. Stał biernie, pozwalając się uderzać. Myślał, że przecież w jakimś stopniu przyczynił się do tej surrealistycznej sytuacji, że gdyby tylko…

I nagle gniew wstąpił w niego z nową siłą.

Przecież to był jej teatrzyk. Odstawiała przedstawienie, bo nakrył ją na piciu. Ten nałóg – tak, to był już nałóg – przejmował kontrolę na jego żoną, czynił z niej niewolnicę, więc teraz Linda, jak każda uzależniona osoba, posiłkowała się Ewangelią Według Świętego Nałogowca. Próbowała przerzucić winę na niego, oczyścić się z zarzutów i wykazać, że jest tylko ofiarą – pokrzywdzoną, niewinną. Zrobiłam to, co zrobiłam, wysoki sądzie, ponieważ działałam w afekcie, ale mogę przestać. Mogę przestać, kiedy tylko zechcę. Wystarczy, że mój mąż przestanie być takim nieczułym sukinsynem.

Z czego właściwie wynikało jej picie? Z maskowanej depresji? Czy to dlatego nie wzięła letnich zajęć, jak co roku? Zaczęła z wolna popadać w apatię, którą przeoczył, bo taki był z niego zajebiście błyskotliwy terapeuta? Alkohol miał temu zaradzić, stłamsić rodzącą się chorobę w

zarodku, złagodzić ból? A może Linda zawsze taka była, tylko on to bagatelizował, idealizując kobietę będącą miłością jego życia, spychając jej wady w niebyt? Może tych kilka puszek piwa za dużo jeszcze na studiach, kilka lampek wina ponad normę, gdy się pobrali, było zapowiedzią, skrywało głębszy problem, który właśnie teraz wypłynął na światło dzienne w pełnej krasie?

Mógł nic nie robić, pewnie. Chciała tankować? Śmiało. Mógł na to pozwolić i czekać, aż zapije się na śmierć albo spróbować ją uratować. Tyle że ona również powinna tego pragnąć. Może zechce, pomyślał, jeżeli odpowiednio nią wstrząsnę.

Złapał ją za nadgarstki, unieruchamiając je jedną ręką, a drugą chwycił za kark i pociągnął w stronę zlewu. Linda protestowała, wrzeszczała i szarpała się, ale nie była wystarczająco silna. Poza tym alkohol zrobił swoje, odebrał zwinność i płynność ruchów. Adam wetknął jej głowę pod kran i odkręcił zimną wodę.

– Auaaaa! Co ty robisz?! Puszczaj mnie! Puszczaj!

– Może to pomoże ci oprzytomnieć – odparł oschle, przytrzymując ją pod strumieniem.

Linda gulgotała coś w akcie sprzeciwu, na przemian uderzała w zlew i próbowała drapać Adama, jednak on nic sobie z tego nie robił.

Po kilku minutach – gdy uznał, że już wystarczy – puścił żonę, przezornie cofając się o krok. Jego wzrok przesunął się w kierunku okna, w którym dostrzegł siedzącego na zewnętrznym parapecie czarnego kota. Zwierzę bacznie mu się przyglądało. Kiedy spojrzał tam ponownie, już go nie było.

– Skurwiel – warknęła Linda, popatrując na niego mściwie.

Otrzepała się jak pies i odgarnęła przyklejone do twarzy mokre włosy. Wzrok miała już bardziej przytomny, zatem namiastka zimnego prysznica przyniosła spodziewany efekt. Oczy nadal jej błyszczały – jednak ze złości, nie przez gorzałę.

– Chodź. – Adam ostrożnie ujął ją za łokieć, ale żachnęła się wściekle, wyrywając się.

– Nigdzie z tobą nie pójdę!

– Pójdziesz. – Adam złapał ją pod ramię, ignorując protesty, i ruszył w kierunku holu. – Położysz się jak grzeczna dziewczynka i zaśniesz.

– Pieprzę cię – burknęła Linda, jednak nie szamotała się już tak gwałtownie. Wściekłość spływała z niej razem z kroplami wody. Spuściła głowę, wbijając wzrok we własne stopy i szła tak aż do samej sypialni – niczym skazaniec prowadzony na szafot.

Adam podprowadził ją do łóżka, na które osunęła się bezwładnie. Przyniósł jej ręcznik z łazienki, by się wytarła, co też zrobiła – niezbornymi ruchami, jakby tak prosta czynność sprawiała jej nieopisany trud – po czym rzuciła nim w męża. Nie zdjęła ubrania, a gdy spróbował jej pomóc, warknęła coś niezrozumiałego i uderzyła go w rękę.

– Kupiłaś więcej wódy? – spytał, kładąc się obok niej. – Kupiłaś i poupychałaś w jakichś skrytkach?

Milczała.

– W porządku, nie musisz odpowiadać. Jutro sam sprawdzę dom.

– Pieprzę cię – powtórzyła, odwracając się na drugi bok.

Adam słyszał, jak parę chwil później jej oddech zmienia częstotliwość, staje się bardziej regularny. Gdy zaczęła pochrapywać, zrozumiał, że śpi.

On również próbował zasnąć, ale nie potrafił. Słuchał tykania zegara, niespokojnych podmuchów wiatru za oknem i własnego, przyspieszonego bicia serca. Minuty pełzły leniwie, a on śledził ich przemarsz, pogrążony w ponurych myślach.

„Wołałeś ją przez sen! Wołałeś jej imię!”

Tej nocy nie zmrużył oka. Widział, jak świt zaczyna barwić niebo, jak granat zaczyna ustępować pod naporem jasności wschodzącego słońca. Zawsze uważał, że to piękny widok.

Jednak nie tym razem.

8.

Nayhija siedziała na dachu domu Adama i Lindy Hillów, spoglądając w gwiazdy. Odbijały się w jej oczach, zmieniając je w galaktyki zalane frapującym zielonym światłem. Wiatr igrał z jej włosami, bawił się nimi. Powiewały, targane jego podmuchami, tak jak poły jej kurtki. Chłostało ją zimno, którego jednak nie czuła. W jej wnętrzu panował znacznie większy chłód.

Wiedziała, że mężczyzna leżący w łóżku pod tym dachem nie śpi. Słyszała jego myśli. Myśli tak różne od tych, jakie snuł Jasper.

Nayhija skrzywiła się i spełzła niżej po dachu, schodząc ze szczytu. Położyła się na plecach, zginając nogi w kolanach i wbiła pięty między dachówki, tak by nie ześlizgnąć się bardziej. Splotła ręce za głową i zaczęła się zastanawiać.

W którejś chwili jej oczy zaszły mgłą, spojrzenie stało się odległe. Zastanawianie się zaczęło przechodzić we wspominanie.

Myślała o podobnie jak ona zamyślonej ciemnowłosej dziewczynie. Widziała ją wyraźnie, leżącą w swoim pokoju, oddzieloną od niej czasem i przestrzenią. Niegdyś lśniące włosy teraz miała matowe, przetłuszczone. Jej cera poszarzała, pod oczyma pojawiły się ciemnofioletowe kręgi, dowodzące, iż ostatnimi czasy niewiele sypiała. Wychudzone ciało chowała w obszernym dresie, tylko twarzy nie mogła ukryć. Policzki zaczęły się jej zapadać, usta były spękane. Mimo to jeszcze nie wyglądała fatalnie – jej uroda nawet teraz pozostawała dobrze widoczna – ale już mocno niepokojąco, niezdrowo.

Coraz rzadziej wychodziła z pokoju, bo tylko zamknięta w ciszy czterech ścian czuła się bezpieczna. Jasper ją odwiedzał, ale nie codziennie. Wymawiał się pracą, brakiem czasu, a ona mu wierzyła. Mówił wprawdzie, by przyszła do niego, jednak oboje wiedzieli, że tego nie zrobi. Nie w najbliższym czasie. Strach pętał jej nogi i umysł, trzymał ją w okowach, z których nie potrafiła się wydostać.

Ale chciała. Jeszcze chciała.

Jasper był wszystkim, co miała, był jej kotwicą. A teraz ta kotwica zaczynała puszczać. Z jej powodu. Wiedziała, że to ostatni moment, punkt krytyczny, ścieżka bez odwrotu. W tę albo we w tę, jeżeli czegoś nie zrobi, straci go. Każdy w chwili uniesienia mówi, że zaczeka, że przemierzy wieczność, jeżeli będzie trzeba, ale życie weryfikuje te dziecinne zapewnienia. Życie jest brutalne. Nieubłagane. Nie lubi próżni, nie może zbyt długo trwać w zawieszeniu.

Dlatego w końcu zdecydowała się wstać i wyjść z domu. To nie było łatwe, jednak znalazła w sobie siłę. Zrobiła to dla niego. Wszystko zawsze robiła dla niego. Był jej sercem. Jej duszą zamkniętą w drugiej osobie.

Tego dnia słońce pozostawało zamglone, jakby nie mogło się przebić przez żałobny welon. Ptaki śpiewały, ale jakoś tak ciszej, jak gdyby one również zastanawiały się, co jest przyczyną tego osobliwego półcienia. Dziewczyna umyła się, umalowała i ubrała starannie, czego nie robiła od długiego czasu. Wyszła z domu i choć przy samej bramie chciała zawrócić i ponownie zagrzebać się w pościeli, nie zrobiła tego. Poszła naprzód z uniesioną głową.

Mijała kolejne ulice, co chwilę niespokojnie oglądając się przez ramię. Wreszcie wyszła na tę brukowaną, którą tak dobrze znała. Zrobiła to. Dotarła aż tutaj, co w swoim obecnym stanie uważała za…

9.

Ciemnowłosa dziewczyna mija kolejne ulice, co chwilę niespokojnie oglądając się przez ramię. Wreszcie wychodzi na tę brukowaną, którą tak dobrze zna. Robi to. Dociera aż tutaj, co w swoim obecnym stanie uważa za spory wyczyn. Nie dostrzega nikogo w zasięgu wzroku, a mimo to towarzyszy jej lęk. Jest w każdym głośniejszym podmuchu wiatru, trzasku przejeżdżającego ulicą samochodu, czy szmerze dobiegającym z zarośli na opuszczonej parceli.

Otwiera furtkę pomalowanego na zielono drewnianego płotu i idzie żwirowym podjazdem. Widzi rower oparty o ścianę domu i wcale jej się to nie podoba. Nie wie dlaczego, ale nie podoba jej się, budzi niepokój, który smaga ją po karku jak bicz. Podchodzi do drzwi, lecz zamiast nacisnąć dzwonek – powodowana niejasnym, nieodpartym impulsem – schyla się i wyjmuje klucz z doniczki stojącej obok schodów. Wkłada go w zamek, przekręca, otwiera i wślizguje się do środka.

W połowie holu dolatują do niej stłumione dźwięki, więc niepokój urasta do rangi ślepej, histerycznej paniki. Jakąś częścią siebie wie, co zaraz zobaczy, lecz świadomie nie dopuszcza tej wiedzy. Słyszy też cichuteńką muzykę, to *Love Me Tender*. Dobrze znana melodia nakłada się na te

(jęki)

stłumione dźwięki, co jest jak profanacja. To ich piosenka, tylko ich, i och, Boże, dlaczego ona gra? Dlaczego? Nie powinna. Nie teraz. Nie, gdy stoi tam ten przeklęty rower.

Dziewczyna idzie przed siebie lunatycznym krokiem – właściwie należy powiedzieć, że się skrada – przy ścianie, jakby ta ją asekurowała. Stąpa cicho, bezszelestnie, z wysuniętą do przodu ręką i szeroko otwartymi oczyma, które przypominają szklane kule. Zatrzymuje się przed niedomkniętymi drzwiami sypialni i zastyga na moment, wsłuchując się w dźwięki, które nie są już stłumione. Teraz brzmią jak krzyk. Są krzykiem. Wydaje jej się, że nie rozbrzmiewają w uszach, lecz w głowie, i dopiero stamtąd wydostają się na zewnątrz. Jest tak, jakby coś się poprzestawiało, jakby świat wywrócił się na lewą stronę. Dobro zamieniło się w zło, bezpieczeństwo stało się najwyższą grozą.

Elvis śpiewa: *Kochaj mnie czule, kochaj mnie, moja droga, powiedz, że jesteś moja. Będę twój przez wszystkie lata aż do końca czasu* i ona również chce krzyczeć.

Czubkami palców dotyka drzwi, wyczuwa ich nierówność, dziwaczne pulsowanie… i pcha je zdecydowanym ruchem. Świat – wciąż wywrócony na lewą stronę – umyka jej spod stóp i pruje się z trzaskiem. Wszechświat runął mi na głowę i znalazłam się w nicości, myśli i zaraz się poprawia: w piekle. Jestem w piekle.

Widzi blondynkę siedzącą okrakiem na Jasperze. Rytmiczne ruchy jej bioder współgrają z jego jękami i posapywaniem, złociste włosy wiszą nad nim niczym girlandy trującego bluszczu. Dłonie Jaspera spoczywają na piersiach i brzuchu kochanki, na jego twarzy odbija się rozkosz i zwierzęce pożądanie. Czarne włosy ma potargane, policzki zarumienione. Dziewczyna wiele razy widywała go takim, tyle że wcześniej to ona była powodem, dla którego jego policzki nabiegały kolorami, to jej palce burzyły mu włosy. Wokół łóżka leżą porozrzucane ubrania. Jedna z poduszek również znajduje się na ziemi, z przerzuconymi przez nią różowymi majtkami blondynki.

Dziewczyna stoi tak, spetryfikowana, porażona zgrozą, niezdolna choćby mrugnąć, czy wydać z siebie najcichszego dźwięku. Dławi ją trwoga. Elvis nadal śpiewa, a ona ma wrażenie, że pękło jej serce. Dosłownie. Tak właśnie czuje – jakby coś rozdarło je w piersi na dwoje, a

potem wyrwało. W jego miejscu ma płonącą dziurę, pali się od środka – jednak ten ogień nie daje ciepła. Przepełnia ją tylko hucząca pustka. Zimna. Lodowata. Już nie ma po co żyć, zresztą… jak można żyć bez duszy? Ostatnia kotwica zostaje zerwana, sztorm porywa statek, pcha go po wzburzonym morzu, by wkrótce roztrzaskać o skały.

Jasper dostrzega ją po chwili i choć w jego błękitnych oczach odmalowuje się zszokowane zdumienie, to nie jest w stanie do końca przykryć tego zimnego błysku. Pogardy.

– O Boże – mówi, spychając z siebie blondynkę. – To wszystko nie… O kurwa!

Tamta również ją dostrzega. Oblewa się rumieńcem i podciąga kołdrę pod brodę, ale niepotrzebnie. Dziewczyna zdążyła dostrzec jej nagie piersi, tatuaż na lędźwiach oraz linię bikini, przy której kończy się opalenizna.

– Mówiłeś, że będziemy sami – syczy z wyrzutem. – Nie lubię takich scen.

Jasper posyła jej karcące spojrzenie i mamrocze coś, co brzmi jak: „Nie teraz, Annmarie". Wychyla się, podnosi dżinsy z podłogi, wciąga je i rusza ku stojącej w progu dziewczynie. Ale ona kręci głową, jakby zaprzeczała koszmarowi, który rozegrał się na jej oczach, po czym odwraca się i wybiega.

Jasper dogania ją na werandzie. Łapie za ramię i odwraca. Ich spojrzenia się spotykają, a gdzieś w oddali przetacza się grom. A może rozlega się tylko w jej głowie? Dziewczyna wie, że patrzą na siebie po raz ostatni. To boli, to tak strasznie boli. Te oczy, które znała tak dobrze, teraz wydają się obce, bezduszne. Kim jest człowiek stojący przed nią? Nieznajomym, którego kocha nad życie. Nawet pomimo tego, co jej zrobił. To zdrajca miłości, kłamca, wyrachowany oszust… Nieprawda! To jej świetlisty rycerz, to jej książę… Nie, już nie. To już nie on. Teraz jest tylko krzywym odbiciem w spękanym zwierciadle.

– Skarbie… – zaczyna, ujmując jej dłonie. – Musisz zrozumieć, że…

Dziewczyna szarpie się, wyrywając spod jego dotyku.

– Nie nazywaj mnie tak! Nie po tym, co zrobiłeś!

Jasper mierzy ją posępnym spojrzeniem. W jego oczach, na ich dnie, majaczy

(pogarda)

ten chłodny błysk, a ona uświadamia sobie, że był tam już od dłuższego czasu. Od chwili, gdy to się wydarzyło. Gdy tamci jej to zrobili. I ma ochotę wyć, wrzeszczeć, zdemolować wszystko, cały świat, podpalić go. Chce, żeby każdy cierpiał tak samo jak ona… a zarazem pragnie zamknąć oczy i odciąć się od tego bólu, ma ochotę uciec. I nawet już wie, jak to zrobi. Od początku wiedziała.

– To nie tak, że chciałem, ale… – Jasper zamyka jej dłoń w swoich i tym razem ona mu na to pozwala. Potrzebuje poczuć ten dotyk jeszcze jeden, ostatni raz. – Mam… mam swoje potrzeby. To po prostu… się stało.

Dziewczyna mierzy go nieruchomym spojrzeniem, następnie odrzuca głowę i zaczyna się śmiać. To pusty śmiech trupa.

– „Poczekam, ile będzie trzeba", tak mi powiedziałeś. – Jej usta wykrzywiają się w jakimś potwornym uśmiechu, broda drży nieznacznie. – Ale nie wytrzymałeś zbyt długo.

Jasper cofa się i kręci głową. To bez znaczenia, stara się przekazywać tym gestem.

– Przykro mi to mówić, ale… zmieniłaś się. Oboje się zmieniliśmy. To, co było między nami… chyba… to chyba się… popsuło. Skończyło.

Dziewczyna chwieje się, jakby ktoś zdzielił ją obuchem w tył głowy. Jego słowa są jeszcze gorsze niż to, co zobaczyła. To one ostatecznie odzierają ją z resztek złudzeń, roztrzaskują iluzję. To koniec. To naprawdę koniec. Wszystko przepadło. Tak, teraz rozumie to z całą mocą. Mdli ją, nie może zaczerpnąć powietrza, a łomot pulsującej w skroniach krwi jest tak głośny, że na moment zagłusza myśli.

Dziewczyna otwiera usta i zaczyna zipać. Piecze ją w piersi, płuca zdają się być płaskie jak arkusz papieru. Powietrze ma dziwny posmak, słodki i jakby miedziany. Jak krew.

– Nie mów za nas oboje, nie masz do tego prawa! – wrzeszczy zdławionym głosem. Brzmi on niczym krzyk kogoś, kto tonie. Unosi pięść, jak gdyby chciała uderzyć Jaspera, ale tego nie robi. Ma ochotę, jednak coś ją powstrzymuje. Dobrze wie, co to jest. Jemu jednemu nie jest w stanie wyrządzić krzywdy i to się nigdy nie zmieni. Nawet jeśli będzie jej dane spopielić cały świat, Jasperowi nie wymierzy chociażby policzka. – Nie, już nie!

Jasper patrzy na nią z dziwną pokorą. Emanuje z niego gorzki spokój, który ją rozsierdza, sprawia, że buzujące w niej emocje rozrywają tamę i wydostają się z hukiem na powierzchnię.

– Jak mogłeś to zrobić?! Jak mogłeś?! Kochałam cię, tak jak nikt nigdy cię nie pokocha! Zrobiłabym wszystko, wszystko, o co byś poprosił! Zginęłabym za ciebie i ty dobrze o tym wiesz! Zabiłabym za ciebie! – Szloch wstrząsa wychudzonym ciałem dziewczyny, nogi odmawiają posłuszeństwa i osuwa się na kolana. Po jej rozpalonych policzkach spływają gorące, piekące łzy. – Nadal cię kocham i zawsze będę, ale to już stracone, wszystko stracone! Bo ty… Och! Dlaczego, Jasper?! Dlaczego mi to zrobiłeś?! Czym sobie na to zasłużyłam? Czym, powiedz mi! Czym ci się naraziłam? – Jej głos łamie się i opada do chrypliwego szeptu: – Przecież ja cię tylko… kochałam.

– Przykro mi. – Jasper nie ma jej do powiedzenia nic więcej. Zaledwie te dwa słowa, które są jak kiepski żart, jak kpina z tego, co ich łączyło. – Naprawdę mi przykro.

Dziewczyna unosi głowę i spogląda na niego poprzez łzy. Ma szaloną ochotę chwycić go za nogawkę i błagać, by zapomnieli o tym, co się stało albo jeszcze lepiej, żeby udawali, że nic się nie wydarzyło. Chce prosić tak długo, aż on wreszcie się zgodzi, aż obieca, że będą razem, że czeka ich wiele długich dni i spokojnych nocy. Chce skomleć o miłość, o jej strzępy. Chce żyć, a przecież życie to on, życie to miłość.

Jednak nie robi tego. Niczego nie robi. Nie, ponieważ w jego oczach widzi tylko zimną nieustępliwość. Nie ma w nich już miłości. Nie do niej. Przepadła, odeszła. Najgorsze jednak jest to… że kiedyś tam była.

10.

Przez kilka kolejnych dni Adam próbował zmusić Lindę do rozmowy, lecz ona uparcie milczała. Jej najdłuższą wypowiedzią w tym czasie było stwierdzenie, że „zaledwie mgliście, a tak właściwie to prawie wcale nie pamięta ich awantury". Jednak Adam jej nie wierzył. Wiedział, że pamiętała. Dostrzegał to w jej spojrzeniu.

Jezu, ona chyba faktycznie ubzdurała sobie, że Adam ma romans. A on, przykro mówić, w jakiś sposób się do tego przyczynił, pogłębił te paranoiczne podejrzenia. Tym tańcem. Śnionymi na jawie snami. Mimo to – mimo że perspektywa spędzenia nocy z Nayhiją była szalenie kusząca i jakaś jego część, całkiem spora, tego pragnęła – nigdy by jej tego nie zrobił. Nie on. Z jednej strony bolały go ponure domysły Lindy, z drugiej zaś wiedział, że zazdrość jest rzeczą ludzką, niepewność zresztą też, więc jej nie winił.

Tylko jak miał ją uspokoić, wszystko wyjaśnić, skoro Linda obrosła murem milczenia? Prawdę mówiąc, miał przemożną chęć złapać ją za ramiona, potrząsać nią, a jeśli i to by nie poskutkowało, wsadzić jej głowę pod kran, tak jak tamtej pamiętnej nocy, i trzymać ją pod strumieniem lodowatej wody, dopóki nie nabierze ochoty, by szczerze z nim porozmawiać. Ale tego nie zrobił, ponieważ wiedział, że przyniosłoby to skutek odwrotny do zamierzonego. To znaczy, jeżeli nie będzie miał wyboru, pewnie tak postąpi. Na razie jednak czekał.

– Linda? – zawołał, przekraczając próg. Zaczął robić takie niezapowiedziane wizyty w środku dnia, jeśli tylko pozwalał mu na to grafik, nie do końca wiedząc, czy bardziej chce nakryć ją na piciu, czy przekonać samego siebie, że powodowany nawykami z pracy wyolbrzymił problem, który w gruncie rzeczy nie jest pożarem, lecz zaledwie ogniskiem. – Jesteś?

Odpowiedziała mu cisza.

Obszedł dom, jednak nie znalazł żony. Zapasów alkoholu też nie. Dobrze, bardzo dobrze. Może rzeczywiście z tym skończyła. Albo – to też niewykluczone – po kryjomu zapisała się do grupy wsparcia.

No, chyba że siedzi teraz w jakimś barze i zalewa się w trupa. Może tak właśnie wygląda jej „grupa wsparcia"?

Adam sposępniał.

– Obyś po prostu była na zakupach – mruknął, spoglądając na zegarek.

Do wizyty z kolejnym pacjentem miał prawie godzinę, ale wyszedł mimo to. Nie było sensu siedzieć w pustym domu, którego ściany rodziły niespokojne myśli. Myśli, od których lepiej trzymać się z daleka.

Gina siedziała za biurkiem, miarowo stukając w klawiaturę komputera. Rude włosy upięła w luźny kok. Usta pociągnęła pomadką w kolorze wina, co pasowało do jej ciemnoczerwonej sukienki. Figurę miała lepszą niż niejedna kobieta o dwadzieścia lat młodsza i trudno było uwierzyć, że jest po pięćdziesiątce – w każdym razie z daleka. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

– Collins dzwonił i kazał pana przeprosić, że się spóźni. – Wymowne chrząknięcie. – Znowu.

Adam westchnął. Nieważne, na którą godzinę Collins umawiał swoje wizyty, nie był w stanie dotrzeć na nie bez przynajmniej dwudziestominutowego spóźnienia. Najczęściej jednak było to trzydzieści, trzydzieści pięć minut, przez co sypał się cały grafik.

– Coś jeszcze?

Gina pokręciła głową.

– To wszystko. Na razie.

„Na razie”, ona dopiero była optymistką.

– Dzięki – powiedział i poszedł do swojego gabinetu.

Rozsiadł się za biurkiem, włączył komputer i zajął się papierkową robotą, którą niestety miał. W idealnym świecie nie musiałby tego robić, jednak w idealny świat przestał wierzyć gdzieś tak w okolicy dziewiątych urodzin, po tym jak ten kretyn, Terry Jones, zepchnął go z roweru, który następnie zniszczył.

Nie zdążył nawet na dobre zabrać się do pracy, gdy usłyszał pukanie. Pewnie Gina zorientowała się, że jednak o czymś zapomniała. A może to Collins zadzwonił drugi raz, żeby powiedzieć, że spóźni się jeszcze bardziej. Boże, można było pomyśleć, że facet przyjeżdża na terapię z cholernego Jowisza.

– Proszę – mruknął, nie podnosząc wzroku znad ekranu.

– Cześć, Adam – usłyszał i omal nie wrzasnął.

– Nayhija… Co ty tu…? – wybąkał, patrząc na nią rozszerzonymi zdumieniem oczyma. Zapomniał o mruganiu, zapomniał o oddychaniu.

Nayhija cicho zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę tylko stała, mierząc go przenikliwym spojrzeniem. Miała na sobie czarną sukienkę z odważnym dekoltem sięgającym niemal pępka, rozkloszowaną, zakończoną koronką i tiulem. Na nogach, to chyba był jej znak rozpoznawczy, nosiła trampki. Wyglądała… po prostu… obłędnie. Zjawiskowo. Kiedy zaczęła iść w jego stronę, Adam zauważył, że na prawym udzie ma podwiązkę… tyle że po bliższym przyjrzeniu wyglądało to bardziej na zmyślną kaburę małokalibrowego pistoletu. Ale to była podwiązka. No oczywiście, że tak.

Adam dostrzegł coś jeszcze. Podwiązka miała śmieszny, maleńki, czerwony znaczek przypominający widły. A może to był trójząb?

– Chciałam cię zobaczyć. – Nayhija błysnęła uśmiechem. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– Nie, w porządku. – Adam gestem wskazał fotel pod regałem z książkami, jednak Nayhija zignorowała to i podeszła do kozetki po przeciwnej stronie. Stała tu właściwie dla ozdoby, pacjenci się na niej nie kładli, ale Nayhija to zrobiła.

Rozejrzała się po gabinecie z umiarkowaną ciekawością. Jej wzrok prześlizgnął się po biblioteczce, w skład której wchodziła głównie literatura fachowa, szklanym stoliku do kawy, dwóch jasnozielonych fotelach, kolekcji oprawionych dyplomów wiszących na ścianie za nią, drewnianej afrykańskiej rzeźbie.

– Twoja sekretarka powiedziała, że masz wolną chwilę – oznajmiła, na powrót kierując spojrzenie na Adama. – To dobrze, bo ja… potrzebuję pomocy. Twojej pomocy. – Nayhija zaczęła prężyć się na kozetce w dwuznacznej pozie, jej dłonie przesuwały się po szyi i zaraz zjechały niżej, na piersi, kreśląc na nich leniwe wzory.

Adam przełknął ślinę i poluźnił krawat. Czuł, że zaczyna mu się robić gorąco. Włosy opadły mu na czoło, toteż odgarnął je nerwowym gestem.

Nayhija wbiła w niego pożądliwe spojrzenie. Odchyliła materiał sukienki, obnażając piersi i ujęła sutki w palce. Bawiła się nimi przez chwilę, mrucząc przy tym. Następnie osunęła się niżej na kozetce, ugięła nogi w kolanach i powoli je rozsunęła. Jedną ręką uniosła fałdy tiulu i koronek, odsłaniając półprzezroczyste czarne majtki, które zaraz odchyliła na bok. Zaczęła się dotykać, z początku delikatnie, potem coraz śmielej.

Adam patrzył na to zdębiały, czując, że jego spodnie zaczynają się robić za ciasne. Słyszał, jak oddech Nayhiji przyspiesza, jak jej pomruki przechodzą w jęki. Z otwartymi ustami obserwował, jak zaczyna wsuwać w siebie palce, jeden, drugi, przesuwając biodrami w górę i w

dół, drugą ręką zachęcająco machając na Adama. Wiedział, że zaraz wstanie, podejdzie do niej i zacznie ją pieprzyć. Tak, właśnie tak, nie „kochać się", lecz „pieprzyć", to właśnie będzie z nią robić. Po prostu wstanie i…

– Adam? – Głos Nayhiji wyrwał go z transu.

Zamrugał i spostrzegł, że kobieta stoi mniej więcej w połowie gabinetu, popatrując na niego z ciekawością przemieszaną z niepokojem. W jej oczach jednak błyszczało coś złośliwego. Coś, co wcale mu się nie spodobało.

– Chodzi ci o terapię? – wykrztusił z trudem. Przed oczyma wciąż widział dotykającą się Nayhiję i miał wrażenie, że to, co zobaczył w wyobraźni, odbija się na jego twarzy, przez co prawdziwa Nayhija także to dostrzega… i bardzo dobrze się bawi. – Po to przyszłaś?

– Między innymi – przytaknęła i ku przerażeniu Adama usiadła na kozetce. Przejechała czubkiem języka po górnej wardze i tak jak w jego wizji zaczęła dotykać swoich piersi. Materiał sukienki był cienki, a ona nie miała stanika. Widział bardzo wyraźnie, jak twardnieją jej sutki.

Adam poczuł, że jego policzki rozpala żar, który następnie rozlewa się po całym ciele.

– Co robisz? – zapytał, jakby nie było to wystarczająco oczywiste.

– To, co ty chcesz zrobić mi – odparła i jedną ręką zjechała między swoje rozsunięte uda.

Adam podniósł się z fotela. Cały dygotał, nie wiedział tylko, czy z podniecenia, czy ze złości. Najpewniej z obu powodów.

– Wyjdź stąd – rozkazał, mierząc w nią palcem. – Wynoś się!

Nayhija nie miała zamiaru go posłuchać. Wysunęła się do przodu, opierając łokcie o kolana, i spoważniała w jednej chwili.

– A gdybym powiedziała ci, że naprawdę spotkała mnie wielka krzywda? Na przykład… – Zawiesiła głos, wpatrując się w niego przeszywająco. – Gwałt?

Adam oklapł z powrotem na siedzenie. Raczej ze zdumienia niż dlatego, że faktycznie jej uwierzył.

– Z całym szacunkiem, ale nie wyglądasz ani nie zachowujesz się jak ofiara gwałtu – powiedział i zaraz znienawidził się za te słowa. Były nieprofesjonalne, zupełnie nie na miejscu.

Nayhija odrzuciła głowę i zaczęła się śmiać. To był nieprzyjemny dźwięk, zupełnie jakby ktoś zaczął biegać po tłuczonym szkle. Następnie podeszła do niego wolnym krokiem, kołysząc przy tym biodrami. Poruszała się bezszelestnie i jakoś tak… nie całkiem jak człowiek.

– Postawisz na to swój dyplom? – zapytała, pochylając się, aż jej piersi znalazły się tuż przed jego twarzą.

Adam wyraźnie się zmieszał.

– Chciałem tylko…

Nayhija uciszyła go, kładąc palec na ustach.

– Nie diagnozuj mnie jak zwykłego człowieka, donikąd cię to nie zaprowadzi – rzekła, siadając na nim okrakiem.

– Co chcesz przez to…? – Adam nie dokończył pytania, nie był w stanie. Bo jakąś częścią siebie rozumiał, co chciała przez to powiedzieć.

Oczy Nayhiji rozjarzył niespokojny wewnętrzny blask i Adam cofnął się odruchowo, uderzając plecami w skórzane obicie fotela.

– Istnieją rzeczy… rzeczy tak straszne, że potrafią przeobrazić nas w potwory. A potwory nie czują tak jak ludzie. Co nie znaczy, że nie czują wcale. – Jej wargi wykrzywiły się w dziwnie zbolałym uśmiechu. – To jest właśnie ich przekleństwo.

– Uważasz się za potwora? – wydusił przez zdrętwiałe wargi. Ta irracjonalna potrzeba, by dowiedzieć się, co jej jest, znów wysunęła się na pierwszy plan. Może jeśli zostanie moją pacjentką, przestanę wreszcie mieć na nią ochotę, pomyślał idiotycznie, dobrze wiedząc, że tak

nie będzie.

Zbolały uśmiech Nayhiji stał się złośliwy.

– Zależy od punktu widzenia – powiedziała, gładząc go po gładko ogolonym policzku. – Czasem jestem nim ja… czasem wy nim jesteście.

Adam z jakąś niezdrową fascynacją wpatrywał się w dłoń Nayhiji, która zaczęła przesuwać się w dół po jego koszuli, rozpinając guziki jeden po drugim. Uporawszy się z ostatnim, odsunęła materiał i wślizgnęła się pod niego, dotykając nagiego torsu, po czym delikatnie drapnęła go paznokciami. W tym samym czasie drugą ręką zajęła się sprzączką paska, muskając przy tym jego krocze.

– Przestań! – krzyknął, łapiąc ją za przegub.

– Dlaczego? – W oczach Nayhiji tańczyły rozbawione ogniki. – Skoro wiem, jak bardzo tego pragniesz.

– Powiedziałem „przestań”! – powtórzył i zepchnął ją z siebie. Dziewczyna zrobiła lekko urażoną minię, jednak nie cofnęła się zbyt daleko.

Usiadła na skraju biurka, wbijając w niego płonące spojrzenie. Adam miał wrażenie, że fotel, na którym siedzi, nagrzewa się pod siłą tego wzroku i zaraz zajmie się ogniem. Poprawił pasek, a potem zaczął zapinać koszulę. Podupadł na duchu, widząc, że palce mu się trzęsą.

– Gniew. – Kąciki ust Nayhiji się uniosły. – To lubię. – Zbliżyła twarz do jego twarzy i polizała policzek. – Miauu.

Adam otarł się wierzchem dłoni i zmierzył Nayhiję chłodnym spojrzeniem. Ta kobieta go fascynowała, ale jednocześnie napawała trwogą. Jakąś częścią siebie jej pragnął – dziko, szaleńczo, ponad wszelką miarę – drugą zaś zdawał się rozumieć, iż jest najgorszym, co mogło go spotkać. Że jeśli jej ulegnie, zrobi coś gorszego niż tylko zdradzi żonę.

– Wyjdź – wycedził. – Wyjdź stąd.

Widząc, że nie rusza się z miejsca, chwycił ją za ramię tuż powyżej łokcia i powlókł przez gabinet. Zaczął otwierać drzwi, jednak Nayhija położyła dłoń na drewnie, zatrzaskując je, a później okręciła się błyskawicznie jak wąż i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Mogę dać ci lato w środku zimy, blask dnia pośród mroków nocy – szepnęła, ujmując jego twarz w dłonie. – Wszystko, rozumiesz? Ja mogę dać ci wszystko. Wystarczy, że przestaniesz się opierać.

Adam strząsnął jej ręce i się odsunął.

– Linda mi to daje – rzekł z przekonaniem. – Linda daje mi wszystko.

Twarz Nayhiji wykrzywiła wściekłość. W oczach zapłonął jej ogień.

– Jeszcze będziesz mnie błagał, żebym wpuściła cię do łóżka – zapowiedziała, unosząc podbródek. – Będziesz błagał na kolanach.

Adam zacisnął szczęki, złapał ponownie ramię Nayhiji i starając się nie patrzeć jej w oczy, jak gdyby była bazyliszkiem, wypchnął z gabinetu. Zamknął drzwi z trzaskiem i oparł się o nie plecami. Powietrze uleciało mu z płuc z głośnym świstem, krew łomotała w skroniach. Przymknął oczy, ale zaraz je otworzył, tknięty nagłym impulsem. Odwrócił się, nacisnął klamkę i wyjrzał korytarz.

– Nayhija? – spytał głupio, widząc, że nigdzie jej nie ma.

Gina uniosła brwi i spojrzała na niego ostrożnie ze swojego miejsca.

– Słucham?

– Kobieta – powiedział Adam. – Była tu kobieta, brunetka. Wpuściłaś ją.

Gina pokręciła głową; kosmyk włosów wysunął się jej zza ucha i opadł na policzek. Miała taką minę, jakby zaczęła podejrzewać, iż oto nadszedł moment, gdy jej szef zaczął przejawiać pierwsze symptomy ciężkiego pierdolca.

– Nikogo nie wpuszczałam. Słyszałam tylko, jak… – Urwała, odwracając głowę w stronę niedomkniętych szklanych drzwi wyjściowych.

Adam pochwycił jej spojrzenie i zaraz zobaczył to, co ona.

Kot. Przez uchylone drzwi wychodził czarny kot.

– Jak on się tu dostał? – zastanowiła się Gina.

Adam wzruszył ramionami, czując, jak w jego wnętrzu zagnieżdża się jakiś nieuzasadniony niepokój. Kot… ten kot…

– Odwołaj ostatniego pacjenta – poinstruował Ginę. – Muszę dziś wrócić wcześniej do domu.

11.

Czarny kot wyszedł z budynku niezauważony przez nikogo, zeskoczył po betonowych schodkach i potruchtał chodnikiem. Jego zielone ślepia płonęły dzikim wewnętrznym blaskiem, futro na karku było zjeżone. Podszedł do ulicy, wyczekał na odpowiedni moment i przebiegł przez nią, miarowo kołysząc postawionym na sztorc ogonem. Minął długi czteropiętrowy budynek i wmaszerował w zaułek za nim.

Na widok mężczyzny w czerni zatrzymał się, obnażając kły. Ten zbliżył się do niego, schylił i podniósł kota, który zaczął syczeć i ostrzegawczo wystawił pazury.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, kochanie – powiedział mężczyzna w czerni, całując zwierzę w puszysty łepek.

Kot warknął. W następnej sekundzie z jego futra buchnął dym i zamiast kota w ramionach mężczyzny pojawiła się Nayhija. Patrzyła na niego iskrzącymi wściekłością oczyma, próbując wyrwać się z chwytu.

– Uwielbiam twój zapach – rzekł mężczyzna w czerni i przesunął nosem po jej szyi, a później wyżej, aż do włosów. – Wyborny.

– Już mi to mówiłeś – odparła. Jej oczy w dalszym ciągu skrzyły, jednak nie próbowała się już wyrwać. Nie tak gwałtownie. Lubiła jego dotyk, zawsze działał na nią elektryzująco, zmysłowo, mimo że sam mężczyzna w czerni był… tym, kim był. – Więcej niż raz.

– Nic tak jak komplementy nie raduje serca kobiety. – Uśmiech zagrał mu w kącikach ust.

– Komplementy to puste pochlebstwa. – Nayhija rozsunęła jego ramiona i wydostała się z nich, robiąc krok w tył. – Tylko głupia kobieta się nimi raduje.

– Moje nie są puste – zaoponował mężczyzna w czerni. Uśmiech stał się szerszy, zadziorny.

– Nie, nie są. Twoje są kłamstwem.

Mężczyzna w czerni przyłożył dłoń do piersi, jakby dotknęły go te słowa. Jego czoło przecięły dwie pionowe zmarszczki, które jednak zaraz zniknęły. Już się nie uśmiechał. Patrzył na Nayhiję surowo, niemal z naganą.

– W świecie, w którym nic już nie ma wartości, kłamstwo jest jedyną prawdą – rzekł.

Nayhija zmierzyła go spojrzeniem zmrużonych oczu, lecz niczego nie powiedziała. Mężczyzna w czerni podszedł do niej. Obcasy jego eleganckich butów stukały o bruk, niosąc się dziwnie głuchym echem. Przyciągnął ją i szybko odsunął na odległość ramienia, a ona pomyślała, że to szczególny rodzaj tanga – ich własny, nieziemski, nieskończony. Cały czas trzymając Nayhiję za dłoń, okręcił ją, jak gdyby rzeczywiście tańczyli. Jej sukienka zafalowała przy tym ruchu i uniosła się, odsłaniając wymyślną podwiązkę, która Adamowi kojarzyła się z kaburą.

– Doceniam twoje wulgarne sztuczki, jednak w tym wypadku zawodzą – rzekł mężczyzna, wbijając w Nayhiję poważne spojrzenie obsydianowych oczu.

– Mam jeszcze czas – żachnęła się. – A on już prawie jest mój.

– Prawie. – Mężczyzna w czerni się zaśmiał i pokręcił głową. – Prawie to za mało, kochanie.

– Wiem, co robię. – Poczerniałe do drugiego stawu palce Nayhiji niecierpliwie poruszały się przy biodrach niczym u rewolwerowca przed walką. Tyle że ona nie miała krzyżujących się pasów z dwoma potężnymi rewolwerami.

– Czyżby? – Mężczyzna w czerni uniósł kpiąco brew. – Mnie wydaje się inaczej.

Nayhija uniosła podbródek, tak jak niedawno w gabinecie Adama.

– To źle ci się wydaje. Ten człowiek ulegnie mi, jeszcze zanim krew jego żony do reszty wyschnie na kontrakcie. Już teraz pożądanie przejmuje nad nim kontrolę. Ulegnie szybciej, niż mu się wydaje.

– Chyba… że naprawdę ją kocha – rzekł mężczyzna z namysłem. – Wtedy nie ulegnie.

Nayhija prychnęła ze wzgardą. Jej oczy rozjaśnił gniewny błysk. Oceany, w które uderzył piorun.

– Nie rozśmieszaj mnie. Nie ma czegoś takiego jak miłość.

Mężczyzna w czerni złapał ją za łokieć i przyciągnął ku sobie.

– I dlatego próbujesz przekonać o tym siebie przez te wszystkie lata? – spytał, patrząc jej głęboko w oczy. Zdawało się, że to spojrzenie sięga najmroczniejszych zakamarków duszy, że zna przemilczaną przez usta prawdę. – Dlatego szukasz kolejnych dowodów na coś, co w twoim mniemaniu nie istnieje?

Górna warga Nayhiji podwinęła się w zwierzęcym grymasie, ukazując szereg równych, trochę zbyt ostrych zębów.

– Przestań!

Ale mężczyzna w czerni nie zamierzał przestać.

– Skąd w takim razie twoja nienawiść? – brnął. – Czym jest, jeżeli nie echem wielkiej miłości?

– To nie twoja sprawa! – warknęła, wyszarpując rękę. Szew jej sukienki zatrzeszczał przy tym ruchu.

– Owszem, moja. – W oczach mężczyzny w czerni odmalowały się płomienie, spod bladej twarzy wynurzyło się coś drapieżnego. – Należysz do mnie, zatem wszystko, co dotyczy ciebie, jest moją sprawą.

Nayhija patrzyła na niego zafascynowana i zaniepokojona jednocześnie.

– Nie dajesz mi o tym zapomnieć. – Zabrzmiało to jak westchnienie.

Twarz mężczyzny w czerni uległa metamorfozie. Drapieżna istota wynurzająca się spod niej zniknęła, a w jej miejscu pojawiło się coś innego, coś, czego Nayhija nie potrafiła powiązać z jego osobą. Nie wtedy.

– Ignoruj go – szepnął, podchodząc do Nayhiji. Pogładził ją po policzku, następnie zaczął przesuwać rękami po jej ciele. – Obojętność potrafi zmienić pożądanie w obsesję. Ignoruj go, a będzie pełzł do ciebie na kolanach.

– Taki był plan – odparła Nayhija i poddała się jego dotykowi. Położyła mu brodę na ramieniu, wdychając jego zapach – pradawną pustynną woń.

– I przestań ratować niewinnych – rzekł beznamiętnym głosem mężczyzna w czerni. – To nie należy do twoich obowiązków.

Nayhija uniosła wzrok, próżno starając się wyczytać coś z jego oczu.

– Zapamiętam – powiedziała cierpko.

Nagle w ceglanej ścianie pojawił się płonący obrys, który po chwili zamienił się w drzwi. Mężczyzna w czerni przytulił czoło do czoła Nayhiji w zaskakująco czułym geście, następnie podszedł do nich, nacisnął klamkę i otworzył. Skłonił się lekko i zapraszającym gestem pokazał Nayhiji, by szła przodem.

– Do firmy? – Jej ciemne brwi powędrowały wyżej na czole.

Mężczyzna przytaknął. Cały czas stał z wyciągniętą ręką, więc Nayhija podeszła, ujęła ją, splatając palce z jego palcami. Nie weszła pierwsza, przeszli przez drzwi razem.

Wyszli po drugiej stronie miasta, właściwie na jego obrzeżach. Słońce zaczynało przesuwać się niżej po nieboskłonie, wydłużając cienie. Ciepły wiatr pędził chmury, bawił się

włosami Nayhiji oraz połami marynarki mężczyzny w czerni.

Przy opuszczonym magazynie stał czarny lincoln continental. Czekał na nich. Mężczyzna okrążył go, otworzył drzwi od strony pasażera, poczekał, aż Nayhija wsiądzie, po czym zamknął je i sam zajął miejsce za kierownicą.

– Wiem, jak lubisz jeździć – rzekł, widząc, że Nayhija otwiera usta, chcąc coś powiedzieć. – Dlatego nie drzwiami. Nie do końca.

Skinęła głową, wygodniej rozsiadła się w fotelu i wsłuchała w miarowy warkot silnika. Jazda to wolność, pomyślała, jedyna, na jaką mnie teraz stać.

Mężczyzna w czerni wrzucił wsteczny i wycofał auto z zachwaszczonego podjazdu. Zrobił to z niewymuszoną lekkością, masywny lincoln zdawał się płynąć ponad drogą. Wjechał na jezdnię, dodając gazu, zostawiając za sobą tumany kurzu.

Mike Hamilton siedzący po przeciwnej stronie ulicy w służbowym wozie obserwował ich odjazd. Prawdę mówiąc, widział nieco więcej.

I ten widok wzbudził w nim ciekawość.

12.

Linda wracała ze sklepu mniej więcej w tym samym momencie, w którym auto Adama wyjeżdżało z ich podjazdu. A więc to tak, jej mąż w dalszym ciągu ją sprawdzał. Zupełnie jakby była cholerną uczennicą, trudną nastolatką. Oczywiście, gdyby ją zastał, wyłgałby się pewnie jakimś banałem w stylu „zapomniałem notatek" lub „gdzieś tu mi się zawieruszyła karta pacjenta". Gówno prawda, chciał ją nakryć, jak leży zalana niczym stodoła, bełkocząca, zarzygana. Wtedy miałby pretekst, by złożyć papiery rozwodowe i z czystym sumieniem pieprzyć tę wywłokę.

Obok jej samochodu przeszła pani Stanford, ciągnięta przez swojego psa – bernardyna imieniem Pompon. Linda pozdrowiła ją machnięciem dłoni, zastanawiając się, po co staruszce takie niedorzecznie potężne zwierzę, i na powrót wbiła wzrok w swój dom. Wyczekała jeszcze chwilę, upewniając się, że Adam nagle nie zawróci i dopiero wtedy wjechała na podjazd.

Jej myśli przeskoczyły z Pompona do Nayhiji i ziół, które jej dała, a które Linda wciąż piła. Może to one, te zioła? Zamiast pomagać, robiły jej coś z głową. Cała ta gadka, że są panaceum na ból, była bezczelną ściemą, częścią wyrachowanego planu, który miał na celu… Boże, litości! I tak umierała i to w dość szybkim tempie, nie trzeba było jej podtruwać, żeby się jej pozbyć. Do tego wystarczy tylko niepotrafiący utrzymać fiuta w spodniach Adam. Jednak na tę chwilę – Linda była o tym przekonana – na razie go utrzymywał. A jeszcze bardziej utwierdził ją w tym przekonaniu kolejny mail od Fundacji Ostatniej Szansy, jak zwykle bez adresu nadawcy – rzecz, zdawałoby się, niewykonalna. Przynajmniej na tyle, na ile Linda się orientowała.

Szanowna Klientko!

Termin kontraktu upływa za dziewiętnaście dni. Mamy nadzieję, że czujesz się dobrze. Tak niewiele brakuje do Twojego wyzdrowienia, nie zapominaj o tym! Przypominamy, iż zgodnie z klauzulą poufności wtajemniczanie osób trzecich w treść kontraktu jest zabronione. Z tego tytułu kontrakt nie zostanie automatycznie zerwany, jednakże obowiązują kary umowne.

Pozdrawiamy

Fundacja Ostatniej Szansy

Prócz zakomunikowania, że piłka nadal jest w grze, to był ich subtelny sposób na danie jej do zrozumienia, by trzymała język za zębami. Nie żeby chciała komukolwiek powiedzieć o kontrakcie, a już na pewno nie Adamowi – Linda wzdrygnęła się na samą myśl – bo i po co? Poza tym przecież nikt by jej w to nie uwierzył. Cóż, zdaje się, że fundacja również wiedziała, iż od czasu do czasu zdarza się jej wypić ten jeden, dwa kieliszki za dużo. A wiadomo, jaki człowiek staje się po alkoholu. Zbyt gadatliwy.

Zbyt gadatliwy i skłonny do fantazjowania.

Okay, zreflektowała się, stawiając zakupy na stole. Możliwe, że trochę przesadzam, wyolbrzymiam pewne… wydarzenia.

Trochę? To raczej dość poważna nadinterpretacja. Zwłaszcza, że sama nie jesteś bez winy.

Linda skrzywiła się, jakby ktoś zdzielił ją w twarz mokrą szmatą. Śniadanie przewróciło się jej w żołądku, skutkując lekkimi mdłościami. Pamiętała swoją wycieczkę po burbona tamtej nocy. Wszystko było dobrze do momentu, gdy ruszyła w drogę powrotną. Wtedy – na krótką chwilę, którą jej zamroczony alkoholem umysł odbierał jako czas znacznie dłuższy – świat zmienił się w świetlną feerię rozmytych, tańczących kształtów. Linda

(przeraziła się)

zaniepokoiła się, że zaraz straci panowanie nad pojazdem, że właściwie już je straciła, i staranuje dzieciaka na rolkach, który pojawił się nagle przed maską.

Jednak nic takiego się nie stało. Wróciła do domu bez choćby jednej rysy na karoserii, bez trupa na koncie, za to z reklamówką, w której brzęczała gorzała. Normalnie może i by jej niczego nie sprzedali, jednak Linda nie była głupia. Zaparkowała tak, aby ze sklepu nie było widać, iż przyjechała autem, bo choć nie była mocno pijana – jeszcze nie wtedy – alkohol dało się od niej wyczuć bardzo wyraźnie.

A później, w kuchni… chyba za bardzo ją poniosło. Przez to, że prawie przejechała tego dzieciaka, przez to, że Adam tańczył z tą przeklętą Nayhiją. I przez to, że się bała. Tak potwornie, tak strasznie się bała. Nie chciała umierać, Boże Wszechmogący, jak bardzo nie chciała. Z braku innego ratunku zmuszona była podpisać kontrakt z samym diabłem i jeżeli teraz miało się okazać, że…

I nagle ją olśniło. Upuściła kostkę masła i stuknęła się otwartą dłonią w czoło. Och, jak mogła wcześniej na to nie wpaść? Nayhija Mara była kimś w rodzaju podwójnego agenta. Pracowała dla fundacji, pomagała klientom, ale to nie wszystko. Jej zadanie polegało na sabotowaniu kontraktu, na tym, by doprowadzić do tego, żeby jego warunki nie zostały dopełnione. To ona była „nieprzewidzianymi zdarzeniami losowymi", o jakich mowa była w paragrafie którymś tam.

Wiesz, co to oznacza, czyż nie? Co to oznacza dla ciebie…

Linda rozejrzała się chytrze, z przestrachem nałogowca, po czym potruchtała do spiżarni. Adam mógł sobie pieprzyć o tym, że przeszuka dom, jej skrytek w życiu by nie znalazł, nie ma mowy. Odsunęła zgrzewkę wody mineralnej, opadła na kolana i złapała klepkę w podłodze. Mocowała się z nią chwilę, wreszcie wyjęła i włożyła rękę w niewielką szczelinę. Namacała znajomy kształt i wyciągnęła butelkę. Obiecała sobie, że dziś nie będzie pić, ale w tych okolicznościach… to się rozumiało samo przez się. Musiała jakoś ukoić skołatane nerwy. Jeden łyczek, góra trzy. Nic złego się nie stanie. A potem zje coś mocno czosnkowego, parę razy umyje zęby i już. Adam niczego nie wyczuje.

To była naprawdę mała butelka, piersiówka, i Linda uznała, że wypicie całej będzie w porządku. Przecież to taka śmieszna dawka alkoholu, wręcz homeopatyczna, że po niej poczuła się senna. Zerknęła na zegar na mikrofalówce. Za kwadrans siódma. Jej mąż miał wrócić jakoś po dziewiątej wieczorem, zatem mogła trochę się zdrzemnąć.

Jednak Adam wrócił wcześniej.

A Linda tylko udawała, że śpi. Tak było wygodniej. Bezpieczniej. Słyszała, jak nachylił się, wąchając jej oddech. Nie do wiary, ale jego największym problemem stało się to, że ona od czasu do czasu sobie wypiła. Mało mu było tych wizyt kontrolnych, to teraz robił jeszcze coś takiego.

Jakaś część jej umysłu zdawała sobie sprawę, iż Adam zwyczajnie się martwi, jednak Linda udawała, że jej nie słyszy. Była zbyt zacietrzewiona w gniewie, zbyt zapętlona w swoich podejrzeniach i inaczej już nie umiała. Może nawet… nie chciała.

Nie odezwała się, gdy Adam zapytał, czy rzeczywiście śpi. Nie zareagowała również, gdy delikatnie pogładził jej ramię. Wkrótce zaczęła naprawdę odpływać, przygnieciona sennością. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że skoro nie może skontaktować się z fundacją – z Nayhiją – drogą mailową, to zwyczajnie tam pojedzie, do tego domu pośród opuszczonych magazynów. Domu, który był tak bardzo nie na miejscu, że bardziej się już nie dało. Tak, tak właśnie zrobi. Pojedzie do siedziby Fundacji Ostatniej Szansy i porozmawia sobie od serca z Nayhiją Podwójnym Agentem Marą.

Z tą myślą pogrążyła się w niepamięci.

13.

Kolejne dni były do siebie tak nieznośnie podobne, jak gdyby były jednym długim niekończącym się dniem. Linda uparcie rzucała monosylabami, a Adam niestrudzenie starał się nakłonić ją do rozmowy.

– Wszystko jest w porządku, jasne? – wybuchnęła, kiedy przydybał ją po raz kolejny. Jedli akurat kolację i niewiele brakowało, a dźgnęłaby go widelcem w rękę. – Zajmij się swoimi sprawami, zamiast bezustannie mnie zadręczać!

No więc Adam się zajął.

Zaparkował swojego mercedesa na skraju parkingu, przecisnął się przez tłum i wszedł między rzędy długich ław. Rozejrzał się, osłaniając oczy daszkiem zrobionym z dłoni. Mike go dostrzegł i pomachał ręką, w której coś trzymał – chyba kwit od bukmachera lub coś takiego. Adam odpowiedział podobnym gestem i ruszył w jego stronę.

Gdy usiadł obok, Mike schował kwit – jeżeli to faktycznie był kwit – do kieszeni spodni. Czarne lustrzanki zatknięte miał za kołnierz koszulki. Adam zawsze uważał, że przyjaciel w jakiś sposób aspirował do bycia realnym wcieleniem Mariona Cobrettiego, a te okulary jeszcze wzmacniały to wrażenie. Aż dziwne, że nie zdecydował się na wykałaczkę.

– Obstawiałeś? – zainteresował się Adam.

Mike błysnął uśmiechem.

– A jakże. Jeżeli Stan „Błyskawica" wygra, wujek Mike wyjdzie stąd jako całkiem bogaty gość. Ty nie chcesz obstawić? Zostało jeszcze trochę czasu.

– Nie, nigdy nie miałem szczęścia do takich spraw – odparł Adam. Przypomniało mu się powiedzenie, iż kto ma szczęście w miłości, nie ma szczęścia w kartach lub jakoś tak, i przed oczami mignęła mu roześmiana twarz Lindy… która jednak zaraz zmieniła się w oblicze Nayhiji.

– A wiesz, już myślałem, że cię nie namówię – zwierzył się Mike.

Adam popatrzył na niego z uprzejmym zainteresowaniem. Jego myśli uparcie krążyły gdzieś wokół Nayhiji, mimo że rozpaczliwie starał się je skierować na inne tory. To z wolna przeradzało się w obsesję.

– Hm?

– Na to. – Mike skinął brodą, wskazując tor wyścigowy rozpościerający się przed nimi. – Cholera, straszne się zrobiłeś smętny. Pamiętasz, kiedyś ciągle gdzieś razem wychodziliśmy, a teraz?

Adam niedbale machnął ręką w powietrzu.

– Mam ostatnio trochę… problemów. – Westchnął.

– Linda? – spytał Mike bez ogródek. Na jego twarzy odmalowało się zrozumienie człowieka zaprawionego w rozwodach.

– Nie… Tak… Nie tylko. – Adam opuścił głowę i rozmasował sobie skronie nasadami dłoni. – To dość skomplikowane.

Mike poklepał go po ramieniu i rzekł jowialnie:

– Mnie możesz powiedzieć wszystko, bracie. Jak na spowiedzi, tylko że ja gwarantuję większą dyskrecję. – Puścił oko. – No, dalej, mów, co ci leży na sercu.

Adam westchnął głęboko. Obdarzył przyjaciela udręczonym spojrzeniem i powiedział:

– Nayhija, ta dziewczyna z klubu.

Mike gwizdnął.

– Taa, pamiętam ją. – Jego twarz przybrała rozmarzony wyraz. – Niezła była. I mocno na

ciebie leciała.

Ta uwaga sprawiła, że Adam poczuł się podle. Jeżeli Mike to widział, oczywistym było, że dostrzegła to również Linda. Dlatego tak się wściekła. Dlatego tak się potem spiła.

Równolegle do ich ławki przechodziła dziewczyna sprzedająca przekąski, słodka blondyneczka z powiekami grubo pociągniętymi jaskraworóżowym cieniem, wbita w czerwono-niebieski uniform. Pewnie studentka, która dorabiała sobie podczas wakacji. Mike skinął na nią, uśmiechając się przyjaźnie, a kiedy podeszła, zamówił hot doga i colę. Spojrzał pytająco na Adama – dziewczyna zresztą też – a ten, mimo że nie był szczególnie głodny, również zdecydował się na przekąskę. A co tam, żarcie to część takich imprez, i nawet jeśli parówka była zrobiona z psa zmielonego razem z budą, to pachniała smakowicie.

Mike pochłonął swoją porcję czterema potężnymi kęsami. Adam stracił apetyt gdzieś tak w połowie swojej. Mimo tego zjadł jeszcze odrobinę.

– Nayhija – przypomniał Mike, wycierając usta serwetką. – Co z nią?

Adam odłożył swojego hot doga na papierową tackę i spojrzał na niego.

– Ona… mi się śni – powiedział niechętnie. – To się zaczęło jeszcze przed tym spotkaniem w Ciekłym Błękicie, Mike. I nawet ostatnio przyszła do mojego gabinetu. A Linda ją zna. Nie wiem skąd, skłamała, kiedy ją o to zapytałem, ale… no, zna ją.

Mike uniósł rozczapierzone dłonie i pomachał nimi.

– Za wiele informacji jednocześnie – powiedział. – Jak śni ci się Nayhija? I po co do ciebie przyszła? To na początek.

Adam poczuł, że się czerwieni. Sam nie wiedział dlaczego, chyba przez wspomnienie tych snów, tych… wizji. Przez ich niesamowity, niemal nadnaturalny realizm. To właśnie za ich sprawą on i Linda w pewien sposób tracili intymność, wdzierała się między nich trzecia osoba. Nie miało znaczenia, że to działo się jedynie w umyśle Adama, bo może, ale tylko może… te sny wcale nie były snami, lecz czymś znacznie więcej.

– Śni mi się, że ją pieprzę – powiedział po prostu. – Że pieprzymy się oboje. Dziko jak króliki. To… to nie całkiem normalne. A przyszła, żeby… chciała zapisać się na terapię – zakończył niezgrabnie. Omal nie powiedział: „przyszła, żeby mnie uwieść”, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Wiedziałem! – zawołał Mike, klepiąc się w udo, strącając z niego zgniecioną serwetkę. – Lecisz na nią, co w tym nienormalnego?

– Mam żonę – obwieścił Adam, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. Sądząc po tym, jak Mike na niego patrzył, nie wyjaśniało. – Nie zdradziłbym Lindy za nic, nigdy, to nie mój styl.

Mike obdarzył go pobłażliwym uśmieszkiem.

– W świecie dużych chłopców takie rzeczy jak zdrada się zdarzają – wyjaśnił jakimś takim śmiesznym tonem domorosłego kaznodziei. – Nie wiedziałem, że taki z ciebie bigota. Boisz się, że co? Bozia cię pokara?

– To nie to. – Adam stanowczo pokręcił głową. – Ja po prostu mam swoje zasady. A to jest jedna z nich. Po co się wiązać z jedną osobą, skoro zamierza się zaliczać inne panienki? Ja tego nie kupuję. Związek to twój wolny wybór, kobieta, z którą układasz sobie życie, również. Zdradzając, jesteś nie w porządku zarówno wobec niej, jak i wobec siebie. Jesteś niekonsekwentny, co więcej, nie szanujesz osoby, którą kochasz, i nie szanujesz siebie. Kurwisz się duchowo, że się tak wyrażę.

– Głębokie – wtrącił Mike.

Adam nie zwrócił na niego uwagi.

– Nie jesteśmy zwierzętami, Mike – kontynuował z nową żarliwością. – Instynkty nie przejmują nad nami ślepej kontroli… no, w każdym razie nie u zdrowych jednostek. Jeżeli jesteś

najedzony, nie znaczy, że nie możesz zerknąć do menu, jasne. Jednak jeżeli mimo tego, że jesteś najedzony, idziesz do knajpy na następny obiad, to masz problem. Analogicznie, jeśli monogamia nie jest dla ciebie, nie wiąż się z nikim. Ja widzę to w ten sposób. – Umilkł, spoglądając gdzieś w głąb siebie. – I przede wszystkim widzę miłość – powiedział. – Bez niej to wszystko gówno prawda, bez miłości to wszystko nic nie znaczy. Zasady dla samych zasad. Pyszałkowate, nadęte pierdolenie, którym się brandzlujesz, żeby widzieć siebie lepszego, niż faktycznie jesteś. – Wwiercił w przyjaciela gorejące spojrzenie. – Kocham swoją żonę, Mike. Nigdy nie zrobiłbym niczego, czym mógłbym ją rozmyślnie zranić.

Mike, zdaje się, widział pewne kwestie nieco inaczej, jednak dyplomatycznie przemilczał swoje poglądy. Nie chciał zaczynać zupełnie niepotrzebnej kłótni. Adam zresztą też nie. *W ogóle trochę idiotycznie wyskoczyłem z tym swoim pompatycznym monologiem*, zreflektował się poniewczasie. Miał podświadomą potrzebę usprawiedliwienia się, oczywiście przez te cholerne sny, ale już mógł sobie darować, jak rany. To nie był czas ani miejsce na takie gadki.

– Chwytam – mruknął Mike i napił się coli. – Dlatego te sny tak cię gniotą.

Gniotą, tak. To słowo całkiem zgrabnie odzwierciedlało to, co czuł.

– Są takie… upiornie realistyczne – powiedział Adam, wpatrując się w resztkę swojego hot doga. – I… w pewnym sensie… wykrzywiają moją percepcję na jawie.

– Może podświadomie jednak chcesz zaliczyć Nayhiję? – Mike uśmiechnął się przebiegle. – Tylko zapchałeś sobie głowę tymi pierdołami o zasadach i byciu konsekwentnym. – Przy słowach „zasady” i „bycie konsekwentnym” Mike zamachał zgiętymi palcami, wskazującym i środkowym, w wiadomym geście. – I masz teraz taki swój, ten, dysonans.

– To ja tu jestem psychologiem, Mike – odparł Adam. Starał się, żeby zabrzmiało to poważnie, jednak poniósł na tym polu fiasko.

Widząc jego powstrzymywany uśmiech, Mike parsknął.

– I tu dochodzimy do Lindy. Dlaczego miałaby ukrywać fakt, że zna Nayhiję? Masz jakieś pomysły?

To ty tu jesteś gliniarzem, miał ochotę powiedzieć Adam, ale zamiast tego zdecydował się na:

– Nie wiem, może poznały się w jakichś dziwnych okolicznościach. Wstyd, poczucie winy, strach, takie emocje zazwyczaj skłaniają cię do trzymania czegoś w tajemnicy.

– A właśnie. – Teraz to Mike wyglądał na skonsternowanego. – Ta cała Nayhija, wiesz, jak ma na nazwisko? I czy Nayhija to jej prawdziwe imię?

Adam pokręcił głową.

– Znam tylko jej imię. – Chwila zastanowienia i: – Myślę, że jest prawdziwe.

Brwi Mike’a powędrowały wyżej na czoło.

– Skąd?

Adam wzruszył ramionami.

– Przeczucie.

– Takie jak to, które powiedziało ci, że twój pacjent zamierza się cichcem pochlastać?

Twarz Adama skurczyła się na wspomnienie Percy’ego Redforda. Jezu, ledwie dzieciaka odratowali.

– Podobne – mruknął, patrząc gdzieś ponad ramieniem Mike’a.

– W porządku. Bo wiesz, widziałem ostatnio Nayhiję.

– Gdzie? – spytał trochę zbyt przejętym tonem.

W kącikach ust Mike’a zagrał Ten Szczególny Uśmieszek.

– Na obrzeżach, po wschodniej stronie miasta. Była z jakimś facetem. – Umilkł na chwilę, sprawdzając, jakie wrażenie ta informacja wywarła na Adamie. – Wsiedli do lincolna i

odjechali, nic szczególnego. Ale to, że lincoln był kradziony, już tak.

– Skąd wiesz? – zdumiał się Adam.

– Coś mnie tknęło po zabójstwie na tyłach Ciekłego Błękitu. Ktoś spalił gościa, wspominałem ci.

Wyrwała mu banknoty z ręki i zaraz te banknoty stanęły w płomieniach. Musiała mieć w dłoni zapalniczkę… Ale czy na pewno?

– Tak, pamiętam – potwierdził Adam słabo. Gdzieś w nim, bardzo głęboko, rozległ się cichy dzwonek alarmowy.

– No więc właśnie – ciągnął Mike. – Po tym, jak znajdujemy zwęglonego faceta, idę sobie na spacer po parkingu w poszukiwaniu potencjalnych świadków zdarzenia i kogo widzę? Nayhiję. – Zmrużył oczy, przypominając sobie o czymś. – Zabawne, zanim podszedłem do jej samochodu, wydawało mi się, że z kimś tam siedzi, ale okazało się, że jednak nie. To musiała być tylko gra cieni. – Machnął ręką, jakby odpędzał od siebie ten w jego mniemaniu nieistotny detal, i kontynuował: – Pogadałem z nią, zapytałem, czy coś widziała, ale oczywiście nie widziała. W każdym razie tak powiedziała.

– Ale ty jej nie uwierzyłeś? – wtrącił Adam.

– Nie do końca – przyznał Mike. – Miała coś takiego w głosie, wiesz. No i jeszcze ten jej samochód. Ford mustang z sześćdziesiątego dziewiątego, cudeńko. Tylko że coś z nim było nie do końca okay. A później, jak ci mówiłem, coś mnie tknęło i sprawdziłem numer rejestracyjny… tak, zapisałem go sobie na wszelki wypadek, nie patrz tak… no więc, sprawdziłem ten numer i wyszło mi, że fura jest kradziona. A teraz dodajmy do tego drugą kradzioną furę, tego lincolna.

– Chcesz mi powiedzieć, że Nayhija jest złodziejką samochodów? Albo że jest członkiem zorganizowanej grupy przestępczej?

Mike pokiwał ręką na boki.

– I tak, i nie – rzekł. – Nie wiem, kim ona jest, Adam. W każdym razie jeszcze nie. To ci chcę powiedzieć.

– Nigdy nie była karana, dlatego nie znalazłeś jej w policyjnej bazie danych. – Adam spojrzał poważnie na Mike'a. – Bo rozumiem, że jej szukałeś.

– Tak, ale to o niczym nie świadczy, sam wiesz. Chociaż to, że nie ma jej w mediach społecznościowych, już trochę jest dziwne. W dzisiejszych czasach każdy chce zaistnieć, zostawić po sobie ślad.

– Nie każdy – zaoponował Adam.

Mike przewrócił oczami.

– Miej ją na oku, Adam. Zakładając, że jeszcze się spotkacie. Czuję, że coś z nią jest… że coś ukrywa. I ewidentnie czegoś od ciebie chce. Może po prostu na ciebie leci, a może to coś więcej.

Tu Adam miał bardzo podobne odczucia. Siląc się na beztroski ton, powiedział:

– Mam nadzieję, że więcej jej nie spotkam. – *Ani w snach, ani w prawdziwym życiu*.

Mike spojrzał na tor i się ożywił.

– Zaczyna się – rzekł, trącając Adama w ramię.

Ten spojrzał przed siebie, popatrując na wjeżdżających na linię startu zawodników i… zdębiał. Lodowaty palec przesunął mu się po kręgosłupie; Adam zadrżał mimo ciepłego popołudnia.

– To niemożliwe – wymamrotał. Wargi miał zimne i zesztywniałe, prawie ich nie czuł.

– Co?! – Mike spojrzał na niego zdumiony. – O czym mówisz?

– Nie, nic. Coś mi się przywidziało – skłamał. W głębi ducha wiedział, że nie.

14.

Nayhija zatrzymała się i omiotła spojrzeniem parking A. Cień, w którym stała, spowijał jej postać mrokiem. Tylko oczy zdawały się żarzyć. Obserwowała krzątających się żwawo mężczyzn, przeskakując wzrokiem od jednej sylwetki do drugiej. Nagle jej spojrzenie znieruchomiało, zawieszone na bawiącym się zapalniczką mężczyźnie w skórzanej kurtce o rękawach zdobionych płomieniami. Miał wygoloną głowę poza pionowym pasem ciemnych włosów pośrodku, jasnoniebieskie, lekko skośne oczy i mocno zarysowaną szczękę. Wargi Nayhiji rozciągnął krzywy uśmieszek. Znalazła to, czego szukała.

Wyłamała sobie palce, jakby szykowała się do stoczenia ulicznej bójki i ruszyła w stronę parkingu.

Dotarła tam w momencie, w którym mężczyzna w kurtce z płomieniami na rękawach wchodził do swojej przyczepy. Nayhija dyskretnie rozejrzała się na boki i weszła zaraz za nim.

– Cześć – powiedziała.

Mężczyzna podskoczył na dźwięk jej głosu i obrócił się na pięcie. Zlustrował Nayhiję od stóp do głów, lekko rozdziawiając usta. Jej twarz, dojrzał coś w jej twarzy. Zaraz jednak odzyskał rezon i warknął:

– Matka nie nauczyła cię pukać? Po co tu przylazłaś? Zaraz muszę być na torze.

Nayhija uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

– Wiem o tym.

Mężczyźnie nie spodobał się ten uśmiech. Zaczął się cofać, potrącił walającą się po podłodze puszkę coli i potknął się o nią. Niewiele brakowało, a przewróciłby się, lecz w ostatniej chwili złapał za szafkę.

– Kim ty właściwie jesteś? – zapytał, przeskakując spojrzeniem od jej twarzy do maleńkiego czerwonego znaczka naszytego na kurtce, tuż nad lewą piersią. Trójząb albo widły, tak pewnie myślał. Wszyscy tak myśleli.

– Dobrą wróżką – odparła Nayhija i kopnęła go w twarz.

Mężczyzna krzyknął z zaskoczenia i zgiął się wpół, łapiąc za nos.

– Pojebało cię?! – zagulgotał. Krew wypływała mu przez palce, skapując po nich wprost na ziemię. – Wariatka! Zaraz będzie tu ochrona!

Nayhija powoli pokręciła głową z prawa na lewo.

– Nikt tu nie przyjdzie.

– POMOOO… – zaczął mężczyzna, ale zaraz urwał, jak gdyby coś ścisnęło go za gardło, dławiąc krzyk. Oczy wychodziły mu z orbit, twarz zaczęła przybierać fioletową barwę. Dusił się. A przynajmniej tak czuł przez jedną koszmarną chwilę, która rozciągała się w wieczność.

– Ciii – szepnęła Nayhija, przykładając palec do ust. Podeszła do mężczyzny i oznajmiła: – Są we mnie setki tańczących dusz… a ty zaraz będziesz jedną z nich.

Zgrabnie uchyliła się przed ciosem, który jej wymierzył, i jeszcze raz uderzyła go w złamany nos. Tym razem pięścią.

– To nie będzie bolało – zapewniła, szczerząc się dziko, i jednym szybkim ruchem skręciła mu kark.

Mężczyzna osunął się na ziemię bezwładnie jak worek pszenicy. Nayhija spojrzała na niego z niesmakiem, następnie rozejrzała się po wnętrzu przyczepy. Było niewielkie, lecz dość zmyślnie urządzone. Podeszła do stojącej po przeciwnej stronie wejścia wysokiej szafy z białej sklejki i otworzyła ją, by przekonać się, że jest pusta, jeśli nie liczyć zapasowego kombinezonu i

kasku.

Nayhija złapała mężczyznę za poły kurtki, podniosła do pionu i zawlokła do szafy. Wepchnęła go do środka, uprzednio wyjmując kask i zatrzasnęła drzwi; dał się słyszeć mdlący chrzęst, gdy kości w skręconym karku mężczyzny przesunęły się jeszcze bardziej pod wpływem siły, z jaką ciało napierało na tylną ściankę szafy, która była raczej wąska.

Nayhija obróciła się, stając plecami do szafy i… nie była już Nayhiją. Teraz wyglądała jak zamordowany mężczyzna. W pewnym przewrotnym sensie nim była.

Zrobiła parę min na próbę, jakby przyzwyczajając się do nowej twarzy, przymierzając ją. Przetoczyła głową z lewego ramienia na prawe, krzywiąc się na trzask ścięgien, po czym parę razy zgięła i wyprostowała palce. Przejechała dłońmi po swojej kurtce i zaraz całe jej ubranie zmieniło się w kombinezon motocyklisty. Taki, jaki założyłby mężczyzna, gdyby aktualnie nie leżał w szafie z przetrąconym karkiem.

Lekko marszcząc brwi, przyjrzała się plamom krwi na podłodze. Podeszła do nich, przykucnęła, po czym dmuchnęła. Krew wyparowała w ułamku sekundy, nie pozostawiając po sobie śladu. Nayhija wstała i rozejrzała się wokoło raz jeszcze, szukając czegoś, co mogłoby zbyt szybko doprowadzić do odnalezienia zwłok. Niczego takiego nie znalazła.

Wyszła z przyczepy, niosąc kask pod pachą i skierowała się w prawo, tam, gdzie czekał motocykl. Stan „Błyskawica" Eastwick, tak się teraz nazywała. I wiedziała wszystko, co wiedział on. Wdechowa sztuczka. Jedna z jej ulubionych.

– Stan, Chryste! – zawołał na jej widok krępy blondyn. Miał na sobie poplamiony olejem szary kombinezon, a jeszcze bardziej poplamiona szmata wystawała mu z tylnej kieszeni. – Już myślałem, że tam umarłeś. – Brodą wskazał przyczepę. – Ile można czekać?

Nayhija zaśmiała się swoim nowym basowym śmiechem.

– Wszystko gotowe? – spytała, łakomie popatrując na lśniące czarne kawasaki. Zaraz na nie wsiądzie, na tego piekielnego rumaka stworzonego ludzką ręką. Wprost nie mogła się doczekać.

Mechanik skinął głową.

– Postawiłem na ciebie sto dolców – powiedział. – Mam nadzieję, że wygrasz.

– Ja zawsze wygrywam – odparła wyniośle Nayhija.

Leniwie wtoczyła się na linię startową razem z resztą zawodników. Wraz z nią było ich sześciu, ustawionych parami, jedna za drugą. Ona stała w pierwszej. Znajdowała się z prawej strony, przy zewnętrznej krawędzi toru, zaś przy lewym ramieniu miała zawodnika w biało-niebieskim kombinezonie. Z zamontowanych w górze głośników huczał *John the Revelator* Depeche Mode, a Nayhija pomyślała, że jest w tym jakaś pokrętna ironia.

Czując, jak jej ciało przechodzą drgania, powiodła spojrzeniem po zgromadzonych na trybunach kibicach – bezimiennym tłumie składającym się z setek twarzy. Bez trudu dostrzegała każdą jedną – klarownie, dokładnie – szczególnie tę, która ją interesowała. Nayhija uśmiechnęła się, choć oczywiście mężczyzna, na którego patrzyła, nie mógł jej rozpoznać. Chyba że by mu na to pozwoliła. Na mgnienie oka, na jedną króciuteńką chwilę.

I pozwoliła.

Ściągnęła kask i spojrzała prosto w błękitne oczy jaśniejące pod grzywą ciemnych włosów. Efekt był taki, jak się spodziewała. Adam Hill zbladł i rozdziawił usta. Nayhija zdążyła jeszcze odczytać z ruchu jego warg: „To niemożliwe", gdy podbiegł do niej jeden z techników, beształ za zdjęcie kasku. Nayhija pokazała mu wyprostowany środkowy palec i nie chcąc ryzykować dyskwalifikacji, z powrotem założyła kask. Posłała technikowi ostatnie mordercze spojrzenie i opuściła przesłonę.

Położyła dłonie na kierownicy i czekała na sygnał do startu. Dodała gazu raz, drugi,

trzeci, napawając się warkotem silnika. Kochała ten dźwięk, był jak pomruk wielkiego kota.

Trzy… Dwa… Jeden…

Kiedy dostała sygnał, przekręciła manetkę do oporu i ruszyła. Uśmiechała się szeroko, choć nie było tego widać pod przesłoną.

Uwielbiała jeździć, to prawda.

Jeździć naprawdę szybko.

Przejechała pierwszy odcinek i wzięła zakręt w ostrym przechyle, kolanem niemal szorując o asfalt. Słyszała skandowanie i ryk tłumu tak wyraźnie, jakby siedział jej w mózgu. Motocykl ryczał, wibrował pod nią, gotów dowieźć ją na koniec świata. Nayhija znów pomyślała o tym, że to jedyna wolność, na jaką ją obecnie stać. Jej uśmiech jeszcze się poszerzył. Tyle że odmalowało się w nim również coś jakby gorycz.

Mogłaby bez trudu dojechać do mety, każąc pozostałym wąchać spaliny, ale to byłoby nudne. A ona nie lubiła nudy. Poza tym miała apetyt na więcej krwi. Skandujący tłum zresztą też. Po to tu przyszli – po krew, pot, łzy i śmierć – nic się nie zmieniło na przestrzeni tysiącleci, lud nadal potrzebował gladiatorów. Teraz po prostu jeździli na żelaznych rumakach i występowali w reklamach.

I jeszcze męska dominacja, zauważyła Nayhija kwaśno, inaczej nie musiałabym przychodzić na tor obleczona w tę skórę.

Zwolniła odrobinę, dając się wyprzedzić dwóm zawodnikom. Trzeci również próbował szczęścia, ale Nayhija zajechała mu drogę. Mężczyzna ostro skręcił, ratując się przed zderzeniem, i stracił panowanie nad motocyklem. Zniosło go w bok, przez co rozbił się na barierkach. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak przelatuje nad kierownicą, wymachując rękoma.

– Pierwszy strike – mruknęła i dodała gazu, goniąc oddalającą się dwójkę motocyklistów.

Tor nie był długi. Nayhija siedziała im na ogonie mniej więcej do połowy trasy, w międzyczasie pozwalając, by minął ją jeszcze jeden zawodnik. Tego zostawi sobie na koniec.

Z tyłu, nieopodal miejsca, gdzie rozbił się pierwszy mężczyzna, samochód bezpieczeństwa wytoczył się z alei serwisowej, jednak zaraz znieruchomiał z kłębami dymu wydostającymi się spod maski. Koguty na jego dachu błysnęły jeszcze raz i zgasły. Po chwili pojawił się drugi pojazd, ale on również stanął, dymiąc jeszcze bardziej niż poprzednik. Zawodnicy z przodu nawet tego nie widzieli, jednak Nayhija owszem. Jej okrutny uśmiech był teraz tak szeroki, jak gdyby twarz składała się tylko z niego. Nie przerwą tego wyścigu, nie popsują jej zabawy. Nikt tego nie zrobi.

Zrównała się z jednym z zawodników, tym w biało-niebieskim kombinezonie, i zaczęła spychać go w bok, ku zewnętrznej krawędzi toru. Nie żeby naprawdę miała zamiar to zrobić, chciała go po prostu zdenerwować. Podrażniła się z nim tak jeszcze chwilę, następnie dodała gazu i go wyprzedziła. Normalnie za coś takiego groziła dyskwalifikacja, ale jej nie robiło to różnicy; kiedy wyścig się skończy, ona będzie już kim innym. Nieżyjącemu Stanowi „Błyskawicy” Eastwickowi zresztą też nie – on był już gdzie indziej, w miejscu, w którym raczej nie będzie mu dane ścigać się na motocyklu. Prędzej coś będzie ścigało jego.

W nawierzchni – ułamek sekundy po tym, jak przejechał po nim motocykl Nayhiji – pojawiło się pęknięcie. Poszerzało się jak rana, którą ktoś złapał za brzegi i zaczął rozciągać. Kiedy zawodnik w biało-niebieskim kombinezonie na nią najechał, miała już szerokość kilku centymetrów. Motocykl momentalnie stracił przyczepność i stanął dęba na przednim kole. Zawodnika wyrzuciło z siedzenia, przeleciał parę metrów w powietrzu, koziołkując… i nagle dało się słyszeć metaliczny świst, po którym jego zamknięta w kasku głowa oddzieliła się od szyi.

Sliiiip!

Pęknięcie w asfalcie zniknęło równie nagle, jak się pojawiło – zupełnie, jakby nigdy go nie było.

Dekapitowane ciało spadło na pas trawy po wewnętrznej stronie toru, głowa potoczyła się w przeciwnym kierunku. W tym miejscu stała zaledwie garstka kibiców, lecz na ten widok podnieśli krzyk, jak gdyby była ich tam co najmniej setka. Wszyscy z identycznie wytrzeszczonymi oczami chłonęli ten widok, spora część wyciągnęła telefony i zaczęła robić zdjęcia bądź wszystko nagrywać.

– Drugi strike – powiedziała Nayhija, oglądając się przez ramię.

Dogoniła utrzymującą się w czołówce dwójkę, zrównała z nimi, a potem wyprzedziła. Depeche Mode zastąpił Rammstein i ich *Feuer Frei!*, a z rury wydechowej jej motocykla strzelił ogień, ciągnąc za sobą długi pas płomieni przypominający ogon komety. Za chwilę ten płomień jakby się urwał i pomknął w stronę jednego z zawodników. Wpełzł na jego pojazd, na niego, i zaraz rozległ się głuchy huk.

– Trzeci strike – skwitowała Nayhija.

Ponownie obejrzała się przez ramię. Zawodnik poczęstowany ogniem zmienił się w żywą pochodnię. Przebił się przez barierki i biegł pod górę, w głąb pasa zieleni, ścigany przez techników z gaśnicami. Czy przeżyje? Pewnie tak, ale będzie wyglądał jak Deadpool.

Nayhija uśmiechnęła się do tej myśli.

Ostatni zawodnik z czołówki jechał za nią niezmordowany, przeświadczony, iż mimo serii nieszczęśliwych wypadków, które dosięgły innych, jemu nic się nie stanie. Nayhija słyszała jego przepełnione pewnością siebie myśli, czuła jego ślepą, bezkrytyczną wiarę w siebie. Powinien pamiętać, że duch pyszny poprzedza upadek. W tym jednym akurat Biblia miała rację.

Daleko z tyłu majaczył ostatni motocyklista, ale wyglądało na to, że stracił wolę walki, że w przeciwieństwie do swojego pyszałkowatego kumpla zachował szczątkową mądrość… i postanowił się nie mieszać. Bo to, co działo się na torze, wybiegało daleko poza „nieszczęśliwe wypadki". Kibice również o tym wiedzieli, musieli, podobnie ekipa techniczna i telewizyjna. A jednak każdy oglądał ten brutalny spektakl. Każdy był zafascynowany. Pijany zapachem krwi i ognia.

Przed ostatnią prostą był jeszcze jeden zakręt. Nayhija weszła w niego jak poprzednio, w ostrym przechyle. Zawodnik za nią zrobił to samo… i okazało się, że nie może z powrotem postawić motocykla do pionu.

Szorował kolanem po asfalcie, jadąc z prędkością grubo ponad dwustu kilometrów na godzinę. Nayhija usłyszała jego krzyk, gdy przetarł mu się kombinezon ochronny i zamiast materiałem, szorował po ziemi ciałem, zdzierając je aż do kości.

W miarę jak sunął oparty bokiem o asfalt, ocierał o niego coraz większą powierzchnią ciała, zostawiając za sobą krwawy ślad. Wyglądało to tak, jakby ktoś ścierał go gumką z powierzchni Ziemi, kawałek po kawałku.

Wreszcie jego krzyk ucichł.

Nayhija rozwinęła pełną prędkość i pomknęła ostatnią prostą z krzywym uśmieszkiem doklejonym do warg. Przejechała linię mety, sycąc się widokiem wpatrzonych w nią setek par oczu. Uniosła motocykl, ostatnich parę metrów jadąc na tylnym kole, na co tłum odpowiedział zachwyconym rykiem. Ludzie wiwatowali, skandowali jej imię – to znaczy imię mężczyzny, którym chwilowo była – gotowi nosić ją na rękach, obsypać wieńcami i złotem.

Gladiator na żelaznym rumaku. Nic nigdy się nie zmienia.

Nayhija uniosła przesłonę kasku i wyrzuciła rękę w powietrze w szeroko pojętym geście zwycięstwa. Ryk tłumu przybrał na sile, przetaczając się po trybunach jak grom. Był tylko jeden mężczyzna, który nie wiwatował, zbyt zdjęty tym, co zobaczył na początku. Adam Hill.

Nayhija zeskoczyła z motocykla i opędzając się od gratulujących jej osób, pomknęła w stronę parkingu A. Dla zwycięzcy powinien być szampan i medal, lecz nie dla niej.

Już nie dla niej.

15.

Adam patrzył na linię mety z mieszaniną wstrząsu i jakiejś posępnej fascynacji. To była ona, Nayhija. Nie wiedział, jak to możliwe, ale to była ona.

Tyle że teraz wyglądała jak cholerny Stan „Błyskawica" Eastwick.

Widział ją przed startem, zaledwie na ułamek sekundy, ale to nie było przywidzenie. Nie do końca. To było coś innego, coś więcej. W jednej chwili patrzył na Stana, w następnej na nią, potem znowu na Stana. Boże, Jezu, to musiała być po prostu jakaś koszmarna projekcja, omam zrodzony z dręczących go pragnień i bliżej nieuzasadnionych wyrzutów sumienia.

– To były najdziwaczniejsze wyścigi, na jakich byłem – rzucił Mike, wstając. Twarz mu promieniała, usta rozciągał szeroki uśmiech. Wygrał kupę kasy, każdy by się cieszył. A że ktoś przy tym zginął? Mike widział już niejednego trupa, taki zawód, był zatem solidnie uodporniony. Tego typu rzeczy nie ruszały go tak, jak przeciętnego człowieka. Zaraz jednak jego uśmiech przygasł, a on dodał: – Cholera, aż zbyt dziwne. Takie jakby… nienaturalne.

– Nie musisz mi mówić – mruknął Adam.

– Intuicja podpowiada mi, że to gówno aż się prosi o wszczęcie śledztwa – powiedział Mike w zadumie. – Ale podpowiada mi też, że jest to tego rodzaju gówno, w które lepiej nie wdeptywać, chyba że się chce w nim utonąć. – Spojrzał na Adama przeciągle. – Ktoś na pewno będzie badał tę sprawę. Dziękuję Bogu, że nie będę to ja.

– Zwijajmy się stąd. – Adam obrócił się i powoli zaczął kierować w stronę parkingu.

Mike trącił go w rękę, więc przystanął.

– Drink? Dwa? Ja stawiam. – Przyjaciel założył lustrzanki i wyprężył się z rozsuniętymi na boki ramionami. W tym ruchu było coś takiego, co nasunęło Adamowi skojarzenie z raperem, jednak nie podzielił się swoim spostrzeżeniem.

– Z chęcią – zgodził się. – Muszę ochłonąć po tym, co zobaczyłem.

Dojście na parking zajęło im trochę czasu. Większość kibiców zmierzała w tę samą stronę. Mike ustawił się blisko wejścia na tor, Adam o wiele dalej, prawie na końcu miejsc postojowych. W oddali, za siatką oddzielającą parking od części technicznej, widać było migające światła ambulansów.

– Pijana Małpa? – zaproponował Mike.

Adam skinął głową.

– W porządku, będę jechał zaraz za tobą.

Mike otworzył drzwi swojego dodge'a i zamarł z jedną nogą wewnątrz. Cofnął się, zsunął okulary na czubek nosa i spoglądał na coś z wytężoną uwagą.

– Patrz – rzucił ściszonym głosem, przysuwając się do Adama i dyskretnie pokazując południowy kraniec placu. – Czyż to nie Nayhija?

Adam popatrzył we wskazanym kierunku i poczuł, jakby ktoś umieścił mu w żołądku rozżarzone węgle. Istotnie, to była ona. Kroczyła dumnie między rzędami samochodów w czarnym stroju motocyklisty, roztaczając wokół siebie jakiś złowróżbny blask. Zgoda, to mogło być tylko wrażenie wywołane załamującymi się promieniami zachodzącego słońca… ale Adam uważał, że wcale nie. Niewiarygodne, ale zdawało się, że zmierza w ich stronę.

– Chryste, człowieku, zluzuj. – Mike pstryknął mu palcami przed twarzą. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Może trochę za bardzo cię nakręciłem tą gadką wcześniej. Niepotrzebnie.

Nayhija podeszła do nich, uśmiechnęła się lekko… i poszła dalej, bez choćby słowa. Wyniosła, powściągliwa – po wybuchu namiętności w gabinecie Adama nie pozostał ślad. Może

uraziło ją, że odrzucił jej względy. A może zwyczajnie się znudziła. Jakaś część Adama – ta trzeźwo myśląca – się z tego cieszyła. Jednak była też druga, i ona z kolei poczuła się dotknięta, zawiedziona. To było takie nieprzyjemne uczucie, jak gdyby zamieszkał w nim drugi mężczyzna, zupełne przeciwieństwo tego pierwszego. Na razie jeszcze nie wykrzykiwał głośno swoich żądań, niemniej jednak jego głos stawał się coraz donośniejszy. Niedobrze.

– Nie poznajesz starych kumpli? – zawołał za nią Mike. Adam miał ochotę rzucić się na niego i obezwładnić.

Nayhija przystanęła i zerknęła przez ramię. Pomarańczowoczerwone światło położyło się na jej włosach, zmieniając je w ogień. W tym momencie wyglądała naprawdę pięknie – istota nie z tej ziemi. Niebezpieczna istota.

– Na miano kumpla trzeba sobie zasłużyć.

Mike przyjął te słowa niewzruszony, chociaż Nayhija wypowiedziała je takim tonem, iż zabrzmiały nie tylko lekceważąco, lecz również jak ostrzeżenie. Wręcz groźba.

– Niezły strój – ocenił Mike, taksując ją wzrokiem z góry na dół. – Jeździsz?

– Robię wiele rzeczy – odparła, wykonując przy tym bliżej nieokreślony ruch ręką. Adam spostrzegł, iż miała na piersi taki sam niewielki czerwony znaczek, jaki pamiętał z ich spotkania w gabinecie. Trójząb. Albo widły.

– Podobał ci się wyścig? – brnął Mike i Adam już na serio rozważał, czyby go nie obezwładnić i nie zakneblować. – A może przyszłaś tu w jakimś innym celu?

Nayhija się roześmiała.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, Mike – rzekła.

– Taa, tak się mówi – przytaknął, chowając oczy za czarnymi szkłami okularów.

– Mówi się wiele rożnych rzeczy. – Nayhija rzuciła Adamowi szybkie, znaczące spojrzenie, po czym okręciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Nikt nie próbował jej zatrzymać.

– Dziewczyna ma cholerny talent do pojawiania się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. Istnie diabelskie wyczucie chwili – skwitował Mike, gdy była już tylko maleńką sylwetką pośród wielu innych. – Może cię śledzi? Wiesz, jest taką świruską jak Glen Close z *Fatalnego Zauroczenia* i dostała na twoim punkcie obsesji?

Adam zmroził go spojrzeniem.

– Jedźmy już – mruknął. – Powietrze niesie aż tutaj zapach palonego ludzkiego mięsa.

Mike przyłożył palce do czoła w niedbałym salucie i wsiadł do auta.

– Pijana Małpa, pamiętaj – rzucił i zamknął drzwi.

Adam odpowiedział takim samym gestem i powlókł się w stronę swojego mercedesa.

16.

Nayhija szła przez poruszający się bezładnie tłum, aż dopadła drucianego ogrodzenia. Spojrzała w ślad za oddalającymi się samochodami Adama i Mike'a, popadając w lekką zadumę. Oczywiście, mogłaby jechać za nimi, jednak nie miałoby to większego sensu. Znacznie ciekawszy spektakl rozegra się w innym miejscu. I ten chętnie obejrzy. Można powiedzieć, iż będzie to przedostatni akt w zgubnej sztuce zdrady i nawarstwiających się kłamstw.

Wystarczyło tylko spojrzeć w tę pociągłą, skonsternowaną twarz

(Jaspera)

Adama, żeby dojrzeć, jak powoli przegrywa walkę z własnym sumieniem. Niespokojna gorączka buchająca z jego oczu w końcu go pożre, popchnie ku zagładzie ich obojga – jego i jego żony.

A to, co zobaczy dzisiejszej nocy, tylko przyśpieszy nieuniknione.

Nayhija minęła dwóch techników i skręciła za róg, kierując się w stronę parkingu A. Zanim ktoś zauważy, że Stan „Błyskawica" przeniósł się do parku sztywnych, minie trochę czasu. Zresztą na chwilę obecną panowało spore zamieszanie, ludzie otrząsali się z dziwacznego amoku. Docierało do nich, jak bardzo nienormalne było to, co działo się na torze. Ktoś zaczął już zadawać pytania, chciano wiedzieć, czemu wyścig nie został przerwany, szukano winnych. „Błyskawicy" również szukano, jednak w zupełnie innym miejscu. I dobrze, Nayhija będzie mogła odjechać stąd jego motocyklem, tym prywatnym.

Gdzieś z prawej, całkiem niedaleko, wybuchł lament. Nayhija spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła młodą kobietę wyszarpującą się z objęć ochroniarza, biegnącą w stronę jednego z ambulansów. Miała czerwoną sukienkę i srebrny naszyjnik wysadzany cyrkoniami, pobłyskujący załamującymi się w nim refleksami światła. Tusz rozmazał się jej od płaczu i spływał po policzkach. Nayhija widziała ból i rozpacz wykrzywiające jej twarz, dzikie, na wpół szalone spojrzenie. W innym miejscu i czasie to ona mogła być tą kobietą. W innym miejscu i czasie to ona mogłaby tak cierpieć. Teraz jednak była sprawczynią cierpienia. Cierpienia ponad wszelką miarę.

Ten naszyjnik…

Podczas gdy dziewczyna w czerwonej sukience przestała lamentować i zaczęła wręcz skowyczeć, Nayhija przeszła kawałek dalej, zrównując się z drugim ambulansem. Spojrzała na czarne worki, w których znajdowały się ciała, i chyba po raz pierwszy, odkąd była tym… kim była, zakwestionowała słuszność swojego postępowania. Całe to okrucieństwo wydało się jej niepotrzebne, źle ukierunkowane. Nienawiść, ten ogień, który spalał ją od środka, coraz bardziej zwiększał średnicę swego płomienia, a ona coraz bardziej traciła kontrolę.

Mężczyzna w czerni miał rację.

Choć tylko połowicznie.

Naszyjnik. Ten naszyjnik…

Nayhija przystanęła gwałtownie, odnajdując dziewczynę w czerwonej sukience pośród tłumu. Niepomna niczego prócz własnej niedoli stała przed otwartymi drzwiami ambulansu, wpatrując się w coś wewnątrz nieruchomym spojrzeniem. Jej ciałem wstrząsał szloch, na szyi pobłyskiwał naszyjnik identyczny z tym, który…

– Dał mi Jasper – szepnęła Nayhija. Jej palce wygięły się na podobieństwo szponów, oczy rozszerzyły i rozbłysły niczym dwa kwazary.

Powrócił każdy najdrobniejszy szczegół, zupełnie jakby nie tyle odtwarzała tę chwilę z

pamięci, co wpadła w sam jej środek.

Jasper pachniał perfumami i mrozem, który panował na zewnątrz; przyniósł go ze sobą, jednak chłód przegrywał powoli z panującym w jej domu ciepłem. Był taki przejęty, przez co wyglądał zupełnie jak mały chłopiec, a nie młody mężczyzna. Ręce mu drżały, gdy wręczał jej stalowoszare podłużne pudełeczko przewiązane tasiemką. Prezent urodzinowy.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba – rzekł jakimś takim spłoszonym głosem. Policzki miał zarumienione. Uśmiechał się niepewnie, a oczy nad tym uśmiechem były błyszczące. Malowała się w nich czysta miłość. – Nie jestem dobry w… Zresztą sama zobacz.

Nayhija wzięła od niego pudełeczko i pociągnęła za dłuższy koniec związanej w kokardkę tasiemki. Nie miało znaczenia, co skrywało. Spodobałoby się jej wszystko bez wyjątku. Liczył się fakt, iż było to coś od niego.

– Jest piękny! – zawołała z zachwytem, wpatrując się w wysadzany cyrkoniami srebrny naszyjnik. I nie kłamała. – Dziękuję!

– Długo go wybierałem – powiedział Jasper, śmiesznie zakłopotanym ruchem przeczesując swoje czarne włosy. – Było ich tyle, a ja nie wiedzia…

Nayhija wskoczyła mu na kolana i zamknęła usta pocałunkiem.

– Jest piękny – powtórzyła, tuląc policzek do jego policzka. – Przepiękny! Najlepszy prezent, jaki mogłam sobie wymarzyć!

– Następnym razem dostaniesz prawdziwe diamenty – zadeklarował Jasper, mocniej oplatając ją ramieniem.

Ale nigdy nie było następnego razu.

Ich wspólna przyszłość przepadła, pogrzebana w czasie.

Tak jak ten przeklęty naszyjnik.

Nayhija otrząsnęła się ze wspomnienia i ruszyła dalej, przyspieszając kroku. Ten odprysk sumienia, który zagościł w niej na krótką chwilę, utonął, zalany nowymi pokładami nienawiści. Ludzie byli gatunkiem szaleńców, potworami kroczącymi na dwóch nogach. Litowanie się nad nimi było błędem. Gdyby mogli, zniszczyliby cały wszechświat. Już teraz niszczyli swoją planetę, niszczyli się nawzajem. Nie znali miłości, umieli wyłącznie ranić. I sprowadzać zagładę. A ona po prostu im pomagała. Można to było nazwać swego rodzaju eutanazją.

Czy jeśli zabijasz potwory, jesteś kimś lepszym od nich? A może wręcz przeciwnie, może żeby zabić potwora, trzeba być jeszcze gorszym potworem?

W głębi siebie Nayhija znała odpowiedź.

Odnalazła motocykl Stana, wsiadła na niego i zanim ktoś zdążył ją powstrzymać bądź zaczął zadawać niewygodne pytania, odjechała.

Przez jakiś czas były tylko ona i droga. Pęd powietrza i ryk silnika.

Jej wolność. Jedyna, jaka jej została.

17.

Linda wzięła ostry zakręt i wjechała w ulicę prowadzącą do dwóch opuszczonych magazynów; jechała z prędkością daleką od rozsądnej, jednak miała nieodparte wrażenie, iż jeśli nie będzie jechać wystarczająco szybko, zwyczajnie rozmyśli się i zawróci. Już z daleka widziała, że coś się zmieniło, jednak nie potrafiła w pełni wychwycić istoty tej zmiany. Wyglądało to tak, jakby…

Wszystko w porządku!

Zatrzymała chevroleta, zgasiła silnik i wysiadła. Goniące horyzont słońce deformowało cienie, nadawało kolorom głębszej, jakby przepalonej, barwy, co w oczach Lindy wyglądało niczym świat widziany na prześwietlonej fotografii. Czując nagłą suchość w ustach, przeszła parę kroków i gdy jeden z magazynów przestał jej zasłaniać widok, stanęła jak wryta. Zamrugała z niedowierzaniem i szeroko otworzyła usta, kręcąc głową w geście beznadziejnego zaprzeczenia.

Nic nie było w porządku!

Domu, w którym przyjęła ją Nayhija Mara, nigdzie nie było. Zniknął. Nie został po nim ślad fundamentu, nic, co wskazywałoby, że jeszcze niedawno tu stał.

Domy nie znikają ot tak po prostu.

Ale ten zniknął. O dobry Jezu, jak bardzo zniknął.

W coś ty się wplątała? Czy wiesz, z jaką siłą igrasz?

Linda poczuła, że na jej przedramiona wstępuje gęsia skórka. Podeszła kawałek bliżej, jak gdyby jakąś częścią siebie podejrzewała, że dom jednak tu stoi, tylko jest niewidzialny lub może skurczył się i trzeba nacisnąć specjalny guzik, aby przywrócić mu jego poprzednie rozmiary. Żwir chrzęścił pod podeszwami butów. To był upiorny dźwięk, przypominał zgrzytanie piachu o wieko trumny.

– Halo? Jest tu kto? – spytała idiotycznie. Gołym okiem widać było, że nie ma.

Odpowiedział jej szept przemykającego między budynkami wiatru. Brzmiał dziwnie złowróżbnie, jak śmiech złośliwej istoty.

Linda przeszła wzdłuż ściany jednego z magazynów. Zamierzała go okrążyć, wrócić do auta i odjechać. Może później, przy drinku czy dwóch uda się jej zapomnieć o znikających domach i całej reszcie tego koszmaru. Adam był z Mikiem na wyścigach motocyklowych, zatem miała czas, kupę czasu. Mike starym zwyczajem na pewno namówi jej męża na piwo w którejś z tak przez niego uwielbianych spelun.

Linda minęła stertę śmieci, na którą składały się głównie stare opakowania po hamburgerach, zatłuszczone, walające się bezładnie. Przeszła ponad strzaskaną butelką oranżady… i równocześnie usłyszała przeciągłe miauknięcie. Rozdzierające, niespodziewane jak wylew. Z piersi wytrwał się jej okrzyk zaskoczenia, serce zatrzymało się na jedną okropną sekundę. Odwróciła się, gotowa puścić pędem, gdyby stworzenie, które wydało z siebie to miauknięcie, nie było kotem, lecz bestią z głębi piekła. Jednak nie, nic z tych rzeczy. Zobaczyła tylko kota. Zwyczajnego czarnego kota.

Zaśmiała się nerwowo i podeszła do niego.

– Jesteś głodny? – spytała.

Kot przekręcił łepek i patrzył na nią płonącymi zielonymi ślepkami, z których biła zupełnie nie kocia inteligencja. Wydawały się być rozumne, świadome, jak u człowieka.

– Mam tylko krakersy w samochodzie – kontynuowała Linda. – Ale nie wiem, czy koty jedzą krakersy.

Kiedy zrobiła kolejny krok w jego kierunku, kot miauknął raz jeszcze i uciekł. Linda widziała, jak jego puszysty zadek znika wśród zarośli po drugiej stronie parceli. Nie namyślając się, ruszyła za nim.

Przeszła mniej więcej połowę dystansu, gdy coś czerwonego mignęło jej na granicy pola widzenia. Ostrożnie obróciła głowę w tamtym kierunku… i poczuła, jak z jej nóg odpływa cała siła. Schwyciła się suchej gałęzi jakiegoś drzewa, chyba jabłoni, żeby nie upaść, i tępo wpatrywała w stojący do niej bokiem garaż z blachy falistej. Na jego ścianie jaskrawoczerwoną farbą – jakby krwią widzianą oczami kogoś, kto zażył LSD – wymalowano napis:

„CZY UFASZ SWOJEMU MĘŻOWI?”

Spomiędzy rozchylonych warg Lindy dobyło się zduszone jęknięcie. Przymknęła powieki w nadziei, że gdy otworzy je powtórnie, napis zniknie… i srogo się zawiodła. Wciąż tam był. Pysznił się obłędną czerwienią, zdawał się szydzić z niej i jej zdrowych zmysłów.

Ale było coś jeszcze.

Pod spodem, pod tym napisem – tak nisko i tak małymi literami, że musiała podejść bliżej, żeby odczytać – widniał drugi. Były to tylko dwa słowa:

„NIE POWINNAŚ”.

W tym samym momencie gdzieś pośród nicości, porażając swą absolutną bezmiejscowością, rozległ się szyderczy śmiech, a Linda zaczęła wrzeszczeć. Czarny kot wyskoczył z zarośli, niosąc w pyszczku coś, co wyglądało jak ociekająca krwią stronica nieszczęsnego kontaktu, który w swej głupocie podpisała. Linda patrzyła na to wytrzeszczonymi oczyma, swoim krzykiem wchodząc w niemal nieosiągalne dla ludzkiego głosu rejestry. Wreszcie, wymachując rękoma, jak gdyby opędzała się od stada wściekłych os, pobiegła do chevroleta, potykając się o własne nogi.

Zatrzasnęła drzwi, oddychając ciężko. Uniosła głowę i rozejrzała się za kotem, ale nigdzie go nie było – zniknął zupełnie jak cholerny dom cholernej Nayhiji Mary. Linda odetchnęła z ulgą, czując to znajome pieczenie w piersi… i zaraz rozkaszlała się, zupełnie jak w czasach sprzed cudownych ziół i kontraktu z Fundacją Ostatniej Szansy.

Przesłoniła usta dłonią, a kiedy ją odjęła, ujrzała maleńkie plamki krwi – jak szkarłatne piegi. Wolną od paranoi częścią siebie zdawała sobie sprawę, że ta krew to prawdopodobnie skutek niedawnego wrzasku i wszystkich tych wypitych drinków, które przeżerały jej układ pokarmowy jak rdza karoserię. Jednak była też druga część niej, ta ukryta głębiej. Ona wykpiwała tłumaczenia rozsądku i mówiła, że krew oznacza tylko jedno: mąż ją zdradził i właśnie od nowa zaczęła umierać na raka. Bynajmniej nie zabawnego.

Bzdura. Poinformowaliby cię. Zawsze piszą maile. No wiesz, te bez adresu nadawcy.

Ale czy na pewno? Czy na pewno by to zrobili?

Linda dłuższą chwilę bezowocnie próbowała wetknąć kluczyk do stacyjki; ręce za mocno jej latały. Gdy wreszcie jej się to udało, odpaliła silnik, wrzuciła wsteczny i wyjechała spomiędzy magazynów, tryskając żwirem spod tylnych opon.

Co powinna teraz zrobić, dokąd pojechać? Do domu, tylko tam. Obiecała sobie nigdy więcej nie siadać za kółko po pijaku, a przecież musiała się uspokoić, musiała zapomnieć o tym, co widziała. W tym celu potrzebowała zdecydowanie więcej niż jednej, dwóch szklaneczek.

– Butelka powinna załatwić sprawę – wychrypiała głosem, który ledwie rozpoznała.

Gdyby w tym momencie spojrzała we wsteczne lusterko, zobaczyłaby zarys czegoś bardzo… niebezpiecznego.

I może jeszcze parę szkarłatnych ślepi.

18.

Linda postawiła butelkę Jacka Daniels'a na blacie i gapiła się na nią dłuższy czas, przełykając ślinę. Chciała się napić, o dobry Jezu, jak bardzo chciała, a równocześnie wiedziała, że to Bardzo Zły Pomysł. Wóda coraz częściej ją wołała, szeptała zalotnie, nęciła, mruczała jej imię, obiecując zapomnienie i utracony blask… wystarczy tylko, że Linda przełknie parę łyczków.

Wyciągnęła rękę w jej kierunku… i zaraz cofnęła. Oblizała wargi, ponownie wyciągnęła rękę i ponownie cofnęła. Nie, nie, nie. Nie musi pić, nie chce tego i nie potrzebuje. Nie! Absolutnie nie.

Och, ależ potrzebujesz. Widziałaś znikający dom, krew na kontrakcie i symbol, który wcale nie jest trójzębem. No, dalej, ulżyj sobie. Czym się martwisz? Nie pożyjesz na tyle długo, żeby trafić na odwyk. A twój mąż? Nim też się nie martw. On z pewnością sobie poradzi. Tacy jak on zawsze sobie radzą.

Linda przesłoniła usta dłonią. Nagłe zrozumienie uderzyło ją z siłą tarana. Odkąd to się zaczęło, była skupiona wyłącznie na sobie, rozżalona, zbyt pochopna w osądach, wyciągała nie całkiem słuszne wnioski. A przecież nie tylko o nią chodziło. Adam. Jej Adam. W tym całym użalaniu się nad sobą zapomniała o swoim mężu. To, że sama umrze, było właściwie pewne, ale co z nim? Co się z nim stanie, jeśli ulegnie Nayhiji? O tym kontrakt milczał, ale jeżeli Fundacja Ostatniej Szansy faktycznie była… no, kimś, kto ma w swoim repertuarze sztuczki dalece bardziej niepokojące niż wysyłanie maili bez adresu nadawcy, to Linda nie wróżyła mu niczego dobrego.

– Kurwa! – zawołała, uderzając się pięścią w udo. – Kurwa mać!

Kto do tego wszystkiego doprowadził? Ona i tylko ona. Postawiła Adama pod ścianą, dała tej dziwce nabitą strzelbę i teraz miała pretensje o to, że tamta próbuje nacisnąć spust. Tak właśnie prezentowały się jej genialne poczynania. Aha, i jeszcze – żeby pokazać, jak wspaniałą żoną jest – regularnie zalewała się jak stodoła, tłumacząc sobie, że w ten sposób koi swoją kruchą psychikę. Jasne, odkąd Powell wyskoczył z tą druzgocącą diagnozą nie myślała racjonalnie, ale najwyższa pora, żeby wreszcie zaczęła. Wplątała ich oboje w bagno, to prawda, ale przynajmniej jedno z nich można było z niego wyciągnąć.

Z dzikim błyskiem w oku zaczęła rozglądać się po kuchni. Doskoczyła do szafek, nie zaszczycając stojącej na blacie whisky spojrzeniem. Drżącą ręką odsunęła szufladę obok zmywarki i schwyciła rzeźnicki nóż. Uniosła go na wysokość oczu. Spoglądając na lśniące ostrze, widziała swoją twarz – pobladłą, wydłużoną jak z obrazu Edvarda Muncha. Klinga miała jakieś dwadzieścia centymetrów, nada się idealnie.

Linda złapała drewnianą rękojeść oburącz, obracając ostrze ku sobie. Wzięła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze. Zamknęła oczy… i zagłębiła nóż w swoim brzuchu.

Czekała na ostry rozbłysk bólu, na ciepło wypływającej z rany krwi. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Zaintrygowana otworzyła oczy, które w następnej sekundzie stały się okrągłe ze zdumienia. Nie było kałuży krwi, paskudnej rany. Nie, bo to nie nóż spoczywał w jej zaciśniętych dłoniach. To była rękawica kuchenna.

– Co do…? – zaczęła i równocześnie pochwyciła jakiś ruch. Spojrzała w tamto miejsce i zaskoczenie na jej twarzy ustąpiło miejsca złości, pod którą jednak czaił się strach. – Ty! – syknęła.

Już wiesz, kim jest, prawda? Od początku wiedziałaś.

Nayhija zeskoczyła z parapetu, na którym siedziała, i zrobiła parę kroków w kierunku Lindy. W jej dłoni pobłyskiwał rzeźnicki nóż. Spojrzała na niego, cmokając z dezaprobatą, podrzuciła, po czym odłożyła na stół.

– Mówiłam, żebyś uważnie wszystko przeczytała, Lindo. Stronę po stronie, paragraf po paragrafie. – Wargi Nayhiji rozchyliły się w mało przyjemnym uśmiechu. – Nie możesz odebrać sobie życia. Nie, dopóki obowiązuje cię kontrakt.

Stronę po stronie, zapisane tym maciupcim druczkiem, no pewnie.

– A dlaczego nie?! – zjeżyła się Linda. Obrzuciła zdegustowanym spojrzeniem rękawicę i cisnęła ją za siebie, a ta odbiła się od lodówki i spadła na podłogę. – Może dzięki temu wreszcie odczepisz się od mojego męża!

Nayhija odrzuciła głowę i zaczęła się śmiać.

– Nagle przypomniałaś sobie o mężu? – zakpiła. – Posłużyłaś się nim, wykorzystałaś, złożyłaś na jego barki odpowiedzialność za swoje wyzdrowienie. I myślisz, że co? W ten sposób okażesz troskę? Miłość? Że będziesz szlachetna? – Z jej gardła ponownie dobył się szyderczy śmiech. – Jesteś egoistką, Lindo. Już za późno na takie wspaniałomyślne gesty. Przypieczętowałaś wasz los w chwili, w której złożyłaś podpis.

Linda poczuła, że cała się trzęsie. Policzki jej płonęły, świat zasnuwała czerwona mgła.

– Zmanipulowałaś mnie!

Nayhija przekrzywiła głowę, popatrując na nią z rozbawieniem.

– Zmanipulowałam? Naprawdę? Mnie się wydaje, że zaoferowałam ci pomoc.

– Pierdolę taką pomoc! – ryknęła Linda, rzucając się na nią.

W ostatniej chwili Nayhija zrobiła krok w bok, więc Linda zamiast ją złapać, rozciągnęła się na ziemi jak długa; dźwięk jej dzwoniących zębów zabrzmiał niczym trącony widelcem kryształ. Dźwignęła się na rękach i obróciła przez ramię, posyłając Nayhiji wściekłe spojrzenie.

– Trzymaj się z daleka od Adama, słyszysz?! – zawołała. – Trzymaj się od niego z daleka!

Spróbowała się podnieść, jednak Nayhija jej na to nie pozwoliła. Dopadłszy do niej błyskawicznie, kolanami przygwoździła ją z powrotem do ziemi.

– Problem, widzisz, polega na tym, że to Adam nie chce się trzymać z daleka ode mnie. Jak ci się wydaje, o kim myśli, gdy się z tobą kocha? – Nayhija złapała Lindę za kark swoją trupio zimną dłonią i pochyliła się nad nią. – Czyje imię ma na ustach, gdy śni?

Linda zaczęła pod nią wierzgać, warcząc przy tym jak pies. Włosy opadły jej na twarz, były wilgotne od potu, lepiły się do czoła i policzków.

– Ty suko! – ryknęła, uderzając pięściami o podłogę. – Ty pierdolona suko!

Nayhija klęczała na niej niewzruszona. Jej palce mocniej zacisnęły się na szyi Lindy, a długie paznokcie napierały na skórę i wydawało się, że lada moment ją przebiją.

– Sama sobie szkodzisz, Lindo – powiedziała, a nozdrza Lindy wychwyciły zapach czegoś, jakby mroźnego wiatru. – Niezbyt to mądre.

Linda poczuła łzy wzbierające pod powiekami. Chciała je powstrzymać, jednak nie była w stanie. Przygniatała ją nie tylko Nayhija, ale i bezradność, zagubienie. W swej lekkomyślności zrobiła coś strasznego, od czego nie było już odwrotu. A jeśli to próba, której nie przejdą, a która była im pisana? Jej wynik zakwestionuje prawdziwość wszystkiego i wtedy co? Nie wiedziała. Czy byli ofiarami losu, który im zgotowała, czy może podążali ścieżką wytyczoną im jeszcze przed narodzinami? Nie miała pojęcia. Niczego już nie była pewna.

– To co ja mam teraz zrobić?! – załkała. – Co ja mam zrobić?!

– Napij się – szepnęła jej w ucho Nayhija. – Nic tak nie pomaga na ból duszy.

Spomiędzy rozchylonych warg Lindy dobył się cichy jęk. W następnej chwili poczuła, że

ucisk zniknął. Odwróciła się i rozejrzała po pustej kuchni. Nayhija Mara przepadła tak nagle, jak się pojawiła.

Ale butelka whisky była na miejscu. Nawoływała.

19.

Pójście do knajpy było naprawdę dobrym pomysłem, choć początkowo Adam obawiał się, że usiądzie po prostu ze smętną miną i zacznie wpatrywać się w swoją szklankę, ledwie rejestrując słowa Mike'a. Ale to były czcze obawy.

Adam ożywił się już po pierwszej kolejce i z zaskakującą łatwością zrzucił z siebie płaszcz niepokoju oraz tych dziwnych, nie do końca uzasadnionych, wyrzutów sumienia. Czuł, że właśnie czegoś takiego było mu trzeba, męskiego wieczoru z przyjacielem i powrotu do poczciwej beztroski, której ostatnimi czasy coraz bardziej mu brakowało.

Kiedy więc Mike dostał wiadomość i musiał pilnie jechać na wezwanie, Adam poczuł ukłucie zawodu.

– Za tydzień to powtórzymy, bracie – zarządził Mike, susząc zęby w szerokim uśmiechu, dzięki któremu niewątpliwie poderwał swoją pierwszą żonę. – Tylko bez trupów na torze, bez snującej się za plecami Nayhiji i z większą ilością gorzały. Jak za kawalerskich czasów.

– Jasne – zgodził się Adam, czując nieprzyjemny chłód w podbrzuszu. Miał wrażenie, jakby w tej niewinnej wzmiance o kawalerskich czasach kryła się złowróżbna przepowiednia, coś jak niewłaściwe słowa wypowiedziane o niewłaściwej godzinie. – Czemu by nie?

Gdy wychodził z Pijanej Małpy, opadł na niego jakiś niejasny cień strachu. A kiedy w drodze powrotnej jego komórka ożyła, ten cień zmienił się w stan bliski pełnokrwistemu przerażeniu.

Telefon raz po raz wygrywał znajomą melodyjkę, komunikując połączenie przychodzące i przez chwilę Adam zamierzał udawać, że po prostu tego nie słyszy, jednak ciekawość i ten zaostrzający się lęk wzięły górę. Wyciągnął komórkę z kieszeni spodni, zerknął na ekran i przekonał się, że dzwoni ich sąsiadka, pani Stanford.

Coś z Lindą, pomyślał zdjęty nagłą trwogą. Najwyższą, fatalną, dojmującą. Odebrał, przełączając komórkę na głośnomówiący, i rzucił:

– Tak?

– Panie Hill – zaczęła staruszka przejętym głosem. – Niech pan lepiej szybko wraca do domu.

– Co się stało, pani Stanford?

Staruszka zaczęła coś mówić, ale zagłuszyła ją seria trzasków.

– Pani Stanford?! – powtórzył Adam. – Gert?! Halo, słyszy mnie pani?!

Rozległ się kolejny trzask – tym razem tak głośny, iż niewiele brakowało, przynajmniej w odczuciu Adama, a popękałyby mu bębenki – i połączenie zostało przerwane.

Adam zaklął pod nosem i spróbował na nowo połączyć się z Gertrude Stanford, jednak zamiast sygnału usłyszał komunikat o braku sieci.

Trochę to dziwne, prawda?

Z niespokojną gorączką malującą się w błyszczących oczach dodał gazu i jak pocisk przemknął przez trzy ostatnie przecznice dzielące go od domu. W głowie niczym werbel w rękach wariata łomotało mu: „Linda, Linda, LINDA!".

Gdy wjechał w swoją ulicę, zobaczył migające światła policyjnego koguta.

– O kurwa! – zawołał, hamując gwałtownie.

Powodowany sugestywnymi wizjami podsuwanymi przez wyobraźnię i napięte do granic nerwy przez jedną straszliwą sekundę ujrzał Lindę leżącą na wznak na środku ulicy. Nagą. Zakrwawioną. Martwą.

Jednak nie. To była tylko iluzja, złudzenie wywołane toczoną przez wiatr papierową torbą, której ruchliwe cienie nadawały dość osobliwe kształty. W takich kształtach można zobaczyć naprawdę wszystko.

Chociaż to, co zobaczył zaraz potem, wcale nie było lepsze.

Ani trochę.

Na jego oczach rozgrywała się scena tak groteskowa, iż przez chwilę Adamowi wydawało się, że zwyczajnie śni. Linda – jak najbardziej żywa – biegła chodnikiem, dzierżąc w dłoni butelczynę gorzały – Jacka Daniels'a, jeżeli wzrok go nie mylił. Miała na sobie jedynie rozdartą na udzie kusą koszulę nocną. Prawe ramiączko zsunęło jej się z ramienia, ukazując zdecydowanie zbyt duży fragment piersi, która, podobnie jak druga, kołysała się w rytm jej kroków. Bose stopy były czarne od ziemi, do kostek przylgnęło kilka źdźbeł trawy. Miała je również we włosach, zupełnie jakby turlała się po czyimś trawniku, zanim wzięło ją na ten maraton.

Zaraz za Lindą biegło dwóch policjantów, próbujących ją zatrzymać, co nie było takie proste. Gdy już myśleli, że ją złapali, Linda robiła nieoczekiwany zwrot bądź sprytnie przemykała między nimi. Po uważniejszym przyjrzeniu Adam spostrzegł, iż jego żona ma podejrzanie błyszczącą skórę. Zapewne wysmarowała się jakimś olejkiem i dlatego tak trudno było ją schwycić, wyślizgiwała się policjantom z palców jak jakiś… wąż.

Mimo wszystko niebywała zwinność u kogoś, kto sobie golnął, zauważył Adam z jakimś posępnym rozbawieniem. Równocześnie pochwycił spojrzenie żony i omal nie wrzasnął. W jej oczach malowały się strach, wściekłość oraz… czysty obłęd.

Na chodnikach, po obu stronach ulicy stali sąsiedzi – większość w piżamach, na które narzucone mieli szlafroki, bądź w dresach. Znalazły się nawet dwie osoby w strojach do joggingu. Niezbyt liczna grupka rosła z każdą chwilą, bo zaalarmowani hałasem ludzie wylegali z domów, chciwie chłonąc sensację, jaką zapewniała półnaga Linda. Dzieciak Rosebergów, ten mały pryszczaty idiota, który już kilka razy sikał im na żywopłot, kręcił wszystko komórką. Adam odnotował w pamięci, aby zabrać telefon, zanim gówniarz wrzuci nagranie do sieci. No, chyba że to szło na żywo jako relacja na Instagramie czy Facebooku, wtedy raczej było za późno na strategiczne działania.

Jeżeli znajdę ten pierdolony filmik na YouTubie, nogi ci z dupy powyrywam, Danny, pomyślał Adam mściwie.

Pokonując wewnętrzny wstrząs skutkujący paraliżem, wysiadł z wozu. I dopiero wtedy usłyszał, że jego żona coś wykrzykuje. Nakładało się to na upomnienia policjantów i piski kilku wścibskich sąsiadek, jednak bez trudu dało się zrozumieć poszczególne słowa.

– Mój mąż pieprzy się diabłem! – wyła Linda, przecinając trawnik państwa Goldbergów. – Adam pieprzy się z samym diabłem! Diaaaabłeeeem!

– Pani Hill, proszę się zatrzymać! – zawołał jeden z policjantów.

Linda zerknęła przez ramię i pokazała mu wyprostowany środkowy palec. Wpadła na furtkę, odbiła się od niej i pobiegła dalej, zmieniając kierunek. Z punktu widzenia funkcjonariuszy wyglądało to tak, jakby zmierzała wprost na ogrodzoną parcelę, ale w rzeczywistości było tam przejście. I ona dobrze o tym wiedziała.

Wyższy policjant, ten, który przed chwilą kazał jej się zatrzymać, dopadł do Lindy, a ona – niewiarygodne! – zdzieliła go w głowę butelką. Mogłoby się to skończyć dość paskudnie, jednak czapka złagodziła impet uderzenia i mężczyźnie nic się nie stało. Nie powinien mieć również żadnych widocznych śladów. Dzięki Bogu, choć pewnie bez oskarżenia o czynną napaść na funkcjonariusza się nie obejdzie.

– Aresztujcie mojego męża, on pieprzy diabła! Pieprzy kurwę Lucyfera! – zawołała Linda, po czym prześlizgnęła się przez wyrwę w ogrodzeniu i pomknęła w głąb posesji. – Adam

pieprzył kurwę diabłaaaa! – jeszcze głośniej, jeszcze bardziej przeciągając słowo „diabła”. – Nayhija Mara to kurwa samego diabłaaaa!

Adam patrzył na to porażony, czując, jak płoną mu policzki.

– Panie Hill, dobrze, że pan jest! – Usłyszał gdzieś z prawej.

To była pani Stanford, szczelnie otulona szlafrokiem frotte, mimo ciepłego wieczoru.

Adam w roztargnieniu pokiwał głową i ponownie skupił się na pościgu. Jeżeli to, co oglądał, w ogóle zasługiwało na tak szumne miano. W jego oczach wyglądało to na tanią farsę. *Jestem w ukrytej kamerze*, przemknęło mu przez głowę, i niewiele brakowało, a wybuchnąłby szaleńczym chichotem. *Nie wiem, dlaczego, ale jestem w ukrytej kamerze. Zaraz spadnie na mnie konfetti i urocza hostessa wręczy mi czek na tysiąc pięćset dolarów oraz pluszową maskotkę.*

– Biedulka, co jej się stało? – dociekała pani Stanford. W jej głosie pobrzmiewały autentyczna troska i współczucie, przez co Adam poczuł się jeszcze gorzej.

– Psychoza alkoholowa – powiedział martwo i nie czekając na dalsze pytania, puścił się biegiem w stronę parceli, na której zniknęła jego żona.

Dalej, za nią, był już tylko las. Linda nie mogła tam dotrzeć.

Nie w takim stanie.

Dobiegł tam w momencie, w którym policjant klęczał nad powaloną na ziemię Lindą, zakuwając ją w kajdanki. Zdawało się, że jest już nieco spokojniejsza, jednak na widok Adama wezbrała w niej nowa fala wściekłej furii.

– Zabił mnie! – ryknęła, wwiercając w niego ciskające gromy spojrzenie przekrwionych oczu. – Ten skurwiel mnie zabił!

– Pani Hill… – zaczął policjant, ale ona miała go gdzieś albo po prostu nawet go nie usłyszała.

– Gówno cię to obchodzi, prawda? – spytała i zaśmiała się. To był taki gorzki rodzaj upiornego, obłąkańczego śmiechu, od którego Adama przeszły ciarki.

Uniósł ręce w dziwnie bezradnym geście, niepewny, co zrobić. W dalszym ciągu jakąś częścią siebie łudził się, że to wszystko się nie dzieje, że to po prostu sen lub ta cholerna ukryta kamera. Jego żona, zalana, agresywna, czasowo niepoczytalna. Leżała na trawniku opuszczonej działki, obezwładniona i skuta niczym niebezpieczny bandzior. Jezu, przecież to niemożliwe. To nie była Linda, na pewno nie. To była jakaś kompletnie obca osoba.

– Linda, proszę – jęknął, podchodząc bliżej. Starał się brzmieć łagodnie, uspokajająco, jednak w jakikolwiek sposób by nie mówił, jej nie robiło to różnicy. Nakręcały ją własna wściekłość i wypity alkohol.

– Jesteś z siebie dumny?! No powiedz, jesteś dumny?!

– Uspokój się, proszę…

– Nie udawaj, wiem, co zrobiłeś! – zawyła Linda, wijąc się na trawie. Klęczący nad nią policjant miał taką minę, jakby chciał wstać i odejść, jego kumpel zresztą też. Zdawało się, że jakoś wyczuwali emanujące od niej fale szaleństwa i wcale im się to nie podobało. – Pierdoliłeś ją z uśmiechem na ustach! Pierdoliłeś diabła! Ona tym jest, wiesz? Wiesz, Adam? Domyśliłeś się, kiedy zajrzałeś jej w cipę? – Linda urwała, jakby zafascynowana myślą, która właśnie przyszła jej do głowy. – Zaglądałeś jej w każdą dziurę, co? Podobało ci się to, co zobaczyłeś? Była dobra, Adam? Była lepsza ode mnie?

Adam chciał coś powiedzieć, tyle że nie bardzo wiedział co. Bo jego żona naprawdę zwariowała. Przynajmniej teraz, tej przeklętej nocy. To wóda? A może coś więcej? Schlała się, ponieważ coś wyprowadziło ją z równowagi, czy raczej coś wyprowadziło ją z równowagi, ponieważ się schlała? Nieważne, to nie miało znaczenia. Nie w tej chwili.

I nagle, patrząc na wszystko z boku, jak na wyświetlany na ekranie film, Adam nabrał

pewności, że policjanci czerpią jakąś ponurą radość z oglądanego przedstawienia i dlatego są tak opieszali. Czy to było takie znowu dziwne? Czy codziennie przeprowadzali takie jak ta interwencje? Pijana panienka oskarżająca męża o uprawiane seksu z diabłem? Och, proszę. Na komisariacie pewnie za taką opowieść ich pokochają.

Drugi funkcjonariusz, być może widząc marsową minę Adama, pokazał koledze, żeby wreszcie skończył ten cyrk. Ten postawił Lindę na nogi, oznajmił, że jest aresztowana, i wyrecytował jej prawa, na co burknęła:

– Pieprzę to! Nic mi nie możecie zrobić!

Oj, mogą, mogą. Zwłaszcza po tym, jak rąbnęłaś jednego z nich w łeb, miał chęć powiedzieć Adam, jednak tylko stał pogrążony w milczeniu.

– Pojedzie pani z nami, pani Hill – powiedział pierwszy policjant. – Jest pani aresztowana, sama pani słyszała. Proszę nie stawiać oporu.

No i Linda go nie stawiała.

Aż znalazła się przy radiowozie.

– Nigdzie nie jadę! – pisnęła głosem tak cienkim, że zdawał się być zdolny kruszyć szkło, i zaczęła się szamotać. Próbowała kopnąć trzymającego ją funkcjonariusza, ale nic z tego. – Nigdzie z wami nie jadę! Zostawcie mnie!

Policjant położył jej rękę na głowie, zmuszając, by się schyliła, po czym wepchnął kobietę na tylne siedzenie radiowozu. Tam Linda dopadła kratki odgradzającej ją od przednich siedzeń i zaczęła nią zapalczywie potrząsać. Wykrzykiwała coś, głównie przekleństwa, a po chwili znów przerzuciła się na swoją starą śpiewkę o pieprzeniu z diabłem. To naprawdę było niepokojące.

– To pana żona, tak? Brała coś? – spytał policjant, podchodząc do Adama. Minę miał idealnie nijaką, profesjonalną, wypraną z emocji.

Adam pokręcił przecząco głową.

– Tylko piła. Linda nie bierze żadnych prochów – zapewnił. Ale czy na pewno? Czy po tym, co dziś zobaczył, dalej mógł z ręką na sercu powiedzieć, że zna swoją żonę? Nie był już tego taki pewien.

– Rozumiem, dziękuję. – Policjant zapisał coś w wyciągniętym z kieszeni notatniku. – Zdaje pan sobie sprawę, że żona pozostanie w areszcie do czasu, aż wpłaci pan kaucję. – Znaczące spojrzenie. – O ile pan wpłaci.

– Wpłacę – wycedził Adam przez zęby. Mięśnie szczęki drgały mu pod skórą, napięte jak okrętowe liny. Przez jedną rozciągniętą w czasie sekundę miał ochotę przyłożyć temu gliniarzowi. Dlaczego? Chyba przez ten cień pogardy, który dostrzegł na dnie jego oczu. Pogardy dla Lindy.

– Oczywiście. Życzę panu spokojnej nocy. – Policjant dwoma palcami dotknął daszka czapki i lekko skinął głową.

Naturalnie, Adam mógł powołać się na Mike'a. Mało tego, mógł nawet do niego zadzwonić i poprosić, żeby tu przyjechał. Mike zrobiłby to bez zadawania zbędnych pytań i załatwił sprawę, dyskretnie i po cichu – był w stanie to zrobić. Jednak Adam nie zadzwonił. Tuszowanie tego, co się stało, wyciąganie Lindy z tarapatów, to mijało się z celem. Jego żona musiała odczuć skutki swoich czynów, posmakować piwa, którego nawarzyła. Najpierw jazda po pijaku, a teraz to. Przegięła. Przegięła po całości.

– Proszę się rozejść! – zagrzmiał policjant, zwracając się do tłumu oblegającego chodnik. – No dalej. Tutaj nie ma nic do oglądania.

Ludzie dość niechętnie zaczęli się rozchodzić. Przynajmniej większość. Parę osób uparcie stało, pogrążonych w rozmowie bądź udających, że kontemplują linię nadwozia czyjegoś

samochodu. Czegoś takiego długo tu nie zapomną. Chyba że ten mały gnojek Rosebergów zamiast sikać im na żywopłot, zacznie się przy nim onanizować. To nawet byłoby niezłe rozwiązanie. Taki obrót spraw dałby nową rozrywkę gawiedzi, a Adam z chęcią by to wszystko nakręcił, gdyby dzieciak jednak wrzucił nagranie do… Właśnie, trzeba mu zabrać komórkę!

Adam rozejrzał się, jednak nie dostrzegł Danny'ego ani jego rodziców.

– Kurwa – mruknął, na nowo popadając w zamyślenie. Pójdzie do nich, ale jutro. Dziś nie miał już na to siły.

Przechodząca mu za plecami pani Stanford pozdrowiła go przesadnie głośnym „Dobranoc, mój synu", jednak Adam praktycznie jej nie słyszał. To znaczy słyszał, ale zignorował.

Otrząsając się z wyobrażeń o hipotetycznych poczynaniach Danny'ego i o tym, co zrobi mu w ramach odwetu, uzmysłowił sobie, że tak czy inaczej będzie musiał zadzwonić do Mike'a. Spędzenie nocy w areszcie to jedno, ale postawienie zarzutów to zupełnie co innego. Po czymś takim Linda mogłaby stracić pracę, a kara byłaby niewspółmierna do jej czynu. Nie chodziło o pieniądze, tych wystarczyłoby im tylko z pensji Adama, lecz o fakt, iż Linda lubiła uczyć. W każdym razie ta Linda, którą znał.

Zaciskając pięści, Adam patrzył, jak radiowóz odjeżdża. Czuł gorycz, wściekłość, smutek i wstyd w mniej więcej równych proporcjach. Nie liczył na to, że tej nocy zaśnie. I z zaskoczeniem odkrył, że jego myśli dryfują w stronę, w jaką dryfować absolutnie nie powinny.

„Mogę dać ci lato w środku zimy, blask dnia pośród mroków nocy. Wszystko. Ja mogę dać ci wszystko…"

Zadarł głowę i spojrzał w niebo. Jego zimny odległy aksamit wydał mu się kuszący, niewzruszony i spokojny w swój monumentalny sposób. Zaś usypane na nim gwiazdy błyszczały zupełnie jak…

Adam wzdrygnął się, jakby ktoś przeszedł po jego grobie. Rozejrzał się, orientując, że gapie się rozeszli. Był tu sam. Musiał zatem stać tak dłużej niż chwilę. O wiele dłużej.

Kiedy wchodził do domu, poczuł na rozgrzanym karku podmuch mroźnego wiatru.

W tym wietrze było coś dziwnego.

Coś… znajomego.

20.

Pod tymi samymi gwiazdami i pod tym samym niebem Nayhija siedziała na motocyklu świętej pamięci Stana „Błyskawicy" Eastwicka i również patrzyła w ślad za radiowozem. Adam nie mógł jej dostrzec ze swojego miejsca, zresztą nikt nie mógł. Za to ona widziała wszystko bardzo dobrze.

I nie do końca podobało jej się to, co zobaczyła.

Spodziewała się, iż Adama zaleje wyłącznie ślepy gniew, zmazując tę resztkę bliskości między nim a żoną, że rozpędzona ciężarówka staranuje przeszkodę, wjeżdżając wprost na drogę zatracenia. Jednak tak się nie stało. Nie do końca. W jego sercu wciąż tliło się uczucie – silne, niezmącone. Bez względu na wszystko. Pragnął pomóc Lindzie, pragnął jej dobra. Kochał ją.

Tak jak Jasper nigdy nie pokochał Nayhiji.

Ta miłość była zbyt krucha, zbyt ulotna. Nie wytrzymała potwornej próby, na którą została wystawiona. Przegrała swoją walkę o blask, dając się stłamsić bezkresnej czerni, dając się zabić.

A może wcale nie? Jeśli wierzyć słowom mędrców, prawdziwa miłość nigdy nie umiera. Oznaczałoby to więc, iż w tym równaniu tylko jedna strona kochała, druga pomyliła miłość z czymś banalnym, o wiele bardziej przyziemnym. Jasper chciał oszukać samego siebie, może nawet mu się to udało, lecz jedynie na krótką chwilę. A to było za mało. Ty za to kochałaś naprawdę. I zapłaciłaś za to najwyższą cenę. Zapłaciłaś swoją nieśmiertelną duszą.

Nayhija poczuła, jak wzbiera w niej krzyk i ostatnim wysiłkiem woli stłumiła go w sobie. Kępy krzaków obok motocykla trzasnęły sucho i zaraz zajęły się ogniem. Ten ogień był jej gniewem, jej cierpieniem.

Ten ogień nigdy nie zgaśnie.

Z zaciśniętymi ustami patrzyła, jak Adam odwraca się i idzie w stronę swojego domu. W jego lekko przygarbionej sylwetce widoczna była jakaś koszmarna żałość. On również cierpiał. Cierpiał przez to, co mu zrobiła. Co zrobiła im obojgu. Sztucznie wywoływała tornado tam, gdzie nigdy nie powinno się pojawić. Choć jeżeli spojrzeć na to z drugiej strony… to nie ona była odpowiedzialna za raka płuc. Oczywiście, kontrakt pozwalał pozbyć się tego problemu, ale był tak skonstruowany, że nikogo nie pozostawiał wygranym. Nikogo z wyjątkiem jej i Firmy. Tyle że Nayhija nie była już taka pewna, iż faktycznie będzie się czuła wygrana.

Przez to, jak patrzył w ślad za żoną, gdy odjeżdżał radiowóz. Przez sposób, w jaki się zgarbił, wlokąc się do domu. Przez to, że powiedział…

To chyba właśnie wtedy po raz pierwszy – brutalnie, boleśnie świadomie – Nayhija zakwestionowała słuszność tego, co robiła. Ten przebłysk sumienia, który musnął ją niczym nikły promień słońca w chmurny dzień, był zaledwie zapowiedzią. To, co poczuła teraz, zdawało się znacznie silniejsze.

Mimo to zrobi, co ma do zrobienia. Wykona zadanie. Doprowadzi sprawę do końca. Wygra. Zawsze wygrywała. Nawet jeżeli zwycięstwo będzie miało smak porażki.

Mogłabyś podpalić niebo, byle tylko osiągnąć cel. I to się nie zmieniło. To się nigdy nie zmieni. Taka już jesteś. Zawsze taka byłaś.

W dźwięku niesionym razem z szumem wiatru Nayhija rozpoznała głos. Głos należący do mężczyzny w czerni.

Wiedziała, że pójście do Adama właśnie teraz będzie najgorszym z możliwych posunięć. To byłoby niczym potwierdzenie większości tych bzdur, które jego żona wykrzykiwała w

alkoholowym zamroczeniu. Nie, Nayhija zrobiła już dość. Teraz to on musiał do niej przyjść, w przeciwnym razie to nie zadziała. Zostawiła mu trochę okruszków i wszystko, co musiał zrobić, to iść do niej po śladach. Nie mogła go do niczego zmusić, to musiała być jego decyzja. Wolna wola i tak dalej.

Ale to już tylko kwestia czasu. A tego miała akurat w sam raz.

Ogień otoczył ją ciasnym pierścieniem, polizał jej długie buty, następnie zaczął wspinać się na motocykl. Nayhija zsiadła z niego i naraz spowiły ją kłęby czarnego, smolistego dymu. Gdy się rozwiały, po Nayhiji nie było śladu.

Przynajmniej w pewnym sensie.

Czarny kot przebiegł przez ulicę i podreptał chodnikiem. Z tyłu za nim płomienie podążały coraz wyżej, połykając cały motocykl. Strzelały i trzaskały przez chwilę, by raptownie zaprzestać swojego tańca, pozostawiając zwęglone zgliszcza maszyny, którą można było zidentyfikować dopiero po dokładniejszym badaniu.

Pssst!

Kot obrócił się, oceniając ten widok zmrużonymi zielonymi ślepkami. Otworzył pyszczek, zamknął go i podjął przerwany marsz. Niedługo później siedział na parapecie kuchennego okna domu Adama Hilla.

21.

Adam dłuższy czas leżał z rękoma skrzyżowanymi za głową, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w sufit, po którym przesuwały się cienie. Myślał o Lindzie, starał się doszukać jakiegoś ukrytego znaczenia w tych pozornie pozbawionych sensu słowach, które wykrzykiwała mu w twarz z histeryczną wściekłością. Jednak im dłużej myślał, tym większy chaos panował w jego znękanym umyśle. „Zabiłeś mnie", dlaczego ciągle to powtarzała? Tej nocy oraz wcześniej, wtedy, gdy znalazł ją zalaną w kuchni. „Zabiłeś mnie".

Psychoza alkoholowa, to brzmiało jak kiepska wymówka. Co maskowało picie? Musiał się tego dowiedzieć za wszelką cenę. Tu chodziło o jego żonę, na Boga! O kobietę, za którą szalał, poza którą nie widział świata.

Przynajmniej do niedawna.

Zwariowała od picia lub zaczęła pić, bo zwariowała. Obijasz się o te dwa pomysły, niezdolny zobaczyć nic poza pętlą, w której się znajdujesz. To zaczyna przypominać zabawę w piekło-niebo, a pytanie ma przecież więcej niż dwie możliwe odpowiedzi. Przypomnij sobie dokładnie moment, w którym wszystko zaczęło trząść się w posadach, przypomnij sobie punkt zwrotny, pierwsze skrzypnięcie poprzedzające trzęsienie ziemi. Wiesz, co to spowodowało? Wiesz… kto?

W głębi siebie Adam wiedział. A wraz z tą wiedzą coś w nim zaskoczyło z cichym zgrzytem. Pierwsze elementy układanki trafiły na swoje miejsca.

Jednocześnie jakiś inny, obcy głos w jego głowie starał się przekonać go, żeby zapomniał, żeby po prostu dał sobie spokój. Lindy nie ma, mówił głos, takiej Lindy, jaką pokochałeś, już nie ma. Odeszła, przepadła, rozmyła się, zastąpiona przez sfrustrowaną pijaczkę. Czasem w życiu tak bywa, a ty jesteś już wystarczająco dużym chłopcem, by zrozumieć, iż ludzie się zmieniają. Przygnieceni rzeczywistością, oszukani przez slogany z kolorowych magazynów przekonujemy się, że pewne kompromisy kosztują nas znacznie więcej, niż byliśmy skłonni zapłacić. I co nam wtedy pozostaje? Butelka bez dna, woreczek, w którym kokaina nigdy się nie kończy. Och, czy myślałeś, że można całkowicie poznać drugiego człowieka? Sądziłeś, że Linda kiedykolwiek stała przed tobą zupełnie naga, bez tej muślinowej szaty kłamstw i niedomówień? Naprawdę tak myślałeś?

Tak, przez pewien czas tak właśnie myślał. Był naiwny, jak każdy zakochany. I pomimo że jego praca polegała na studiowaniu odmętów umysłu, racjonalizowaniu, to serce wiodło prym, to ono kierowało umysłem, nie odwrotnie. Cóż w tym dziwnego? Zawsze był romantykiem, taką miał naturę.

Nie rozśmieszaj mnie. Pora dorosnąć, Adam.

Wreszcie – mimo iż wcześniej uważał, że to niemożliwe, nie tej nocy – opadł na niego sen. Adam poczuł, jak stopniowo odpływa. Kolejne fale były coraz wyższe, a on zanurzał się głębiej i głębiej. Jego ciało zaczęło odłączać się od jaźni, zaś sama jaźń dryfowała ku…

Usłyszał potworny huk i senność uciekła z niego, zanim zdołała rozgościć się na dobre. Zerwał się z łóżka, poszukując wzrokiem czegoś, co może posłużyć za potencjalną broń. Nie znalazł niczego takiego, chyba że kinkiet, ale ostatecznie zrezygnował. Ruszył ku drzwiom sypialni, lecz nagle przystanął, rozglądając się czujnie. Nikogo tu nie było, a jednak…

Na krawędzi pola widzenia dostrzegł coś leżącego na nocnej szafce – mały prostokąt jasnego światła na ciemnym drewnie – ale nie miał czasu się temu lepiej przyjrzeć. Huk na dole się powtórzył.

Zbiegł po schodach, zbrojny jedynie w siłę własnych mięśni. Nie mógł pozbyć się uporczywego wrażenia, że gdzieś, może w kuchni, zastanie Lindę, że to ona spowodowała ten łomot, ponieważ jest tak pijana, że zaczęła wpadać na meble.

Ale Lindy nie było.

Sam pozwolił na to, by ją aresztowano.

Czując uderzenia adrenaliny, wpadł do holu z dzikim spojrzeniem i sterczącymi na wszystkie strony włosami. Przeciął go i zaczął zaglądać do każdego pomieszczenia po kolei. Nic, nigdzie. Wreszcie w kuchni – bo, oczywiście, to musiała być kuchnia – zobaczył kamień leżący na podłodze zaraz obok lodówki. I szkło, odłamki szkła. Adam bez pudła odgadł, że pochodzą ze stłuczonego okna, zanim jeszcze na nie spojrzał. W pomieszczeniu czuć było to rześkie nocne powietrze, dźwięki dochodzące z zewnątrz były zdecydowanie zbyt głośne.

Adam zacisnął ręce, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. Jakiś skurwiel wybił im okno kamieniem, cholernie zabawny żart. Czyżby komentarz społeczny do tego, jak przed paroma godzinami zachowywała się jego żona?

Może oprócz wybicia szyby ktoś napisał na ścianie domu milusie hasło w stylu „Tu mieszka wariatka”? Dzieciaki potrafią być złośliwe.

Tak olśniony Adam wyjął latarkę z szuflady i wybiegł przed dom. Przeszedł wzdłuż jego ścian, oświetlając je snopem światła, lecz nie dostrzegł żadnego graffiti. Trochę go poniosło w tych hipotezach. Wandala zadowoliło wybicie okna, a potem się ulotnił. Na całe szczęście. Dla niego, rzecz jasna, bo gdyby Adam się na niego natknął, chyba skręciłby mu kark.

Wrócił do kuchni, starając się nie słyszeć szelestu trawy, któremu jego przemęczony mózg dodawał jakiegoś złowieszczego podźwięku, i spostrzegł, że dalej, za lodówką, parę centymetrów od drzwi do spiżarni leży drugi kamień, mniejszy od poprzedniego. Stąd kolejny huk, ktoś wrzucił aż dwa.

– Skurwiel – burknął Adam, podnosząc oba z ziemi.

W myślach już szacował straty, wyceniał szkodę, a wyobraźnia raz po raz podsuwała mu zatrwożoną minę Lindy na wieść o tym, co się stało. No, chyba że zdąży załatwić sprawę, zanim wypuszczą ją z aresztu. Wtedy nie będzie musiał nic mówić.

Kolejne kłamstwa i półprawdy. Brawo, dzielny skaucie.

Adam cisnął oba kamienie przez najeżoną szkłem paszczę, która do niedawna była oknem, i ostrożnie, tak aby nie nadepnąć na żaden z odłamków, wyszedł z kuchni. Wrócił do sypialni, by się ubrać. Od łażenia w samych slipkach zrobiło mu się trochę chłodno, a musiał przecież posprzątać ten bałagan i pójść do garażu po coś, czym można by prowizorycznie zasłonić tę cholerną dziurę.

Zapalił światło, ale zamiast podejść do szafy, zamarł z ręką na przełączniku. Na szafce. Coś leżało na szafce. Marszcząc brwi, Adam podkradł się do niej – przesadnie ostrożnie, jak gdyby podświadomie uważał, że przy zbyt gwałtownych ruchach cały dom wyleci w powietrze – i przyjrzał się jasnemu prostokącikowi, którego nie było tu, kiedy kładł się spać. Zobaczył wyrwaną z jakiegoś notesu kartkę. Adam wyciągnął dłoń, powoli, jak ktoś poruszający się pod wodą, ujął ją w palce i bezgłośnie odczytał treść:

Twoja żona ma tajemnicę. Chcesz ją poznać? Przyjdź pod ten adres.

Henderson Avenue, 519 A.

Będę tam tylko dziś.

Kto? Kto tam będzie?

Adam wiedział doskonale.

Nagle załatanie okna przestało być istotne. Musiał tam pójść. Po prostu musiał.

Ubrał się prędko, chwycił kluczyki od samochodu, portfel i szybkim krokiem wyszedł z

domu. Zamknął drzwi, choć tak na dobrą sprawę nie musiał tego robić – każdy, komu przyszłaby ochota, mógł przecież wejść przez wybite okno. Uderzył go dziwny absurd tego wszystkiego i parsknął zupełnie niepodobnym do siebie, nerwowym chichotem zdradzającym początek załamania nerwowego.

Linda, pomyślał, jadąc na Henderson Avenue, Linda ma tajemnicę.

Pod numerem 519 A znajdował się bar. Raczej podrzędna speluna o mało zachęcającej nazwie Trzech Żałobników. Adam nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tu był. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętał, żeby w ogóle znajdowała się tu taka knajpa.

Pchnął drzwi i znalazł się w mrocznym, pachnącym dymem i alkoholem wnętrzu. Rozmieszczone co parę metrów nagie żarówki rzucały mlecznobiałe światło na bar i kilka stołów bilardowych, ceglane ściany wyglądały, jakby lada moment miały skruszeć. Tania filcowa wykładzina, którą przykryto podłogę, miała kolor wina, na drugich drzwiach w głębi pomieszczenia, prowadzących najpewniej na zaplecze, znajdowała się tarcza do gry w rzutki. Adam rejestrował to wszystko… i nagle doznał osobliwego wrażenia zacierania – jego życie, wspomnienia, to wszystko bladło, stawało się odległe i nierzeczywiste. Już tylko mgliście pamiętał, po co tu przyszedł.

I wtedy ją zobaczył.

Snop światła opromieniał jej sylwetkę, tworząc wokół niej poświatę, która nadawała wrażenia nierealności, istoty z pogranicza wymiarów. Ubrana była w czerń, jak zwykle. Adama uderzył fakt, iż nigdy nie widział, by miała na sobie cokolwiek w innym kolorze.

Nayhija opierała się o kij bilardowy, pogrążona w rozmowie z jakimś facetem o długich mysich włosach zebranych w kucyk i ostrym jak skalpel nosie. Uśmiechała się do niego tym swoim uwodzicielskim uśmiechem, jej oczy skrzyły. Adam, ku swojemu najwyższemu zaskoczeniu, poczuł ukłucie zazdrości.

Wtedy ona również go zauważyła – jakoś rozpoznał to w jej spojrzeniu – jednak nie okazała tego w żaden sposób. Potarła czubek kija kredą, zmysłowo przejeżdżając przy tym po górnej wardze koniuszkiem języka i pochyliła się nad stołem, przesadnie wypinając pupę. Była w kusej czarnej sukience… i nie miała na sobie majtek.

Adam rozdziawił usta, gapiąc się na to bezmyślnie, jednocześnie czując, że jego penis twardnieje jak epoksyd. Usłyszał stuk uderzanej bili, który odbił się w jego umyśle zwielokrotnionym echem. Obserwował, jak Nayhija prostuje się i obchodzi stół, ale działo się to w nienaturalnie powolnym tempie. Przynajmniej dla niego.

– Hej, chłopie! – zawołał barman, kiwając na niego ręką. Przysadzisty facet z mięsistymi wargami, rzednącymi, przetykanymi siwizną włosami i podwiniętymi rękawami białej koszuli. – Może coś ci podać?

Adam dyskretnie rozejrzał się na boki. Oprócz niego, barmana, Nayhiji i typa z kucykiem były tu jeszcze trzy osoby: łysy facet w prochowcu, wyglądający, jakby modlił się do szklanki gorzały, oraz para małolatów całująca się przy stoliku w kącie.

– Piwo – powiedział, podchodząc do baru.

– Zrób z tego dwa. – Usłyszał z prawej.

Zerknął przez ramię i zobaczył, że Nayhija zajmuje miejsce na stołku obok.

– Cześć, Adam – powiedziała, patrząc na niego powłóczyście. Nonszalancko odgarnęła pasmo włosów i odrzuciła je na plecy. – Jednak przyszedłeś.

Barman postawił przed nimi dwa piwa w śmiesznych, staromodnych kuflach, a kiedy Adam chciał zapłacić, zaśmiał się i pokręcił głową. Następnie podryfował na drugi kraniec baru i zajął się polerowaniem szklanek.

– Mam tu otwarty rachunek – wyjaśniła Nayhija.

Do umysłu Adama przebił się jakiś słaby głos, chyba Mike'a, człowieka, który był jego przyjacielem. Tylko kiedy? Kiedy właściwie nim był? Uważaj na nią, bracie, powiedział Mike dryfujący gdzieś po wodach zapomnienia. Jednak Adam nie wiedział, dlaczego miałby uważać. Nayhija była taka piękna. Taka piękna. Zdaje się, że chciała…

– Moja żona – przypomniał sobie nagle. – Moja żona ma tajemnicę.

Nayhija potwierdziła skinieniem głowy.

– Twoja żona jest chora – powiedziała, przysuwając się bliżej. – Ale to było dawno temu. Teraz już jej nie ma. Jesteśmy tylko my.

A on zaakceptował ten fakt. Po prostu. Ot tak.

Znów miał to uczucie, jak gdyby jakaś potężna, nienazwana siła przejmowała nad nim kontrolę, jak gdyby racjonalne myślenie i wyższe emocje rozpadały się, kapitulowały, pozostawiając go we władaniu czystego pierwotnego instynktu. Nayhija. Istniała tylko ona. Tylko ona i ciągnąca go ku niej niespokojna, rozedrgana żądza.

– Chora – powtórzył głucho. – Linda jest chora.

– To nie ma znaczenia. – Usta Nayhiji musnęły płatek jego ucha.

– Myślę, że… – Adam próbował stawiać opór, walczyć z przygniatającym go pożądaniem, ale marnie mu szło. Świat odpłynął, jego życie również. Była tylko ta kobieta o malachitowych oczach. Tylko ona.

– Przejdźmy się. – Nayhija ujęła go za rękę, więc Adam posłuszne wstał.

Dał się wyprowadzić z Trzech Żałobników prosto w gęstą ciemność nocy. Gdzieś w górze świeciły gwiazdy, ale ich blask tu nie docierał. Zaułek, w którym się znaleźli, oświetlała jedynie samotna lampa sodowa.

Zatrzymali się w bramie prowadzącej do starej wiktoriańskiej kamienicy, takiej, jakich tu nie było. Nayhija naparła na Adama i zaczęła całować go po szyi, jedną rękę wsadzając mu pod koszulę.

– Na co jest chora? – spytał, łapiąc ją za przegub. Chciał poddać się tym pieszczotom, chciał w nich zatonąć, ale coś go powstrzymywało, ten mizerny okruch… Czego? Rozsądku? Przyzwoitości?

Przez twarz Nayhiji przebiegło coś nieprzyjemnego, coś… groźnego.

– Na coś nieuleczalnego – odparła, na powrót przywierając do niego ustami. – Piła i pije, mimo że prosiłeś ją, żeby przestała. Dlatego właśnie się rozstaliście.

– Słucham?!

Nayhija odsunęła się, spoglądając na niego nienaturalnie błyszczącymi oczyma.

– Rozstaliście się, Adam – powtórzyła z naciskiem.

– Policja…

– Policja była dawno temu. – Palce Nayhiji głaskały go po policzku, ciepłe, delikatne. To było takie przyjemne. Jej dotyk był taki wspaniały. Zatracał się w nim, chciał tego, pozwalał na to. – Tak jak wszystko inne.

Adam niczym we śnie pokiwał głową i spuścił wzrok, patrząc, jak Nayhija rozpina mu spodnie. Byli tu zupełnie sami, ta uliczka zdawała się wymarła, zapomniana. A nawet gdyby nie, nawet gdyby byli tu ludzie, Adam nie był pewien, czy zrobiłoby mu to różnicę. Nie, bo było już za późno.

Nayhija uklękła przed nim, dłonią oplatając sztywnego penisa i zaczęła lizać jego czubek, wodzić wokół niego okrężnymi ruchami. Jej język poruszał się z początku leniwie, potem szybciej, tak jak i ręka. Adam jęknął i przymknął powieki, czując, jak jego męskość znika w ciepłym i wilgotnym zagłębieniu ust.

Tym, co robiła, doprowadzała go na skraj rozkoszy i pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie

było mu tak dobrze. Nikt nie robił tego tak jak ona. Zdawało się, że potrafi przewidzieć jego pragnienia, odnaleźć najczulszy punkt, żeby dać mu jak najwięcej przyjemności. Dozowała ją, drażniła go tylko po to, by za chwilę doprowadzić na wyżyny uniesienia. Ssała go mocno, zaraz łagodnie, i znów mocno, dodatkowo stymulując ręką, podczas gdy drugą delikatnie ściskała jądra.

Pod koniec złapał ją za włosy i przycisnął do siebie, zmuszając, by wzięła go jeszcze głębiej, a wtedy doszedł w jej ustach. Jego ciało przeszył spazm. Orgazm eksplodował w nim i razem z nim, porażając jasnością płonących z rozkoszy nerwów.

Nayhija oblizała się i podniosła z klęczek. Jej wargi wyginał krzywy uśmiech, pomadkę miała rozmazaną. Patrzyła na niego w taki sposób, że Adama przeszedł dreszcz. Nie do końca przyjemny. Góruję nad tobą, mówiło to spojrzenie. Może i właśnie przed tobą klęczałam, ale to ty będziesz pełzał za mną na kolanach po wieczność.

Bez większego zdziwienia Adam odkrył, że tego właśnie chce.

Zapiął spodnie, ujął Nayhiję w talii i przyciągnął ku sobie, stykając jej biodra ze swoimi. Przez chwilę po prostu na nią patrzył, jak gdyby chciał odkryć jej prawdziwą tożsamość. Z tyłu jego głowy coś ćmiło i pulsowało, jakaś zapomniana prawda, lecz zaraz wszystko się rozwiało.

Wsunął jej rękę pod sukienkę, a ona oplotła go nogą. Była gotowa, jak zawsze. Pieścił ją, słysząc, jak jej oddech przyspiesza. Smakował ją, całował i wdychał jej zapach. Zapach mroźnego wiatru.

– Nie tu – mruknęła, gdy ruchy Adama zaczęły się robić coraz śmielsze. – Niedaleko jest hotel. Pojedźmy tam.

I Adam się zgodził.

W przeciwieństwie do baru, w którym się spotkali, hotel nie był podrzędną budą. Należał do rodzaju tych droższych. Pokój był utrzymany w czerwono-złotej kolorystyce, miał w sobie coś królewskiego. Na stoliku czekał na nich szampan w kubełku z lodem i dwa kieliszki. Zupełnie jak dla nowożeńców.

Rozebrali się wzajemnie niecierpliwymi, gorączkowymi ruchami, rozrzucając ubrania po podłodze. Adam podziwiał ciało Nayhiji – smukłe, alabastrowe, doskonałe – wodząc po nim czubkami palców. Od szyi, poprzez piersi, na krągłości bioder kończąc. Znów wzbierało w nim pożądanie, silne, bolesne. Pchnął ją na łóżko i powoli na nią wpełzł, całując nogi, brzuch, szyję.

Nayhija przekręciła się tak, że teraz to ona siedziała na nim. Wychyliła się do kubełka z szampanem, zanurzyła w nim rękę i wyjęła kostkę lodu. Przejechała nią po jego ustach i zaczęła niespiesznie przesuwać po torsie. To było niesamowite uczucie – chłód, który zmieniał się w ogień. Kostka lodu topniała od ciepła jego ciała, pozostawiając po sobie spływające krople i zaraz zniknęła zupełnie, bo Nayhija językiem zaczęła podążać jej śladami.

Wiedziała, co zrobić, by w jednej chwili doprowadzić go na skraj szaleńczego pożądania. Jej ciało było jak broń, którą posługiwała się bardzo umiejętnie.

Adam powtórzył gest Nayhiji i również wyłowił z wiaderka kostkę lodu. Obrysował nią jej piersi, z fascynacją przyglądając się, jak brodawki marszczą się i sztywnieją. Przejechał po brzuchu, zostawiając w pępku maleńkie jezioro i zaczął przesuwać po smukłym udzie. Nayhija patrzyła na to spod półprzymkniętych powiek, zagryzając dolną wargę, a gdy lód stopniał w jego dłoni, Adam ujął jej biodra, po czym w nią wszedł.

Kochali się ze zwierzęcą gwałtownością. Czuł, że jej paznokcie drapią jego plecy, widział, jak jej ciało pręży się pod nim. Poruszali się w zgodnym rytmie, dziko, zapamiętale, sterowani ślepym podnieceniem. Pieprzyli się, po prostu. W tym, co robili, nie było krzty miłości, tylko prymitywne, pierwotne pragnienie, siła, która zmiatała wszystko inne w kąt.

Patrzył na jej wykrzywioną rozkoszą twarz, gdy dochodził, a skończył nie w niej, lecz na

niej. Tak jak chciała. Robił wszystko, czego sobie życzyła. Był jej niewolnikiem. Niewolnikiem pożądania. A cała reszta… ona już się nie liczyła.

Ile to wszystko trwało? Godziny? Miesiące? Lata? Nie wiedział. Stracił rachubę, zagubił się w tym. Zagubił się w niej.

– A teraz w drugą dziurkę – zażądała Nayhija, wypinając pupę. – Chyba że jesteś zmęczony – dodała, zerkając na niego przez ramię.

O nie, Adam nie był zmęczony w żadnym razie.

Przy Nayhiji zmęczenie nie istniało.

Rozchylił jej pośladki i wbił się w nią, pewnie i mocno. Nayhija jęknęła. Adam zaczął się w niej poruszać, podczas gdy ona potęgowała swoje doznania, pieszcząc się ręką. W tym, co robiła, była nieskrępowana, lubieżna i śmiała. To chyba kręciło go najbardziej.

Doszedł w niej, myśląc, że taka kobieta trafia się raz na milion. Była odpowiedzią na każde jego pragnienie. Ona była jego pragnieniem. Jedynym. Jego chorobą i jego lekarstwem.

Z tą myślą zaczął pogrążać się we śnie, jedną ręką obejmując Nayhiję. Jej skóra była gładka, wciąż rozgrzana. Dotykanie jej było rozkoszą samą w sobie, było bluźnierczą ekstazą.

Nagle Nayhija przekręciła się na drugi bok, zwracając się do niego twarzą, a on zobaczył, że…

Adam obudził się z krzykiem, raptownie prostując się na łóżku. Przez chwilę był tak ogłupiały, że nie bardzo wiedział, gdzie jest i co się właściwie stało. Ale zaraz zrozumiał.

Sen. To był tylko sen.

A on był w swojej sypialni, nie w hotelu. Sam, bez Nayhiji.

Zaczął odtwarzać w pamięci wydarzenia minionej nocy. Aresztowanie Lindy, wybite okno, karteczka z adresem, bar… Tylko to pierwsze wydarzenie było prawdziwe, cała reszta stanowiła element snu, dzięki Bogu. Wszystko, odkąd położył się do łóżka, było elementem snu, ponieważ jednak zasnął. Zasnął, rozmyślając o Lindzie, o tym, co się z nią działo. O tym, co przed nim zatajała.

Zerknął na szafkę nocną i poczuł, że jego kręgosłup skuwa się lodem, a krew w żyłach zastyga. Przez jedną zawieszoną w czasie sekundę wydawało mu się, że karteczka z adresem naprawdę tam leży. Jednak nie, to był tylko prostokąt światła. Adam przetarł oczy i spojrzał ponownie. Tak, w istocie to było tylko światło.

Twoja żona ma tajemnicę.

Opuścił stopy na ziemię i na uginających się nogach zszedł do kuchni. Zaparzył sobie mocną kawę i zapatrzył się w okno. Było nietknięte, tak jak się spodziewał – na jawie nikt go nie wybił. Tyle że na skraju podwórka mignął mu zarys ciemnego futerka. Kot. Ten sam czarny kot, którego widział w swoim gabinecie. Mógłby przysiąc, że przez chwilę ten cholerny kot wyglądał, jakby… się uśmiechał.

Linda, pomyślał, kurczowo zaciskając palce na kubku. Co tu się dzieje, w co ty nas wplątałaś?

22.

Linda zbudziła się i odkryła, że jest w celi w cholernym areszcie. To nie był sen ani żadne zwidy. Wąskie niewygodne łóżko i kraty były tak samo realne jak ból głowy. Miała morderczego kaca. Spiła się i… Zaraz, dlaczego właściwie tak strasznie się spiła?

Ponieważ wreszcie zrozumiałaś, z czym igrasz. I zrozumiałaś też, że Fundacja Ostatniej Szansy jest w istocie twoją zgubą.

Pamiętała wszystko jak przez mgłę. Obrazy… były jakieś obrazy. Niespokojne, niebezpieczne… straszne. Nasilały się w miarę, jak pociągała kolejne łyki z butelki, a ona – skończona idiotka, kompletna kretynka! – niestrudzenie piła dalej, licząc, że odejdą, przepadną tak jak jej szansa na wyzdrowienie.

Ale nie przepadły.

Linda dostrzegła potwornie klarowną prawdę. Zobaczyła przyszłość. Tak, to było to. W jakiś sposób zyskała dostęp do przyszłych wydarzeń, widziała je tak, jak widzi się swoje odbicie w lustrze. A potem…

(zrobiłaś dokładnie to, czego chciała)

wszystko było zamazane.

– Czy ufasz swojemu mężowi? – wymamrotała i równocześnie przeszedł ją dreszcz. Ten napis. Czerwony jak krew. Bliski jak śmierć. Nieodwołalny jak rak płuc.

Od tego pierdolonego napisu się zaczęło.

A potem… Potem, olśniona nagłym przebłyskiem, spróbowała anulować kontrakt, tak to nazwijmy, i wszystko posypało się już dokumentnie.

„O kim myśli, gdy się z tobą kocha? Czyje imię ma na ustach, gdy śni?”

W głowie coś łupało jej w jednostajnym, mdlącym tempie. Wizje powracały koszmarnymi strzępkami. Wszystkie przedstawiały to samo – Adama i Nayhiję. Razem. W łóżku. W ich domu. W hotelu. Na ulicy. Wszędzie. Słyszała ich oddechy, ich sapanie, ich krzyki. Słyszała, jak między jednym pieprzeniem a drugim Adam mówił, że Linda była tylko głupią dziwką, jego największą pomyłką, co Nayhija kwitowała śmiechem. *Dopiero przy tobie zrozumiałem, czym jest szczęście*, mówił, gładząc jej ramię, a ona zamykała mu usta swoimi. Linda widziała, jak się całowali, gorączkowo, namiętnie, jak pili szampana, kąpali się w nim. A potem szampan zmieniał się w krew. Jej krew. To była jej krew!

Krew, którą przypieczętowałaś kontrakt. Miauu!

Linda pochyliła się, obejmując bolącą głowę rękoma i jakiś czas siedziała tak, pojękując cicho. To wszystko nieprawda, starała się przekonać samą siebie, to tylko urojenia. Nikt nie może zobaczyć przyszłości i ja również jej nie widziałam. To były urojenia, nic więcej.

Owszem, człowiek nie może dojrzeć przyszłości. Ale ten, kto człowiekiem nie jest… już tak. Taki ktoś może zobaczyć wiele rzeczy. Wszystko zależy od tego, w jakim świetle ci je potem ukaże.

Usłyszała kroki z głębi korytarza i wyprostowała się, niespokojnie zerkając w tamtą stronę. Po chwili zobaczyła funkcjonariusza, szedł raźnym krokiem, pobrzękując pękiem kluczy. Wyglądał młodo, właściwie jak chłopaczek, pewnie był dopiero co po szkole policyjnej. Przywołał ją gestem, toteż Linda wstała z pryczy i podeszła do krat. Miała nadzieję, że Adam wpłacił kaucję i młody przyszedł, żeby ją wypuścić, a nie, dajmy na to, gdzieś przenieść.

– Witam – powiedział. – Wszystko w porządku?

– Tak – odrzekła Linda ostrożnie. – Tylko trochę boli mnie głowa.

Policjant się pochylił. Jeden z prętów celi rzucał cień na jego twarz, przypominając

osobliwy pionowy tatuaż. Na jego ustach zaigrał nieprzyjemny uśmieszek. Coś Lindzie przypominał. Kiedyś już widziała taki uśmieszek. Widziała go u…

– Ufasz swojemu mężowi, Lindo? – wyszeptał i równocześnie zobaczyła, jak jego oczy zmieniają barwę. Ciemnobrązowe tęczówki w jednej sekundzie błysnęły intensywną zielenią i Linda omal nie zaczęła wrzeszczeć. – Ufasz mu bezgranicznie?

– Co takiego? – spytała, cofając się.

– Mówiłem, że wpłacono kaucję, pani Hill – rzekł funkcjonariusz. Jego oczy znów były ciemnobrązowe. I nie uśmiechał się już w ten nieprzyjemnie znajomy sposób. Twarz miał pozbawioną wyrazu, spojrzenie obojętne. – Wychodzi pani z aresztu.

– Och – tylko tyle Linda była w stanie wydusić.

Omamy. Miała omamy. Zły znak. To przez raka? Możliwe. Ale to mogła być

(jej sztuczka)

ingerencja jakiejś… siły. Ewentualnie skutek picia. Tak, to mogło być to. Nie dość, że miała kaca, to jeszcze dopadły ją zwidy. Właściwie to tamten napis na ścianie garażu również mógł nimi być – wywołanymi alkoholem przywidzeniami, urojeniami czy jakkolwiek to zwać. W gruncie rzeczy na pewno tym właśnie był, tak jak cała reszta. Na czele z Nayhiją Marą materializującą się na środku jej kuchni.

Linda gorąco pragnęła przekonać siebie, że tak właśnie jest.

Problem w tym, że w głębi serca wcale w to nie wierzyła.

Ponieważ znikającego domu nie mogła ochrzcić mianem „zwidów". To, co jednego dnia jest, a drugiego już nie, to nie przywidzenia. Jedynym adekwatnym słowem, jakie cisnęło się jej na myśl, było „czary". A jeżeli nie przekonywała jej sztuczka z domem, to ta z nożem zmienionym w kuchenną rękawicę też na pewno nie. Czary, mili państwo, to były czary. Tyle że to brzmiało jak cholerna niedorzeczność. Idiotyzm.

Więc wolisz obłęd?

Zamek szczęknął i kraty stanęły otworem. Linda wyszła z celi, starając się nawet nie musnąć policjanta, jak gdyby przekonana, że mogłoby to zainfekować ją szaleństwem czy przedwczesną śmiercią, i podążyła za nim długim korytarzem, którym wleczono ją poprzedniej nocy. Może to i lepiej, że tego nie pamiętała? Tak, zdecydowanie.

W dyżurce zobaczyła Adama i zalała ją fala ulgi. A także wstydu. Patrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy oraz dziwnie udręczonymi oczyma, pod którymi widniały sine kręgi. Włosy miał w nieładzie, koszulę wygniecioną – wyglądał mniej więcej tak, jak zapewne się czuł. Jezu, co ona takiego zrobiła, kiedy była zalana w trąbę? Zarzygała komuś trawnik? Rozbiła szybę w aucie? Chciała kochać się z mężem na oczach połowy miasta?

Kiedy spostrzegła, że jest tu również Mike, zrozumiała powagę sytuacji. Żaden trawnik, żadna szyba, żaden domniemany seks. Musiała odstawić niezły cyrk, skoro jej mąż ściągnął tu swojego przyjaciela detektywa. Zabiłam kogoś?, zastanowiła się przelotnie, czując, jak w jej wnętrzu rozlewa się chłód.

– Kochanie – powitał ją Adam.

– Cześć, słonko. – Mike uśmiechnął się półgębkiem i puścił do niej oko. Te swoje cholerne lustrzane okularki miał zsunięte na czoło, a coś w jego postawie sugerowało, że cały komisariat należy do niego. Samiec alfa za dychę.

Linda jakoś zdołała odwzajemnić uśmiechu, minęła niosącego plik teczek funkcjonariusza i podeszła do męża, następnie ujęła jego dłoń. Była trupio zimna, prawie tak samo jak jej własna.

Adam zacisnął palce, przekazując tym samym milczący komunikat: „Już wszystko dobrze, trzymam cię". Ale czy było dobrze? Linda szczerze w to wątpiła.

– Możecie pryskać – odezwał się Mike i wrócił do rozmowy z jednym z gliniarzy – nie tym, który przyprowadził tu Lindę, lecz starszym, z zimnymi oczami okolonymi siateczką zmarszczek i siwizną we włosach – wyglądającym na kogoś ważnego.

Adam skinął głową i zaczął prowadzić żonę do wyjścia.

– Tylko nie wyjeżdżajcie z miasta! – zawołał za nimi Mike. W jego głosie dźwięczało lekkie rozbawienie, a Linda zapałała do niego jeszcze większą antypatią niż do tej pory. Nie miało znaczenia, że jej pomagał, po prostu nie trawiła tego gościa. Nie trawiła i już. – Jutro lub pojutrze będziesz tu potrzebna, Lindo.

Linda spojrzała pytająco na Adama, a on niemal nie poruszając przy tym wargami, bąknął:

– Zeznania.

– Ale przecież ja…

– Nie teraz, kochanie.

Opowiedział jej o wydarzeniach minionej nocy, kiedy wracali do domu, a w miarę tej opowieści oczy Lindy robiły się coraz bardziej okrągłe. Czuła, że palą ją policzki, miała wrażenie, jakby cała płonęła ze wstydu. Wielki Boże, co w nią wstąpiło? Nie chciała wracać do domu, nie chciała pokazać się tym ludziom na oczy. Biegała półnaga po ulicy, wykrzykując jakieś niedorzeczności. O w życiu! I jeszcze napaść na policjanta. Wprawdzie Adam powiedział, że Mike się tym zajmie – ta wzmianka obudziła w Lindzie śladowe pokłady sympatii do jego osoby – ale i tak było kiepsko. Zeznania, pogadanka z psychologiem, może odwyk. Jakby to ujął jej uczeń, Steve Owens, ten, którego minimum raz w tygodniu odsyłała do dyrektora: „Dramat jak skurwysyn”.

– Nie można jakoś tego, ee… odkręcić? – spytała, mając wrażenie, że zaraz zwymiotuje na dywanik. Od tych wszystkich rewelacji głowa zaczęła ją boleć jeszcze bardziej, a jazda – mimo że Adam pilnował prędkości i starał się nie wykonywać zbyt gwałtownych manewrów – dodatkowo wszystko pogarszała.

– A myślisz, że po co poprosiłem o pomoc Mike’a? – Głos Adama był lodowaty. – To właśnie stara się zrobić, pomóc ci. Obaj się staramy.

Po tym wszystkim, westchnęła Linda w duchu. Bez względu na to, co zrobiła, jak go obraziła i upokorzyła, on starał się jej pomóc. Nie krzyczał, nie ubliżał, nie robił wyrzutów. Po prostu chciał jej pomóc. Spokojny jak zawsze, troskliwy jak zawsze. Mężczyzna, który pokazał jej, jak wygląda miłość.

I wtedy coś w niej pękło.

– Nie chcę umierać, rozumiesz? – załkała Linda, patrząc na niego wilgotnymi oczyma. Przetłuszczone włosy lepiły jej się do czoła, palce zaciskała na krawędzi fotela i niewiele brakowało, a paznokciami przebiłaby tapicerkę. – Boję się i nie chcę umierać – dodała i zaraz pożałowała tych słów.

Odsłoniła się. Popełniła kardynalny błąd.

Czy będzie potrafiła teraz z tego wybrnąć?

Adam patrzył na nią w taki sposób, że niemal mogła odczytać jego myśli, jego emocje. Czuł się kompletnie ogłupiały, serce mu się krajało. Nienawidził, gdy płakała. Nienawidził tej bezsilności, jaką wtedy czuł. Nie potrafił zatrzymać jej łez, nie wiedział, skąd się brały.

– O czym ty mówisz? Przecież nic ci nie jest, jesteś zdrowa. – Chwila zawahania i: – Prawda? Prawda, Linda?

– Umieram, Adam. – Linda wbiła spojrzenie w szybę. – Wszyscy umieramy. Ty, ja, każdy człowiek. Zaczynamy umierać już w chwili narodzin, to właśnie miałam na myśli.

Adam zjechał na pobocze i zgasił silnik.

– Co przede mną ukrywasz? – spytał ostro, chyba ostrzej, niż zamierzał, łapiąc ją za ramię. – Co ci jest?

– Nic. – Linda wyszarpnęła się spod jego palców. Położyła dłoń na klamce, chcąc wysiąść. Zaraz jednak zrezygnowała i jej ręka zsunęła się bezwładnie. Patrzyła na przejeżdżające ulicą samochody i pomyślała, że mkną tak, jakby należały do innego świata, takiego, w którym stojącego na poboczu mercedesa Adama wcale nie było. Jesteśmy parą duchów obserwujących z boku nasze życie lub może wracamy tu, by odtwarzać je raz za razem. Czyż to nie teoria wiecznego powrotu, czyż to nie ona nas tu trzyma? – Nic mi nie jest.

– Nie kłam!

Linda spojrzała mu prosto w oczy, wojowniczo wysuwając podbródek.

– Nic mi nie jest, dobra?! – krzyknęła, mając wrażenie, iż ten krzyk zaraz rozsadzi jej czaszkę. Przebijał ją diamentowym wiertłem, wchodząc prosto w mózg.

Ręce Adama wystrzeliły do przodu, łapiąc ją za nadgarstki.

– Czy jesteś chora, Lindo? – Twarz Adama znalazła się tak blisko jej twarzy, że Linda czuła na sobie jego oddech, suchy i gorący. – Powiedz, czy jesteś chora?

– Puść! To boli! – poskarżyła się, daremnie próbując uwolnić ręce.

– To, co mi robisz, również – powiedział Adam, wpatrując się w nią z bolesną intensywnością. – Powiedz prawdę, proszę. Powiedz, co ci jest. – Umilkł na chwilę, spoglądając gdzieś ponad jej ramieniem, jak gdyby próbował sobie o czymś przypomnieć. – Nayhija, prawda? – spytał nagle dziwnie zmienionym głosem. – To ma z nią jakiś związek.

Linda wyszczerzyła się chytrze.

– A jaki związek ona ma z tobą?

– Żadnego – odparł Adam, umykając spojrzeniem w bok.

Tu cię mam, zakrzyknęła Linda w duchu. A skoro już machasz białą flagą, pozwól, że zakończę tę farsę.

– Nie jestem na nic chora. – To kłamstwo wypłynęło z jej ust gładko i tak naturalnie, że niemal sama w nie uwierzyła. – Przez chwilę tak mi się wydawało, ale okazało się, że to był zwykły błąd, fałszywe wyniki. Rak płuc, dasz wiarę? U mnie! Rak płuc, co za niedorzeczność. To była tylko reakcja alergiczna na antybiotyk, który brałam wcześniej, pamiętasz, wtedy, gdy miałam tę paskudną grypę. Dlatego tak podle się czułam.

– Mam w to uwierzyć? – Brew Adama podjechała do góry.

A ja mam uwierzyć, że nic nie łączy cię z tą cholerną zdzirą?, mogłaby się odgryźć Linda, lecz zamiast tego brnęła dalej:

– Przez ten czas kiedy… no wiesz, myślałam, że jestem chora… Przyznaję, zdarzało mi się wypić o kilka razy za dużo. Stres, rozumiesz. – Zaśmiała się wymuszonym śmiechem. – Oczywiście, że rozumiesz, jesteś psychologiem, wspaniałym psychoterapeutą. – Kolejna salwa wymuszonego śmiechu. – I wczoraj, kiedy przyszły wyniki, cóż… postanowiłam uczcić to szklaneczką, dwoma. I przedobrzyłam, zalałam się, ale to ze szczęścia, Adam, z radości. Tyle że potem… coś mi się pochrzaniło w głowie i… I nie pamiętam. Niczego. Żadnego potem. W psychologii coś takiego na pewno ma swoją nazwę.

– Owszem, ma. Kłamstwo – rzekł Adam cierpko.

– Ja nie kłamię! – zaperzyła się Linda. – Przysięgam na Boga, mówię, jak było! Mówię prawdę! Postaw się chociaż na chwilę w mojej sytuacji! Wiesz, jak to jest, kiedy myślisz, że masz nieuleczalnego raka płuc?! Kiedy myślisz, że zostały ci góra dwa miesiące życia? Do teraz… czasem… mi się to śni, Adam. W tych snach naprawdę jestem chora, bo fałszywe wyniki są tymi prawdziwymi. Wariuję od tego. Wariuję od tego, bo sny mają taką cholernie niewiarygodną siłę!

Adam patrzył na nią pociemniałymi oczami. Nic nie mówił, po prostu patrzył. A ona nagle ujrzała go takim, jakim widziała go w dniu, gdy pierwszy raz się spotkali. Wysokiego, przystojnego, ciemnowłosego chłopaka o zasnutej skupieniem pociągłej twarzy, przenikliwym spojrzeniu i olśniewającym uśmiechu. Pamiętała, jak wiatr bawił się jego przydługimi włosami, zganiając je na prawą skroń oraz to, jak unosił mu się kącik ust, kiedy z nią rozmawiał. I smak piwa, które razem wypili. Smak ich pierwszego pocałunku. Dotyk jego palców. To ciepłe mrowienie w podbrzuszu, gdy szli ramię w ramię, a on obejmował ją w pasie. Złoty zachód słońca, który wyglądał jak przeświecające między drzewami szczęście. Zapach beztroski, przyszłości, która dopiero miała nadejść.

I zrozumiała, że go traci.

Traciła go z każdym kolejnym kłamstwem, wznosiła coraz wyższy mur, którym go od siebie odgradzała. Ale nie była w stanie wyznać prawdy. Już nie.

Może tak właśnie miało być?, zastanowiła się. Może miała umrzeć jako oszustka, kłamliwa pijaczka, tylko po to, żeby jemu było… łatwiej. Żeby w jego pamięci zapisała się przez pryzmat tych ostatnich wydarzeń, by te przysłoniły całe dobro. Wtedy, kiedy już jej nie będzie, Adam nie pogrąży się w ślepej rozpaczy. Raczej trudno spodziewać się, że zapłacze po kimś, kto go okłamywał. Perfidnie i z premedytacją. Gniew powinien przesłonić żałobę, przynajmniej na jakiś czas.

Poza tym zawsze pozostawała jeszcze ona. Nayhija.

Ona nie przyniesie mu nic dobrego. Tyle powinnaś już wiedzieć.

– Jeszcze jedna taka akcja i idziesz na odwyk. – Głos męża wyrwał ją z zamyślenia. – Rozumiemy się?

Linda skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu.

– Nie będę już piła, obiecuję. Nie w taki sposób.

– Może lepiej już w żaden? – zasugerował ostrożnie.

Zmrużyła oczy i posłała mu wrogie spojrzenie.

– Nie zachowuj się tak, jakbym faktycznie była pijaczką – wycedziła. – A teraz jedźmy już, proszę. Muszę wziąć prysznic, cuchnę więzieniem.

23.

Adam uruchomił wóz i wjechał z powrotem na szosę. Jednak kierunek, który obrał, nie wiódł do domu. Linda w milczeniu patrzyła, jak zostawia miasto i zjeżdża najpierw na obwodnicę, a potem odbija w prawo i dalej, na drogę, którą jej ojciec nazywał Traktem. Domyśliła się, dokąd ją wiezie. Razem z tą wiedzą do jej wnętrza zaczęło przesączać się ciepło. A zaraz za nim pojawiło się nieprzyjemne kłucie.

Mercedes wjechał na polanę, szorując zderzakiem o wysoką trawę. Jakieś dziesięć, dwanaście metrów dalej znajdował się zrobiony z sękatych desek stół, mający po obu stronach długie ławy. Siadywali na nich czasem, rozmawiając, jedząc, śmiejąc się. Kiedy byli tu ostatni raz? Linda miała wrażenie, że bardzo dawno temu. W jakimś innym życiu.

– Poznajesz? – spytał Adam, gasząc silnik.

Pokiwała głową.

– Panorama – mruknęła. Oni tak nazywali to miejsce, a właściwie to Linda mówiła, Adam po prostu przejął to od niej. W rzeczywistości nazywało się Przy Sosnach, ale Linda uważała, że to kretynizm. Chodziło tu o widok, który rozciągał się ze wzgórza, a nie o cholerne iglaki. Panorama pasowała więc idealnie.

Adam otworzył drzwi i wysiadł. Linda spojrzała na niego pytająco, po czym zrobiła to samo. Świeże powietrze owiało jej twarz, panująca wokoło cisza redukowała ból głowy do ćmienia. To było dobre miejsce, przywoływało miłe wspomnienia.

Adam okrążył samochód i otworzył bagażnik. Przez jedną szaloną chwilę Linda była przeświadczona, iż zaraz wyciągnie stamtąd związaną Nayhiję i na oczach żony dokona rytualnego mordu, by dobitnie zademonstrować, że nic go z nią nie łączy, i omal nie wybuchnęła wariackim chichotem.

Jednak nie, nic z tych rzeczy.

Adam wyciągnął z bagażnika koc i papierową torbę, a po plamach tłuszczu na jej brzegach Linda domyśliła się zawartości.

– Na pewno jesteś głodna. – Uniósł rękę z paczką. – Tłuste jedzenie jest dobre na kaca. Przynajmniej tak mówią.

Linda zniosła tę uwagę z godnością.

– Chce mi się pić – bąknęła.

– Może być woda? Czy potrzebujesz klina? – Wargi Adama rozchyliły się w grymasie, który chyba miał być uśmiechem. Wrednym.

W porządku, należało jej się.

– Może być woda – wycedziła, z klinicznym zainteresowaniem wpatrując się w korony drzew po drugiej stronie drogi. Jak dla niej mógłby doprawić ją cykutą. Może nawet tak byłoby bardziej humanitarnie.

Adam postawił na ziemi torbę z jedzeniem. Następnie rozesłał koc, przykrywając nim trawę, i poklepał go, tym samym zapraszając żonę. Przypomniał sobie o wodzie i wrócił do samochodu. Zatrzasnął bagażnik, wziął butelkę z tylnego siedzenia i przytruchtał z powrotem.

Linda usiadła na kocu, krzyżując nogi w kolanach. Wzięła od męża butelkę, pociągnęła parę długich łyków, zakręciła i niedbale odłożyła na koc. Zajrzała do papierowego opakowania, przekonując się, że są w nim hamburgery. Jej żołądek zareagował na zapach, wydając z siebie głuche *bluurb*. Wyciągnęła jednego, odwinęła z papierka i odgryzła kęs.

– Dobry? – zainteresował się Adam.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– A ty nie jesz?

– Jem. – Adam wyłowił drugiego hamburgera i zatopił w nim zęby. Sądząc po jego minie, nie miał specjalnej ochoty na jedzenie. Linda wcale mu się nie dziwiła.

W tle śpiewały ptaki, dźwięk przejeżdżających w dole samochodów był ledwie szeptem. Wyprane słońcem chmury sunęły po błękitnym niebie, drzewa i łąki kąpały się w złotym świetle. A oni siedzieli tu, pośród tego zacisza, otoczeni naturą, skryci przed gawiedzią. Prawie jak romantyczny wypad dwójki licealistów, skwitowała w duchu Linda. Szkoda tylko, że ona miała poważniejsze problemy niż zawalony test z algebry.

Adam w zamyśleniu popatrzył na butelkę wody. Zaczął okręcać ją między swoimi rozstawionymi nogami.

– Dlaczego ludzie piją? – spytał.

Wiedziała, co miał na myśli, ale postanowiła rżnąć głupa.

– Bo inaczej by umarli.

Zaśmiał się ponuro.

– Miałem na myśli alkohol.

Linda wciągnęła powietrze z sykiem i wolno je wypuściła. Rozumiała, co Adam tu robił. Wprowadzał w życie swoje zmyślne psychologiczne sztuczki. Na pewno, po jej trupie. *Nic z tego, kochanie, jestem z tobą wystarczająco długo, by przejrzeć te chwyty. Nie jestem jednym z twoich pacjentów, nie mam kaszy zamiast mózgu. Tylko, do kurwy nędzy, umieram na raka, i jakoś tak się niefortunnie złożyło, że podpisałam kontrakt z samym diabłem. Więc jeżeli wydaje ci się, że wyciągniesz ze mnie cokolwiek, to jesteś w błędzie. I tak już powiedziałam zbyt wiele. Nie usłyszysz ode mnie niczego więcej.*

Zamiast więc mówić, odgryzła kolejny kęs hamburgera i zaczęła go przeżuwać. Ile razy trzeba to zrobić przed połknięciem, aby nie męczyć żołądka? Sto? W porządku, ona dociągnie do tysiąca.

– Linda? – Adam dotknął jej ramienia.

Uraczyła go chłodnym spojrzeniem.

– „Zabiłeś mnie”, często to powtarzasz – kontynuował, niezrażony jej milczeniem. – Dlaczego?

Linda omal nie zadławiła się kęsem, który właśnie przełykała. Nagle zrobiło się jej zimno, jak gdyby ktoś wlał jej do serca lodowatą wodę.

– Bo… – zaczęła z ociąganiem. – Bo… Och, dajmy temu spokój, na litość boską! –Ścisnęła w ręce niedojedzonego hamburgera. Sos wyciekł jej na dłoń, parę plam przyozdobiło koc. – Jestem zmęczona, rozdrażniona i chciałabym wreszcie wziąć prysznic, a tobie się zebrało na grę w dwadzieścia pytań.

Adam był jednak nieustępliwy.

– Chciałbym, żebyś była ze mną szczera, tak jak ja jestem z tobą. – Jego łagodny głos działał jej na nerwy i wzbudzał poczucie winy jednocześnie. Potworne połączenie. – Zgoda?

– Jestem z tobą stuprocentowo szczera – odpowiedziała stuprocentowo kłamliwie.

Adam ujął w dłonie jej rękę, tę, w której akurat nie ściskała żałosnych resztek hamburgera.

– Kocham cię i bardzo się o ciebie martwię – powiedział, a ona poczuła, jak ten lód, który wlał się do jej serca, rozprzestrzenia się na inne narządy. Wszystko w niej krzyczało z rozpaczy, topiła się we własnych kłamstwach. – Przyznaję, byłem zły, że tak się spiłaś, ale już nie jestem. Naprawdę nie jestem. Dlatego jeżeli jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć, a nie robisz tego, bo boisz się mojej reakcji, to wiedz, że nie powinnaś. Możesz powiedzieć mi nawet najgorszą

prawdę, skarbie. Słyszysz?

Zgodnie z klauzulą poufności wtajemniczanie osób trzecich w treść kontraktu jest zabronione. Z tego tytułu kontrakt nie zostanie automatycznie zerwany, jednakże obowiązują kary umowne.

Linda zmusiła się do uśmiechu.

– Wzruszające. – Cmoknęła go w kącik ust. – Ale ja już ci wszystko powiedziałam. Schlałam się jak głupia małolata, bo świętowałam własne ozdrowienie. A że zawsze miałam słabą głowę, to skończyło się tak, jak się skończyło. Przepraszam, to już się nie powtórzy – zapewniła. Sięgnęła do torby, wyjmując z niej plik serwetek i zaczęła metodycznie czyścić ręce.

Adam dłuższą chwilę mierzył ją spojrzeniem. Miał w oczach coś takiego… Przekręcił się lekko na bok i wyciągnął z kieszeni spodni portfel. Pogrzebał w nim chwilę, przerzucając wizytówki, karty płatnicze i jakieś świstki. Wreszcie wydobył złożoną na czworo kartkę papieru, rozprostował z namaszczeniem i podetknął Lindzie pod nos.

– Pamiętasz? – spytał.

Pismo na kartce w niektórych miejscach było już prawie niewidoczne, a sam papier mocno podniszczony, zwłaszcza na załamaniach. Musiała być składana i rozkładana wielokrotnie. Mimo to Linda rozpoznała ją bez trudu. Rozpoznała swoje pismo.

– Nie wiedziałam, że wciąż go masz – powiedziała. Głos jej lekko drżał, w gardle czuła dławiącą gulę.

List. List, który napisała do niego dawno temu. Był dołączony do prezentu gwiazdkowego, bo tamte święta spędzali osobno i obojgu było z tego powodu przykro. W ogóle paskudnie się przez to pokłócili, to był dla nich dość burzliwy okres. W nocy przed wysłaniem prezentu, wtedy jeszcze swojemu chłopakowi, Linda, natchniona przebłyskiem składającej się z miłości weny, zasiadła do pisania. A Adam, teraz już jej mąż, wciąż miał ten list. Nosił go ze sobą przez cały ten czas. Niewiarygodne.

– To mój talizman. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem. Ale pod tym uśmiechem kryło się coś jeszcze. Troska. I smutek. – Wiedziałaś?

Linda powoli pokręciła głową.

– Nie, jakoś nie wspomniałeś.

Adam odebrał od niej kartkę, przebiegł wzrokiem po zatartych czasem słowach, złożył ją dwoma ceremonialnymi ruchami i na powrót schował do portfela.

– Gdybyś kiedyś zwątpiła… – Przyciągnął żonę i pocałował ją w skroń. – To pamiętaj, że zajmujesz u mnie szczególne miejsce. Tuż obok karty American Express.

Linda popatrzyła na niego, na tę wytężoną powagę na jego twarzy… i wybuchnęła śmiechem.

– Adam! – Trąciła go w bark zwiniętą w pięść dłonią.

Rozmasował miejsce, w które go uderzyła, krzywiąc się teatralnie, jak gdyby co najmniej zafundowała mu otwarte złamanie. A ona poczuła, że wzbiera w niej miłość. Jakąś częścią siebie zapragnęła wyznać mu całą prawdę… i zaraz na nowo się wściekła. Przecież to był dalszy ciąg jego psychologicznej gierki! Próbował ją zmiękczyć jak cholerny sweter, zalewając czułością i nostalgią, a w głębi siebie pewnie marzył o rżnięciu z Nayhiją Nie Możesz Anulować Kontraktu Marą. To przyzwoitość kazała mu do końca wcielać się w rolę przejętego męża? A może po prostu chciał się upewnić, czy jego wkrótce była żona rzeczywiście raczy wykorkować przed nadejściem jesieni. Takie było drugie dno wszystkich tych pytań. O mały włos, a by się nabrała. Kurwa!

– Cieszę się, że znów słyszę twój śmiech. – Adam mocniej objął ją ramieniem. – Nawet nie…

Linda wyszarpnęła się z jego objęć.

– Do domu – wysyczała, podnosząc się z koca. – Chcę jechać do domu!

Adam spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem. Zrobiłem coś nie tak?, zdawały się pytać jego oczy.

– Kochanie, nie chciałem cię…

– Do domu – powtórzyła z uporem i zacisnęła usta, aż została z nich przypominająca bliznę kreska.

24.

Adam nie kupił tej smętnej gadki żony i może gdyby nie wzmianka o snach, która zadziałała na niego jak zastrzyk z nowokainy, przycisnąłby ją bardziej i siłą wyciągnął prawdę. Jednak stało się inaczej.

„Sny mają taką cholernie niewiarygodną siłę!”

Tak, Adam coś o tym wiedział.

Ponieważ właśnie przez nie miał wrażenie, jakby regularnie zdradzał żonę.

I to właśnie przez cholerne sny wyskoczył z tym głupkowatym: „Czy jesteś chora?”. Jezu, za takie toporne odzywki powinien się z miejsca skazać na zawodowy ostracyzm. Na szczęście miał na podorędziu plan awaryjny. Tylko szkoda, że nie wypalił. Właściwie wyszło gorzej niż fatalnie.

Adam westchnął i przejechał rękoma po twarzy.

To, co czuł, kiedy rozmawiali, nie było gniewem, w każdym razie nie tylko. Koktajl strachu i wyrzutów sumienia – to właśnie płynęło mu w żyłach. To go hamowało, powstrzymywało od podjęcia radykalnych kroków, przekręcenia potencjometru do oporu. Tak jak Linda uciekała w picie, tak on uciekał w błogą niewiedzę. Taplał się w domysłach, obracał w głowie różnorakie hipotezy, jednak nie podejmował działań.

Ale koniec z tym.

Nabrał graniczącej z przekonaniem pewności, że Linda jest chora. Poważnie chora. Historyjka o raku płuc i błędnych wynikach badań była wyssana z palca, skonstruowana naprędce, by zamydlić mu oczy i zamaskować prawdę. Choć nie można wykluczyć, że zawierała jakieś elementy zbieżne z rzeczywistością, taki zabieg był bardzo częsty. Pod wpływem emocji Lindzie wymsknęło się o tych parę słów za dużo i to była jej, jak zapewne uważała, całkiem skuteczna zasłona dymna.

Jednak nieprawda.

Dzięki temu, co powiedziała, wszystkie te pozornie bezsensowne rzeczy, które wykrzykiwała do tej pory, ułożyły się w całość. Bardzo niepokojącą całość.

Adam dyskretnie sprawdził komórkę żony i niczego nie znalazł. Zresztą w jej laptopie, który przejrzał zaraz potem, też nie. Sprawdził nawet swój komputer – z tym samym rezultatem. A więc pozostawało tylko jedno, ostatnia możliwość. Jeżeli i teraz nic nie znajdzie, będzie musiał urządzić Lindzie iście gestapowskie przesłuchanie. I tym razem nic go nie powstrzyma, nawet jeśli okaże się, że dysponuje pozaziemską technologią i jest w stanie oglądać jego sny jak filmy na DVD. Nie ma mowy, nie wycofa się.

Na okazję nie musiał długo czekać. Właściwie należało powiedzieć, iż wszystko ukartował. Mike użył swoich wpływów, by możliwie najskuteczniej wyciszyć sprawę, jednak nie był prokuratorem okręgowym ani Bogiem. Mniejsze czy większe – Mike pracował nad tym, by były raczej mniejsze – pewne konsekwencje z wybryków Lindy musiały zostać wyciągnięte. W zaistniałych okolicznościach Adamowi było to na rękę.

Odwiózł Lindę na komisariat, gdzie, ku jego uciesze, już czekał Mike. Rzucił mu dyskretne: „Przeciągaj to”, zaś Lindzie powiedział, że będzie czekał na nią za drzwiami… i czym prędzej wrócił do domu. Zdaje się, że złamał po drodze jeden czy dwa przepisy ruchu drogowego, ale nic go to nie obchodziło. Nikt go nie zatrzymał, nie było problemu.

Przeszukanie zaczął od miejsc najbardziej oczywistych: garaż, spiżarnia, pralnia. Skutek był taki, jakiego się można było spodziewać – żaden. Co rusz nerwowo spoglądając na zegarek,

Adam z niesłabnącą determinacją przeczesywał kolejne pomieszczenia, nie do końca wiedząc, czego tak naprawdę szuka. Wreszcie zostało mu ostatnie: ich sypialnia. Jakoś tak nie spodziewał się, że znajdzie tu coś prócz bielizny, zestawu walizek i szafy pełnej ubrań. A mimo to szukał. Czegoś.

Wiesz czego. Dobrze wiesz.

Czas uciekał mu przez palce i Adam zdawał sobie sprawę, że raczej nie starczy mu go na ponowne przeszukanie. Czując jakiś bliżej niesprecyzowany impuls, podszedł do komody, tej, do której właściwie nigdy nie zaglądał. Zaczął po kolei wyciągać z niej szuflady i wysypywać ich zawartość na podłogę. To były głównie bibeloty Lindy – zepsute łańcuszki, pocztówki od uczniów, pożółkłe koperty, zdjęcia do kolażu, którego nigdy nie skończyła. Jednak znalazło się tu również sporo papierów. Adam opadł na kolana i zaczął gorączkowo w nich grzebać.

Odrzucał kolejne kartki – dawno zapomniane notatki nabazgrane na tyle widokówek, listy zakupów czy zawieruszone prace semestralne – aż wreszcie jego wzrok padł na dużą brązową kopertę. Nie zauważył jej od razu, gdyż przywarł do niej ozdobny papier. Jego skrawki walały się praktycznie wszędzie, zmieniając dywan w kwiecistą rafę uśmiechniętych misiów.

Jeszcze zanim ją otworzył, jego kręgosłup zmienił się w lód. W prawym dolnym rogu koperty widniało logo szpitala Mercy – tak absurdalnie ostre, w złocistym blasku sączącym się przez okno wyglądało jak jakiś cholerny żart. Nie to jednak zalało Adama niemą trwogą, a nazwisko, jakie widniało poniżej. Powell. Brandon o Słodki Jezusie Powell. Onkolog.

Trzęsącą się ręką Adam wyciągnął z koperty niewielki plik dokumentów oraz zdjęcie rentgenowskie. Uniósł je, ustawiając pod światło, i w zasadzie nie musiał nawet czytać epikryzy. Wiedział, co jej jest. Raka płuc potrafił rozpoznać bez większego problemu. Zwłaszcza takiego raka.

Patrzył na zdjęcie dłuższą chwilę, mrużąc oczy, oglądając je pod każdym kątem, jakby spodziewał się znaleźć taki, który pokaże płuca Lindy bez guza. Nadaremnie.

Dziwne, że jeszcze nie ma żadnych objawów, prawda? Bo dobrze wiesz, że powinna. Teraz już powinna. Spójrz na datę tego prześwietlenia. Widzisz? Widzisz, ile czasu upłynęło?

Wstał i podszedł do okna. Szarpnął za uchwyt, otworzył je na oścież i pozwolił, by wiatr owionął mu twarz. Czuł, że się dusi, jego płuca zdawały się napełniać rtęcią, a on tonął, zalewany przez żal, rozpacz i tak dojmujący rodzaj bólu, jakiego wcześniej nie znał… jakiego nie życzyłby nikomu, ale to nikomu. Jego żona, jego piękna żona umierała. To niemożliwe. To nie mogła być prawda.

To jest prawda, Adam. Ona umiera.

– Nie – powiedział głucho, z przerażeniem obserwując, jak świat przed jego oczyma czernieje na podobieństwo płuc Lindy. – Nie, to nieprawda.

Gdy odzyskał ostrość widzenia, wrócił do sterty papierów, schwycił epikryzę z Mercy i zaczął metodycznie studiować jeden dokument za drugim. O pomyłce nie było mowy, Linda naprawdę była śmiertelnie chora. I nie wspomniała mu o tym słowem, wszystko zataiła. To dlatego zalewała się na umór, dlatego zachowywała się, jakby była o krok od szaleństwa. Wolała to piekło – samotne zadręczanie się i demony zrodzone przez własną głowę – niż jego wsparcie. Na dobre i złe, w zdrowiu i w chorobie – to sobie ślubowali. A ona postanowiła wykreślić tę linijkę. Wolała towarzystwo butelki niż szczerość wobec własnego męża.

Ale czy był na nią zły? Naprawdę zły?

Nie. Wcale nie. Przeciwnie, jego żona mogłaby mieć nie jedną, nie dwie, a cały tuzin tajemnic, byle tylko nie umierała. Wszystko, tylko nie to. Boże, proszę, wszystko, tylko nie to.

Może znalazłbyś jakiś sposób, żeby jej pomóc, gdyby z tym do ciebie przyszła, nie uważasz? Nie wydaje ci się, że to, co zrobiła, to jakaś nowatorska forma samobójstwa?

Zabójstwa zresztą też. Swoim milczeniem Linda zabiła siebie. Zabiła was.

Oczy Adama rozszerzyły się nagle, puste i dziwnie martwe. Zadarł głowę i wrzasnął:

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?!

Odpowiedziało mu krakanie spłoszonego ptaka. Było ostre, rozcinało inne głosy jak brzytwa. Nagle silniejszy podmuch wiatru zatrzasnął okno, które uderzyło o ościeżnicę z donośnym hukiem.

Adam podskoczył na ten dźwięk. Na oślep schwycił pierwszą lepszą kartkę i podarł ją. Za chwilę to samo zrobił z następną. I jeszcze jedną.

Następnie osunął się na kolana i zaczął płakać.

25.

Nayhija stała w progu i obserwowała Adama. Jednak on nie zobaczyłby jej, nawet gdyby się teraz odwrócił.

Nie, na tym poziomie to nie było możliwe.

Poczerniałe do drugiego stawu palce miała kurczowo wczepione w futrynę drzwi, spojrzenie nieruchome. Patrzyła, jak jego ciałem wstrząsa szloch, jak drze i rozrzuca papiery w bezsilnej złości. Płakał niczym mały chłopiec z imieniem żony na ustach i sercem w kawałkach. Było rozdarte na podobieństwo tych nieszczęsnych kartek.

Nie wierzył w to, co przeczytał i zobaczył na zdjęciu rentgenowskim, a jednak była to prawda. Jego ukochana żona umierała. Mimo swoich koneksji, wiedzy i pieniędzy, nie mógł nic zrobić, nie mógł temu zaradzić. Nayhija słyszała jego myśli. Były jak skowyt, bolały.

Jej długie paznokcie wbiły się jeszcze głębiej w miękkie drewno i przeszorowały po nim z upiornym zgrzytem… nie pozostawiając najmniejszego znaku.

Ten mężczyzna kochał tak, jak wydawało się jej, że potrafiła kochać tylko ona. Tak jak kochała dziewczyna, którą była dawno temu – szaleńczo, rozpaczliwie, samobójczo. I tak, jak kochałaby, gdyby jej miłość miała szansę przerodzić się w dojrzałe uczucie. Dopiero teraz zobaczyła całe spektrum emocji, z jakich się składało, pojęła jego głębię.

I właśnie teraz ona będzie musiała wykorzystać tę miłość, obrócić ją przeciwko niej samej, żeby ją zniszczyć. Wiedziała, jak to zrobić. Wiedziała bardzo dobrze.

Po jej policzku spłynęła samotna łza.

Ta łza miała kolor szkarłatu.

Część trzecia

Mroźny wiatr zmienia kierunek

Kiedy przysięga, iż z prawdy jest cała,

Wierzę jej chętnie, choć wiem, że kłamie. […]

Wierzę z uśmiechem kłamstwom jej języka

I oto prawdę kryjemy oboje.

William Szekspir „Sonet 138”

1.

Linda siedziała w pokoju przesłuchań, czując się jak wymięta ścierka. Była zmęczona tymi niekończącymi się pytaniami i próbami zrobienia z niej wariatki. Okay, sama sobie była winna, ale mimo wszystko to było cholernie parszywe doświadczenie. Gdyby nie Mike, nie wiadomo, jak by się skończyło. Pewnie w którymś momencie wyznałaby swoją szaloną prawdę, umęczona krzyżowym ogniem tych nonsensownych spekulacji. Co takiego? Cierpi pani na nieuleczalną chorobę i podpisała kontrakt z jakąś szemraną fundacją, która prawdopodobnie należy do samego Szatana? I czasem siadają pani nerwy, bo podejrzewa pani, że mąż ma romans, a od jego wierności zależy pani zdrowie i życie? Tak, rozumiemy, pani Hill, oczywiście, że rozumiemy. A teraz, czy zechce pani pojechać z nami w pewne miłe miejsce? Nie, ubranie na zmianę nie będzie potrzebne, dadzą tam pani modny kaftan.

Jeden z gliniarzy był całkiem w porządku, jednak ten drugi – rzekomo trzasnęła go w głowę butelką whisky – nie pałał do niej sympatią. Z jednej strony było to najzupełniej zrozumiałe, tyle że Linda czuła, że facet ma z nią jakiś głębszy problem. To przez Mike'a, domyśliła się nagle. Ponieważ to z jego powodu Lindzie większość tych wybryków ujdzie płazem. Mike wiedział lub zrobił coś, co dawało mu przewagę nad tym smętnym gliną i jednocześnie sprawiało, że ów glina aż się w środku gotował.

Chociaż swoją drogą, jeżeli już jesteśmy przy Mike'u, to trudno nie zauważyć, iż zachowywał się trochę jak adwokat diabła. Linda nie miała pewności, czy jego rola rzeczywiście polega wyłącznie na pomocy, czy może za prawdziwy cel obrał sobie pozostawienie jej w tym ciasnym pokoju na kilka kolejnych lat.

Paranoja, och, brawo. To też spróbujesz złożyć na karb raka?

Linda poczuła, że zbliża się migrena. To przez przesłuchanie, oczywiście. Skromny drink niewątpliwie mógłby jej pomóc, ale na tę chwilę mogła o nim jedynie pomarzyć. Może wieczorem lub późno w nocy, gdy Adam będzie spał, lecz nie teraz. Teraz mogłaby co najwyżej łyknąć jakąś tabletkę.

– Pozostaje jeszcze kwestia… – zaczął jeden z policjantów, ten nieuderzony przez Lindę.

– Nie! – ostro przerwał mu Mike, wstając z krzesła. – Wszystko już sobie wyjaśniliśmy. Jeżeli coś wam nie pasuje, dzwońcie do Johnsona.

Na dźwięk tego nazwiska na twarzach policjantów odbiła się identyczna konsternacja i coś na kształt podszytego złością lęku.

– Nie ma takiej potrzeby – burknął niechętnie ten pierwszy.

Drugi zawtórował mu, kiwając głową, nagle ogromnie zainteresowany własnymi paznokciami.

Mike dość oschle pożegnał funkcjonariuszy – Tima i Leonarda, tak się chyba nazywali – i wyprowadził Lindę z pokoju przesłuchań.

– Adam na ciebie czeka – szepnął jej do ucha, przytrzymując drzwi.

Jednak korytarz był pusty.

Linda spojrzała na Mike'a ze zdziwieniem i równocześnie poczuła, jak zaczyna wibrować jej telefon. Krótkie, mocne *bzzzz*. E-mail.

Domyślasz się od kogo, czyż nie?

Zdrętwiałymi palcami wyciągnęła komórkę, omal jej nie upuszczając, i stuknęła w ikonkę maila.

Szanowna Klientko!

Termin kontraktu upływa za siedem dni, gratulujemy! Niestety, Twój mąż dowiedział się o stanie Twojego zdrowia. Przyjmij wyrazy naszego szczerego współczucia, wiemy, że chciałaś zachować to w tajemnicy. Jednocześnie przypominamy o klauzuli poufności, zgodnie z którą zabronione jest wtajemniczanie w treść kontraktu osób trzecich. Jak już wspominaliśmy, z tego tytułu kontrakt nie zostanie automatycznie zerwany, jednakże obowiązują kary umowne. Czy warto ryzykować, gdy szansa na wyzdrowienie jest tak blisko?

Pozdrawiamy i życzymy miłego dnia

Fundacja Ostatniej Szansy

– Kurwa mać – warknęła Linda, chowając telefon z powrotem do kieszeni.

Mike zmierzył ją spojrzeniem.

– Spokojnie, Adam musiał pewnie pojechać do gabinetu – rzekł bez większego przekonania. – Pilny pacjent czy coś.

– Nie miał dziś żadnego pacjenta – rzekła Linda cierpko. – Odwołał wszystkich.

– Nic się nie martw, ja cię odwiozę. – Mike wykrzesał z siebie uśmiech. – W porządku?

Wzruszyła ramionami. Akurat podwózka martwiła ją najmniej.

– W porządku.

– A może Adam szykuje dla ciebie jakąś niespodziankę? – podsunął Mike, kiedy byli już na parkingu.

Odpowiedzią Lindy było pełne zgrozy spojrzenie.

Milczała przez całą drogę do domu. Nie żeby była pogrążona w myślach, w głowie miała uporczywą pustkę, biel, jaką zapewne zobaczy, gdy Adam wreszcie zdecyduje się na numerek z Nayhiją, a rak pożre jej płuca. Ding-dong, czapa, zimny trup.

Gdy się zatrzymali, nie zapytała Mike'a, czy ma ochotę wejść do środka, a on – zupełnie jakby wyczuwał tę jej pełną napięcia gorycz – nie narzucał się. Żadnego „zamienię z Adamem parę słów", czy żartobliwego „sprawdzę, ile wam jeszcze zostało tej kokainy". Nie dziś, nie tym razem.

– Do zobaczenia – rzucił, unosząc rękę.

– Na razie. – Linda odprowadziła jego samochód obojętnym wzrokiem i wlokąc się noga za nogą, ruszyła przez podjazd.

Weszła do domu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Przeszła przez hol, właściwie nie czując ciała. Od razu uderzył ją panujący wszędzie bałagan. Wyglądało to tak, jakby ktoś się włamał i szukał szkatułki z biżuterią oraz sejfu.

Ale to nie byli włamywacze, tylko jej mąż.

I to nie na kosztownościach mu zależało.

Linda wspięła się po schodach i ruszyła prosto do sypialni, starając się nastawić psychicznie na awanturę, jaką zrobi Adam. Bo to, że ją zrobi, nie ulegało wątpliwości. Wiedziała, co znalazł.

Jednak na to, co zobaczyła, nie była przygotowana.

Chyba nie znasz go tak dobrze, jak ci się wydawało.

Adam siedział na krawędzi łóżka z twarzą schowaną w dłoniach. Trudno powiedzieć, czy ją usłyszał, czy nie – nie poruszył się. W jego pozie dostrzegła więcej, niż byłyby w stanie wyrazić słowa. Rzeczywiście, nie znała swojego męża. Chyba nigdy nie znała go *naprawdę* lub może nie sądziła, że ktoś może ją kochać tak bardzo. Ostatecznie. Całkowicie. Pomimo wszystko.

– Adam? – spytała ostrożnie, robiąc krok naprzód. – Kochanie?

– Nie powiedziałaś mi. – Jego głos był stłumiony, a mimo to słychać w nim było ból.

– Och, to. – Linda lekceważąco machnęła ręką w stronę papierów, którymi usłana była

podłoga. – To te fałszywe wyniki, mówiłam ci.

Adam opuścił ręce i powoli uniósł głowę. Oczy miał zaczerwienione, drżał mu lewy kącik ust.

– Przestań… wreszcie… kłamać. – Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

„A jeśli już kłamiesz, rób to do samego końca", powiedział kiedyś ojciec Lindy. „Złapią cię za rękę? Udawaj, że to nie twoja ręka. Jeżeli zdecydujesz się na kłamstwo, trwaj w nim, choćby się waliło. Bóg nie lubi tchórzy, Linnie. Tych, którzy nie potrafią wytrzymać na raz obranej ścieżce, również. W życiu chodzi o podejmowanie decyzji, o mniej lub bardziej trafne wybory. I o to, by potrafić udźwignąć ich konsekwencje".

– Nie kłamię! – zaperzyła się.

Tylko to jej pozostało – kłamanie lub opowieść o znikających domach i kontraktach podpisywanych własną krwią. Jeżeli istniała możliwość, że Fundacja Ostatniej Szansy ją wyleczy – Linda gorąco wierzyła, że takowa istnieje – nie mogła nagle wywiesić białej flagi. No i kary umowne. Nie miała ochoty przekonać się, na czym dokładnie miałyby polegać. Za nic. Widziała już dość, by rozumieć, że to nie żarty. Poza tym ta cała Nayhija Mara. Co mogłoby się stać, gdyby Linda złamała któryś paragraf kontraktu? Jakaś krzywda, wypadek Adama, powiedzmy, wskutek którego zostaje on inwalidą? To pewnie jedna z bardziej optymistycznych ewentualności.

Adam skwitował to suchym prychnięciem.

– Daruj sobie. Widziałem rentgen. Wiem, jak wygląda nowotwór.

Nagle Linda poczuła, jak wybucha w niej furia. Miała swoje źródło w bezsilności, poczuciu winy, wstydzie. I strachu, to przede wszystkim.

– Gówno wiesz! – ryknęła, uderzając pięściami o uda. Miała ochotę coś zniszczyć, zrobić totalną demolkę, a nie taki przedszkolny bałagan, który był dziełem jej męża. – Nie jesteś lekarzem, Adam! Nie jesteś prawdziwym lekarzem!

Adam wstał. Przez jedną straszliwą sekundę Linda była przekonana, że podejdzie do niej, zacznie nią potrząsać, wrzeszcząc, żeby wyznała prawdę, żeby przestała wreszcie być taką upartą, zakłamaną cipą, i może nawet ją spoliczkuje. Nie żeby jej mąż kiedykolwiek robił czy mówił takie rzeczy, po prostu miał w twarzy coś takiego, że…

– Tak ma to wyglądać? – spytał cicho, ujmując jej ręce. Jego były chłodne, jakby w chwili odkrycia straszliwej prawdy zaczął umierać razem z Lindą. – Będziemy się kłócić do samego końca, tego chcesz?

– Nie ma żadnego końca, co ty chrzanisz! – Była na granicy płaczu, czuła to. Wściekłość, nienawiść do samej siebie i gorycz mieszały się w niej, doprowadzając napięte nerwy do wrzenia. Musiała wziąć się w garść, musiała zachować zimną krew. Tyle że to było tak cholernie trudne.

– Kłamstwo to samotna podróż, skarbie. A my ślubowaliśmy wyruszyć w nią oboje.

Linda zagryzła zęby i niestrudzenie brnęła w zaparte.

– Już ci tłumaczyłam, że nie kłamię – wycedziła nieznośnie mechanicznym tonem. Automatyczna sekretarka, która powtarza w kółko tę samą wiadomość. – Widziałeś wyniki, które pomylono z…

– To nie twoja wina – ciągnął Adam łagodnym tonem psychoterapeuty, który zazwyczaj rezerwował dla swych pacjentów. – Choroba to niczyja wina. Czego się wstydzisz? – Chwila zawahania i: – Kogo się boisz?

Linda spojrzała na niego z powagą.

– Kochasz mnie?

– Co to w ogóle za pytanie? – obruszył się Adam. – Dobrze wiesz, że tak.

– A więc mi zaufaj.

– Zawsze ci ufałem. Do momentu aż… – Brodą wskazał zdjęcie rentgenowskie leżące wśród papierów niczym czarna dziura, która wessała już ich szczęście i czeka, aż wchłonie ich życie, a następnie cały świat. – Zaczęłaś…

– Zaufaj mi jeszcze jeden raz – rzekła Linda z przejęciem. – Zaufaj mi po raz ostatni. Tak jak ja ufam tobie.

– Wnioskując po tym, jak zachowujesz się od pewnego czasu, zaufanie nie jest uczuciem, którym mnie darzysz. Rzekłbym, że jest wręcz odwrotnie.

Linda pokręciła głową. To nie ma znaczenia, mówił ten gest. Liczy się tylko to, co jest teraz.

– Wszystko będzie dobrze, Adam – powiedziała z pełnym przekonaniem i niemal sama w to uwierzyła. – Jeśli mnie kochasz, wszystko będzie dobrze.

Adam mocniej ścisnął jej dłonie.

– Linda, proszę…

– Nie, Adam! – przerwała mu stanowczo. – To ja cię proszę.

Spojrzał na nią tymi swoimi błękitnymi oczyma w taki sposób, że tylko ostatkiem sił powstrzymała się, by nie odwrócić wzroku. Patrzenie w nie było torturą. Zbyt wyraźnie odbijały się w nich smutek, ból i to koszmarne niedowierzanie. To wszystko żart, prawda, kochanie?, zdawało się pytać jego udręczone spojrzenie. To po prostu mało zabawny żart, nic więcej.

– Odpychasz mnie, zamykasz się w sobie, zatajasz swoją chorobę i nawet teraz kłamiesz mi w żywe oczy. Co ty chcesz osiągnąć, Linda? Zranić mnie? Gratuluję, już ci się udało.

Wyrwała dłonie i zaczęła żywo nimi gestykulować, chodząc po sypialni w tę i z powrotem.

– Jestem zdrowa, zupełnie zdrowa. Za tydzień pójdę na badania… tak, jakie tylko zechcesz… i ci to udowodnię.

– Dlaczego akurat tydzień? Chodźmy je zrobić już teraz. – Adam uśmiechnął się cynicznie. – Jeśli jesteś tak pewna swej racji.

– Za tydzień – powtórzyła, biorąc się pod boki. – Siedem pieprzonych dni, jesteś w stanie tyle wytrzymać? Tak się składa, że mam już ustaloną wizytę. – Pauza na spiorunowanie męża spojrzeniem dla wzmocnienia kłamstwa. – Na wypadek gdybyś był takim cholernym upierdliwcem i zareagował jak histeryk na widok tych idiotycznych papierów.

– Skoro są takie idiotyczne, dlaczego wciąż je trzymasz? – zainteresował się.

Linda miała ochotę złapać go za gardło i bardzo powoli zaciskać palce. Nienawidziła, gdy był taki. To chyba Hamilton zaraził go tym wścibstwem.

– Właśnie dlatego leżały w szufladzie z resztą idiotycznych rzeczy. – Starała się, by jej głos brzmiał spokojnie. – Elementarne, drogi Watsonie. Tak samo jak to, że badania są za tydzień, rozumiemy się?

Adam patrzył na nią bez słowa, marszcząc brwi. W jego obliczu zaszła jakaś subtelna zmiana. Bił się z myślami, to było widać. Szacował, czy warto wszczynać Ostateczną Awanturę, czy warto podpalić wszystkie mosty. I zdecydował, że nie. To także Linda odczytała z jego napiętej twarzy.

On chyba nadal jest w szoku, uzmysłowiła sobie, pochwyciwszy jego zamglone spojrzenie. To dlatego jest taki nienormalnie spokojny. Tak, to szok.

A może to jakiś jego brzydki sekrecik?

Po prostu nie chce iść na noże, nie ze mną. Wie, jaka jestem uparta. Wie też, że ta rozmowa to teatr kłamstw i niedomówień, które od dłuższego czasu pracowicie snuliśmy oboje. Poza tym on również się boi. Konfrontacji z niezaprzeczalną prawdą, odarcia z resztek złudzeń. Jak długo żyje iluzja, tak długo żyje nadzieja. A moje bajeczki mu ją dają. Są domniemaniem

winy, lecz nie samą winą, są tym jednym procentem, który nie pozwala skazać więźnia z czystym sumieniem.

– Będę tego żałował, prawda? – spytał Adam, wzdychając.

Linda podeszła do niego, wspięła się na palce i cmoknęła w policzek.

– Nie. – To było kolejne kłamstwo i oboje o tym wiedzieli. – Jedyne, czego będziesz żałował, to tego, że tak się przejąłeś chorobą, której nie ma.

Adam objął ją i mocno przytulił.

– Tak mi przykro – szepnął jej we włosy, a ona udawała, że to z powodu bałaganu, jaki zrobił. W udawaniu była całkiem dobra.

Później, kiedy siedzieli w salonie wtuleni w siebie, pogrążeni w ciszy, z pozorowanym zainteresowaniem śledząc lecący w telewizji film, wszystko było prawie tak jak dawniej. Prawie w porządku. W tej ciszy jednak czaiła się straszliwa prawda. I śmierć.

A jeszcze później się kochali. I to również było prawie takie jak dawniej, choć może nieco bardziej nostalgiczne. Ale było też trochę tak, jak gdyby między nimi znajdowała się trzecia osoba. Niematerialna, uporczywa obecność.

Śmierć, to śmierć.

Jest bezduszna, potrafi być piękna. Ma twarz samego diabła.

Noc zapadła zbyt szybko, jak atramentowy koc zarzucony na świat, obojgu przynosząc jedynie koszmary.

2.

Nayhija stała na pylonie mostu, wpatrując się w rozbijające się w dole fale. Ten most kształtem przypominał Golden Gate, tyle tylko że nie był czerwony, a widocznym w oddali miastem nie było San Francisco.

Woda szumiała z jednostajnym *szzzz*, *szzzz*, *szzzz*, w górze latały mewy. Ciemne włosy Nayhiji trzepotały na wietrze jak żagle przeklętego statku. Słońce wyszło zza chmury, od jego nagłego blasku musiała zmrużyć oczy. Na tej wysokości był niczym niezmącony, dojmujący, odbijał się od grzbietów fal, malował je migotliwym światłem. Patrząc na zatokę z miejsca, w którym się znajdowała, można było odnieść wrażenie, iż nie płynie w niej woda, lecz ciekłe złoto. To był piękny widok, przejmujący i bolesny zarazem.

– Wciąż błądzisz zagubiona w czasie. – Usłyszała za plecami.

Nayhija niespiesznie się odwróciła i spojrzała w pozbawioną wieku twarz mężczyzny w czerni. Stał na tym samym pylonie co ona, jakieś półtora, dwa metry dalej. Wieczny, niezmienny w swoim szytym na miarę eleganckim czarnym garniturze, z tym elektryzującym obsydianowym spojrzeniem i enigmatycznym uśmieszkiem, który unosił mu kąciki wąskich ust. Był tu na miejscu i zarazem nie był. Tak jak i ona.

– A ty wciąż za mną podążasz – rzekła.

Powoli pokiwał głową. Jego uśmiech zniknął, przysłonięty przez coś nieprzyjemnego. Wiatr kołysał połami jego marynarki, poruszał zaczesanymi do tyłu włosami.

– Problemy z zadaniem? – Ręką zakreślił łuk, wskazując świat rozpościerający się pod nimi. Obserwowane stąd samochody przejeżdżające przez most wyglądały jak zabawki – maleńkie, nieprawdziwe. – Wątpliwości?

Nayhija westchnęła i spojrzała na mężczyznę w czerni udręczonym wzrokiem.

– Po prostu… jestem już… zmęczona – powiedziała, z każdym słowem cofając się, aż dotarła do krawędzi pylonu. – Własną nienawiścią… całym tym… złem – uściśliła.

– Zmęczona? – powtórzył, unosząc brew. – Ty?

– Tym razem jest inaczej – wyznała.

Odchyliła się w tył…

I skoczyła.

Okręciła się i leciała głową w dół z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Mężczyzna w czerni patrzył na to nieporuszony, z twarzą przypominającą maskę. Nayhija słyszała jedynie gwizd powietrza i ryk zbliżających się fal. Przed oczami migały jej wszystkie uczynki – złe i jeszcze gorsze – popełnione w ciągu całego tego czasu spoza czasu. Łzy Adama oraz jej własne, miłość w jego oczach i to, co brała za miłość w oczach Jaspera, potwory udające ludzi i ona, zmieniona w najstraszliwszego z nich. Nienawiść, smak krwi, ogień i oddech mroźnego wiatru. Wszystko to mieszało się i zlewało w jeden przeciągły jazgot.

Jej ciało z potwornym impetem przebiło taflę i zniknęło pod nią, pozostawiając grzywę piany. Po sekundzie cała jej sylwetka zanurzyła się w toni.

Nayhija jeszcze przez chwilę leciała w dół niczym torpeda, wreszcie zatrzymał ją opór wody. Szeroko otworzyła oczy, rozglądając się z pewnym zdziwieniem, jak gdyby naprawdę sądziła, że ten skok może pozbawić ją życia. Włosy falowały wokół jej głowy ciemną chmurą. Zmieniła pozycję, wyciągnęła ręce i zaczęła płynąć przed siebie.

Wyszła na brzeg mniej więcej kilometr dalej i usiadła na piasku. Mężczyzna w czerni już tam na nią czekał. Dalej, w głębi lądu ciągnęła się promenada, długa na kilka kilometrów. Co

dziwne, nikt tamtędy nie spacerował, mimo że normalnie była to atrakcja turystyczna. Znajdowały się tam wyrzeźbione w drewnie figurki ryb i zwierząt rozstawione co parę metrów, poprzedzielane latarniami, ławkami i schludnie przystrzyżonymi kępami krzewów.

– Nie złapałeś mnie – powiedziała Nayhija z jakimś bliżej niesprecyzowanym wyrzutem, popatrując na niego z dołu. Stał, mając słońce za plecami, co tworzyło wokół jego sylwetki płonącą aureolę. W tym widoku było coś porażającego.

Mężczyzna uśmiechnął się przelotnie.

– Uczymy się, upadając – rzekł. – Nie moją rzeczą jest powstrzymać twój upadek. Jestem tu po to, by podać ci rękę i pomóc wstać – dodał i wyciągnął ku niej dłoń. Książę z krainy cieni proszący do tańca swoją wybrankę.

Nayhija nakryła jego rękę własną i pozwoliła dźwignąć się na nogi. Spojrzała na most, z którego chwilę temu skoczyła, na wody zatoki – to płynne złoto – na kołujące mewy, zarys miasta widoczny za wzniesieniem i spytała:

– A jeżeli odejdę?

W mężczyźnie w czerni zaszła jakaś straszliwa przemiana. Jedną ręką złapał ją za gardło i błyskawicznie poderwał. Nayhija próbowała się wyrwać, jednak nie miała szans. Jej nogi bezradnie przebierały w powietrzu, ręce uderzały krępującą dłoń. Dusiła się, ale nie to było najgorsze. Jej twarz zaczęła czernieć, zaś oczy… Wyglądało to tak, jak gdyby zmieniły konsystencję, stając się ziarenkami piasku, które zasysała jakaś siła.

– Należysz do nas! – zagrzmiał mężczyzna w czerni upiornym głosem, który brzmiał jak chór złożony z wielu innych głosów. Głosów nienależących do człowieka. – Nie możesz odejść! Nie wolno ci!

Zdawało się, iż od tego dźwięku wibruje i drży cała Ziemia. Drżał również most, co prowokowało dźwięki bardzo podobne do jęku.

Nayhija drapała paznokciami duszącą ją rękę, jednak nie przynosiło to żadnego efektu. W miejscu oczu miała już tylko zionące pustką otwory, z otwartych ust wylatywały te same ziarenka, w które wcześniej zmieniły się gałki oczne. I one również znikały, wsysane przez jakąś niewidzialną siłę. Chciała krzyczeć, ale nie mogła. Nic już nie mogła, tylko…

– Zrozumiałaś? – ponownie zagrzmiał mężczyzna w czerni i cisnął Nayhiją przez całą długość wspinającego się w górę piaszczystego brzegu, i dalej, na promenadę.

Uderzyła plecami w latarnię i osunęła się na ziemię. Wciągnęła potężny haust powietrza i zaczęła kaszleć, a choć ból był silny, nie zdołał przesłonić poczucia ulgi. Wspierając ręce o betonowe płyty chodnika, ostrożnie klęknęła. Uniosła głowę i jej twarz znów wyglądała tak samo jak zawsze – oczy, usta, wszystko było na miejscu. Tylko na szyi jeszcze przez sekundę czy dwie widniał zwęglony odcisk palców.

– Co do słowa – wychrypiała, twardo patrząc na mężczyznę w czerni. Rozmasowała szyję i przełknęła ślinę, starając się nie krzywić na towarzyszący temu ból. Używając latarni jako punktu podparcia, wstała i zaczęła się odwracać, chcąc odejść.

Mężczyzna w czerni wyrósł obok jej ramienia i ujął ją za przegub. Po morderczej furii nie ostał się ślad, jego dotyk był delikatny, przyjemny… pożądany.

– To nie czas i miejsce na wątpliwości, kochanie. Teraz już nie możesz się wycofać. – Jego oczy błysnęły groźnie. – Już nie.

Nie mogła? Ale czy naprawdę? Och, oczywiście, że mogła… Tyle tylko że za drastycznie wysoką cenę. A takiej nie była gotowa zapłacić.

– Zostało mi jeszcze sześć dni – przypomniała Nayhija, wyszarpując obejmowaną przez niego rękę.

Mężczyzna w czerni z namysłem pokiwał głową.

– Zatem ich nie zmarnuj.

Nayhija uniosła podbródek i zmrużyła oczy. W pozie, w jakiej stała, była zadziorność, hardość. Choć nie mogła się z nim mierzyć, to i tak rzucała mu wyzwanie. To był ich osobisty taniec, ich niekończące się tango.

– Będziesz ze mnie dumny – obiecała.

– Wiem. – W twarzy mężczyzny w czerni odbiło się coś, co mogło być tylko przywidzeniem. – Wiem o tym doskonale.

3.

Adam przyszedł do pracy chyba tylko ze strachu przed tym, że siedzenie w domu doprowadzi do jakiejś straszliwej katastrofy. A tego nie chciał. Nie chciał kłócić się z Lindą, nie chciał, żeby ich ostatnie chwile – bo wbrew temu, co mu wmawiała, to były ich ostatnie chwile – upłynęły pod znakiem tych śmiesznie niestosownych awantur. Słuchać jej zapewnień, że to wszystko jest wynikiem niepoprawnej diagnozy i błędnie przeprowadzonych badań też już nie dał rady. Nie musiał dzwonić do Powella, by wiedzieć, że to bujda. Linda nie umiała kłamać aż tak dobrze, jak jej się wydawało.

Właściwie to czuł się jak półidiota, taki, który jest nim na własne życzenie. Znów zdominowała go ta dziwna niemoc, kokon utkany z niedomówień i półprawd. Po raz kolejny mógł tylko biernie przyglądać się wydarzeniom, niezdolny do wzięcia w nich świadomego udziału. Co tak na niego podziałało? Choroba żony? Jego występne pragnienia? Misterna intryga, z której nawet nie zdawał sobie sprawy, a w którą wpadł po uszy?

A może po prostu nie chciałeś usłyszeć prawdy? Może nie jest ci już potrzebna?

Teraz to i tak bez znaczenia. Nieważne. Nieistotne. Posiedzi tu trochę, przyjmie trzech, czterech pacjentów, spróbuje złapać odpowiednią perspektywę, a później kupi Lindzie kwiaty, wróci do domu i…

Ostry dźwięk komórki wyrwał go z zamyślenia. Wzdrygnął się, jak gdyby ktoś pstryknął mu palcami przed twarzą, rozejrzał i wyłowił telefon spod teczki Joanne Lipperman. Kiedy zobaczył, że dzwoni Mike, trochę mu ulżyło. Pogadają chwilę, raz jeszcze podziękuje mu za to, że tak zgrabnie zamiótł brudy Lindy pod dywan, umówią się na piwo i gdy wypije go wystarczająco dużo, może powie Mike'owi o chorobie żony. Albo i nie.

– Dzwonisz w sprawie tamtej kokainy? – zaczął wymuszonym żartem.

Mike jednak nie był w nastroju do żartów.

– Siedzisz?

Adam pokiwał głową.

– Adam, jesteś tam? – niecierpliwie zapytał przyjaciel, a on zrozumiał swój błąd. Rozmawiali przez telefon, Mike nie mógł widzieć tego gestu.

– Tak – potwierdził. – Jestem.

– No, to posłuchaj. – Mike był wstrząśnięty, właściwie zdenerwowany, było to słychać. A Adam nabrał nagle bardzo złych przeczuć. – Ta twoja panienka, Nayhija, mówiłem ci, że coś mi w niej nie gra, no i miałem rację. I nie chodzi tylko o te cholerne kradzione samochody. Pogrzebałem głęboko, naprawdę głęboko. No i znalazłem ją. Trochę to ułatwił raport z zatrzymania Lindy. Znaczy powiedzmy, że raport. – Chrząknięcie. – Twoja żona chyba naprawdę ją zna, a już na pewno zna jej nazwisko. „Nayhija Mara to kurwa samego diabłaaaa!", między innymi to krzyczała, zresztą pewnie sam słyszałeś.

Adam odchylił się w fotelu.

– Chcesz powiedzieć, że gliniarze zapamiętali jej krzyk słowo w słowo? – spytał z niedowierzaniem.

Po drugiej stronie słuchawki rozległo się stłumione parsknięcie.

– Nie, ten dzieciak wszystko nagrywał. Ten, któremu miałeś zabrać komórkę, ale zapomniałeś. Ja pamiętałem. Nie musisz mi dziękować, bracie.

Adama zatkało. No tak, dlatego to on jest policjantem, nie ja, stwierdził refleksyjnie. Choć, oczywiście, gdyby nie kolejny dramatycznie realistyczny sen, w którym posuwał Nayhiję,

pewnie by nie zapomniał pójść do Rosebergów, nastraszyć Danny'ego i zabrać mu ten pieprzony telefon.

– Czego się o niej dowiedziałeś? – spytał Adam ustami, które zdawały się należeć do innej osoby. – O Nayhiji?

Mike milczał dłuższą chwilę. Zaniepokojony Adam zerknął na wyświetlacz, sprawdzając, czy przypadkiem nie stracił zasięgu.

– No, słucham – ponaglił.

– Ona jest duchem – obwieścił Mike grobowo. – Dosłownie. Nayhija Mara nie żyje.

Adam poczuł, jak z jego twarzy odpływa cała krew i przesiąka gdzieś do piwnicy. Ręka, którą nie trzymał komórki, opadła bezwładnie na podłokietnik fotela.

– O czym ty, do diabła, mówisz?!

– Nayhija Mara zginęła w sześćdziesiątym drugim, to właśnie mówię. – Szelest przewracanych kartek. – Samobójstwo. Powiesiła się w swoim pokoju, jeżeli interesują cię takie detale.

– W sześćdziesiątym drugim… Co? Jesteś pewny, że to ona? – zapytał Adam ostrożnie. – W ogóle zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? Może jest tylko bardzo podobna?

– Za kogo ty mnie masz? Za ślepca? – zgromił go Mike i w wyobraźni Adam ujrzał jego zdegustowaną minę. – Nie jest podobna, jest identyczna! To jest ona, to ta sama dziewczyna. Nie wiem, jak to możliwe, ale to ona. – Pełne rezygnacji westchnienie. – Tak przynajmniej twierdzą skromne dowody, jakimi dysponuję. A mnie uczono, że dowodom należy ufać.

– Jakie dowody?

– Nie takie, jakich bym sobie życzył. Strzępy, cholera. – Mike zniżył głos do szeptu. – Nigdy nie było ani nie ma innej Nayhiji Mary, poza tą jedną, która zginęła w sześćdziesiątym drugim… Tak, Adam, jestem pewien… Dziewczyna urodziła się w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym w jakiejś dziurze pod Tupelo, więc nawet gdyby żyła, powinna mieć… czekaj, liczę… tak, osiemdziesiąt jeden lat. Powinna być pierdoloną staruszką, rozumiesz, a panna którą poznałeś… obaj poznaliśmy… wygląda na jakieś dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat. A właśnie w takim wieku się zabiła. Nie postarzała się ani o dzień, łapiesz? Jest taka sama jak na tych starych fotografiach. Wiek, wygląd, wszystko się zgadza.

– Chryste – głos Adama był płaski, bezbarwny, a on zdawał się unosić gdzieś poza ciałem.

– Nie słabo ci ani nic takiego? – zainteresował się Mike. – Bo to nie koniec.

– Dawaj. – Adam mocniej zacisnął palce na telefonie.

– Jej narzeczony, chłopak czy kimkolwiek on tam był… Kurwa, Adam, gość wyglądał zupełnie tak jak ty. Nie bujam. Mam przed oczyma jego zdjęcie. Nayhiji zresztą też. Urocza z nich była para. A może powinienem powiedzieć… z was?

Adam już się nie unosił. Teraz leciał głową w dół, prosto w najgłębsze czeluście koszmaru.

– W sumie to najlepiej sam zobacz – dodał Mike. – Przesłałem ci fotki na maila, powinieneś już mieć.

Adam odsunął komórkę od ucha i zerknął na ekran. Przez jedną szaloną sekundę chciał usunąć maila i po prostu zapomnieć o tym wszystkim, jednak nie zrobił tego, nie mógł. Drżącym palcem kliknął w ikonkę, otworzył załącznik i kiedy zdjęcia się załadowały, przeszedł go obrzydliwy, zimny dreszcz.

– To… To niemożliwe – wydusił. Odnosił nieprzyjemne wrażenie, że jego gabinet zaczyna się kurczyć. Ściany schodziły się, zupełnie jakby znalazł się w pułapce w piramidzie, i należało jedynie czekać, aż zgniotą go na placek. – To absurd.

– Taa, co ty nie powiesz?

– A może to jakiś głupi dowcip? Sam mówiłeś o przemytnikach samochodów, może ktoś w ten sposób myli tropy?

Po drugiej stronie rozległo się kolejne westchnienie.

– Chciałbym, żeby tak było. To znaczy, nie wykluczam, że tak jest. Tylko że taka teoria nie bardzo trzyma się kupy. Po co ktoś miałby się upodabniać do laski, która zginęła ponad pięćdziesiąt lat temu i przyjmować jej nazwisko? W kradzieży tożsamości nie o to chodzi.

– Więc może chodzi o nią? – podsunął Adam.

Mike cmoknął z dezaprobatą.

– Ta cała Mara nie była nikim szczególnym. Zwykła dziewczyna, której życie trochę się popieprzyło i zadyndała na sznurze. Smutna historia, jakich wiele. I nijak nie łączy się to z tobą. – Chwila ciszy i: – No, może poza faktem, że wyglądasz jak tamten gość. Podobieństwo się zdarza, owszem, ale nie takie podobieństwo. To nienormalne, Adam. Za dużo w tym zbiegów okoliczności, za dużo znaków zapytania.

Adam przeciągnął dłonią po twarzy.

– Wiesz, dlaczego się zabiła?

Dało się słyszeć szelest kartek, a zaraz po nim dźwięk, który Adam zidentyfikował jako bębnienie palcami po klawiaturze.

– Nie na sto procent – przyznał Mike. – Ale na tyle, na ile się orientuję, to chyba przez tego twojego klona. Facet nazywał się… Czekaj, mam to gdzieś tutaj… Jasper Perish. Rzucił ją, wiesz, albo coś takiego – znów szelest kartek – trochę mętne to zeznanie osoby zbliżonej do źródła. W każdym razie moim zdaniem było tak, że dziewczyna się załamała i skończyła ze sobą. Taki w zasadzie klasyczny melodramat bym powiedział.

– W klasycznym melodramacie dziewczyna nie powstałaby potem z martwych – zauważył zjadliwie Adam. – Chyba że mówimy o twórczości Poego bądź Lovecrafta.

– Sam nie wiem, o czym właściwie mówimy.

O czymś, co absolutnie nie ma prawa się dziać, pomyślał Adam. Jeżeli Linda rzeczywiście znała Nayhiję, jeżeli wiedziała to, czego dowiedział się Mike, to nic dziwnego, że zachowywała się jak wariatka. Każdy by się tak zachowywał.

– A ten cały Perish? – spytał z przejęciem. W jego umyśle zrodziła się straszliwa hipoteza i jeżeli zaraz okaże się, że jest prawdą, to chyba rzuci praktykę i zapisze do któregoś z kolegów po fachu na dożywotnią terapię. – Jak zginął?

– Normalnie – odparł Mike. – Znaczy mam na myśli, że z przyczyn naturalnych. Zawał czy coś. Moment, miałem to gdzieś… – Dźwięk przewracanych kartek. – Tak, zawał. Wiele lat po tym, jak zabiła się Mara. Między tymi zgonami nie ma żadnych powiązań.

Na te słowa Adam trochę się rozluźnił. Z naciskiem na „trochę".

– A ja mam pecha wyglądać tak jak on i dlatego prześladuje mnie duch dziewczyny, która zabiła się z miłości. – Myślał, że zabrzmi to żartobliwie, jednak nie zabrzmiało.

– Myślę, że to zbyt pochopne wnioski – rzekł Mike. – Wyjdźmy na moment ze *Strefy Mroku* i spróbujmy poszukać bardziej racjonalnego wyjaśnienia.

Adam się zaśmiał. Wypadło to trochę upiornie.

– A takie w ogóle istnieje?

– Może to jest jakaś, eee… rodzina tamtej Nayhiji Mary albo coś. – Mike nie brzmiał jak ktoś, kto wierzy we własne słowa. – To by tłumaczyło to uderzające podobieństwo i jedno nazwisko. Tylko tego, że wyglądasz jak Perish, już wytłumaczyć nie potrafię. Cholernie dziwna sprawa, bracie.

Adam skierował spojrzenie w prawy róg pokoju… i skamieniał. Udało mu się nie

wrzasnąć, ale chyba tylko cudem. Na kozetce siedziała Nayhija we własnej osobie, choć jeszcze sekundę temu nikogo tam nie było. Miała na sobie ekstrawagancką czarną suknię z lśniącymi, kruczymi piórami u ramion i ciężkie, długie buty. Patrzyła na niego oczyma o nieprawdopodobnie zielonej barwie, uśmiechając się smutno.

– Adam? Jesteś tam jeszcze?

– Tak. – Adam z trudem łapał powietrze. Czuł wściekłe łomotanie pulsu i miał wrażenie, że jego serce za chwilę eksploduje. – Ale muszę już… kończyć.

– Pacjent, co? – Mike wziął chyba głęboki szok w głosie przyjaciela za chłodny, profesjonalny spokój. – Zadzwoń do mnie później, może uda mi się ustalić coś więcej.

– Jasne, cześć. – Adam przerwał połączenie i ręką, która zmieniła się w odrętwiały kloc, niezgrabnie odłożył komórkę na biurko.

– Twój przyjaciel się nie mylił – odezwała się Nayhija. Nie siliła się na zbędny wstęp, nie był potrzebny. – Wszystko, co ci powiedział, jest prawdą. Tyle tylko że niekompletną.

Adam spróbował przełknąć ślinę i odkrył, że gardło ma wyschnięte na wiór. Odpiął najwyższy guzik koszuli i szarpnął za kołnierzyk, poluźniając go. Było mu na przemian zimno i gorąco, przed oczyma migotały białe plamki.

– Ty… to znaczy, że ty…

– Nie, nie jestem duchem. – Na wargach Nayhiji zagrał krzywy uśmieszek. – Duchy nie mogą robić tego.

Adam z sercem łomoczącym gdzieś w uszach patrzył, jak Nayhija unosi rękę i prostuje palce – poczerniałe do drugiego stawu palce – z których koniuszków strzelają płomienie. Rzucały na jej bladą twarz ruchomy blask, tańcząc na opuszkach. Następnie Nayhija dmuchnęła na nie i ogień zniknął.

– Wiec jesteś… – Nie był w stanie wypowiedzieć na głos tego, o czym właśnie pomyślał.

– W rzeczy samej. – Ogień ponownie wyrósł na czubkach jej palców i zgasł, gdy zamknęła dłoń.

Jednak w tej migotliwej łunie Adam zauważył jeszcze coś. Na szyi Nayhiji widniała sinofioletowa pręga – krwiak po sznurze, na którym się powiesiła.

Istnieją rzeczy… rzeczy tak straszne…

I nagle coś zaskoczyło w jego umyśle z hukiem.

– Gwałt – powiedział głucho. – Naprawdę zostałaś zgwałcona.

Nayhija pokiwała głową.

– To była przyczyna wszystkiego – rzekła, patrząc gdzieś ponad jego ramieniem. Oczy miała puste, martwe, udręczone. Nie emanowało od niej to specyficzne, nadnaturalne lśnienie. Nie w tej chwili. Spowijały ją smutek i cierpienie, przesadnie wyostrzając rysy, uwidaczniając drobne skazy, których przedtem nie było. Teraz jej piękno nie zdawało się występne. Było kruche, bezbronne.

Widzę ją obnażoną, zrozumiał Adam, *widzę jej nagą duszę*. Na tę myśl coś szarpnęło się w nim gwałtownie. Współodczuwał razem z nią, jej ból dławił go i przygniatał. Niemożliwym było, by ktoś mógł żyć w takim cierpieniu. I ona nie mogła. Nie udźwignęła go.

– Jak to się stało? – spytał zduszonym głosem.

– Historia, jakich wiele, tak pewnie powiedziałby twój przyjaciel – odparła Nayhija z pozorną nonszalancją. – Dziewczyna samotnie idąca przez las i trzy potwory, które miała nieszczęście spotkać na swojej drodze.

Adam przesłonił usta dłonią.

Zabiła się, bo rzucił ją facet i się załamała, powiedział Mike, jednak nie miał racji. Nie do końca. Ten cały Jasper zostawił ją, owszem, ale zrobił to, ponieważ nie poradził sobie z faktem,

iż jego kobieta została zgwałcona. Wielu sobie nie radzi, Adam był w tym fachu wystarczająco długo, by to wiedzieć. Jasper odtrącił Nayhiję, gdy najbardziej go potrzebowała, i to było dla niej zbyt wiele. Finalny cios, po którym już się nie pozbierała, zadał jej mężczyzna, którego dosłownie kochała nad życie.

Oto miał przed sobą najprawdziwszą tragedię, iście szekspirowską, i było mu z tym tak źle, tak straszliwie źle. On poznał piekło, w którym umiera ukochana osoba, i myślał, że gorszego nie ma. Jednak ból zrodzony z odrzucenia przez ukochanego, na dodatek w takich okolicznościach, był równie dojmujący. Ponieważ strata to strata, nieważne, jakie nadamy jej imię. A w tamtej chwili Nayhija była taka młoda, taka niewinna. Jej uczucia były jak przesterowane dźwięki, porażająco intensywne, niezmącone. Kochała po raz pierwszy, jedynie, prawdziwie, pomimo wszystko. Bezgraniczna miłość bez wątpliwości, tylko czerń lub biel, życie albo śmierć – przez ten rozciągnięty w czasie moment Adam rozumiał to, gdyż w jakimś sensie był w jej głowie.

Rozumiał też coś jeszcze. Nayhija odtwarzała ten straszliwy dzień raz za razem, przeżywała go znowu i znowu. W jej doskonałej, wiecznej pamięci nigdy się nie kończył. Bolał ją wciąż tak samo jak wtedy, bowiem dla niej nie istniało wczoraj ani jutro, ten dzień był bezustannym teraz.

– Tak mi przykro – szepnął i Bóg mu świadkiem, mówił szczerze. – Tak bardzo mi przykro.

Nayhija obdarzyła go nieobecnym uśmiechem. Wciąż był smutny, tak jak jej oczy.

– Teraz to nie ma już znaczenia. Teraz ja również jestem potworem. Może nawet większym niż ci, którzy zaatakowali tę biedną dziewczynę w lesie.

Potwór. Już kiedyś tak o sobie powiedziała.

– Ty chcesz widzieć siebie potworem – sprostował. Nie wierzył, by mogła nim być, nie po tym, co w niej wyczuł. – A to nie jest równoznaczne z tym, że nim jesteś.

Nayhija zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jestem.

Adam przyjrzał się jej z uwagą i zadał pytanie, które zadałby, gdyby to była prawdziwa sesja terapeutyczna. Kto wie, może w pewnym sensie była. Dla któregoś z nich.

– Dlaczego tak sądzisz?

Nayhija wstała i podeszła do niego. Przechyliła się przez biurko, ujęła twarz Adama w dłonie i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

– Pokażę ci.

Równocześnie gabinet skurczył się i zniknął. Adam z przerażeniem obserwował tunel czerni, który go wessał; jego gładkie ściany zdawały się być zrobione z ciekłego szkła, tyle że było to coś organicznego, to coś żyło. Nagle usłyszał muzykę, z początku cichą, następnie coraz głośniejszą. Organiczna czerń tunelu rozstąpiła się i zobaczył zatłoczoną knajpę, w której…

4.

Jest sobota i w knajpie jest tłoczno. Ludzie tańczą, rozmawiają, śmieją się i piją piwo. W powietrzu czuć zapach winylu, podsmażanej cebuli, alkoholu i potu. Szafa grająca ryczy na cały regulator, ale zaraz ktoś ją wyłączy. Zespół, który gra tego wieczoru, lada chwila się zjawi. Na ścianie wisi kalendarz wskazujący na sobotę, 17 września 1966 roku. Obok, na reklamie piwa, miga zepsuty zielony neon. Jedna jego połowa jest czarna, martwa.

Ciągle mówisz, że masz dla mnie coś, co nazywasz miłością – śpiewa Nancy Sinatra. – *Ale przyznaj, narozrabiałeś tam, gdzie nie powinieneś był rozrabiać.*

Przy barze stoi trzech młodych mężczyzn, każdy z identycznym, pyszałkowatym uśmieszkiem doklejonym do twarzy i butelką piwa w dłoni. Zadowoleni z siebie, bezrefleksyjni, okrutni. To

(potwory!)

Jasnowłosy, Piegowaty i Ten z Plastrem. Nayhija rozpoznaje ich bez trudu, mimo lat, które upłynęły, i tego, jak zmieniły się ich oblicza. Piegowaty nie jest już całkiem piegowaty, teraz cerę poznaczoną ma brzydkimi śladami jakby po ospie, przez co piegi tracą na wyrazistości. Ten z Plastrem nie ma już plastra, zamiast tego ma niewielką bliznę na nosie, właściwie niewidoczną, w przeciwieństwie do tej na wydatnym podbródku kolegi. Jedynie Jasnowłosy wciąż jest Jasnowłosym. Z chłopaka z blizną zmienił się w mężczyznę z blizną, opalonego, niemal przystojnego… gdyby nie mieszkające w nim zło. Widać je bardzo wyraźnie przez te szaroniebieskie oczy.

Tym razem jednak jest inaczej, tym razem ona jest kimś innym. Wie o nich wszystko, zna ich imiona, myśli, pragnienia, tęsknoty i grzechy. Jasnowłosy to Robert, Piegowaty ma na imię Vincent, a Patrick to Ten z Plastrem.

Jest jeszcze jedna różnica, fundamentalna.

Tym razem to ona ma przewagę.

Pozwala im wypić piwo i w spokoju czeka, aż zamówią następne. Zespół w dalszym ciągu się nie zjawia, a Nancy informuje: *Te buty są stworzone do chodzenia i to właśnie będą robić. Któregoś dnia te buty po tobie przejdą*.

Nayhija wychodzi na środek parkietu i zaczyna tańczyć, prowokująco kołysząc biodrami. Porusza się zmysłowo, egzotycznie, zupełnie inaczej niż reszta. Ubrana również jest inaczej; cała na czarno, drapieżnie, ostentacyjnie, a przecież czerń to kolor śmierci, żałoby. Zwraca na siebie uwagę i właśnie o to chodzi.

Znajduje się dokładnie na wprost Wesołej Trójki, między nią a nimi nikogo nie ma. Zadbała o to. Czuje na sobie ich wzrok, głodny, zachłanny i na jej wargi wypływa nieprzyjemny uśmiech. Obraca się przez ramię i rzuca im przeciągłe spojrzenie, wciąż z tym nieprzyjemnym uśmiechem, a wtedy ich miny momentalnie rzedną. Wyglądają, jakby zobaczyli ducha, i istotnie, w pewnym sensie tak jest.

Poznali ją.

I wiedzą, że to niemożliwe, ponieważ dziewczyna, na którą patrzą, nie żyje, powiesiła się przed paroma laty.

A mimo to tutaj stoi.

Pogrywasz, gdzie nie powinieneś pogrywać. I ciągle myślisz, że nigdy się nie sparzysz.

Cóż, właśnie znalazłam nowe pudełko zapałek – ciągnie Nancy.

Za plecami Nayhiji przechodzi wysoki barczysty chłopak w koszulce z logo lokalnej

drużyny baseballowej, zasłaniając ją przed wzrokiem Wesołej Trójki na sekundę czy dwie. Kiedy robi kolejny krok, schodząc im z pola widzenia, w miejscu, w którym stała Nayhija, dostrzegają jedynie pustkę. Rozglądają się, zezują po kątach, ale nigdzie jej nie ma. Przepadła.

Piegowaty śmieje się nerwowo i kręci głową; a to dopiero, mówi ten gest. Spogląda na swoich kumpli, jakby szukając potwierdzenia, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Co się tak szczerzysz jak matoł? – pyta Plaster zaczepnie, trącając go w ramię.

Piegowaty oblizuje wargi i zaczyna ostrożnie:

– Też wydawało ci się, że…

– Nikomu nic się nie wydawało – gromi go Jasnowłosy. – Przyszliśmy się zabawić, więc się, kurwa, zabawmy – dodaje, z trzaskiem stawiając butelkę na barze i sprężystym krokiem rusza w stronę toalet.

Roztrąca stojącą w przejściu grupkę, przecina krótki korytarz, pcha drzwi i wchodzi do męskiej toalety. Nayhija już tam jest, skryta w cieniu ostatniej kabiny, niewidoczna z jego perspektywy. Poza nią nie ma tu nikogo więcej. Czeka, aż Jasnowłosy załatwi potrzebę, z kamienną twarzą słucha, gdy sika i pogwizduje, wciąż przepełniony tym bezrefleksyjnym samozadowoleniem.

Zachodzi go od tyłu, gdy stoi przy umywalce. Porusza się bezszelestnie jak kot.

– Cześć – rzuca.

Jasnowłosy odwraca się, jego usta układają się w idealnie okrągłe „O”. Próbuje się zamachnąć, ale nie zdąża. Nayhija łapie go za ramiona, okręca i uderza jego głową o kant umywalki. Cios nie jest na tyle silny, by go zabić, lecz wystarczający, aby pozbawić przytomności.

Jasnowłosy wydaje z siebie jękliwe „aaaa” i zaczyna się osuwać. Nayhija chwyta bezwładne ciało pod pachami i wyciąga z toalety. Napotyka pytające spojrzenia dwóch stojących w progu mężczyzn, przywołuje na twarz zakłopotany uśmiech i mówi:

– Mój chłopak trochę za dużo wypił.

Tamci kwitują to wzruszeniem ramion, a ona ciągnie Jasnowłosego na tył knajpy i dalej, przez wąskie drzwi prowadzące na parking dla pracowników i zaopatrzeniowców. Jego pięty szorują o beton, co w nocnym powietrzu wywołuje zabawny pogłos. Zatrzymuje się przy starym zielonym pick-upie. Odłazi z niego farba, przedni reflektor jest zbity, zaś w prawym dolnym rogu tablicy rejestracyjnej widnieje maleńki czerwony znaczek, w którym Linda Hill rozpoznałaby logo Fundacji Ostatniej Szansy. Nayhija wrzuca Jasnowłosego na tył, lustruje go przez chwilę, upewniając się, że wciąż jest nieprzytomny i pozostanie taki jeszcze długo, następnie szczelnie przykrywa go brezentem i wraca z powrotem do knajpy.

Piegowatego dostrzega przy podwyższeniu sceny. Zespół wreszcie raczył się pojawić i rozkłada sprzęt, a on pogrążony jest w rozmowie z długowłosym brunetem, perkusistą, wnioskując po wetkniętych za pasek spodni pałeczkach. Plastra nigdzie nie ma, pewnie poszedł za potrzebą lub zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością Jasnowłosego zaczął go szukać.

– Hej, kowboju – szepcze Nayhija i ten szept, zupełnie jakby był krzykiem, przebija się przez zgiełk i muzykę, trafiając prosto do uszu Piegowatego.

Odwraca się zdumiony, jak gdyby ktoś klepnął go w ramię. Rozgląda się, jego wzrok trafia we właściwe miejsce i widzi Nayhiję, do połowy skrytą w cieniu, stojącą na uboczu. Otwiera usta, tak jak niedawno Jasnowłosy. Jego oczy rosną i rosną, napełniając się przerażeniem.

Nayhija posyła mu drwiący uśmiech i przejeżdża po szyi wskazującym palcem w szeroko pojętym geście dekapitacji. To sprawia, że przerażenie w oczach Piegowatego ustępuje miejsca gniewowi. Wypity alkohol krąży mu w żyłach, dodając odwagi, pozwala uwierzyć, że Nayhija

wcale nie jest Tamtą Dziewczyną, tylko kimś podobnym, kimś, kto z niego drwi. Tak, to po prostu głupi żart, nic więcej. Ktoś z nim pogrywa, z nimi wszystkimi.

Rusza ku Nayhiji raźnym krokiem, ręce ma opuszczone wzdłuż tułowia, dłonie zaciśnięte.

– Wydaje ci się, że kim jeste… – Nie zdąża powiedzieć niczego więcej.

Pięść Nayhiji trafia go prosto w wargi, rozprasowując je na zębach.

Piegowaty odskakuje w tył, łapie się za twarz, wydając z siebie jakieś takie śluzowate: „Mmmhhhg". Spluwa zmieszaną z krwią śliną i próbuje rzucić się na Nayhiję, ale ona jest szybsza. Chwyta go za kark, uderza jego nosem o swoją zgiętą w kolanie nogę i wlecze go w stronę wyjścia.

Praktycznie nikt nie zwraca na nich uwagi, ludzie są zbyt rozentuzjazmowani pojawieniem się zespołu, na który tak długo czekali. Pod sceną zdążył zebrać się spory tłum. Nayhija mija jedynie paru maruderów, którzy odprowadzają ją i Piegowatego obojętnym spojrzeniem.

Płochliwi, egoistyczni, pasywni. Nigdy nie chcą interweniować, nigdy nikomu nie śpieszą z pomocą. Panowie Ziemi? Najinteligentniejsza rasa? Wolne żarty. Ludzie to gatunek szaleńców na wskroś przesiąkniętych złem. Złem zrodzonym z braku empatii oraz ich okaleczonych serc. Żyją w piekle, które sami sobie zgotowali, i to właśnie sprowadzi na nich zgubę.

– Uważaj – mówi Nayhija, uderzając głową Piegowatego o futrynę. – Jak. – Łup. – Chodzisz. – Łup.

Po kolejnym uderzeniu Piegowaty wiotczeje, jego nogi rozjeżdżają się na boki i pada na podłogę. Nayhija rzuca dyskretne spojrzenie w głąb sali, odwraca głowę, spozierając na wyjście, po czym chwyta mężczyznę za kołnierz i wyciąga na zewnątrz. Okrąża budynek, wlokąc go w stronę znajdującego się na tyłach zielonego pick-upa.

Jej poczynania obserwuje dwóch chłopaków. Palą, dyskutując o czymś, panienkach lub futbolu, ale zdają się rejestrować to, co widzą, tylko na jakimś bardzo płytkim poziomie świadomości i najpewniej zapomną o tym, gdy ich papierosy dopalą się do filtrów. Prócz typowej dla ludzi obojętności jakąś częścią siebie muszą wyczuwać

(jej nienawiść)

coś, co napawa ich niepokojem, i rozumieją, że lepiej się nie mieszać.

Nayhija odchyla brezent i kładzie Piegowatego obok jego kumpla. Twarze obu są spokojne, zupełnie jakby śnili jakiś przyjemny sen… ale nie potrwa to długo. Na powrót zakrywa ich i wraca do knajpy. Już ostatni raz.

Zdezorientowany Plaster błąka się po sali, zagaduje barmana, zagląda do toalet, jednak nigdzie nie znajduje swoich Wesołych Kolegów. Aż wreszcie niemal wpada na Jasnowłosego.

– Gdzie wyście poleźli? – pyta z oburzeniem, pod którym jednak kryje się cień strachu. – Łażę tu jak debil, szukam was i…

– Chodź. – Jasnowłosy brodą wskazuje wyjście. – Dorwaliśmy tę lalkę.

Plaster przełyka ślinę.

– Przecież ona…

– To nie ta sama, baranie. Słoneczko jest po prostu podobne.

Plaster marszczy brwi w głębokim namyśle. Na jego twarzy odbija się wzmożony wysiłek, w miarę jak mózg uruchamia skomplikowane procesy skojarzeniowe. Wreszcie jego czoło rozpogadza się, a on mówi:

– Niezły numer. – Ścisza głos i dodaje: – To co z nią zrobimy?

Jasnowłosy uśmiecha się nieprzyjemnie, jego oczy na ułamek sekundy rozbłyskują zielenią. Plaster albo tego nie widzi, albo widzi i tłumaczy sobie, że to po prostu odbite światło neonu tej mrugającej reklamy piwa.

Mija ich blondynka w falbaniastej sukience, kołysząc bujnymi biodrami, i posyła im ciekawskie spojrzenie, jednak ją ignorują.

– Zobaczysz. – Jasnowłosy ponownie prezentuje ten nieprzyjemny uśmiech, który teraz ukazuje zbyt wiele zębów. – Chodź – ponagla. – Vince czeka przy gablocie.

Przepuszcza Plastra w drzwiach, jak gdyby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach i postanowił zgrywać wielkiego lorda. Odwraca się, sprawdzając, czy idzie za nimi ktoś jeszcze, na przykład ta blondyna, po czym z przesadnym łomotem zamyka drzwi.

Plaster maszeruje przed siebie, rozglądając się z głupawą miną.

– No i gdzie ten Vince? – pyta, przystając w pół kroku.

Jasnowłosy staje za nim i unosi rękę, w której pobłyskuje czarny metal. Jego kształt jest bardzo sugestywny, trudno go z czymś pomylić. Uderza Plastra w tył głowy kolbą rewolweru i gdy ten osuwa się na ziemię, Jasnowłosy nie jest już Jasnowłosym. To Nayhija.

Ujmuje nieprzytomnego Plastra za kostki i ciągnie do zaparkowanego za budynkiem pick-upa; może to robić bez krępacji, nie ma tu nikogo, kto by ją widział. Wrzuca go pod brezent i okrąża auto, pogwizdując pod nosem. Wskakuje na fotel kierowcy, zamyka drzwi, wkłada paznokieć do stacyjki, przekręca i silnik ożywa z rykiem. Włącza się również radio, wygrywając ten sam kawałek Nancy Sinatry, który wcześniej leciał w knajpie.

– *Ciągle mówisz, że masz dla mnie coś, co nazywasz miłością* – nuci Nayhija do wtóru z Nancy. Jej głos jest niski, melodyjny, lecz równocześnie w jakiś trudny do zdefiniowania sposób nieludzki. – *Ale przyznaj, narozrabiałeś tam, gdzie nie powinieneś był rozrabiać*.

Wychyla się, otwiera skrytkę i wyjmuje z niej czarną baseballową czapkę. Naciąga ją na głowę i w słabym świetle deski rozdzielczej błyska mały czerwony znaczek wyhaftowany nad daszkiem. Widły albo trójząb. Ludzie nigdy nie są pewni, co właściwie widzą.

Nancy śpiewa tę samą piosenkę raz za razem, a pick-up podskakuje na wybojach, gdy asfaltowa szosa zmienia się w wąską polną drogę. Właściwie to same koleiny, między którymi rosną kępy chwastów. Droga skręca najpierw w prawo, wiodąc obok niewielkiego cmentarza, i dalej prosto, mając po jednej stronie niekończący się las.

Nayhija bierze ostry zakręt i wjeżdża między drzewa. Gałęzie szorują po karoserii z upiornym piskiem, obijają się o przednią szybę. Dodaje gazu, pokonując niewielkie wzniesienie i spod tylnych kół strzelają fontanny ziemi. Drogę oświetla jedyny reflektor pick-upa, wodząc rozedrganym snopem w górę i w dół.

Nayhija zatrzymuje wóz na czymś w rodzaju maleńkiej polany i wyskakuje z niego, zostawiając otwarte drzwi. Idzie na tył, chwyta za brezent i ściąga go. Przez chwilę patrzy na trójkę wciąż nieprzytomnych mężczyzn, rozchylając wargi w jakimś straszliwym grymasie.

Wkłada do ust poczerniałe do drugiego stawu palce i gwiżdże przeraźliwie. Ten dźwięk działa na Wesołą Trójkę jak sole trzeźwiące, płoszy również kilka okolicznych ptaków, które podrywają się z gałęzi z trzepotem skrzydeł. Gdzieś daleko rozlega się przejmujące wycie.

Pierwszy uchyla powieki Jasnowłosy. Prostuje się raptownie i ten nieprzemyślany ruch prowokuje falę bólu w poobijanej twarzy. Krzywi się, spogląda przed siebie i widzi Nayhiję. Jego oczy ciemnieją z gniewu.

– Ty! – mówi, mierząc w nią palcem. – Zapłacisz za to!

– Już zapłaciłam – odpowiada Nayhija lodowato. – Teraz wasza kolej.

– Pożałujesz tego! – rzuca Piegowaty, prezentując swój lisi wyraz twarzy. Chce splunąć na Nayhiję, jednak nie trafia.

– Poznajecie to miejsce? – pyta Nayhija, ręką zataczając łuk w powietrzu. – Powinniście. Jest bardzo podobne do tamtego.

– To naprawdę ona – szepcze Piegowaty z przejęciem.

Nayhija odwraca się i puszcza biegiem, znikając między drzewami. Mężczyźni zeskakują z pick-upa i ruszają za nią. Wokół słychać niespokojne szmery, posapywania i dziwaczne mlaszczące dźwięki. Jest ciemno, las oświetla tylko widmowy blask księżyca, lecz oni nie zwracają na to uwagi. Są zbyt wściekli, by się bać, w ich żyłach krąży adrenalina, wypalając zdrowy rozsądek.

– Tam! – woła Plaster, wskazując wysoką gałąź. – Tam jest!

Jasnowłosy podrywa głowę i patrzy w górę. Dostrzega Nayhiję dopiero po krótkiej chwili – jej twarz kryje się w cieniu daszka czapki, czarne spodnie i kurtka zlewają się z mrokiem, w którym toną drzewa. Kontrapunktuje go jedynie nikłe światło, w którym widać odbicie… Pociemniałe ze złości oczy Jasnowłosego rozszerzają się, gdy dostrzega rewolwer w jej dłoni.

– Może lepiej pójdziemy? – sugeruje Piegowaty. Nerwowo oblizuje usta, spoglądając na broń w taki sposób, jakby spodziewał się, że zaraz ożyje i zacznie strzelać sama z siebie. – Stary, ona ma cholernego colta!

– Zamknij ryj! – syczy Jasnowłosy.

– Spodoba wam się – mówi Nayhija, mierząc w nich czarnym okiem lufy. Z ich perspektywy musi się zdawać wielkie jak wlot armaty. – To będzie jak rodeo.

– Nie strzelisz, kurwo! – krzyczy Jasnowłosy. – Nie ośmielisz się!

Nayhija przekrzywia głowę.

– Pokażecie mi, jak to robią kowboje? – pyta i równocześnie oddaje pierwszy strzał. Zaraz po nim następny. Jej ręka odciąga kurek z nadnaturalną szybkością, tak że kolejne wystrzały zlewają się w jednostajny huk. Komór w bębnie jest sześć, lecz Nayhija napełnia je z tą samą nadnaturalną szybkością, z jaką strzela, przez co strumień pocisków zdaje się nieskończony. Teraz naprawdę jest rewolwerowcem, najlepszym z nich.

Mężczyźni krzyczą – z zaskoczenia, nie bólu, bo Nayhija strzela, ale nie tak, żeby ich trafić – gorączkowo przebierając nogami. I faktycznie wygląda to tak, jakby tańczyli jakiś obłędny taniec. Wokół nich tryskają fontanny ziemi, w powietrze wzlatują kępki trawy, wyrwane pociskami. Nie mogą uciec, strzały padają dookoła nich, więżąc w koszmarnym pierścieniu. W powietrzu unosi się ostra woń kordytu, rozbłyski ognia prowokują powidoki.

Wszystko trwa chwilę, choć w mniemaniu mężczyzn to zapewne cała wieczność. Nayhija strzela ostatni raz, unosi lufę i dmucha na jej koniec.

– Zabijesz nas? – chce wiedzieć Plaster. Jego ton waha się między pytaniem a prośbą. Nie dowierza w to wszystko, nie mieści mu się głowie, że właśnie strzelała do niego dziewczyna, która już od dawna jest martwa. To również słychać w jego głosie.

Nayhija odrzuca głowę i zaczyna się śmiać. To pusty dźwięk, przywodzi na myśl wiatr hulający w nawiedzonym domu.

– Nie ja – mówi. Oczy uciekają jej do wewnątrz, ukazując niebieskawe białka, i spada bezwładnie z gałęzi, jak gdyby straciła przytomność.

W momencie, gdy jej ciało uderza o ziemię, buchają z niego kłęby czarnego, smolistego dymu, z którego wylatują tłuste wrony, dobre dwa tuziny. Kracząc, rozpierzchują się na wszystkie strony, pozostawiając po sobie grzmiące echo i parę piór.

– O kurwa. – Plaster patrzy na gałąź, z której spadła Nayhija, z głębokim szokiem na twarzy i szeroko rozdziawionymi ustami. Jest blady, a srebrzyste światło księżyca dodatkowo to podkreśla, zmieniając go w zjawę.

– Co, do chuja? – Szczęka Piegowatego opada prawie do kolan.

Jasnowłosy stuka się w czoło, jak gdyby nagle dotarła do niego jakaś elementarna prawda.

– Piwo! – wykrzykuje w niemal ekstatycznym uniesieniu. – Dziwka dodała nam czegoś

do piwa. Mamy odlot, człowieku, to wszystko dzieje się tylko w naszych głowach.

– I wszyscy mamy tę samą halucynację? – pyta przytomnie Plaster.

Jasnowłosy posyła mu wściekłe spojrzenie.

– Czasem tak bywa, czytałem o tym.

– Nigdy nie widziałem, żebyś coś czytał – mamrocze Plaster i zaraz kuli się, gdy spada na niego pięść Jasnowłosego. Rozmasowuje ramię, w które tamten go uderzył, patrzy na niego z urazą, ale już się nie odzywa.

Piegowaty jęczy, przesłaniając usta ręką. Jasnowłosy i Plaster spoglądają na miejsce, w które ich kompan wpatruje się z paraliżującą paniką, i przywierają do siebie odruchowo, jak dwóch chłopców podczas burzy.

– Jezu! – skomli Plaster. Głos mu drży, tak jak on cały.

Nayhija materializuje się spośród nicości. Rozciąga wargi w nieprzyjemnym uśmiechu, stojąc niecałe dwa metry od nich, lecz żaden z Wesołej Trójki jej nie dostrzega. W tym celu musieliby się odwrócić, a żaden tego nie robi. Ich uwaga skupiona jest na parze żółtych ślepi zawieszonych w ciemności.

– To nie Jezus – odzywa się Nayhija i równocześnie spomiędzy kurtyny ciemności wyłania się potężny basior.

Mężczyźni się cofają, jednak wilków jest coraz więcej. Wychodzą z gęstego mroku, szczerząc kły i powarkując. Futra na karku mają zjeżone, ich ślepia płoną.

– Ogień – rzuca Jasnowłosy. – Wilki boją się ognia.

Piegowaty zaczyna przetrząsać kieszenie. Znajduje zapalniczkę, wyciąga ją, jednak gdy chce zapalić, wypada mu z drżącej dłoni i znika w trawie. Pada na kolana, wodząc rękoma pomiędzy źdźbłami, starając się ją odszukać.

– Zostaw, Vince – mówi Plaster, dostrzegając rewolwer leżący samotnie pod drzewem. – Mam coś lepszego.

Rzuca się w jego stronę z triumfalnym błyskiem w oku. Chwyta, podnosi, kładzie palec na spuście i zaczyna mierzyć w wilki. Nie może się zdecydować, którego zastrzelić najpierw, więc jego ramię robi serię szybkich, krótkich skoków.

– Nie wydaje mi się. – Rozlega się tuż obok jego ucha.

Piegowaty odwraca z zaskoczeniem głowę i w tym samym momencie silne kopnięcie wybija mu rewolwer z dłoni. Broń koziołkuje i znika gdzieś w kępie krzaków, a mężczyzna zaczyna wrzeszczeć, gdy kolejne kopnięcie łamie mu rękę. Słychać suchy trzask pękających kości i mdlące trzeszczenie, kiedy jedna z nich przebija skórę.

– Wiesz, co boli bardziej niż złamanie? – pyta Nayhija, szczerząc się dziko. – Zmiażdżenie. – Przydeptuje mu palce prawej dłoni, dociskając je do wystającego z ziemi płaskiego kamienia i zaczyna szorować obcasem, jak gdyby gasiła niedopałek.

Z gardła mężczyzny dobywa się przeciągły skowyt, oczy zachodzą łzami. Chce uwolnić dłoń, ale nie może. Drugą zwija w pięść i uderza Nayhiję w rękę, nogę, bok, ale nie przynosi to spodziewanego rezultatu. Jego ciosy to teraz dla niej zaledwie muśnięcia, nie mogą wyrządzić żadnej krzywdy. Już nie.

Jasnowłosy i Plaster patrzą na to w niemym przerażeniu. Nawet gdyby chcieli ruszyć koledze na pomoc, nie mogą. Wilki blokują im drogę.

– Pierdolę! – piszczy Plaster i rzuca się w tył.

Jasnowłosy odwraca się, patrząc w ślad za nim. Wykonuje ruch, jakby również chciał dokądś pobiec, lecz kłapnięcie paszczy tuż obok jego nogi każe mu zmienić zamiar. Próbuje się odsunąć, wyszarpnąć nogawkę dżinsów spomiędzy kłów wilka, ale nie daje rady. Potyka się i pada, szorując siedzeniem o trawę. Osłania głowę rękoma, przekonany, że wilk zaraz skoczy na

niego i rozszarpie, jednak zwierzę niczego takiego nie robi. Po prostu stoi, powarkując, świdrując go zdumiewająco inteligentnym spojrzeniem żółtych ślepi.

Plaster dopada pokaźnego drzewa i zaczyna się po nim wspinać. Pierwsza próba jest nieudana, mężczyzna zsuwa się po pniu, jednak próbuje znowu z niesłabnącą determinacją. Udaje mu się wdrapać na gałąź, niezbyt wysoką, raptem trzy metry dzielą ją od ziemi, ale w jego mniemaniu tyle wystarczy. Normalnie powinno, jednak tutaj nic nie jest normalne.

Na twarzy Plastra odmalowuje się szczątkowa ulga… która raptownie zmienia się w zaskoczenie. Spogląda na gałąź, na której siedzi, i widzi, że zaczyna się ona zmieniać, przeformowywać. Owalny kształt jakby topnieje mu pod palcami, wynurza się z niego szpiczasta krawędź. Trochę przypomina to średniowieczną Kołyskę Judasza, brakuje tylko, żeby ktoś zawiesił mu obciążniki na nogach.

– Robert, zabierz mnie stąd! – wrzeszczy Plaster, próbując spełznąć z gałęzi, która nie jest już gałęzią, teraz to śmiertelnie ostry ostrosłup. – Ratunku!

Przestaje się cofać, gdy krawędź tej nie-gałęzi rozcina mu spodnie. Po syku, jaki wydostaje się spomiędzy jego zaciśniętych zębów, można wnioskować, że otarła mu także skórę. Przywiera kurczowo do dziwnego tworu, na którym wisi, starając się z niego nie ześlizgnąć. Spogląda w dół i widzi cztery wilki, które wpatrują się w niego z bardzo ludzkim zaciekawieniem. Paszcze mają otwarte, dyszą, czekają.

Tyle że to szybko im się nudzi.

Pierwszy wilk wyskakuje w powietrze, kłapiąc zębami, ale mija stopę Plastra o parę centymetrów. W jego ślady idzie drugi, ale jemu udaje się już złapać czubek buta. Spada na ziemię razem z nim, a Plaster zaczyna się drzeć.

– Ratunku! Pomocy! Niech je ktoś zabierze!

Wilki skaczą raz za razem, starając się schwycić Plastra za nogi. Mimo że ten wierzga nimi wściekle, wreszcie im się to udaje. Wiszą, uczepione jego stóp, a ich ciała działają jak obciążniki. Plaster piszczy dziewczęcym głosem, starając się strącić basiory, ale tylko pogarsza sytuację. Rozlega się nieprzyjemny trzask i zaraz nie-gałąź robi się śliska od krwi, która skapuje na ziemię coraz gęstszym strumieniem. Światło księżyca przydaje jej czarnej barwy.

Z boku wygląda to tak, jakby nogi Plastra się wydłużały, lecz w rzeczywistości ostra krawędź wchodzi coraz głębiej w jego ciało, przepoławiając je. Uczepione kostek wilki potrząsają łbami, szamoczą się i stopniowo opuszczają coraz niżej. Plaster już nie piszczy, lecz wyje, podczas gdy rozrywane są kolejne partie tkanek, uwalniając splątane girlandy jelit.

Razem z krwią na ziemię ześlizguje się coś ciemnofioletowego, wypada z niego jak wypuszczony z ręki portfel. Krzyk Plastra urywa się w pół dźwięku, a on pada twarzą na to, co niedawno było gałęzią i rozcina sobie skroń. Widząc, że się nie rusza, wilki zaprzestają szarpania. Otwierają pyski, puszczając bezwładne już ciało, i nawołując się wzajemnie, odchodzą tam, skąd przyszły. Wszystkie, co do jednego.

Ciało Plastra przechyla się i zsuwa z gałęzi, która znów jest tylko gałęzią, po czym spada w kałużę krwi. Jasnowłosy patrzy na to z poszarzałą twarzą. Wstrząsają nim torsje, ale nie wymiotuje, jakoś udaje mu się powstrzymać. Odwraca głowę i spogląda w miejsce, w którym przed momentem stała Nayhija, lecz jej nie dostrzega. Widzi tylko Piegowatego.

– Vince? – pyta niespokojnie.

Jednak ten go nie słyszy, zamknięty we własnym koszmarze. Macha chaotycznie złamaną ręką, drugą bijąc się po twarzy. Usta ma szeroko otwarte, jak do krzyku, lecz nie krzyczy. Z jego gardła dolatuje tylko stłumione „mmmmm”, zupełnie jakby ktoś wetknął mu tam skarpetę. Tylko że to nie jest skarpeta.

To mrówki. Miliony mrówek.

– Znalazły sposób, żeby ich nie pogryzł – odzywa się Nayhija, pojawiając się w miejscu, w którym przed sekundą była tylko kępa trawy.

Jasnowłosy otwiera usta, lecz nie pada z nich żadne słowo. Patrzy to na Nayhiję, to na Piegowatego żywcem pożeranego przez mrówki. Pożeranego od wewnątrz. Jest ich tyle, że przestają już mieścić się w otwartych ustach. Pulsują na niej poczerniałą chmarą, wydając głodny szeleszczący odgłos. Jasnowłosy chyba chciałby go nie słyszeć.

Ręka Piegowatego uderza jeszcze parę razy i nieruchomieje. Mrówki jednak nie tracą zainteresowania, drepczą po nim, wchodzą na zachodzące mgłą oczy, znikają w nozdrzach.

Jasnowłosy przeciąga dłońmi po trawie, sprawdzając, czy owady nie idą również po niego. Następnie rozgląda się, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Rewolwer jest za daleko, nie zdąży po niego pobiec. Pozostaje mu tylko blefować.

– Nie podchodź! – krzyczy, ale ten krzyk jest żałośnie pozbawiony mocy. Widział, jak zginęli jego koledzy, i rozumie, że zaraz podzieli ich los. – Rozwalę cię!

– Mogłeś ich powstrzymać – mówi Nayhija, zmniejszając dzielący ich dystans, popatrując na niego bezlitosnymi oczyma. – A jednak tego nie zrobiłeś.

– Nie wiem, o czym do mnie pierdolisz! – fuka Jasnowłosy.

Wargi Nayhiji się rozchylają, ukazując zbyt wiele zbyt ostrych zębów.

– Wtedy, tamtego dnia… mogłeś wszystko zatrzymać, właśnie ty. Ciebie by posłuchali. Zawsze cię słuchali. Jednak przyzwoliłeś na całe zło, byłeś jego prowodyrem. I teraz za to zapłacisz.

W napiętej twarzy Jasnowłosego odmalowuje się żądza mordu. Skacze na równe nogi i wojowniczo wysuwa przed siebie pięści. W tej pozycji przypomina boksera, zbyt zamroczonego, by pamiętać, jak poprawnie trzyma się gardę.

– No, dawaj! – rzuca zaczepnie, przeskakując z nogi na nogę. – Dawaj, kurwa!

Nayhija rozkłada ramiona, uśmiechając się w niemal lunatyczny sposób, a on rzuca się na nią i na oślep zaczyna okładać pięściami. Przyszpila ją do ziemi, siada na niej okrakiem, uderzając raz za razem. Pod gradem ciosów twarz Nayhiji przestaje przypominać twarz, zmienia się w bryłę krwawiącego mięsa.

Ale dla niego to za mało.

Opanowuje go płomienny gniew, któremu daje się ponieść bez reszty. Krew, więcej krwi, śmierć i spustoszenie, tego chcą potwory. Nayhija to rozumie, sama stała się potworem.

Jasnowłosy ryczy i zaciska ręce na jej szyi. Dusi ją, jednocześnie uderzając głową dziewczyny o ziemię… I nagle przestaje. Jego oczy się rozszerzają, zmieniając w kratery czystego przerażenia, z twarzy odpływają kolory.

– Mamo? – pyta słabo, odsuwając się. – O Boże, mamo!

Przesłania usta dłonią, kręcąc głową w geście beznadziejnego zaprzeczenia. Zmasakrowane ciało leżące u jego stóp nie jest już Nayhiją. Możliwe, że nigdy nią nie było, tak właśnie myśli.

– Coś ty zrobił? – pyta Nayhija, materializując się obok niego. Opiera się o sosnę z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Na jej twarzy nie ma najmniejszego śladu po uderzeniach, odmalowuje się na niej tylko kiepsko maskowana odraza. – Zabiłeś własną matkę.

– To ty! – wrzeszczy Jasnowłosy. Po policzkach spływają mu łzy i skapują z drżącej brody. – To ty, kurwo! To ciebie zabiłem!

Nayhija zaczyna się śmiać. Ten śmiech to krakanie wron, w które niedawno się zmieniła.

– Jesteś pewien? Wierzysz świadectwu własnych oczu? Kto tam leży, Robercie? Kto leży tam naprawdę? – Wspiera dłonie nad kolanami i pochyla się, jakby chciała lepiej przyjrzeć się zwłokom. – Twoja matka? Przyjaciel? Ja? Nigdy nie będziesz tego wiedział. Nigdy na sto

procent. Właśnie ta niepewność cię zniszczy, oszalejesz przez nią. – Milknie, patrząc na niego wymownie i uściśla: – A już na pewno z moją drobną pomocą.

Jasnowłosy zaczyna głośno pochlipywać. Pociąga nosem, przełykając łzy i nie wygląda już jak mężczyzna, lecz chłopiec – skarcony, skrzywdzony, jednak nie niewinny. Patrzy na ciało zamordowanego przyjaciela, które na jego oczach zmienia się w ciało jego matki, by zaraz zmienić się w Nayhiję. Matka, przyjaciel, Nayhija. Nayhija, przyjaciel, matka. I tak w kółko. Aż do utraty zmysłów.

Odwraca głowę, lecz jakaś siła – ciekawość? Poczucie winy? Rodzący się obłęd? – ciągnie jego wzrok z powrotem w tamtą stronę. Kątem oka obserwuje tę niekończącą się przemianę martwych ciał i jego pochlipywanie przybiera na sile.

Syczy z niekłamanym bólem, gdy coś kąsa go w przedramię. Spogląda i widzi, że to mrówka. Właściwie wiele mrówek. Wychodzą z otwartych ust trupa i włażą na niego. Jasnowłosy krzyczy z obrzydzeniem, strząsa je z siebie i pełznie w tył, jak najdalej od nich. Podnosi się, zerkając przez ramię, próżno szukając drogi ucieczki.

– Masz. – Nayhija rzuca mu zwinięty sznur, który pojawia się w jej ręce znikąd. – Ułatwię ci to.

Jasnowłosy patrzy na zwój liny u swych stóp z bezmyślną zgrozą. Schyla się, muska go czubkami palców… i nagle rusza prosto na Nayhiję. Ta kuca i w tym samym momencie zza jej pleców wyskakuje potężny, czarny kocur.

To pantera.

Przednimi łapami uderza Jasnowłosego w pierś i powala na ziemię. Obnaża kły, warcząc przy tym głośno i wpatruje się w niego płonącymi ślepiami, zupełnie jakby rozumiała. Jakby doskonale wiedziała, czym sobie na to wszystko zasłużył.

Jasnowłosy wrzeszczy, wijąc się pod unieruchamiającym go cielskiem. Stara się je zrzucić, próbuje sobie wmówić, że to kolejna halucynacja, bo przecież tu nie ma panter, nie na tej szerokości geograficznej. Na próżno.

– Nie jesteś zdolny do wyrzutów sumienia, do skruchy – mówi Nayhija. – Nie ty. Nawet w obliczu śmierci tego nie potrafisz.

– Idź do diabła!

Nayhija kwituje jego słowa okrutnym uśmiechem.

– To właśnie zrobiłam – mówi i ledwie zauważalnie kiwa głową.

Widząc ten gest, pantera zatapia kły w szyi Jasnowłosego. Pazurami orze jego klatkę piersiową, podczas gdy z gardła mężczyzny wydobywa się przeraźliwy krzyk. Buchająca mu z ust krew nieco go tłumi, przez co brzmi trochę tak, jakby tonął.

Jasnowłosy żyje wystarczająco długo, by zobaczyć, jak kolejne machnięcie kocich pazurów doszczętnie rozcina mu pierś, zgrzytając o obnażone żebra. Zaciska palce na muskularnych barkach zwierzęcia, zagłębiając je w lśniącym futrze… i zaraz te palce rozchylają się i zsuwają. Jasnowłosy umiera z rozrzuconymi dłońmi i utkwionymi w nocnym niebie szklistymi oczyma.

Pantera odchodzi od ciała, oblizując się. Ten gest jest czysto odruchowy, nie ma zamiaru pożreć ofiary. Nayhija spogląda na nią w zamyśleniu. Przez jej twarz przetacza się cień czegoś, co mogłoby być uśmiechem. Jednakże bardzo smutnym.

– Dziękuję – mówi, wykonując coś na kształt lekkiego ukłonu.

Pantera odpowiada podobnym ruchem. Jeszcze chwilę patrzy na Nayhiję, po czym odwraca się i machając długim ogonem, znika pośród drzew. Przez sekundę widać unoszącą się stamtąd smużkę dymu.

Nayhija poprawia czapkę i rusza w przeciwną stronę, tam, gdzie zaparkowała pick-upa.

Nie ogląda się. Głowę ma uniesioną, spojrzenie nieprzejednane. W jej oczach odmalowują się płomienie.

Odpala auto, wsadzając paznokieć do stacyjki. Radio ożywa razem z silnikiem, a Nancy Sinatra śpiewa tę zapętloną piosenkę:

Te buty są stworzone do chodzenia i to właśnie będą robić. Któregoś dnia te buty po tobie przejdą.

5.

Wizja skończyła się nagle jak zerwany ze szpuli film. Adam poczuł szarpnięcie i ułamek sekundy później z powrotem był w swoim gabinecie.

I odkrył, że gabinet płonie.

Strony palących się książek w biblioteczce skręcały się i czerniały, afrykańska rzeźba zmieniła się w słup ognia. Rozległ się stłumiony huk – pękł blat szklanego stolika. Płomień trzaskał i rozprzestrzeniał się chciwie, wspinając po zasłonach, regałach, ścianach. Tyle że nie niósł ze sobą zwyczajowego podmuchu gorąca. Ten ogień – ogień Nayhiji – przynosił chłód. I pachniał mroźnym wiatrem.

– Nigdy nie znaleziono ciał – powiedziała Nayhija. Siedziała w jasnozielonym fotelu, z rękami na podłokietnikach i ze złączonymi kolanami, nie robiąc sobie niczego z pełzających wokół niej płomieni. Wyglądała dostojnie i groźnie zarazem, jak jakaś baśniowa królowa zniszczenia mająca pod sobą żywioły. – Możesz poprosić przyjaciela, żeby sprawdził w aktach.

Adam wolno pokręcił głową. Tylko mgliście zdawał sobie sprawę, że ma rozdziawione usta, a oczy rozwarte tak szeroko, jakby lada moment miały wyskoczyć z oczodołów. Był spetryfikowany, porażony.

– To nie będzie konieczne – wybąkał. Zaraz tu spłonie, oboje spłoną. Spłoną żywcem w tym mroźnym ogniu.

Nayhija, jakby odczytując jego myśli, rozejrzała się z lekkim zaskoczeniem. Płomienie odbijały się w jej szklistych oczach, tak jak tamtego dnia na leśnej polanie, oblewały policzki i włosy.

– Nie bój się – powiedziała miękko. Machnęła ręką i ogień zgasł. – Nie przyszłam tu po to, żeby cię spalić.

– Och – wyrwało się Adamowi. Powiódł wzrokiem po gabinecie, który wyglądał na nienaruszony. Nic nie zdradzało, iż przed chwilą było tu jezioro ognia, żadna ciemna smuga, nadpalony róg książki, nic. Tylko zapach mroźnego wiatru pozostał. – To… tamto. – Zakręcił młynka ręką przy skroni. – Wszystko, co widziałem… to było twoje… wspomnienie?

Nayhija skinęła głową i przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

– Nadal uważasz, że nie jestem potworem?

Adam splótł dłonie i się zamyślił. Nie istniała dobra odpowiedź na to pytanie, ponieważ ono samo zostało sformułowane w niewłaściwy sposób. Nayhija nie była człowiekiem, już nie, nie obowiązywały jej normy społeczne, stała ponad kodeksami, ponad zasadami. Jej moralność – jeżeli jeszcze jakąś miała – była niezrozumiała z jego punktu widzenia. Jednak czy była zła? Czy faktycznie była zła? Brutalna, to na pewno, ale „zła” nie było tu najtrafniejszym słowem.

– A czy gdybyś drugi raz miała okazję potraktować ich tak, jak oni ciebie, odeszłabyś? – spytał, parafrazując dawno przeczytane słowa.

Nayhija odrzuciła głowę i zaczęła się śmiać.

– Nie bądź naiwny, Adam.

Nie zdziwiła go ta odpowiedź. Właściwie nie liczył na żadną inną. To chyba ona ostatecznie utwierdziła go w przekonaniu, że wszystko to dzieje się naprawdę, że to nie sen. Nie. Nie tym razem.

– Ból jest złym doradcą – rzekł i ze zdumieniem odkrył, że zaprezentowana przez Nayhiję wizja chyba nawet nie ruszyła go tak, jak powinna. Prawdopodobnie dlatego, że tak niesamowicie przypominała film, a już zwłaszcza z tą zapętloną piosenką Nancy Sinatry. Inna

sprawa, iż będąc na jej miejscu, mógłby postąpić bardzo podobnie. Właściwie był tego niemal pewny i dopiero ta pewność go przeraziła. – To on popchnął cię do działania. Nienawiść to tylko skutek uboczny.

Oczy Nayhiji rozszerzyły się i zaraz zmieniły w szparki.

– Teraz ty również poznałeś, czym jest ból. – Jej twarz wykrzywił potworny grymas, odzierając ją z resztek człowieczeństwa. – Twoja żona umiera, Adam. Wiem, że to wiesz. Tak samo jak wiesz, że nikt nie jest w stanie jej pomóc. – Umilkła, wpatrując się w niego z przeszywającą intensywnością. – Nikt z wyjątkiem mnie.

– Pomóc? – zdziwił się Adam. – Dlaczego chcesz pomóc komuś, kto wygląda jak mężczyzna, który złamał ci serce?

Zakrzywionymi niczym szpony palcami Nayhija przejechała po podłokietnikach, pozostawiając na nich dymiące szramy.

– Nie jesteś nim – powiedziała. W jej głosie brzmiała tak złość, jak i gorycz, i Adam zrozumiał, że z jakichś względów Nayhija bardzo żałuje, że Jasper i on nie są jedną i tą samą osobą. – Nie ma znaczenia, że nosicie jedną twarz.

Adam wychylił się do przodu, krzywiąc się w duchu na jękliwe skrzypienie fotela.

– Jesteś pewna?

Nayhija uniosła dłoń i zaczęła przebierać palcami w powietrzu. Z ich koniuszków znów strzelił ogień. Było to coś w rodzaju niewypowiedzianej groźby, lecz tym razem Adam się nie bał. Mimo to wiedział, że nie powinien jej ufać. Współczuł tamtej dziewczynie, jednak to nie ona tu teraz przed nim siedziała.

– Myślisz, że co jeszcze wiesz? – Te słowa były jak wyzwanie, jak rzucona mu rękawica.

I Adam ją podniósł.

Zastanowił się przez moment, pocierając przy tym policzek.

– Że skrzywdził cię nie tylko tym, że cię zostawił – zaryzykował. Po jej spojrzeniu zrozumiał, że był to celny strzał.

Nayhija zachęciła go gestem, by mówił dalej. To był jakiś test? Forma zabawy właściwa dla bytów takich jak ona? A może coś w rodzaju spowiedzi?

Ty i tak tego nie zrozumiesz. Nie jesteś taki jak ona, nie jesteś w stanie pojąć rozumem jej motywów, więc daj sobie spokój.

Adam zmarszczył brwi. Rozwikłanie tej ponurej zagadki nie było znowu takie trudne. Wstrząsające przeżycie, bestialstwo, które zamyka ofiarę w szklanym sarkofagu odosobnienia. Młody mężczyzna spragniony dotyku i kobieta, która wzbrania się przed tym dotykiem. Instynkt bierze górę i…

– Zdradził cię – odgadł. – Perish cię zdradził.

Nayhija milczała chwilę. W gabinecie zaległa przejmująca cisza, zdawała się zsuwać na nich, osaczać. Cienie w rogach stały się zbyt długie, ruchome, jakby żyły jakimś sekretnym życiem. Żyrandol wydał z siebie serię zgrzytliwych mignięć.

– Trzydzieści dni – oznajmiła wreszcie. Ton miała lodowaty, w oczach coś takiego, że Adam mimowolnie się odsunął. – Tyle wytrzymał Jasper, zanim zaprosił do łóżka inną kobietę. Co ma na ten temat do powiedzenia psychologia?

– Nie przyszłaś tu słuchać o psychologii – zauważył Adam.

– Nie, nie przyszłam – zgodziła się. – W zasadzie wcale nie przyszłam tu z własnego powodu. – Założyła nogę na nogę. Jej wargi rozchyliły się w lekkim uśmiechu. – Tylko z twojego.

Brwi Adama podjechały do góry.

– To znaczy?

– Chcę złożyć ci ofertę, ale chyba już się domyślasz, jaką. Wyglądasz na bystrego chłopca.

– Wyleczysz Lindę – rzekł Adam i kiedy Nayhija przytaknęła, dokończył: – Jednak nie za darmo.

– Nawet Bóg nie daje niczego za darmo. – Uśmiech Nayhiji stał się nieprzyjemny. – Ale my mamy lepsze stawki.

Surrealizm tej rozmowy stawał się coraz gęstszy, zmieniał powietrze w żel. Jestem w króliczej norze, pomyślał Adam.

– Czego chcesz w zamian? – spytał, przełykając ślinę.

– Ciebie – odparła Nayhija ze wstrząsającą szczerością. – Jedna noc z tobą w zamian za jej zdrowie. Żadnych ukrytych haczyków, słowo.

Adam oniemiał. Tyle że, Chryste, bądźmy szczerzy, czy nie czegoś takiego powinien się spodziewać? Wszystkie te sny, to, jak Nayhija zachowywała się wobec niego na jawie… Od początku o to jej chodziło. Wyłącznie o to.

A jeżeli to, co mi pokazała, było tylko iluzją?, zastanowił się, zdjęty nową falą trwogi. Cała jej historia, uczucia, jakie w niego wlała… to mogła być tylko gra. Kot bawi się z myszą, zanim ją pożre, i ona robiła to samo. Gwałt, rozpacz, cierpienie, pozorowane poczucie winy, cały spektakl, akt po akcie, odegrany właśnie dla niego. Nie mógł jej ufać, to pewne. Nie powinien jej również współczuć… lecz robił to mimo wszystko. I na jakimś nieoczekiwanym, niepożądanym poziomie wciąż jej pragnął.

Adam wziął głęboki wdech i wolno wypuścił powietrze.

– Myślisz, że się na to zgodzę?

Nayhija uśmiechnęła się szeroko.

– Tak – odparła. – Ponieważ ją kochasz.

Adam poczuł, że palą go policzki. Ręce mu drżały, toteż je zacisnął.

– Co za brednie! – wybuchnął, podrywając się z fotela. – Czy uważasz, że przekreślę całe swoje życie dla twojego widzimisię? Oferujesz mi pomoc? Tak ci się wydaje?! To nie pomoc! To, co mi proponujesz, to zniszczenie!

Nayhija przewróciła oczami.

– Naprawdę oczekujesz, że ktoś, kto poznał w życiu jedynie cierpienie, będzie chciał budować, nie niszczyć? – odpowiedziała pytaniem.

– I dlatego zamierzasz mi urządzić takie piekło, jakiego sama doświadczyłaś? Bo umiesz odwzorować jedynie zło, bo teraz już cała się z niego składasz?

Nayhija pokiwała palcem na boki, cmokając przy tym.

– Jesteś opłatą, Adam, warunkiem niezbędnym. Jeżeli kochasz Lindę tak mocno, jak ci się wydaje, zgrzeszysz, by pozostała przy życiu.

Adam przywołał wszystkie te opowieści o kuszeniu, zwodzeniu, zawieraniu paktów z ciemnymi mocami. Coś tu się nie zgadzało, Nayhija nie mówiła całej prawdy. Właściwie w ogóle jej nie mówiła.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – zapytał, robiąc przy tym bliżej nieokreślony ruch ręką. – Czy nie powinno ci raczej chodzić o moją duszę?

– Dusze są przereklamowane.

Adam uderzył pięścią w blat biurka. Kosmyk włosów zsunął mu się na czoło.

– Dlaczego?!

Oczy Nayhiji błysnęły. W górze coś złowieszczo skrzypnęło, jakby lada moment sufit miał runąć im na głowy.

– Bo chcę spędzić noc w ramionach takiego Jaspera, który potrafi kochać – powiedziała

cicho. – Zadowolony?

To była jedyna prawda, jaką mogła mu dać. Mętna, niezrozumiała, skąpana w wielu odcieniach fałszu.

– Ciebie przez to nie pokocham – skwitował Adam.

Nayhija odrzuciła pasmo włosów na plecy i spojrzała na niego wyniośle, unosząc podbródek.

– Nigdy nie chciałam być czyjąś nagrodą pocieszenia, namiastką. – Jej spojrzenie zasnuła dziwna mgła. – Chodzi o… zamknięcie pewnych spraw. Po prostu.

– Chodzi o to, że chcesz ze mną pograć – odgryzł się Adam. – Po prostu.

– Pograć? – Brew Nayhiji podjechała wyżej na czoło.

– Poznałaś mnie dobrze, nie mam racji? – Adam zaśmiał się chrypliwie. – Och, oczywiście, że tak. Wiesz zatem, co dla mnie oznacza pójście na twój układ. Nie potrafiłbym żyć z czymś takim, nie u boku Lindy.

Nayhija patrzyła na niego nieporuszona. Ogień zatańczył na koniuszkach jej palców i zniknął.

– Zdziwiłbyś się, z czym można żyć.

Adam otworzył usta, chcąc zaoponować, gdy nagle uzmysłowił sobie coś innego.

– Nigdy nie powiedziałaś, skąd właściwie znasz moją żonę – rzekł, uderzony tym prostym i nigdy nie wyjaśnionym faktem. – Bo to, że się znacie, nie ulega wątpliwości.

Twarz Nayhiji była idealnie nieruchoma jak twarz karcianego oszusta. Próżno było cokolwiek z niej wyczytać.

– Wyczuwam osoby w potrzebie. – Ogień, który tańczył na jej palcach, teraz odmalował się na dnie jej oczu. – To taki specjalny dar.

Adam chrząknął i uciekł od tego spojrzenia. Podszedł do okna, za którym zbierały się ciemne chmury. Gdzieś w oddali przetoczył się grom.

– Jest z nią źle, prawda? – zapytał, mimo że doskonale znał odpowiedź. – Ty zrobiłaś coś, co powstrzymuje objawy, ale… jest źle. Ile czasu jej zostało? Ile czasu mam, żeby…

– Moja oferta jest ważna jeszcze cztery dni – przerwała mu Nayhija sucho. – Po tym czasie oboje będziecie mogli iść do diabła. Linda, zdaje się, zrobi to trochę szybciej niż ty.

– Jak śmiesz – wycedził Adam. – Jakim prawem w ogóle…

Nayhija uciszyła go gestem. Równocześnie z biblioteczki wypadło kilka książek. W zamkniętym pomieszczeniu huk był taki, jakby ktoś strzelił z magnum.

– Nie chcesz powiedzieć czegoś, czego możesz żałować – przestrzegła. – To nie byłoby rozsądne. Nie wobec kogoś, kto może wyleczyć twoją żonę ze śmiertelnej choroby.

– Po tym, czym zapłacę za leczenie, Linda nie będzie już moją żoną – powiedział Adam jakby do siebie.

– Obciążysz swoje sumienie tak czy inaczej. – Nayhija wstała. – A kiedy zdecydujesz, że wolisz jednak nie być mordercą, znajdziesz mnie.

Adam wlepił w nią ogłupiałe spojrzenie.

– Co? Jak?

– Jeżeli ci zależy, znajdziesz mnie. – Nayhija odwróciła się i zaczęła iść prosto na zamknięte drzwi. Gdy dzieliło ją od nich parę centymetrów, po prostu się rozpłynęła, pozostawiając po sobie czarny dym.

Adam jęknął, patrząc w tamtą stronę rozszerzonymi szokiem oczyma.

– W miejscu, w którym umarła miłość – doleciały go jej słowa, choć pewnie Nayhija była już daleko.

6.

Nayhija zamaszyście pchnęła drzwi, wypadła przez nie i zbiegła po schodach, nie oglądając się. Skręciła za róg i ruszyła dalej, w dół ulicy. Szła, ręką szorując o ściany budynków, pozostawiając na nich tlące się czarne szramy. Jej długie paznokcie krzesały iskry, które spływały na walające się po chodniku papiery. Mogły zapalić się w każdej chwili. I dobrze. Chciała ognia. Potrzebowała go. Było jej zimno, w środku było jej tak przeraźliwie zimno.

Płonęła.

Przeszłość i teraźniejszość mieszały się w jej umyśle, tworząc osobliwy twór, będący jakimś niepojętym strumieniem czasu. Niemożliwym. Rozdzierającym. Strasznym.

Kochała i nienawidziła, cierpiała i kąpała się w błogim szczęściu, unosiła się i spadała. Był chłodny październikowy dzień i widziała Jaspera po raz pierwszy. Przepadała w oceanie jego spojrzenia, podążała za jego głosem, za melodią serca. Chłód ustępował dusznemu latu. Jasper był Adamem. Uczucia odbijały się echem, powracały wszystkie zagubione w czasie momenty. Letnie słońce gęstniało, przetapiało się w mrok. Prawda i fałsz stawały się synonimami, formowały nowy porządek. Adam zmieniał się w mężczyznę w czerni.

Krzyczała. W środku krzyczała, mimo że na zewnątrz jej twarz przypominała maskę – bladą, znieruchomiałą w grymasie, który mógł być wszystkim. Kiedy wyszła na kolejną ulicę, szyby w okolicznych budynkach trysnęły szkłem. Deszcz odłamków zalał chodnik, spadł na samochody. Ktoś zaczął krzyczeć, że to bomba, ktoś inny uciekał, ciągnąc za sobą kwilące dziecko.

Nayhija minęła parę biegnących w przypadkowych kierunkach osób, tylko skrawkiem świadomości rejestrując, co się dookoła dzieje. Dźwięki, zapachy, kształty – wszystko na tym poziomie było bez znaczenia. Zostawiła za sobą długą kolumnę samochodów i podeszła do zaparkowanego na końcu ulicy forda mustanga. Zmiotła kawałki szkła z przedniej szyby, obeszła go i wskoczyła za kierownicę. Uruchomiła silnik tak jak zawsze, wsuwając paznokieć do stacyjki, i odjechała z piskiem opon.

Daleko.

Do miejsca, w którym umarła miłość.

7.

Linda obiecała sobie, że nie będzie piła, i udało się jej wytrzymać w tym postanowieniu dwa dni. Tylko że był pewien szkopuł. Takimi idiotycznymi zakazami sama z siebie robiła alkoholiczkę, którą przecież nie była. Nie była, na litość boską! Tamten… przykry incydent, cóż, to była konsekwencja

(domów, które znikają, napisów, które mówią, i kontraktów, których nie da się anulować)

napiętych nerwów, zwyczajne potknięcie, nie skutek uzależnienia. Na pewno nie. Żeby więc udowodnić sobie, że nie ma problemu z alkoholem, postanowiła wysączyć lampkę wina. Góra dwie. Chodziło wyłącznie o demonstrację, o to, by udowodnić samej sobie, że mogła przestać, kiedy chciała.

W starej koszulce Adama, z kieliszkiem w dłoni zajęła miejsce w swoim ulubionym fotelu w salonie. Przeczytała parę stron książki, ale niespecjalnie mogła się skupić na tekście, toteż ją odłożyła. Włączyła telewizor, zaczęła skakać po kanałach i wreszcie zatrzymała się na jakimś przypadkowym. Nie koncentrowała się na tym, co leciało na ekranie, chodziło o to, by przełamać ciszę. Czymkolwiek, tylko nie własnym głosem.

To byłby upiorny dźwięk.

Wskazówki zegara zdawały się pędzić coraz szybciej, odcinając kolejne minuty do końca kontraktu. Tych kilka dni, które pozostały, miało zadecydować o wszystkim. Mawiają, że umierająca osoba niczego tak nie pragnie, jak pozostać przy życiu, ale jej najwyraźniej to nie dotyczyło. Nie to, że chciała umrzeć, oczywiście, że nie. Chyba po prostu osiągnęła taki poziom koszmaru, iż było jej już wszystko jedno. Niepewność karmiła się jej strachem i w końcu go pożarła. Była w tym pewna groza, ale również swoista wolność. Nic do stracenia, tylko wieczność. Ta myśl przyniosła ukojenie, sprawiła, że spłynął na nią chłodny spokój.

Zaakceptowałaś swój los. Wreszcie go zaakceptowałaś, stąd ten spokój. Umrzesz, każdy umiera. Czy prędzej, czy później, czy za sprawą niewierności męża, czy z jakiejkolwiek niepoznanej przyczyny, nie robi ci to już różnicy. Gratuluję.

Usłyszała zgrzyt przekręcanego w zamku klucza i na jej usta wypłynął lekki uśmiech. Jej zbawca bądź jej kat. Mężczyzna, w którego rękach spoczywał jej los. Jej kochany mąż. Adam.

– Linda… – zaczął, stając w progu. Jego wzrok prześlizgnął się po pustym kieliszku i powędrował do jej twarzy. – Prosiłem cię…

– Nie zachowuj się jak paranoik, nie jestem pijana. – Wstała, przeszła na środek pokoju, stanęła na jednej nodze, wychyliła się i palcem prawej ręki dotknęła nosa. – Widzisz? Czy mogłabym tak zrobić, gdybym była pijana?

– Dobrze, już dobrze. – Czoło Adama się rozpogodziło. Postąpił krok naprzód i rzucił teczkę na kanapę. Jedno ramię cały czas trzymał za plecami. Wyciągnął je ze słowami: – Proszę, to dla ciebie.

Linda w zdumieniu spojrzała na bukiet białych róż. Jej ulubionych.

– Są piękne. – W jej umyśle zrodziła się straszliwa myśl, że kwiaty są dlatego, że Adam właśnie wrócił ze spotkania z Nayhiją, podczas którego zerżnął ją na wszelkie możliwe sposoby, jednak odepchnęła ją od siebie. Z nieopisanym trudem, ale odepchnęła. – To z jakiejś okazji? – zainteresowała się, przyjmując kwiaty.

Adam wzruszył ramionami.

– Bez okazji. Bo cię kocham. – W oczach miał coś takiego… jakiś cień tęsknoty, jak gdyby zamierzał wyruszyć w długi rejs, z którego obawiał się, że może nie powrócić.

– Wszystko w porządku? – spytała niespokojnie. Mało brakowało, a wypuściłaby z rąk bukiet.

Adam skinął głową i przygarnął ją do siebie.

– W najlepszym, skarbie – zapewnił, z policzkiem przytulonym do jej policzka.

Linda przywarła do niego całym ciałem. Rękę z kwiatami trzymała trochę z boku, by nie pokłuć męża kolcami róż ani siebie. Chciała z nim być, potrzebowała go, łaknęła bliskości. A jedyne, co umiała, to go odtrącać. Boże, jakie to było gówniane.

– Nie puszczaj mnie – wyszeptała.

Adam oplótł ją w pasie i zakołysał, zupełnie jak podczas tańca.

– Nigdy – obiecał.

Linda uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, porażona ich przejmującą głębią. Ten wieczór jest szczególny, zrozumiała, jest punktem bez odwrotu, jest czymś w rodzaju pożegnania. Naszą ostatnią iluzją. Wszystko się kończy i oboje to wiemy. Odpływa prom, na który jedno z nas się spóźniło. Świat się rwie, świat się kończy.

A co robią ludzie, gdy kończy się świat? Tańczą, wznoszą toasty i kochają się.

I to właśnie zapragnęła uczynić.

Zerknęła na bukiet i niemy krzyk uwiązł jej w gardle. Przez jedną koszmarną sekundę była przekonana, że białe płatki róż są czerwone od krwi, która z nich skapuje. Linda zamrugała i spojrzała ponownie, wypuszczając wstrzymywane powietrze. Nic, żadnej krwi. No oczywiście, że nie.

Jeszcze nie.

8.

Adam patrzył, jak Linda wraca z napełnionym do połowy wodą wazonem z rżniętego szkła, jak wstawia do niego bukiet. Poruszała się lekko, zmysłowo. Sama myśl, że w tym drobnym ciele zagnieździła się śmiertelna choroba, wydawała się absurdalna.

Udawaj dalej. Udawaj, że to wszystko nonsens. Dobrze ci to wychodzi.

Linda przesunęła wazon na środek stolika. Uwadze Adama nie uszło, że jej ostrożne ruchy są zorientowane na to, by przypadkiem nie dotknąć kwiatów. Spojrzała na nie krytycznie, zaaprobowała położenie, po czym przeniosła wzrok na męża.

– Jak uczcimy tak przyjemnie rozpoczęty wieczór? – spytała. Jedną ręką opierała się o stół, kusząco eksponując biodro.

Adam dobrze wiedział, co miała na myśli. Umiał czytać między wierszami, znał ich sekretny małżeński język.

– Przechodząc od razu do deseru – odparł, łapiąc Lindę w talii. Pociągnął ją w tył, okręcił dookoła – słodką dziewczynkę na najlepszej karuzeli w mieście – i postawił przed sobą.

Linda uśmiechnęła się szelmowsko.

– Podoba mi się to.

Adam przejechał dłonią ku górze, zadzierając jej koszulkę, odsłaniając brzuch i piersi. Linda nie lubiła nosić stanika, gdy była w domu, tym razem również go nie miała. Adam bardzo sobie chwalił ten nawyk. Pochylił się, pocałował ją w szyję, skubnął zębami płatek ucha. Jedną ręką gładził jej pierś, palce drugiej miał wplecione w jej włosy.

Linda mruknęła, splotła mu dłonie na karku i łapczywie wpiła się w jego usta. Adam chwycił ją za pośladki i podniósł, na co ona oplotła go nogami. Spojrzała na niego przeciągle i machnęła głową w stronę holu, mówiąc tym samym: zanieś mnie do sypialni. To także był element ich sekretnego małżeńskiego języka, w którym słowa były zbędne.

Obsypywany pocałunkami Adam wniósł żonę po schodach. Jej ciało było rozpalone, płonęło z pożądania. Czuł to tak, jak czuł, iż sam również płonie. Linda zgrabnie ześlizgnęła się na ziemię, muskając jego krocze. Ujęła dłoń męża i pociągnęła, więc podążał jak zahipnotyzowany, patrząc na jej opalone nogi, bose stopy i fragmenty pośladków widoczne pod kusymi szortami. Czy naprawdę kiedykolwiek pomyślał o innej kobiecie? Och, naprawdę? Dzieląc życie i łóżko z kimś takim jak ona?

Linda weszła do sypialni, włączyła lampkę i zaczęła kołysać się leniwie w jakimś szczególnym rodzaju tańca. Muzyka nie była jej potrzebna, miała ją w sobie, oboje mieli. Adam obserwował ją z pewnej odległości. Rzuciła mu zalotne spojrzenie, zakręciła biodrami i przedryfowała mniej więcej na środek pokoju. Kiwnęła na męża, lecz i bez tego by do niej podszedł. Podniecenie było zbyt silne, popychało go ku niej. To nie było tamto ślepe, szatańskie podniecenie, które dopadało go podczas snów zbyt realnych, by nazywać je snami. Nie, to było prawdziwe, zrodzone z miłości.

Pchnął Lindę na łóżko i wpełzł na nią, jednak ona zrobiła zgrabną przewrotkę, tak że to Adam znalazł się pod spodem. Polizała go w usta, ściągnęła koszulkę i naparła na niego nagimi piersiami. Wiła się na nim, jej ruchy doprowadzały go do szaleństwa. Adam chwycił gumkę jej szortów i pociągnął, na co odpowiedziała tym szczególnym uśmiechem.

– Tak jak lubię, dobrze? – wymruczała.

– Mhmm.

Linda płynnym ruchem ściągnęła szorty i odrzuciła je za siebie, po czym zabrała się do

rozpinania koszuli Adama. Zaraz za koszulą poszły spodnie. Kiedy był tak samo nagi jak ona, parę razy przejechała dłonią po jego sztywnym członku, następnie usiadła na nim okrakiem i zaczęła przesuwać się wyżej. Adam ujął jej biodra, gdy zawisła parę centymetrów nad jego twarzą i przejechał językiem po wilgotnym zagłębieniu między jej udami. Linda jęknęła i osunęła się niżej, poddając mu się.

Zaczęła rzucać biodrami, wypychając je do przodu, w miarę jak pieszczoty Adama stawały się intensywniejsze. Głowę miała odchyloną, rękoma opierała się o zagłówek łóżka. Adam wprawnie penetrował ją językiem, odnajdując wszystkie zakamarki. Jęki Lindy, jej smak, zapach, wszystko to było obłędną mieszanką, oszałamiało go. Lubił zaspokajać ją w ten sposób, cholernie go to nakręcało.

Wreszcie poczuł, że jej ciałem wstrząsa spazm rozkoszy. Linda wygięła się i chwilę trwała w takiej pozycji, pozwalając mu sycić się tym widokiem, po czym zsunęła się na bok.

– A teraz co? – spytała, wspierając się na łokciu. Policzki miała zarumienione, oczy błyszczące.

Adam uwielbiał to, jak wyglądała po orgazmie i zapragnął dać jej kolejny.

– A teraz cię zerżnę – rzucił, ciągnąc ją ku sobie.

Linda zachichotała. Okręciła się, po czym klęknęła na łóżku i wypięła ku niemu pupę. Adam złapał ją poniżej talii i wszedł w nią. Mocno, agresywnie. Linda wydała z siebie gardłowy pomruk, po którym zaczęła poruszać biodrami, synchronizując swój rytm z tym wyznaczanym przez Adama.

Wszelkie myśli odpłynęły mu z głowy, istniał tylko pęd ku spełnieniu. Adam pchnął po raz kolejny i wycofał się, dając Lindzie znak, by się obróciła. Gdy to zrobiła, opadł na nią, przyszpilając do materaca i ponownie wszedł w nią, wilgotną i gorącą. Chciał patrzeć jej w oczy, chciał widzieć każdy grymas na jej twarzy.

– Kocham cię – wydyszał jej w ucho, czując, że dochodzi.

– Ja… ciebie… też. – Linda wierzgnęła pod nim, szorując mu paznokciami po plecach.

Orgazm eksplodował w nim, porażając jasnością. Świat skurczył się do rozmiarów łebka od szpilki, by w następnej chwili zupełnie przestać istnieć. Adam zsunął się z Lindy, nie odrywając spojrzenia od jej roziskrzonych oczu. Było mu dobrze, cudownie, idealnie. Tylko jakiś cichy głosik w nim przypominał, że…

– Coś do picia i prysznic? – zagadnęła Linda i zaczęła przesuwać palcem po jego torsie.

Adam skinął głową.

– A później znów ty.

Linda przyjęła jego słowa z zadowoleniem. Ześlizgnęła się z łóżka i wyciągnęła ku niemu rękę.

– No to chodź – zachęciła.

I Adam z nią poszedł.

9.

Leżąc w łóżku obok Adama, Linda starała się odpędzić myśli, od których nie było ucieczki. Ten wieczór, ten seks, to naprawdę było ich pożegnanie. Czuła to każdym porem skóry, ta informacja zawierała się w każdym dźwięku, każdym oddechu. Kochali się z dziką, płomienną pasją, z werwą i niecierpliwością nastolatków, zupełnie jak tej pierwszej nocy, którą postanowili razem spędzić.

Historia zatoczyła krąg.

Początek i koniec, życie i śmierć.

Czy mogła to jakoś zatrzymać, zapobiec katastrofie? Nie, oczywiście, że nie. Przecież nie przywiąże męża do kaloryfera, nie będzie w stanie kontrolować go w każdej sekundzie do momentu, w którym minie termin kontraktu. To było nierealne. Ponadto jeżeli Adam naprawdę to zrobi… Czy po czymś takim nadal chciałaby z nim być, nawet gdyby jakimś cudem nie miała raka? Czy oboje by tego chcieli?

Trzydzieści dni, Lindo. Tyle czasu potrzeba. Zawsze. Za każdym razem.

Jej myśli przeskoczyły od Adama do płatków róż. Nie białych, a czerwonych jak logo Fundacji Ostatniej Szansy. Czerwonych od krwi, którą zostały splamione. Linda poczuła, że na jej ramiona występuje gęsia skórka i wtuliła się w Adama.

– W porządku? – zapytał.

– Tak – odparła kłamliwie, myśląc: To pożegnanie, to nasze pożegnanie.

Niedługo później opadł na nią sen.

W tym śnie podpisywała

(cyrograf)

kontrakt.

10.

Adam wsłuchiwał się w miarowy, spokojny oddech żony. Spała głęboko, lecz on nie czuł się senny w żadnym razie. Zmęczony? Może odrobinę, jednak nie senny. Już szybciej zafrapowany, zaniepokojony. Wrażenie było takie, jakby zawisło nad nim ciężkie, śmiertelnie ostre wahadło i zsuwało się coraz niżej i niżej. Przepołowi go, jeżeli na czas nie podejmie decyzji. Przepołowi ich oboje.

„Jeżeli ci zależy, znajdziesz mnie".

Adam ostrożnie przekręcił się na bok, obserwując niespokojne cienie za oknem. Czy faktycznie rozważał tę bluźnierczą ofertę? Czy rzeczywiście dostrzegał w niej jedyną nadzieję? Ależ tak. Zobaczył dość, by wiedzieć, że to nie Jakieś Nieporozumienie. Zobaczył dość, by uwierzyć. I jeżeli nadal będzie tak leżał i dumał, zamiast coś zrobić, to będzie tak, jakby własnoręcznie uśmiercił Lindę. Za nieco ponad czterdzieści osiem godzin przepadnie wszelka szansa na jej uratowanie, tak przedstawiały się fakty. Co więc mu pozostało? Odnaleźć Nayhiję, to oczywiste. Tylko gdzie, do kurwy nędzy, miał zacząć, skoro mogła być dosłownie wszędzie?

W miejscu, w którym umarła miłość.

No tak, szalenie precyzyjna wskazówka. Chociaż zaraz…

Oczy Adama rozszerzyły się i błysnęły jakimś pełnym niedowierzania zrozumieniem. W jego umyśle rozległo się subtelne *bing, bing, bing,* ciągnąc za sobą smugę pulsującego czerwonego światła.

Zerknął na Lindę, po czym wyślizgnął się z łóżka. Znalazł swoją komórkę i rzuciwszy żonie ostatnie spojrzenie, wyszedł z sypialni. Zszedł na dół, do kuchni, i nalał sobie szklankę wody. Wypił i wybrał numer.

Mike odebrał po trzecim sygnale.

– Nie obudziłem cię? – spytał Adam niemal szeptem. Idiotyzm, nie musiał szeptać, Linda spała na górze, nie czaiła mu się za plecami.

Po drugiej stronie rozległ się bliżej niezidentyfikowany dźwięk. Coś jakby śmiech, ale nie do końca.

– Policjanci są jak delfiny – stwierdził refleksyjnie Mike. – Nawet jeżeli śpimy, to tylko jedną półkulą. Druga cały czas czuwa.

– Fantastyczna umiejętność. – Adam przeciągnął dłonią po twarzy. – Wybacz, że dzwonię o takiej porze, ale… coś nie daje mi spokoju.

– Zgaduję, że Nayhija. – W głosie Mike'a brzmiał uśmiech. – Jeżeli chcesz wiedzieć, czy dogrzebałem się do czegoś więcej, to przykro mi, ale nie.

– Nie, nie. – Adam machnął ręką, jak gdyby Mike faktycznie mógł ten gest zobaczyć. – Chodzi o coś innego – powiedział i umilkł, zastanawiając się, czy naprawdę właśnie widział czarnego kota na parapecie, czy tylko go sobie wyobraził.

– No, słucham – ponaglił Mike. – W czym mogę ci pomóc, bracie? Wal śmiało.

– Ten cały Perish, wiesz, gdzie został pochowany? – wypalił Adam. Jedna z zasad głosi, że gdy dzwonisz do kogoś o wpół do czwartej nad ranem, nie musisz silić się na zbędne wstępy, tylko rąbiesz tym, co ci leży na wątrobie.

Mike sapnął.

– Nie chcę wiedzieć, skąd to pytanie o sztywnego w środku nocy, nie?

– Nie chcesz – potwierdził Adam. Usta miał ścierpnięte, właściwie tak jak całą twarz. Po plecach spływał mu zimny pot. Właśnie wprawił ten obłędny mechanizm w ruch i nie było już

odwrotu. – To wiesz, gdzie go pochowali, czy nie?

– Taa, miałem gdzieś zapisane. Poczekaj chwilę, dobra?

– Jasne.

Adam usłyszał stłumiony odgłos kroków i skrzypnięcie drzwi, potem jakiś szmer, jakby rozmowę. Stał z przymkniętymi oczami i czołem wspartym na przedramieniu, które z kolei opierał o przyjemnie chłodną ścianę. Odnosił osobliwe wrażenie, że czas płynie jakoś inaczej – cofał się, zataczał łagodne łuki, zniekształcając porządek świata.

– Mam – powiedział Mike, szeleszcząc czymś przy słuchawce. Adam aż podskoczył na dźwięk jego głosu. – Perish został pochowany na cmentarzu Hillcrest w Conway.

– Conway – powtórzył Adam, smakując to słowo. – To będzie jakieś…

– Mniej więcej pięćset kilometrów na południowy wschód stąd – dokończył Mike.

– Plus minus pięć godzin jazdy – mruknął Adam, drapiąc się po policzku.

Po drugiej stronie Mike wciągnął powietrze z głośnym świstem.

– Pojedziesz tam? – zapytał zszokowany. – Po co, cholera? Żeby facetowi kwiatki postawić?

– To nie tak. Ja tylko…

– Nie widziałeś się z Nayhiją od naszej ostatniej rozmowy? – zainteresował się Mike. Twardy, dociekliwy glina wysforował się na prowadzenie. – Nie nachodziła cię? Nie nękała telefonami? Nic?

– Nie – skłamał Adam. – Po prostu chciałem się dowiedzieć, gdzie pochowano faceta, który wygląda jak ja. Teraz mogę spać spokojnie.

– Oprócz tego, że jesteśmy jak delfiny, potrafimy wywęszyć kłamstwo, bracie. – Mike przemawiał spokojnie, jednak pod tym spokojem kryła się troska, wręcz obawa. – Nie powinieneś w to brnąć, mówiłem ci.

– W nic nie brnę. Chodziło wyłącznie o zaspokojenie ciekawości. No, i może jeszcze o potwierdzenie pewnego przeczucia. – Adama nawet nie zdziwiło, z jaką łatwością kolejne kłamstwa prześlizgiwały mu się przez usta. Już niedługo cały będzie się z nich składał. A potem będzie się smażył w piekle.

– Przeczucia? Zabawne, bo ja też mam ich kilka. Pierwsze mówi mi, że jutro, najdalej pojutrze wybierzesz się na wycieczkę do Conway. Drugie, że twoja czarująca przyjaciółka, Nayhija, miała coś wspólnego z tym pierdolonym wyścigiem. A uściślając, ze zgrają trupów.

– No cóż… – Adam przyłapał się na tym, że od dłuższej chwili nerwowo skrobie paznokciem tynk.

– Widzieliśmy ją, wiemy, że tam była – kontynuował Mike. – Człowieku, nie chcesz wiedzieć, co się dzieje w wydziale. Peters jest bliski załamania nerwowego. Sprawa tych ukatrupionych motocyklistów jest tak dziwaczna, że gość autentycznie wariuje. A tak się mało zabawnie składa, że my znamy pewną bardzo dziwaczną osobę. Dlatego dobrze ci radzę, trzymaj się z daleka od wszystkiego, co ma związek z Nayhiją Marą.

– Raczej nie znaleźliście dowodów na to, że to ona zabiła tych ludzi – zauważył Adam.

W słuchawce rozległ się tępy huk – coś ciężkiego spadło na ziemię lub może to pięść Mike'a w coś uderzyła.

– Nie znaleźliśmy w ogóle żadnych dowodów. Na nic.

Adam nie był tym ani trochę zaskoczony. Nie teraz, gdy wiedział już, kim jest Nayhija. Zakładając, rzecz jasna, że to na była odpowiedzialna za tę masakrę.

Och, dobrze wiesz, że była. I tak czy inaczej pchasz się jej prosto w paszczę.

– Mike, co byś zrobił, żeby uratować ukochaną osobę? – zapytał nagle Adam.

Czy to chęć szeroko pojętego usprawiedliwienia się przez niego przemawiała? Tak,

dokładnie.

– Wskoczyłbym do przysłowiowego płonącego domu – zadeklarował Mike. – Ale nie bardzo chwytam, jaki to ma związek z naszą rozmową? Poluzowała ci się klepka i teraz to Nayhija jest dla ciebie tą ukochaną osobą?

– Mówiłem ci coś o mojej stałości w uczuciach. – Adam mocniej zacisnął palce na komórce.

Mike chrząknął.

– No wiesz, szajba potrafi zaatakować znienacka. Tak jak i uczucie.

Oraz rak.

– Nie w tym wypadku. – Adam obejrzał się przez ramię. Zegar na mikrofalówce pokazywał trzecią czterdzieści trzy. – Dobra, muszę już…

– To co mówić, jeśli zadzwoni do mnie Linda i zacznie cię szukać? – chciał wiedzieć Mike. Twardy, rzeczowy glina wciąż na posterunku.

Adam się zaśmiał. Zabrzmiało to jak warknięcie.

– Dlaczego miałaby zacząć mnie szukać?

– Naprawdę masz mnie za idiotę? – Mike odpowiedział pytaniem. – No, co mam jej mówić?

– Co zechcesz.

– Przesłuchanie. Peters i tak ma ochotę przemaglować każdego, kto był na tych cholernych wyścigach – podsunął Mike i zaraz jakby uzmysłowił sobie coś jeszcze, co zamanifestowało się kolejnym chrząknięciem. – No, chyba że zamierzasz zniknąć na trochę dłuższy czas. Wtedy to już radziłbym…

– Może być przesłuchanie. – Równocześnie z wypowiedzeniem tych słów, Adam usłyszał w głowie cichutki dźwięk, jakby zapadki. Nie ma odwrotu, mówił mu. Już nie ma dla ciebie odwrotu. – Jeszcze raz dziękuję, Mike.

– Od czego są przyjaciele, nie? Jesteś pewien, że nie potrzebujesz towarzystwa? Mógłbym pojechać z tobą w podróż, w którą się nie wybierasz.

– Nie, to nie będzie konieczne.

– Cóż, w takim razie trzymaj się, bracie. I… – Mike zawiesił głos, sprowadzając na Adama pełną niepewności ciszę. – Te głupoty, które chcesz robić… rób je ostrożnie.

– Przyjąłem. – Adam przerwał połączenie i odrzucił telefon na stół.

Rozejrzał się, jak gdyby podświadomie spodziewał się, że ogląda tę kuchnię po raz ostatni, po czym uderzył pięścią w lodówkę. Zabolało, ale on w pierwszej chwili nawet tego nie poczuł. Tępego huku, który się rozległ, też w zasadzie nie usłyszał.

W jego głowie narastał głos. Przyzywał go, powtarzał, że Adam nie ma wyboru.

A on wiedział, do kogo ów głos należy.

Syknął, gdy dotarł do niego promieniujący z dłoni ból. Spojrzał na nią zdziwiony, jak gdyby nie mógł sobie przypomnieć, co właśnie zrobił. Polizał czerwieniejące kłykcie i jeszcze jakiś czas tak stał. Wreszcie powlókł się z powrotem do sypialni.

11.

Nayhija szła alejką między nagrobkami, niewidzące spojrzenie wbijała gdzieś w dal. Dawno niekoszona trawa szeleściła, zaczepiając o nogawki jej spodni. To był stary cmentarz, taki, jakich próżno było szukać w Nowym Lepszym Świecie. Można tu było spotkać wykute w kamieniu anioły, grobowce Wielkich Rodów. Na swój sposób to było dobre miejsce, uspokajało ją.

Lato było ciepłe tego roku, lecz mimo to Nayhija założyła długi czarny płaszcz z postawionym kołnierzem. Ona nigdy nie czuła ciepła. Od tamtego dnia, kiedy

(wiał mroźny wiatr, padał martwy śnieg i stanęły zegary)

stało się to, co się stało, czuła wyłącznie chłód. I ślepą nienawiść.

Tyle że teraz coś jakby się w niej zmieniało.

Doszła do końca alejki i zatrzymała się przed ostatnim nagrobkiem, skrytym w cieniu wiekowego jesionu. Jak wszystkie groby w tej części cmentarza tak i ten popadał w zapomnienie. Minęło wiele dni, odkąd ktoś postawił tu świeże kwiaty czy zapalił znicz. Jasnoszara płyta była lekko przekrzywiona, omszała, lecz napis można było odczytać bez trudu:

Jasper Perish
1933–1998
Pamięć nie umiera.

– Pamięć nie umiera – szepnęła Nayhija, wykrzywiając wargi. Zabrzmiało to jak oskarżenie i istotnie nim było.

Stała tak, zatracając się w czasie, lawirując krętymi korytarzami wspomnień. Wiatr szumiał wokół niej, akompaniując tej wycieczce. Uczynki, doznania, powody i wybory powracały, skutkując nieprzyjemnym pulsowaniem gdzieś u podstawy czaszki. To nic, niebawem wszystko się skończy. Kiedy tylko…

Usłyszała kroki i odwróciła głowę. Mężczyzna. Tyle że nie ten, którego się spodziewała.

– Niepotrzebnie się fatygowałeś – powiedziała, na powrót wbijając spojrzenie w

(pamięć nie umiera)

nagrobek.

– Każdy krok, który stawiamy, przybliża nas do celu, nawet jeżeli czasem wydaje nam się, że zmierzamy donikąd. – Mężczyzna w czerni zaszedł Nayhiję od tyłu i objął wpół, kładąc brodę na jej ramieniu. – Jeśli już coś jest niepotrzebne, to brak ruchu, nie ruch sam w sobie. Wiesz, co utrzymuje w nim ten świat?

– Miłość, jeśli wierzyć poetom. Pieniądze, jeśli wierzyć cynikom.

– Cynizm nie pasuje do tak pięknej damy.

Nayhija prychnęła pogardliwie.

– Mówiłam ci już coś na temat pustych komplementów.

– To nie z mówieniem masz problem, lecz ze słuchaniem. – Mężczyzna płynnym ruchem wyciągnął przed siebie rękę, w której coś trzymał.

Gdy rozwarł palce, Nayhija niemal krzyknęła. Patrzyła na naszyjnik leżący na jego wyciągniętej dłoni. Naszyjnik, który w innym życiu dał jej Jasper.

– Skąd go masz? – spytała płaskim głosem.

– Z przeszłości. – Mężczyzna w czerni uśmiechnął się smutno. – Tam, gdzie jego miejsce. Gdzie miejsce tego wszystkiego. – Ręką z naszyjnikiem zatoczył łuk, wskazując nagrobek i

resztę cmentarza.

Nayhija poczuła, jak coś w niej zamiera. W gardle miała mdlącą gulę, serce biło jej zdecydowanie za szybko. Naszyjnik. Ten przeklęty naszyjnik. Nie powinien go mieć. On, istota, która mogła mieć wszystko.

– Co ktoś taki jak ty może o tym wiedzieć? – żachnęła się. Narastało w niej poczucie zagubienia, które odbijało się w jej głosie.

– Więcej niż przypuszczasz.

Nayhija okręciła się, stając z mężczyzną twarzą w twarz. Elegancki jak zawsze, z ciemnymi włosami zaczesanymi w tył i gładko ogolonymi policzkami. Chciała się odsunąć, lecz jej na to nie pozwolił.

– Podepczesz grób – mruknął, wskazując go brodą.

Nayhija nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Teraz nie wydaje mi się to takim złym pomysłem.

– Nie po to tu przyszłaś, kochanie – zauważył, posyłając jej przenikliwe spojrzenie. Jego obsydianowe oczy płonęły w bladej twarzy; hipnotycznie, elektryzująco.

– Ani nie po to, żeby oglądać to. – Mimo że na niego nie spojrzała, oboje wiedzieli, iż mówi o naszyjniku. Cyrkonie, którymi był wysadzany, łapały dogasający blask dnia, rozpraszając go, zmieniając w migotliwe refleksy.

Mężczyzna wykonał osobliwy gest i naszyjnik zniknął.

– Lepiej?

– Będzie, kiedy zamknę sprawę bieżącego klienta. – Oczy Nayhiji błysnęły ostrzegawczo. – Jeżeli znów chcesz mnie upominać, to lepiej sobie daruj. Pamiętam ostatnią lekcję.

Przez twarz mężczyzny w czerni przemknęło coś… Jednak zniknęło zbyt szybko. Spojrzał na nią poważnymi oczyma i ścisnął jej dłoń w prośbie o wytężoną uwagę.

– Podejmij… właściwą decyzję – rzekł cicho i pocałował ją skroń. Ani się spostrzegła, a znów ją obejmował. Tak jakby zaraz mieli ruszyć do tańca.

Jego słowa zawierały w sobie jakąś sprzeczność. Poczucie zagubienia Nayhiji jeszcze się nasiliło.

– Czy mam rozumieć, że… – zaczęła ostrożnie.

Mężczyzna w czerni ledwie zauważalnie skinął głową.

– Wolna wola.

Gdzieś w górze zakrakała wrona. To był ostry, przeszywający dźwięk.

Nayhija uniosła głowę, patrząc w tamto miejsce, następnie skierowała zaskoczony wzrok na mężczyznę w czerni. Odnosiła osobliwe wrażenie, iż widzi go po raz pierwszy. Złote światło zachodzącego słońca, w jakim był skąpany, dodatkowo intensyfikowało to wrażenie.

– Kim ty jesteś? – spytała. – Po czyjej stronie tak naprawdę stoisz?

Mężczyzna wzmocnił chwyt i zbliżył twarz do jej twarzy. Przeszedł ją przyjemny dreszcz – zawsze lubiła ten dotyk. Jego oddech był ciepły, łaskotał w ucho.

– Dobrze wiesz – powiedział tym samym zniżonym do szeptu głosem. Spojrzenie miał nieruchome, wąskie usta wygięte w sennym uśmiechu.

Nayhija patrzyła na niego, bezwiednie ściskając w palcach klapę jego marynarki. W następnej chwili syknęła – paznokcie wbiły się w jej ciało. Mężczyzna w czerni zniknął. Jej palce obejmowały już tylko powietrze.

12.

Linda siedziała w kuchni nad kubkiem kawy. Miała to samo nieprzyjemne wrażenie co w gabinecie Powella, że kolory są zbyt jaskrawe, jakby przepalone. Zapachy, dźwięki, wszystko było zbyt ostre, cięło mózg jak skalpel.

To koniec, Lindo. Za trzydzieści dwie godziny mija termin kontraktu.

Wstrząsnął nią suchy kaszel, prowokując znajome pieczenie w piersi. Instynktownie rozejrzała się za ziołami ofiarowanymi przez Nayhiję Marę i przekonała, że już ich nie ma. Skończyły się, wykorzystała je co do okruszka. Może więc ten ból jest czysto fantomowy?, pomyślała. Może te cholerne zioła to było zwykłe placebo, tyle że jakoś się od niego uzależniła i dlatego teraz organizm w taki a nie inny sposób się o nie dopomina?

A może te zioła były trucizną? Już to przerabiałaś. Nie masz pojęcia, co tak właściwie piłaś, ale piłaś to z wielką ochotą.

Tu Linda była zmuszona się zgodzić.

Usłyszała kroki na schodach i się wzdrygnęła. Za bardzo przypominało jej to dźwięk otwierającej się krypty, z której w filmie wypełzają krwiożercze monstra.

– Wcześnie dziś wstałaś – powitał ją Adam. Jego twarz przesłaniał jakiś niepokojący cień, oczy miał podkrążone. Nie spał najlepiej tej nocy, o ile w ogóle spał.

– Mam parę rzeczy do zrobienia – powiedziała.

– To całkiem tak jak ja. – Wyciągnął rękę i zgarnął ze stołu jej kubek z kawą. – Tylko parę łyków. Śpieszę się.

– Do pacjenta? – spytała Linda, myśląc: Do Nayhiji?

– Mhm.

– Dużo ich masz dzisiaj?

– Mhm.

Kolejnej mężowskiej monosylaby Linda nie wytrzymała. Odsunęła krzesło i wstała.

– Adam, czy ty mnie kochasz?

Adam prawie zakrztusił się ostatnim łykiem kawy. Odstawił kubek i spojrzał na żonę z powagą.

– Mocniej niż możesz to sobie wyobrazić – zapewnił, obejmując ją.

– To może zostań dziś w domu, co?

Adam wyglądał, jakby dostał skurczu żołądka.

– Linda, o co ci chodzi?

– Sprawdzam, czy twoje słowa mają pokrycie. – Uśmiechnęła się chytrze. No, w każdym razie miała nadzieję, że tak to wyglądało. A nie, powiedzmy, jak desperacki grymas osoby, która jest o krok od napadu histerii.

– W świecie dorosłych mamy trochę inne sposoby na dowiedzenie prawdziwości swych słów – powiedział Adam. W jego głosie zadźwięczała jakaś dziwna surowość, zaś pod nią kryło się coś, co bardzo się Lindzie nie spodobało. – Muszę iść do pracy. Ty możesz sobie odpuścić letnie kursy, ja nie mogę sobie pozwolić na taki komfort.

Linda wydęła wargi. Przez moment obracała w głowie pomysł, czyby nie poczęstować go jakąś kąśliwą odzywką, jednak zrezygnowała.

– Na pewno nic nie zjesz? – spytała zamiast tego.

Adam pokręcił głową i spojrzał na zegarek.

– Nie mam czasu. Kupię coś po drodze.

– To może chociaż postaraj się zdążyć na późną kolację?

– No nie wiem. – Znów ta mina, jakby miał skurcze żołądka. – Po pracy muszę jechać na posterunek, do Mike'a.

Linda poczuła, jak jej wnętrzności zaciskają się w supeł i wędrują coraz niżej i niżej, prowokując mdłości i dziwną słabość.

– Po co? – Jej głos był cichy jak szelest potrzaskanych złudzeń spadających na bruk.

– W zasadzie to można powiedzieć, że jestem świadkiem. Mike zresztą też. – Adam uśmiechnął się przepraszająco, widząc jej uniesione brwi. – Wyścigi motocyklowe, pamiętasz? Doszło tam do hm… osobliwego incydentu… paskudnego incydentu… i detektyw, który prowadzi tę sprawę, chce przesłuchać możliwie najwięcej osób, licząc, że ktoś coś widział.

– Tak nagle?

– Nie, wiedziałem o tym już wcześniej. Po prostu… mieliśmy inne sprawy. Ty i ja.

Linda poczuła, że na jej policzki wypełza rumieniec. Złości? Wstydu? Najpewniej po trosze jednego i drugiego.

– Rozumiem – westchnęła. – Czyli nie czekać na ciebie? Na pewno?

Adam pokręcił głową.

– Nie, wrócę, gdy będziesz już spała.

– Nie będę spała. – W jej własnych uszach zabrzmiało to jak zapewnienie dziecka.

Adam skwitował te słowa uśmiechem i skierował się do wyjścia.

– Do zobaczenia, skarbie – rzucił. Jego dłoń zawisła na klamce i zaraz zsunęła się z niej, a on odwrócił się przez ramię. – Kocham cię. Tak cholernie cię kocham.

– Ja ciebie też – powiedziała Linda, a gdy zniknął za drzwiami, dodała cicho: – Przepraszam.

Za co przepraszała? Za śmiertelną chorobę? Za to, że podpisała kontrakt z Fundacją Ostatniej Szansy?

Za kłamstwa. Oblepiają was oboje, grzęźniecie w nich.

Dolała sobie kawy z ekspresu i patrzyła, jak samochód męża rusza z podjazdu. Adam wyjechał na ulicę i jej pomachał. Odpowiedziała takim samym gestem, zmuszając się do uśmiechu. Odprowadziła malejącą sylwetkę pojazdu wzrokiem, skubiąc dolną wargę zębami.

Wmusiła w siebie grzankę, na którą nie miała absolutnie żadnej ochoty, odtwarzając w głowie coraz to czarniejsze scenariusze. Wyrzuciła resztki śniadania do kosza, wstawiła naczynia do zmywarki i poszła wziąć prysznic.

Dwadzieścia minut później weszła do salonu i osłupiała. Na ścianie widniał ogromny czerwony napis:

„NIE POWINNAŚ UFAĆ SWOJEMU MĘŻOWI".

Linda przesłoniła usta dłonią. Chciała krzyczeć, lecz z jej piersi dobył się tylko nieadekwatny świst. Zacisnęła powieki, policzyła do trzech i na powrót otworzyła oczy. Nic. Żadnego napisu.

Tracisz rozum.

Nie, widziałam napis.

Może to skutek przerzutów, a może naprawdę wariujesz.

Linda oblizała spierzchnięte wargi. Drink. Potrzebowała drinka.

Tak się składało, że wiedziała, gdzie go znaleźć.

13.

Adam jechał autostradą, czując się dziwnie odrealniony. Jadę pieprzyć się z samym diabłem, żeby ocalić moją żonę, pomyślał i zachichotał nerwowo. Boże, to był czysty absurd. Pewnie w końcu zaraziłem się świrem od któregoś z moich pacjentów i to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie, podczas gdy ja leżę w przytulnym pokoju prywatnego zakładu, śliniąc się i bełkocząc.

Całkiem kusząca perspektywa. Niestety, nieprawdziwa.

W którymś momencie nabrał podejrzeń, że ktoś go śledzi. Granatowy dodge ram majaczył we wstecznym lusterku jego mercedesa od dłuższego czasu, to pojawiając się, to znikając. Adam rozważył, czy nie zatrzymać się na pasie awaryjnym i nie poczekać, aż dodge go minie. Jednak nie zrobił tego. Zdecydował, że chce jak najszybciej dotrzeć do cholernego Conway i mieć to wszystko za sobą. Poza tym dodge zniknął na dobre.

– Mam paranoję – stwierdził i ponownie wybuchnął tym nerwowym chichotem.

Skręcił w zjazd prowadzący do Conway, czując, że zaczyna go trawić dziwna gorączka. Tak musi się czuć hazardzista, który stawia w kasynie oszczędności życia, przebiegło mu przez myśl.

Conway powitało go zgrają hałaśliwych motocyklistów. Adam patrzył, jak jadą z naprzeciwka, odziani w dżinsy i skórzane kurtki, falując bujnymi brodami. Ryk silników potężnych maszyn dało się słyszeć jeszcze długo po tym, jak brodacze zniknęli z pola widzenia. Kiedyś on również chciał kupić motocykl, jednak zrezygnował, naciskany przez Lindę. „Nie chcę, żebyś się zabił, Adam", mówiła mu. A teraz, proszę, to ona umierała.

Adam pozwolił, by GPS doprowadził go na miejsce. Skręcił dwa razy w prawo, następnie w University Boulevard i kolejną ulicą była już ta, przy której znajdował się cmentarz Hillcrest. Zaparkował nieco dalej, obok płotu z ciemnej cegły, zgasił silnik i wysiadł z wozu.

Wszedł główną bramą, rozejrzał się i nagle – jak gdyby przyciągała go jakaś nienazwana siła – wiedział, w którą stronę powinien iść.

W miejsce, w którym umarła miłość.

Przeszedł główną alejką i odbił w prawo. Zabawne, ale pomniki, które ukazały się jego oczom, nie pasowały do tego miejsca. Różnił je styl i wiek, to przede wszystkim. Te posępne anioły, obleczone cieniem wysokich drzew, monumentalne, zionące tajemnicą grobowce. Było tak, jak gdyby po zrobieniu zaledwie paru kroków cofnął się w czasie i wylądował w jednym z opowiadań Lovecrafta. Gęsia skórka wystąpiła mu na ramiona. Zadygotał z zimna, mimo że powietrze było przyjemnie nagrzane.

Minął wykutego w marmurze anioła z opuszczoną głową i szeroko rozpostartymi skrzydłami. W następnej chwili ją zobaczył. Stała ze złączonymi przed sobą dłońmi, wpatrzona w płytę nagrobną. Poły długiego czarnego płaszcza powiewały wokół jej kolan niczym skrzydła.

Adam spojrzał na nagrobek, zmrużył lekko oczy i odczytał:

Jasper Perish

1933–1998

Pamięć nie umiera.

Po kręgosłupie przemknął mu dreszcz. Tu leżą szczątki faceta, który wyglądał jak ja, pomyślał z jakąś chorobliwą fascynacją.

Zdawało się, iż na cmentarzu poza nimi nie ma nikogo więcej. Było tu nienaturalnie cicho, jak gdyby wszystko zamarło w oczekiwaniu. Tylko wiatr szumiał między gałęziami.

– Cześć – powiedział Adam, podchodząc do Nayhiji.
Odwróciła głowę i posłała mu senny uśmiech.
– Wiedziałam, że mnie znajdziesz.

14.

Linda wracała ze sklepu, strzelając oczami na boki, czując się trochę jak przestępca. Istotnie, w jakimś rozumieniu nim była. Udowadnianie sobie, że nie ma problemu z alkoholem to jedno, tym razem balansowała na krawędzi. Wiedziała, że nie powinna pić mocnych trunków, nie po cyrku, który odstawiła tej pamiętnej nocy, ale, na litość boską, to były Wyjątkowe Okoliczności. Ona nie chciała się napić, ona MUSIAŁA się napić. Ten jeden, ostatni raz. Potem i tak będzie jej już wszystko jedno.

Weszła do domu, zatrzasnęła drzwi nogą i skierowała się do kuchni. Wyjęła z szafki pękatą szklankę, wrzuciła do niej trochę lodu wyjętego z zamrażalnika i zalała smirnoffem. Wyszło go na około trzy palce. Linda skinęła z aprobatą głową i upiła łyk, krzywiąc się bardziej z przekonania niż z faktycznej potrzeby.

Jakiś cichy głos starał się przestrzec ją, mówiąc, że jeśli zaleje się w pestkę, popełni straszliwy błąd, ale postanowiła go nie słuchać. Panowała nad wszystkim… tylko nie nad pojawiającymi się na ścianie napisami, nad znikającymi domami i członkiniami enigmatycznych fundacji, które materializowały się zupełnie znikąd, zmieniając nóż w rękawicę kuchenną, i starały się zaciągnąć jej męża do łóżka.

Linda upiła jeszcze jeden łyk i czknęła. Włączyła radio i zaczęła krzątać się po kuchni, od czasu do czasu racząc się smirnoffem. Pierwszy drink przyniósł jej upragniony… no, może nie spokój, ale powiedzmy, upragnioną równowagę. Linda poczuła to przyjemne ciepło i znajome mrowienie z tyłu głowy.

Następny drink utwierdził ją w przekonaniu, że wszystko będzie dobrze. W zasadzie była gotowa zakończyć swój ryzykowny romans ze smirnoffem już w tym miejscu. Ewentualnie po wysączeniu ostatniego drinka.

Tyle że stało się inaczej.

Linda weszła do salonu, szukając komórki, która sprytnie ukryła się pod dekoracyjną poduszką na kanapie. Wychyliła się z wysuniętą przed siebie ręką, chcąc ją podnieść, i znieruchomiała. Na granicy pola widzenia mignęło jej coś

(NIE POWINNAŚ UFAĆ SWOJEMU MĘŻOWI)

czerwonego. Spojrzała w tamto miejsce. Nic. Tylko pusta ściana.

Linda odetchnęła. A w następnej chwili prawie wystrzeliła pod sam sufit. To telewizor się włączył, nagle, tak sam z siebie. Momentalnie zapomniała o komórce. Złapała pilota i ściszyła dźwięk, który jakiś cudem był ustawiony praktycznie na cały regulator – parę decybeli więcej, a jej uszy zaczęłyby krwawić.

– Och, kurwa!

Grzmiącą muzykę, którą zredukowała do szeptu, zidentyfikowała bez trudu. To był kawałek, który parokrotnie słyszała w gabinecie Adama. Już miała wyłączyć telewizor, gdy zobaczyła, co tak właściwie rozgrywa się na ekranie. Widziała hotelowy pokój, przynajmniej czterogwiazdkowy. Wszystko było schludne, nowoczesne, urządzone w tak modnym, minimalistycznym stylu. W kadrze znajdowało się wielkie łóżko. Ach, więc to apartament, zdała sobie sprawę Linda. W następnej sekundzie na tym łóżku usiadła Nayhija. Kiwała na kogoś palcem, prezentując przy tym bardzo lubieżną minę.

Tym kimś był Adam.

Poszedł do Nayhiji z pożądliwym uśmiechem doklejonym do twarzy. Złapał ją za ramię, ściągnął z niej sukienkę i zaczął lizać nagą pierś. Drugą rękę wsunął między rozchylone uda.

Pieścił ją tak przez chwilę, po czym pchnął na materac, wodząc językiem po alabastrowym ciele. Rozpiął rozporek i wspierając się na ręce, wpełzł na nią. Napięte mięśnie drgały mu pod skórą. Następnie znalazł się w niej. Nayhija jęknęła. Przekręciła głowę na bok i spojrzała wprost w obiektyw. Jej oczy płonęły, usta rozciągał drapieżny grymas.

– Trzydzieści dni – powiedziała i zaczęła się śmiać.

Z gardła Lindy dobył się zwierzęcy ryk.

15.

Do hotelu zajechali samochodem Adama. Nayhija wysiadła pierwsza, on za nią. Szedł parę kroków z tyłu, bezmyślnie wpatrując się w jej nogi. Były piękne, ona cała była. Tyle że przez to nie było mu ani trochę lżej, a to, co zamierzał zrobić, nie wydało się choćby odrobinę lepsze. Ale będzie przyjemne. Och, oczywiście, że tak. Grzech zawsze taki jest.

– Pokój tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć, windą na dziewiąte, a potem w lewo, do końca korytarza – powiedział ponury portier, wręczając Nayhiji kartę magnetyczną. Miał siwe, krzaczaste brwi, orli nos i sardoniczny uśmiech. – Życzę państwu miłego pobytu.

– Dzięki – bąknął Adam.

Nayhija nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Pomaszerowała do windy, dumnie zadzierając głowę. Portier otaksował ją, po czym mrugnął do Adama, jakby chciał powiedzieć: „Niezła sztuka, facet".

Pokój był jakby żywcem wyjęty z katalogu Ikei. Ładny, schludny, ale bezduszny, w jakiś sposób zimny, bezosobowy. To było coś więcej niż zwyczajowa anonimowość hoteli – ten pokój żywił się emocjami, pochłaniał radość, nadzieję, miłość.

A może ona to robiła?

– Szampana? – spytała Nayhija, otwierając minibarek.

Adam przypomniał sobie jeden ze snów i zrobiło mu się zimno. Szampan było ostatnią rzeczą, na którą teraz miał ochotę. Niewątpliwie alkohol mógł się okazać jego sprzymierzeńcem, nie należało z niego zatem przedwcześnie rezygnować.

– A jest tam coś innego?

– Whisky, woda, piwo.

– Może być whisky.

Nayhija wyłowiła z lodówki małą buteleczkę i rzuciła. Adam zgrabnie złapał ją w locie. Nie fatygował się po szklankę, pociągnął parę łyków prosto z butelki. Przyjemne ciepło rozlało mu się w gardle i spłynęło do żołądka. Nagle zapragnął urżnąć się na umór, ale wiedział, że czymś takim tylko pogorszyłby sytuację. Wziął jeszcze dwa hojne łyki i odstawił butelkę na komodę.

Nayhija wykazała się większą kulturą. Strzeliła korkiem od szampana, pozwalając, by piana ściekła jej po dłoni. Zlizała ją, zerkając na Adama z ukosa. W tym geście dopatrzył się perwersyjnej dwuznaczności. Schwyciła kieliszek z szafki obok telewizora, napełniła go i upiła łyk. Wzięła kolejny i odstawiła szkło na skraj szafki. Następnie zdjęła płaszcz i niedbale upuściła go na ziemię. Pod nim miała prostą czarną sukienkę z odkrytymi plecami. Tym, co czyniło ją szczególną, był ten maleńki czerwony emblemat tuż nad lewą piersią. Widły, tak, to z pewnością były widły. Usiadła na skraju łóżka, zakładając nogę na nogę. Przejechała dłońmi po jedwabnej narzucie, pozostawiając na niej ślady palców.

– Nie całkiem jak we śnie, prawda? – Jej usta ułożyły się w drwiący uśmiech.

Adam pożądał jej i nienawidził zarazem.

– Nie możemy załatwić tego inaczej? – spytał z jakąś beznadziejną desperacją w głosie, za którą z miejsca zapałał do siebie obrzydzeniem. Jednak większym napawało go to, co czuł.

Nayhija zaśmiała się zgrzytliwie.

– Inaczej? To znaczy jak?

– Pomyślałem, że może mógłbym dać ci coś, co…

Nayhija uciszyła go gestem. Z jej gardła ponownie dobył się ten zgrzytliwy śmiech.

– Nie ma niczego, co mógłbyś mi dać ani zabrać, nie rozumiesz? Nie możesz mnie przekupić, zaszantażować. – Rozłożyła ramiona, jakby chciała wzbić się do lotu. – Nie mam już nic do stracenia, nic do zyskania. Jestem nieugiętym, nieustępliwym chaosem. Czystą wolnością.

Adam patrzył na nią z lekkim przerażeniem i fascynacją. Tak, to była prawda. Naga, wstrząsająca w swej bezkompromisowej sile.

– Jeżeli po tym, co zrobimy… Jeżeli Linda umrze, to przysięgam, że znajdę cię na samym dnie piekła – obiecał, robiąc krok w przód.

– Możesz się zgubić w jego korytarzach. – W oku Nayhiji zamigotał drapieżny błysk.

Gdzieś w tle cicho grało *Change* Deftones. Adam rozpoznał ten kawałek bez pudła, lubił go. Aż do teraz.

Wyrwałem ci skrzydła.

I wtedy się śmiałem.

Poczuł ciarki. Ta muzyka, ten pokój, Nayhija… Przede wszystkim ona. Jak do tego doszło, co on tu robił? Czy to, co się działo, działo się naprawdę? Teraz Adam rozumiał, jak czuł się Ernest Collins, jego spóźnialski pacjent, kiedy zwierzał się mu, że czasem nie wie, co jest częścią rzeczywistości, a co miało miejsce wyłącznie w jego wyobraźni. Jawa i sen zlewały się, przenikały, powodując coraz większą dezorientację. „Już nie wiem, po której stronie lustra tak naprawdę jestem", mówił Collins. Adam odnosił właśnie identyczne wrażenie.

Nayhija przyglądała mu się ze złośliwym zaciekawieniem. Sprawczyni wszystkiego. Władczyni marionetek. Jego obarczyła poczuciem winy za śnione na jawie sny, Lindę wpędziła w paranoję. A teraz on musiał wierzyć, że im pomoże. Że naprawi niesprawiedliwość wyrządzoną przez dobrego Boga.

Patrzę na krzyż i odwracam wzrok.

Daję ci broń. Zastrzel mnie.

Nayhija kiwnęła na niego palcem w zapraszającym geście. Była taka piękna, taka zmysłowa. I niebezpieczna jak nabita broń.

I nierealna, zrozumiał nagle. Nierealna jak wszystko inne. Pragnienie, pożądanie, pasja – to było jej dziełem, nie było w tym krzty prawdy. Iluzja, tym parają się takie istoty jak ona. I to właśnie wokół nich zbudowała.

Będę udawał, że to po prostu kolejny sen, pomyślał Adam i podszedł do Nayhiji. Spojrzał w jej zielone oczy, nie znajdując w nich żadnej pociechy. Kryło się w nich coś zgoła innego.

Jego ręka wysunęła się do przodu, jak gdyby była obdarzona własnym życiem. Musnął Nayhiję w ramię, zsuwając z niego sukienkę. Materiał ześlizgnął się z jej mlecznobiałej skóry z pieszczotliwą łatwością, ukazując nagą pierś. Nayhija przesunęła się w tył, robiąc mu miejsce. Uderzył go jej zniewalający zapach. W połączeniu z gładkością jej skóry był piorunującą mieszanką.

Teraz albo nigdy, zdopingował się w duchu Adam, wiedząc, że przez resztę życia będzie unikał swojego odbicia w lustrze.

16.

Nayhija patrzyła w oczy Adama, dostrzegając w nich wielki smutek. Nawet to pożądanie, które odczuwał, nie było w pełni prawdziwe, stanowiło jedynie skutek jej manipulacji. I nie przesłaniało zgrozy. Tak bardzo wzbraniał się przed tym, czego od niego zażądała, jednocześnie wiedząc, iż nie ma wyboru. Nie, jeżeli chce uratować żonę. A chciał tego ponad wszelką miarę. Nie bacząc na koszty.

Oto miała przed sobą dowód, którego szukała latami. Święty Graal swojej niewiary. Prawdziwą miłość. Patrzyła w twarz Jaspera, takiego, który potrafił kochać. Mocno i prawdziwie. Co zyska, jeżeli to zniszczy? Co przez to osiągnie? Nie cofnie czasu, nie wróci do życia, nie odzyska tamtego mężczyzny ani nie uniknie gwałtu. To już się stało, nic nie mogło tego zmienić. Za to ona mogła zmienić wszystko.

Nie była w stanie sprawić Jasperowi bólu, mimo oczywistej krzywdy, jaką jej wyrządził, więc dlaczego za cel obrała sobie dręczenie jego alter ego z innego miejsca i czasu? Przecież Adam Hill, z czego dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę, w jakimś sensie bardziej przypominał ją samą niźli Jaspera. To miała być zemsta? Na kim? Na mężczyźnie winnym jedynie tego, że kocha? W jakim celu? Dla zemsty samej w sobie?

To już za nią, już wszystko za nią. Każdy jeden mord na winnym bądź niewinnym, zadawany z mniejszym lub większym okrucieństwem. Każda kropla przelanej krwi. Mogłaby skąpać w niej cały świat, a to i tak byłoby za mało. To nie nienawiść płonęła jej teraz w żyłach. To było współczucie. I litość.

Adam pochylił się nad nią. Jego ręka zaczęła sunąć w górę, odnajdując krągłość piersi. Coś w nim bezpowrotnie gasło. Jeszcze chwila i…

– Nie rób tego – powiedziała Nayhija, łapiąc go za przegub. Równocześnie pobrzmiewająca w tle muzyka się urwała, pozostawiając po sobie nagły, przejmujący bezgłos.

Adam rozdziawił usta i patrzył na nią ogłupiały.

– Przecież powiedziałaś…

– Kłamałam – ucięła Nayhija, podnosząc się z łóżka.

On również wstał – z ociąganiem, jak ktoś, kto właśnie obudził się z transu. Miał taką minę, jak gdyby Nayhija go spoliczkowała. Zaraz jednak to wrażenie oszołomienia minęło. Jego miejsce zajęła wściekłość.

– I nagle ruszyło cię sumienie? – zakpił. Drwiący uśmiech, który wykrzywiał mu wargi, nie pasował do niego, szpecił go.

Nayhija zatrzymała się mniej więcej na środku pokoju, posyłając mu gniewne, surowe spojrzenie. Adam starał się nie okazywać zdumienia dla faktu, że dziewczyna ma na sobie sukienkę, która ułamek sekundy wcześniej leżała na ziemi, ale wyszło mu to raczej nieszczególnie.

– Twoja żona umrze, jeśli mi ulegniesz – powiedziała zgodnie z prawdą Nayhija. – Nie odwrotnie.

– Proszę?! – Od nadmiaru szoku Adam wydawał się wręcz chory. Krew odpłynęła mu z twarzy, która miała teraz kolor serwatki. – O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz?!

Nayhija niecierpliwie machnęła ręką.

– Trzydzieści dni, pamiętasz? – Po jego minie poznała, że pamięta. – Ty nie jesteś taki jak oni… jak Jasper. Tylko kłamstwem mogłam sprowokować cię do zdrady. Tyle że ty tak naprawdę jej nie zdradzasz. Ty ją ratujesz. Ratujesz ją, bo ją kochasz.

– Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy. – Adam nerwowo szarpał za guziki koszuli, zapinając je. – Miałaś wyleczyć Lindę, jeżeli się z tobą prześpię. To była cena! – ryknął, wymierzając w nią palec. – To była twoja cholerna cena!

– Nawet jeśli ją teraz wyleczę… – Nayhija wymownie opuściła wzrok. – Sam rozumiesz.

Przez chwilę Adam nie wyglądał, jakby rozumiał cokolwiek. Jego błękitne oczy rozszerzały się i rozszerzały. Wreszcie odmalował się w nich nagły błysk, jak piorun.

– Będzie się smażyła w piekle, bo… podpisała z tobą cyrograf. – Adam skoczył ku niej, dysząc. – Kazałaś jej podpisać cyrograf!

Nayhija się zaśmiała.

– Niczego jej nie kazałam. Umierająca osoba jest zdesperowana, nie cofnie się przed niczym, nawet jeśli nadzieja jest wątła.

Adam przejechał dłońmi po twarzy w śmiesznie bezradnym geście i zaczął chodzić od ściany do ściany.

– I co teraz? Dobry Boże, co teraz?

Nayhija pozwoliła mu podreptać tak chwilę. Wreszcie chrząknęła, skupiając na sobie jego uwagę.

– Nic jej nie będzie. Nie, jeżeli anuluję kontrakt.

Adam patrzył na nią z niekłamanym zdumieniem. Nadzieja bijąca z jego twarzy była w pewien sposób bolesna.

– Możesz to zrobić?

– A możesz żyć bez Lindy?

Nadzieja zmieniła się w skrajną zgrozę, od której twarz Adama jakby się skurczyła. Przełknął ślinę, lecz z wyraźnym trudem. Był przerażony, ogłupiały. Tak bliski histerii, iż wydawało się, jakby miał zaraz postradać zmysły.

– Jeśli to znów jakaś gierka, to przysięgam…

– Nie przysięgaj – przerwała mu ostro. – Nic mi nie możesz zrobić.

Adam oklapł i osunął się po ścianie. Od samego początku był na przegranej pozycji, zdany na jej łaskę bądź niełaskę, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Nayhija odchyliła zgiętą łokciu prawą rękę i wyciągnęła zwróconą wnętrzem do góry dłoń. Dało się słyszeć suche pyknięcie i zaraz pojawił się na niej plik kartek. Kontrakt Lindy Hill.

– Twoja żona już nie umiera na raka – oświadczyła Nayhija. – I nie będzie się smażyć w piekle. W każdym razie nie za to. – Uniosła dłoń z kontraktem i uśmiechnęła się krzywo, odrobinę wyniośle. – A płukanie żołądka ma gratis – dodała, puszczając oko.

Adam krzyknął, gdy kartki buchnęły ogniem. Razem z tym ogniem uniósł się maleńki karmazynowy obłoczek. Po tym, jak mężczyzna otworzył usta, Nayhija poznała, iż domyślił się, że to krew jego żony.

– Możesz do niej wracać. – Płomienie strzeliły wyżej, prawie pod sam sufit, zmieniając kartki w popiół.

Adam wstał, ale poza tym nie ruszył się z miejsca. Patrzył na Nayhiję oczyma wielkimi jak talerze i wyglądało na to, że ma zamiar wprasować się w ścianę. Na jego twarzy malowała się wdzięczność, która jednak zaraz przerodziła się w czystą grozę.

Nayhija wiedziała, co go tak przeraziło. Ogień spełzł z jej dłoni i utworzył wokół niej pierścień. Zacieśniał się powoli, sycząc łakomie, podnosząc temperaturę. Wyciągał tlen z płuc, palił je.

– To znowu twoje sztuczki? – spytał bez przekonania Adam.

Nayhija rzuciła mu spłoszone spojrzenie.

– Wyjdź – syknęła. – Nie spodoba ci się to, co zobaczysz.

Adam jednak nie wychodził. Stał, patrząc na ogień z bojaźliwym szacunkiem. Unieruchamiał go, podobnie jak lęk.

– No już! Rusz się! – ponagliła Nayhija.

Płomienie posmakowały jej stóp i zaraz rzuciły się na nią z pełną gwałtownością. Ból był potworny, po stokroć gorszy niż ten, który zdolny był zadać zwykły ogień. Nayhija zaskowyczała przeraźliwie i dopiero ten dźwięk przełamał bezruch Adama.

Wycofał się tyłem do wyjścia. Ręce tak mu się trzęsły, iż przez chwilę nie był w stanie złapać klamki. Kiedy wreszcie mu się to udało, szarpnął drzwi i wypadł na korytarz. Pobiegł nim, potem do windy, byle szybciej na zewnątrz. Jak najdalej stąd, jak najdalej od niej.

Jednak Nayhija już tego nie widziała.

Dla niej istniał tylko ogień.

Wspinał się coraz wyżej, paląc. Konającym skrawkiem świadomości czuła, że jej ciało odchodzi od kości, topiąc się na podobieństwo wosku. Następnie w jego ślady szły same kości, zmieniając się w półpłynną substancję. Podsycane takim paliwem płomienie skwierczały coraz głośniej. W tym dźwięku zawierał się okrutny śmiech.

Nayhija odrzuciła głowę, krzycząc przeraźliwie. Ogień wystrzelił z koniuszków jej poczerniałych palców. Wydobywał się również z oczu i ust. Rozpełzał się po całym pokoju, zmieniając go w rozgrzany do czerwoności piec. Płomienie wdrapywały się na ściany, stamtąd na sufit, tworząc ruchome, pomarańczowoczerwone jeziora. W powietrzu rozchodził się mdlący zapach przypiekanego mięsa.

Ból narastał, oddalając od niej świat. Nayhija przestała widzieć, zaraz potem przestała słyszeć. A mimo to wciąż krzyczała; wyczuwała tę charakterystyczną wibrację. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że nawet gdyby mogła cofnąć się o tych kilka chwili i podjąć inną decyzję, postąpiłaby dokładnie tak samo.

Potem rozległ się huk, który poczuła gdzieś w sobie.

I wszystko się skończyło.

17.

Adam wypadł z hotelu, pędząc na złamanie karku. Wiatr zwiewał mu włosy z czoła, osuszał pot. Koszula, której nie wsadził w spodnie, łopotała na nim. Kiedy dojrzał znajomą sylwetkę, jego pierwszą myślą było: Umarłem tam. Spaliłem się razem z nią.

– Mike?! – zawołał. – Co ty tu robisz?!

Mike zaczął się uśmiechać, lecz gdy zobaczył, w jakim Adam jest stanie, uśmiech spełzł mu z twarzy, zanim jeszcze na dobre tam zagościł.

– Pomyślałem, że przyda ci się moja pomoc – powiedział, wbijając w niego zatroskane spojrzenie. – I miałem cholerną rację.

Granatowy dodge ram, no oczywiście. Dobrze wiedzieć, że to jednak nie była paranoja. Dla niepoznaki Mike wziął wóz któregoś ze swoich kumpli i przyjechał tu za nim. Na wypadek gdyby co? Nayhija miała zamiar pożreć jego duszę?

Och, bądź poważny.

– Trochę się spóźniłeś z tą pomocą. – Adam obejrzał się niespokojnie przez ramię, jakby sprawdzając, czy nie ściga go żaden upiór.

– Nie było łatwo za wami jechać, po tym jak wyszliście z cmentarza. – Mike popadł w lekką zadumę. Na jego twarzy odbił się niepokój. To, o czym pomyślał, nie należało do przyjemnych. – Zupełnie jakby coś… no wiesz, celowo chciało mnie zatrzymać.

– I pewnie tak by…

Obaj schylili się, gdy okno pokoju, w którym jeszcze chwilę temu znajdował się Adam, eksplodowało. Kawałki szkła posypały się na ulicę, jeden czy dwa musnęły Adama w szyję. Coś ciężkiego spadło na zaparkowaną pod hotelem taksówkę, uruchamiając w niej alarm.

– Jezu, kurwa, Chryste, co tam się stało? – spytał Mike, odruchowo kładąc dłoń na kaburze.

– Nie chcesz wiedzieć – stęknął Adam, podnosząc głowę. – Naprawdę nie chcesz.

– Jechałem za tobą pięćset kilometrów, więc chyba jednak trochę chcę, okay?

Adam zastanowił się, jak i czy w ogóle powiedzieć mu, co tam zobaczył. Nie, inaczej. Jak mu to powiedzieć tak, żeby z miejsca nie uznał go za świra? Jezu, sam miał problem z tym, żeby w to wszystko uwierzyć.

– Samozapłon – oznajmił, chociaż bardziej zabrzmiało to jak pytanie. – No wiesz, kiedy człowiek…

– Wiem, co to jest – przerwał mu niecierpliwe Mike. – Chcesz powiedzieć, że Nayhija Mara się sfajczyła? Tak sama z siebie?

– Mhm.

Od strony hotelu dobiegło głośne tąpnięcie. Zaraz po nim dało się słyszeć wrzask.

Mike się przeżegnał.

– Spieprzajmy stąd, co ty na to? – Adam gorliwie pokiwał głową na tę propozycję. – Dobra, to jedź za mną. Linda na pewno się ucieszy, kiedy zobaczy nas razem.

Na dźwięk imienia żony w Adamie odezwała się jakaś nowa, nienazwana trwoga.

– Jedź szybko – poprosił. – Najszybciej jak możesz.

Mike przytknął palce do skroni w niedbałym salucie.

– Się robi, bracie.

18.

Mimo że nie schodzili poniżej setki, droga powrotna dłużyła się Adamowi w nieskończoność, a każde sto kilometrów jego znerwicowany umysł odbierał jako tysiąc. Kiedy zajechali przed dom, późny wieczór zmienił się w noc. Niebo miało ten szczególny, przejmująco głęboki odcień atramentu. Z rzadka pobłyskiwała jakaś gwiazda, ponadczasowy srebrzysty ptak. W oddali cykały świerszcze, powietrze było rześkie, słodkie. Zbyt słodkie.

Adam zatrzymał się zaraz za wozem Mike'a. Niewiele brakowało, a wjechałby mu w zderzak. Wyskoczył z mercedesa, potykając się o własne nogi i pomknął podjazdem, owładnięty trwożną gorączką. Chwycił za klamkę i przekonał się, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Nie spodobało mu się to.

– Linda? – zawołał od progu. – Linda? Kochanie?

Odpowiedziała mu cisza.

– Może wyszła? – zasugerował Mike, wyrastając tuż za nim. – Lub coś ją wypłoszyło?

Adam niemal wrzasnął.

– Nie, na pewno nie. – Pauza wykorzystana na przełknięcie śliny i: – Chyba nie.

Przeszli przez hol, zapalając wszystkie światła. Dźwięk ich kroków dudnił w nienaturalnej martwocie domu. Podczas gdy Mike zaglądał do kuchni, Adam skierował się do salonu. Tam ją zobaczył.

– Linda? – jęknął łamiącym się głosem.

Leżała na podłodze nieopodal telewizora, z szeroko rozrzuconymi rękoma. Jasne włosy miała rozsypane wokół głowy, oczy zamknięte. Blada jak upiór, wyglądała, jakby była martwa. I przez jedną ciągnącą się w nieskończoność chwilę Adam był pewien, że tak właśnie jest.

Podbiegł do niej, łomot serca czując gdzieś w gardle. Bliski paniki ukląkł i ujął ją za nadgarstek – taki zimny, był taki zimny. Sprawdził jej puls i odetchnął z ulgą. Wyczuł go, o dobry Boże. Mocny i regularny.

– Żyje? – spytał Mike rzeczowo. Jego oczy zdawały się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz, w ręku spoczywała broń.

Adam pokiwał głową.

– Jest nieprzytomna.

Linda cicho jęknęła. Adam odgarnął jej włosy z czoła i zaczął gładzić po policzku, tak samo zimnym jak nadgarstek. Ale żyła, oczywiście, że tak. Widział, że jej gałki oczne poruszają się pod zamkniętymi powiekami. Zaraz się ocknie. Jeszcze chwila, jeszcze tylko chwila.

– Kochanie? – spróbował znowu.

– Aaaagch – wymamrotała Linda, a Adam zapragnął krzyczeć z radości.

Mike schował broń do kabury i z powątpiewaniem spojrzał na butelkę smirnoffa. Litrową. Teraz prawie pustą.

– Sama to wypiła? – Przeciągłe gwizdnięcie. – Taka ilość gorzały mogłaby zabić kogoś jej postury.

Płukanie żołądka ma gratis.

– To stara butelka, już napoczęta – pośpieszył z wyjaśnieniem Adam. Zabrzmiało to kulawo nawet w jego własnych uszach.

– Nie… piłam… – Linda zaniosła się kaszlem. – Nic nie… piłam.

Mike i Adam wymienili identyczne spojrzenia.

– Kochanie, zemdlałaś – zaczął Adam ostrożnie. – Pamiętasz, co się stało?

– Telewizor – wychrypiała Linda. Jej zdezorientowane spojrzenie przeskakiwało od Adama do Mike'a. – Telewizor się włączył.

– A potem? Co było potem, kochanie?

Oczy Lindy przybrały nieco roztargniony, zamyślony wyraz. Przygryzła wargę, marszcząc przy tym brwi, usilnie starając się sobie cokolwiek przypomnieć.

– Nie wiem. – I zaraz potem, odrobinę pewniej: – Nie pamiętam.

Nie kłamała, Adam to po niej widział. Wraz z tym spostrzeżeniem spłynęła na niego nagła ulga. Cokolwiek widziała, musiało być straszne, skoro zdecydowała się wlać w siebie zabójczą ilość gorzały. Dobrze więc, że tego nie pamiętała.

– Może to udar – zasugerował Mike złowieszczo. – Wezwać pogotowie?

– Nie! – zawołali Adam i Linda jednocześnie.

Mike uniósł ręce, patrząc na nich z lekkim przestrachem.

– Dobra, w porządku. – Kolejny raz omiótł spojrzeniem butelkę smirnoffa, krzywiąc się przy tym. – Ale do lekarza radziłbym się przejść.

– O to możesz być spokojny – zapewnił Adam. Wiedział, że z samego rana zabierze Lindę do szpitala na wszelkie możliwe badania. Wiedział również, że żadne z nich nie potwierdzi straszliwej diagnozy. Rak płuc przepadł, zniknął. Tak jak i Nayhija.

– To co, gołąbeczki, chcecie sobie pogruchać? – Mike przestąpił z nogi na nogę. Wiedział więcej, niż skłonny był przyznać. Wyczuwał, że stało się tu coś wykraczającego ponad jego zdolność pojmowania… ponad zdolność pojmowania każdego człowieka. I wolał nie zagłębiać się w to zagadnienie. Starczy, że było mu dane zagłębić się w biografię Nayhiji Mary. – Późno się robi.

Adam wstał i podszedł do niego.

– Dzięki, stary – powiedział, zamykając go w braterskim uścisku. – Za wszystko.

– Cholernie dużo dziękujesz. – Mike wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A wystarczyłoby po prostu wyskoczyć ze mną na zimne piwo.

Adam odpowiedział uśmiechem.

– Masz u mnie więcej niż jedno.

Mike puścił oko i wymierzył w niego palec.

– Jeszcze ci przypomnę. – Zaczął się odwracać, a widząc, że Adam rusza za nim, dodał: – Sam się odprowadzę, bracie. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – powiedział Adam do jego oddalających się pleców.

Spojrzał na Lindę i przekonał się, że… ona płacze. Dopadł do niej dwoma susami, przerażony, że dotknęła ją jakaś nowa tragedia, którą przeoczył.

– Kochanie?!

Linda uniosła wzrok. Oczy miała zaczerwienione, wilgotne. Usta jej drżały.

– Myślałam, że… z nii… Myślałam, że z… z nią jesteś! – wychlipała.

Adam mocno przytulił żonę.

– Nie – skłamał. – Byłem z Mikiem. Cały czas.

Pewne prawdy powinny pozostać na zawsze pogrzebane w naszych sercach. Zamykamy je w metalowych skrzyniach, zalewamy betonem i po pewnym czasie udaje nam się o nich zapomnieć. Może i wycieka z nich radioaktywne paliwo, ale wsiąka w odludną jałową glebę, nie zatruwa naszych bliskich. I o to właśnie chodzi, bo przecież zobowiązaliśmy się ich chronić. Za wszelką cenę.

Ulga, jaką zobaczył w oczach żony, utwierdziła go w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję. Ona również miała swoje przemilczane prawdy, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. I to także było w porządku.

– Iii… – Linda niemożliwie przeciągnęła tę samogłoskę. – Iii… już wszystko dobrze?

– Tak, skarbie. Wszystko dobrze. – Adam pocałował ją w czubek głowy, wdychając kwiatowy zapach jej szamponu. – Wszystko z nami dobrze. W najlepszym porządku.

19.

Linda popatrywała na pocącego się Brandona Powella z mściwą satysfakcją. Lustrował rentgen jej płuc, mając coraz bardziej zakłopotaną minę. Nie żeby życzył Lindzie śmierci, zastanawiał się po prostu, jak to możliwe, że płuca pacjentki z terminalnym stadium raka są wzorcowo czyste.

– Długo jeszcze będzie pan tak to oglądał? – spytała wreszcie.

Powell podskoczył na krześle, jak gdyby smagnęła go mokrą ścierką po karku. Ktoś tu się zestresował, pomyślała Linda i musiała przygryźć wewnętrzną stronę policzka, żeby nie wybuchnąć opętańczym śmiechem.

– Cóż – powiedział, bezradnie drapiąc się po głowie. – Niewiarygodne, ale guz zniknął. Zupełnie jakby nigdy go nie było.

– Widocznie się pan pomylił, doktorze, i istotnie nigdy nie było żadnego guza.

Powell zaczerwienił się po koniuszki włosów.

– To… to musiała być wyjątkowo ostra reakcja alergiczna. To zafałszowało obraz, imitowało guzek.

Linda uśmiechnęła się krzywo. Z tym uśmiechem bardzo przypomniała Nayhiję.

– Niewątpliwie – przytaknęła.

Powell otworzył usta, chcąc powiedzieć coś jeszcze, zapewne na swoją obronę, jednak chyba nie bardzo wiedział co.

Linda wstała.

– Wierzę, że nie ma pan już nic więcej do powiedzenia – rzuciła.

Odcień purpury na twarzy Brandona Powella pogłębił się o kolejne dwa tony.

– Pani Hill, chciałbym jeszcze…

Linda zignorowała go i ruszyła do wyjścia.

– Żegnam, doktorze – powiedziała, kładąc dłoń na klamce.

Powell nie miał śmiałości ruszyć za nią. Powstrzymywały go bijąca od niej wyniosłość i smak jego porażki. Długo będzie dumał, co spieprzył, lecz nigdy nie pozna prawdy.

Adam czekał na Lindę na korytarzu, drepcząc od jednej ściany do drugiej. Nigdy nie palił ani nie obgryzał paznokci, ale w tym momencie wyglądał jak ktoś, kto zaraz zacznie robić obie te rzeczy, najpewniej jednocześnie.

Jestem zdrowa dzięki niemu, ta myśl przeleciała przez umysł Lindy jak świetlisty błysk, prowokując przedziwną mieszankę ślepej, bezgranicznej miłości i gorzkich wyrzutów sumienia. Nienawidziła siebie za to, że w niego zwątpiła. Jak mogła, przecież to było niedorzeczne. W świecie podszytym kłamstwem tylko jego mogła być pewna. Swojego męża. Błękitnookiego Adama Hilla. Kochał ją i jej nie zdradził, czego dowodem był brak pieprzonego raka. Nayhija Mara mogła ją cmoknąć, mogła cmoknąć ich oboje. Intrygi tej fundacyjnej prostytutki zdały się na nic, były bezsilne wobec siły uczucia jej męża.

Linda pomyślała, że chyba nigdy nie znajdzie sposobu, żeby okazać mu za to należytą wdzięczność. Nie, nie za to, że był łaskaw nie wetknąć fiuta w Marę – wszakże ślubowali sobie wierność – lecz za to, że trwał przy niej, chociaż zachowywała się jak kipiąca furią wariatka. Przez ostatni miesiąc sama siebie znosiła z trudem, a Adam? Jego troska, miłość i wsparcie były niezmącone. Niebywałe, iż potrzebowała tak silnego wstrząsu, by w pełni docenić swojego mężczyznę.

– Hej! – zawołała Linda, a gdy mąż zwrócił ku niej głowę, rozłożyła ręce i pobiegła ku

niemu.

Złapał ją, poderwał do góry i okręcił. Linda mocniej splotła mu ręce na karku i zachichotała jak mała dziewczynka. Parę osób czekających pod gabinetem Powella posłało im pełne dezaprobaty spojrzenie, ale miała ich gdzieś. Nigdy by nie zrozumieli, co tu się działo, nie uwierzyliby.

– No i co? – spytał Adam, stawiając ją na ziemi.

– Nic, jestem zdrowa. – Linda uśmiechnęła się chytrze. Kłamstwo idealne to takie, w które brniesz do końca, tego nauczył ją ojciec i ta pokrętna mądrość powróciła do niej w tej właśnie chwili. – Mówiłam, że to była tylko reakcja alergiczna. To ty rozdmuchałeś całą sprawę.

– Martwiłem się o ciebie. – Adam mocniej objął ją w pasie. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Linda wspięła się na palce i pocałowała go w kącik ust.

– Myślę, że wiem.

Ujął jej dłoń i zaczął prowadzić żonę do wyjścia. Linda miała wrażenie, że wzrok wszystkich skupiony jest na nich. Oto my, pomyślała, czując jak rozpiera ją euforia, wystrzałowa para: Linda, Która Nie Ma Raka i jej ukochany mąż, Mężczyzna w Srebrnej Zbroi. Stanął do walki z ciemnymi mocami i swoją miłością uratował jej życie.

Adam otworzył drzwi mercedesa i wskazał jej fotel zapraszającym gestem. Zawsze to w nim lubiła, tę niewymuszoną szarmanckość. Po prostu przez pewien czas te atuty przesłaniała jej nasilająca się paranoja. Ale koniec z tym. Tak samo jak koniec z piciem.

– To co, może jednak pojedziemy na te wakacje? – zagadnął Adam, spoglądając na nią z ukosa.

– Hawaje? – zaproponowała.

Skinął głową.

– Hawaje.

Uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku.

– Kocham cię, wiesz?

– Wiem, skarbie. – Adam ujął jej dłoń i ucałował. – Ja też cię kocham.

Epilog

Czas spoza czasu

Nayhija poczuła, że się materializuje. Jej stopy uderzyły o coś twardego ze stłumionym *bam*. Otworzyła oczy i z jej piersi wyrwał się zduszony okrzyk. Znalazła się w dawno niewidzianym pokoju. Pokoju, w którym życie się dla niej skończyło. A może zaczęło, zależy, jak na to spojrzeć. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętała. I to duszne, zastałe powietrze. Za oknem trwał nieruchomo martwy śnieg, martwe było również ciało tej drugiej Nayhiji, wiszącej na sznurze.

Odwróciła wzrok. Ten widok prowokował zbyt wielki ból. Zerknęła na swoje dłonie – nie było na nich śladów poparzeń – poczerniałe do drugiego stawu palce i paznokcie były nienaruszone. Następnie spojrzała na komodę. Stojący na niej zegar niezmiennie pokazywał trzecią szesnaście, godzinę jej śmierci. Taboret był przewrócony. Wciąż tak samo. Wszystko tak samo.

– Zaskoczona? – Usłyszała z lewej.

Zamrugała i spojrzała w tamto miejsce. Mężczyzna w czerni, ubrany w swój nieodzowny elegancki garnitur, stał oparty o ścianę. Ręce miał skrzyżowane na piersi, wzrok nieprzenikniony.

– Myślałam, że… – Nayhija palcem wskazała podłogę. – Skoro zawaliłam sprawę klienta…

Mężczyzna w czerni pokręcił głową.

– Naprawdę myślisz, że ją zawaliłaś? – spytał, podchodząc. – Że w tym wszystkim chodziło tylko o klienta?

– A o co innego? – zaperzyła się Nayhija. – Dobrze wiem, jakie są konsekwencje niedopilnowania kontraktu. Niesubordynacja ma swoją cenę – zakończyła posępnie. Skuliła się mimowolnie, jakby podświadomie obawiała się, iż zaraz wystrzelą przed nią jęzory ognia i ponownie spopielą.

– Znałaś cenę i zaryzykowałaś mimo to. – Mężczyzna w czerni obdarzył ją pełnym szacunku spojrzeniem. – Twój czyn nie był podyktowany żadną niską pobudką, nie był pustym gestem, lecz prawdziwą ofiarą. I dlatego ma takie znaczenie.

Nayhija wlepiła w niego rozszerzone szokiem oczy.

– Proszę?

– Uporałaś się z własnymi demonami. Byłaś zdolna wzbić się ponad nienawiść, odrzucić ją i zrobić to, co dyktowało ci serce. Dopiero teraz jesteś prawdziwie wolna. – Twarz mężczyzny w czerni pojaśniała jakimś wewnętrznym światłem, przydając mu nieopisanego uroku. – Wolna i zdolna kochać.

Nayhija zrozumiała zawarte w tych słowach przejmujące przesłanie. To wszystko on, to wszystko mężczyzna w czerni. Zrobił to dla niej. Właśnie dla niej. Zrobił to, ponieważ ją kochał.

Z jej barków zsunął się jakiś niewyobrażalny ciężar, który nosiła tak długo, iż nie pamiętała nawet, że tam jest. Uderzył o ziemię i roztrzaskał się z hukiem, a ona poczuła, że od tej nagłej ulgi kręci jej się w głowie. W pierwszej chwili to nawet zabolało, lecz zaraz ten ból stał się ekstazą. Niewiarygodne, niebywałe, a jednak prawdziwe – kochał ją. On. Ją. Kochał. Pomimo tego, kim była, i z powodu tego, kim była. Miłość bez wątpliwości, czerń albo biel, życie lub

śmierć. To właśnie było ich niekończące się tango, ich taniec dusz. Korytarze wieczności wiodły ją ku niemu. Ku mężczyźnie, którego wypełniała mądrość stuleci.

– Ty… – wykrztusiła z trudem przez ściśnięte wzruszeniem gardło. – Zaplanowałeś to. Zaplanowałeś to wszystko. Linda, Adam Hill, to było ukartowane.

To i wiele więcej. Choćby ciągłe pojawianie się mężczyzny w czerni w najmniej stosownych chwilach, jego komentarze i uwagi. Wiedział, że nawet gdyby Nayhija chciała zrezygnować z tego klienta, nie zrobi tego z czystej przekory. I tak się stało. A ten manifest siły, przemoc i groźby? Pokazówka, nic więcej. Pilnował, by nie wyjść ze swej roli, nie chciał, by Nayhija nabrała podejrzeń. Cel uświęca środki, oczywiście, a on walczył o nią, o jej miłość. Zmusił ją, by raz jeszcze przeżyła koszmar, skonfrontował ją z przeszłością, rozumiejąc, iż to jedyny sposób na uwolnienie od niej Nayhiji.

– Już wiesz, po czyjej stronie tak naprawdę stoję? – Na wargi mężczyzny w czerni wypłynął lekki uśmiech.

– Po mojej – powiedziała cicho, podchodząc do niego. – Od samego początku po mojej.

– Jesteśmy źli, lubujemy się w grzechu, lecz nie tylko z tego się składamy. Kochamy mocniej niż ludzie. – Mężczyzna ujął jej dłoń w swoje. – Spoglądamy w najczarniejszą otchłań duszy, widzimy nagą, skowyczącą prawdę, a mimo to jesteśmy w stanie obdarzyć uczuciem. Bolesnym w swej sile. Nieskończonym.

Nayhija powoli pokręciła głową, jakby niedowierzając.

– Przecież jesteśmy…

– Daruj sobie etykietki! – W jego głosie zadźwięczała lekka przygana. – Ludzie mają na ich punkcie obsesję, nam nie są do niczego potrzebne. Nie musisz nazywać czegoś, by uczynić to rzeczywistym. Wystarczy, że wiesz, że to… czujesz. – Ostatnie słowo wypowiedział z jakąś niemożliwą kombinacją nadziei i rozpaczy, a Nayhiji ścisnęło się serce.

W tej jednej chwili widziała go takim jak wtedy na cmentarzu: opromienionym blaskiem, obcym i znajomym zarazem. Jego młodą, jednocześnie pozbawioną wieku twarz, surową, a przy tym zdolną do tak nadspodziewanej łagodności. Na swój złowrogi sposób był przystojny, lecz dopiero teraz Nayhija ujrzała ogrom zaklętego w nim piękna. I zalała ją fala miłości. Raptowna, zmiatająca wszystko inne. Ona była we mnie od dawna, zrozumiała Nayhija, po prostu nadawałam jej złe imię.

– Czuję – szepnęła. I zaraz, ośmielona tym wyznaniem, zaśmiała się, odrzuciła głowę i krzyknęła: – Czuję!

Ogień wciąż w niej płonął, ale nie był to już ten sam ogień. Ten nie spalał jej od środka, nie wytrawiał jej esencji. Mogła oddychać głęboko i swobodnie, bez kłucia w klatce piersiowej, bez fantomowego bólu zaciśniętej na szyi pętli. Była wolna, naprawdę wolna. I przepełniona emocjami, o których myślała, że przepadły.

Wtem na jej dłoni spoczął jakiś chłodny kształt. Zerknęła w dół i przekonała się, iż mężczyzna w czerni położył jej tam naszyjnik, ten, który dostała od Jaspera. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma, jej twarz wykrzywiał pogardliwy grymas. Coś zamrowiło ją w środku i przestało.

Jasper? A kimże on był? Zaledwie duchem, cieniem, mężczyzną, który tak naprawdę nigdy nie istniał. Ten, którego kochała, nie był prawdziwy, ponieważ kochała swoje wyobrażenie o nim. Ale to już za nią, to już bez znaczenia. Oto stał przed nią przeklęty rycerz prosto z najciemniejszych odmętów Piekła, istota zdolna do poświęcenia tak wielkiego, do jakiego nie był dla niej zdolny żaden człowiek. Zaryzykował dozgonną nienawiść, straszliwy los ich obojga, byle tylko zdjąć z niej brzemię minionych zdarzeń, roztrzaskać pielęgnowaną iluzję. Wiedział o niej wszystko i nie przeszkadzało mu to – nic, żadna niedoskonałość. Akceptował ją, był tu dla niej,

był tu z nią.

– To… – powiedziała, wysuwając przed siebie dłoń z naszyjnikiem, jak gdyby jego bliskość ją parzyła.

Mężczyzna cofnął się o krok i patrzył na nią w pełnym napięcia oczekiwaniu.

– Należy do przeszłości – dokończyła. – I ta przeszłość nic już dla mnie nie znaczy.

W momencie, gdy wypowiedziała ostatnie słowo, z naszyjnika buchnął siwy dym. *Puf!* i na dłoni została tylko kupka popiołu. Nayhija przyjrzała mu się z namysłem i przesypała przez palce. Kątem oka dostrzegła, że w miejscu, gdzie znajdowała się ta druga powieszona ona, dynda tylko pusta pętla. Następnie pokój zaczął się rozmywać, spopielać, ustępując pod naporem bieli. Była bezkresna, spowijała cały świat. Była całym światem.

Nayhija otworzyła usta i patrzyła na to w zdumieniu.

Byli wszędzie i nigdzie. W miejscu spoza czasu. Nie imał się go ból, nie istniała w nim żałość, tylko ta

(duch miłości wznosi się we mnie)

delikatna muzyka. Jak tu było pięknie. Och, jak pięknie! To miejsce pachniało wolnością. Smakowało nią. Wydało jej się, że to…

– Witaj w domu, kochanie. – Mężczyzna w czerni rozłożył ramiona. – Długo na ciebie czekałem.

Po policzku Nayhiji spłynęła łza. Otarła ją niedbale, bez zdziwienia spostrzegając, iż nie była koloru szkarłatu. Nie, nie ta. Ta łza symbolizowała szczęście, nie cierpienie.

– Witaj – powiedziała i wtuliła twarz w jego pierś.

Mimo iż wciąż pachniała mroźnym wiatrem, nie czuła chłodu. Tylko ciepło mężczyzny w czerni. I jego serce.

Biło dla niej, szeptało jej imię.

Lista utworów pojawiających się w książce
Closer Nine Inch Nails
Did It On 'Em Nicki Minaj
Violet Hole
Love Me Tender Elvis Presley
John the Revelator Depeche Mode
Feuer Frei! Rammstein
These Boots Are Made For Walkin' Nancy Sinatra
Change Deftones
Insight Depeche Mode

30 dni
Copyright © K.C. Hiddenstorm
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by © micro/Adobe Stock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.
druk ISBN 978-83-7995-510-7
epub ISBN 978-83-7995-511-4
mobi ISBN 978-83-7995-512-1
Redaktor prowadzący: Ewelina Nawara
Redakcja: Agata Polte
Korekta: Barbara Mikulska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Skład i typografia: www.proAutor.pl
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.
MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl
Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl